

RACHEL CAINE

Thriller psychologiczny, bestseller na listach AMAZON CHARTS



TAJEMNICA MORDERCY

TO BOLI, BO SŁYSZĘ GO W MOJEJ GŁOWIE.
WZOROWY MAŻ, KOCHAJĄCY OJCIEC, BRUTALNY MORDERCA.
TYM WŁAŚNIE BYŁ.

FILIA

RACHEL CAINE

**TAJEMNICA
MORDERCY**

Przełożył
Adrian Napieralski

FILIA

Prolog

Z celi wyprowadzili go o wschodzie słońca.

Całą noc spędził w pozycji klęczącej, drżąc z zimna w cienkiej, białej koszuli nocnej, którą kazali mu założyć. Kilkakrotnie zdarzyło mu się przysnąć, ale natychmiast budziło go szturchnięcie lufą karabinu.

Bolało go całe ciało, jednak przywykł do tego po latach ciężkiej pracy. W tym miejscu przeszedł transformację z silnego i wysportowanego człowieka w... *coś takiego*. Pod skórą nadgarstków i palców uwidoczniły się kości. Obojczyk zaczął sterczeć tak mocno, że mógłby nim przecinać papier. Tym razem nie podali mu nawet garstki ryżu, jak zwykli to czynić. Wody również nie dostał.

To jest post, wyjaśnili mu, choć trudno było mówić o poszczeniu, kiedy się już głodowało. Po prostu głodowało się jeszcze intensywniej.

Starał się nie myśleć o jedzeniu, o czasach, w których nie martwił się o kolejny posiłek, o burgerach, pizzy i kanapkach o dowolnej porze dnia i nocy. O frytkach i piwie. Wspomnienia tamtych czasów wydawały się odległe niczym niewyraźny sen. Lekcje w szkole. Dziewczyny. Imprezy. Futbol, frisbee i bar. Ten ostatni bar, taki

cholernie zatłoczony, i przyjaciele wokół. Czy w ogóle im go brakuje? Czy którykolwiek z nich się zorientował, że go nie ma?

Boże, był taki głodny i chciał po prostu iść spać.

Wtedy po niego przyszli.

Sześciu mężczyzn przypominających cienie w mroku. Widział kształt ich broni. Nigdy się z nią nie rozstawali. Postawili go na nogi, które ledwie już czuł, i kazali tupać dotąd, aż ustąpiło odrętwienie. Bolało tak bardzo, że ledwie oddychał. To wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. *To nie jestem ja. Mam swoje życie. Mam rodzinę. Nie mogę znajdować się w tym miejscu.*

Kiedy znalazł się na zewnątrz szopy, zauważył nadchodzący świt. Wciąż jednak było ciemno i ledwie widział ziemię, przez co stale się potykał. Muzyka unosiła się niczym mgła. Cały cholerny obóz śpiewał. Nie rozpoznał pieśni. Wychowano go w wierze katolickiej i rozpaczliwie pragnął się teraz pomodlić. Nie modlił się przez całą noc, choć kazali mu to robić. *Boże, pomóż mi, proszę.*

Szedł boso, tnąc do krwi skórę o kamienie na ścieżce, ale oni mimo wszystko go ciągnęli. Schodzili w dół zbocza. Po prawej stronie zauważył solidne, wysokie ogrodzenie, bardzo wysokie i pozbawione jakichkolwiek wyraźnych cech. Ciężki mur, który trzymał z dala resztę świata. Ten sam mur, na który raz spróbował się wspiąć, kiedy był jeszcze innym człowiekiem. Wciąż miał na ciele blizny.

Może zamierzają mnie uwolnić, pomyślał, choć w głębi duszy czuł, że to próżne nadzieje. Nie chciał dopuścić tych myśli, więc skupił się na modlitwie i śpiewnych głosach, które stopniowo cichły. Teraz był już tylko on, wierni ze swoimi karabinami i cisza. Po chwili słyszał już jedynie świszczący oddech w swojej piersi.

Drzewa wciąż blokowały kruchy poranny blask. Odniósł wrażenie, że schodzi do grobu, i nagle zapragnął uciekać, krzyczeć, walczyć, zrobić *cokolwiek*. Do cholery, w końcu kiedyś był *kimś*, silnym, pewnym siebie i niczego się niebojącym.

Nie uciekł.

Wolał iść w milczeniu.

Przenikliwy chłód dźgał jego skórę jak lodowe kły. Miał na sobie jedynie cienką bluzę, a dłonie i stopy znów zdążyły mu zdrętwieć z zimna. Żywiczny zapach drzew powinien kojarzyć się z atmosferą świąt, ale tak naprawdę czuł jedynie odór własnego potu i strachu. W ustach miał sucho, jakby zamiast języka nosił bawełnianą wkładkę.

Może to wszystko mi się śni, pomyślał. Upiłem się w tawernie u Charliego, niedługo obudzę się obok mojej dziewczyny i zacznę narzekać na wyjątkowo wredny koszmar.

Jego dziewczyna. Zastanawiał się, co teraz robi, czy w ogóle za nim tęskni. Pomyślał o rodzicach, którzy z pewnością przez cały czas go szukają.

To bolało.

Wyszli z cienia rzucanego przez drzewa i zatrzymali się. Rozejrzał się dookoła. Dostrzegł nieduże jezioro, lekko falujące i mażnięte różowym odcieniem przez wstające słońce. Był tam też wodospad. Huczał i szumiał nad skałami w górze, a w dole woda zmieniała się w białą mgiełkę, która zdawała się nic nie ważyć w powietrzu. Wśród drobin wody utworzyła się ledwie widoczna tęcza.

To miejsce wydawało się cieplejsze, spokojniejsze.

Ojciec Tom czekał na nich na brzegu jeziora. Miał na sobie białą koszulę i białe spodnie, a jego płowe włosy wydawały się mieć taką samą barwę. Włosy i twarz starego człowieka i młode, ciemne oczy, które zdawały się znać wszystkie tajemnice wszechświata. Oczy świętego, jak lubili powtarzać członkowie Zgromadzenia.

Ojciec Tom był kompletnym wariatem.

– Witaj, bracie – odezwał się. – Pracowałeś długo i ciężko i choć przybyłeś do nas jako ktoś obcy, już na zawsze będziesz częścią naszej rodziny. Dziś zostaniesz ochrzczony i dołączysz do

Zgromadzenia. Dokądkolwiek się udasz, zrobisz to jako jeden z nas. Twoje stare życie należy już do przeszłości. Niech rozpocznie się to nowe.

– Nowe życie – odezwał się ktoś stojący obok niego, a pozostali mu zawtórowali. On sam był zbyt odrętwiały, żeby w jakikolwiek sposób zareagować. Czy to oznaczało, że zamierzali go wypuścić? Czy to w ogóle było możliwe?

Tak, wypuście mnie stąd, chore pojeby. Uwolnijcie mnie, a pobiegnę zaraz na policję i wsadzę wasze dupski do więzienia tak szybko, że nawet Bóg nie będzie wiedział, gdzie was szukać.

Taką właśnie osobą był wcześniej, młodym i silnym mężczyzną, który walczył, krzyczał i wierzył, że może zrobić wszystko. Przetrwac wszystko.

Teraz jednak dygotał na chłodzie niczym baranek prowadzony na rzeź. Nie potrafił znów stać się tamtym człowiekiem.

Może dadzą mu w końcu spokój, jeśli się temu podda. A jeśli kiedykolwiek stąd wyjdzie, to niewykluczone, że niczego nikomu nie powie.

Wszedł po pas do wody z Ojcem Tomem. W niedużej odległości zauważył spadek, błękitny otwór powstały dzięki kaskadom spływającej przez tysiące lat wody. Nie sposób było stwierdzić, jaki jest głęboki. Stał na skraju otchłani. Boże, w tej wodzie było tak zimno, że ustał nawet dygot jego ciała. Tak zimno, że zaczynał odczuwać dziwne ciepło.

Ojciec Tom uśmiechnął się do niego, jakby w ogóle nie odczuwał przenikliwego chłodu, i powiedział:

– Czy wierzysz w moc pana naszego Jezusa Chrystusa i jego błogosławionego Ojca?

Skinął tylko głową, choć nawet tak drobny gest okazał się bolesny. Tak bardzo chciało mu się spać.

– Obmyj się zatem krwią baranka i zacznij od nowa. Twoja wiara nie miała wystarczającej siły, ale to już się skończyło. Jesteś teraz

świętym z naszego Zgromadzenia.

W ogóle nie był przygotowany na to, że Ojciec Tom wpakuje go pod wodę. Zrobił to tak szybkim i wprawnym ruchem, jakby był to jego tysięczny raz. Szarpał się, ale Tom przytrzymał go przez kilka sekund i po chwili pozwolił mu wynurzyć się na poranne powietrze.

Chciał krzyknąć ze strachu i zimna, ale nagle poczuł ogromną ulgę. Dokonał tego. Przetrwał. Skierował twarz ku wschodzącemu słońcu i wziął głęboki, głośny oddech. *Żyję. Żyję! Wyjdę z tego cało.*

– Bóg jest z tobą, bracie – powiedział Ojciec Tom. – Twoja posługa zapewnia nam wybawienie.

Nie zauważył dwóch mężczyzn, którzy zeszli razem z nim z brzegu do wody, i zaraz się zorientował, że coś jest nie tak. Odwrócił się, żeby wyjść z jeziora.

Jeden z nich chwycił go jednak za ramiona, a drugi zanurkował obok niego.

Poczuł, że coś zaczyna go szarpać. Nie wiedział, co to takiego, dopóki nie włożył rąk pod wodę.

Był to gruby, mocny łańcuch, którym obwiązano go wokół pasa. Ojciec Tom kliknął kłódką, żeby zamknąć pętlę.

Mężczyźni puścili go i się wycofali.

Powiedziałeś, że mnie wypuścisz. Że zacznę od nowa. Słowa te tłukły mu się w głowie, kiedy zaciskał zęby, czując napływającą czarną rozpacz.

– Niech Bóg cię błogosławi, święty – powiedział Ojciec Tom i zepchnął go ze skraju w głębinę.

Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, była waga obciążnika na końcu łańcucha, który pociągnął go w mrok, gasząc resztki porannego światła nad jego głową.

Tak zimno.

Po chwili poczuł, jak osiada na dnie wśród białych kości. Kiedy jego płuca zaczęły rozpaczliwie walczyć o tlen, przypomniał sobie lata dzieciństwa. Przebudzenie z koszmaru. Ostatnim

wspomnieniem była matka, która szeptała do niego: *Cicho, maleńki.*
Już jesteś bezpieczny.

Rozdział 1

Gwen

Dzwoni moja prywatna komórka i zerkam na wyświetlacz. Taki nawyk. Odebrałabym połączenie jedynie od sześciu osób na świecie dzwoniących na ten numer. Jedną z nich z całą pewnością jest Sam Cade. Czuję w środku przyjemne ciepło, kiedy dotykam przycisku i przykładam telefon do ucha.

– Hej, nieznajomy – mówię, a w moim gardle rozlega się zmysłowy pomruk.

– Hej, mała – rzuca chropowatym głosem. Och, podtekst. Jakie to seksowne. – Jak mija dzień?

– W tej chwili nic szczególnego się nie dzieje – odpowiadam z ziewnięciem. Jest trzecia trzydzieści nad ranem. Od trzech godzin siedzę beczynn timer w wychłodzonej wypożyczalni samochodów, nie licząc szybkiego wypadu do pobliskiego sklepu całodobowego na toaletę i wielką kawę, której będę jeszcze żałowała. – Czekam, aż facet wykona jakiś ruch.

– Jakiego rodzaju ruch?

– Dobre pytanie.

– Nie chcesz mi powiedzieć? – Wydaje się rozbawiony.

– Wiesz, jak jest. Nic nie mówię, dopóki nie nabiorę pewności. Tak czy inaczej, pora jest dość późna. Albo wczesna. Jak jest w twoim przypadku?

– Wcześniej. Przygotowuję papiery na później – odpowiada. – Dzieci wciąż jeszcze twardo śpią. Zajrzałem do nich przed chwilą. – Moje dzieci są dla mnie całym światem i on doskonale o tym wie. Sam jest również świadom, że należy do starannie wyselekcjonowanej grupy osób, którym mogę powierzyć opiekę nad nimi. Moja córka Lanny jest akurat w tym trudnym okresie, w którym szesnastolatka uważa się za dwudziestolatkę. Mój syn Connor jest zdecydowanie zbyt dojrzały jak na swoje trzynaście lat i jednocześnie zbyt młody. Z całą pewnością nie są to osobniki proste w obsłudze.

Jest wiele powodów, które to usprawiedliwiają. Przez połowę swojego życia oboje żyli ze świadomością, że ich ojciec był seryjnym mordercą, a do tego wszystkiego nieśli brzemień związane z niesprawiedliwym traktowaniem ze strony innych osób, uważających ich za współwinnych zbrodni. Chcę obronić ich przed światem, choć jest to oczywiście niemożliwe. Ale będę nadal próbowała.

– Wrócisz do domu przed szóstą? – pyta, a ja wzdycham. – Okej, nie odpowiadaj. Chcesz, żebym obudził Lanny, zanim wyjdę?

– Tak, lepiej tak zrób. Nie wierzę w jej reakcję na dzwoniący budzik ani w to, że Connor wstanie na czas. Wyślę ci wiadomość, kiedy będę już w drodze do domu. – Chcę, żeby moje dzieci się wyspały. Muszą wstać o siódmej, ale jedna godzina snu więcej dla nastolatka to jak dziesięć dla mnie.

Żadne z nich nie będzie chciało zwlec się z łóżka, nie mówiąc o wyjściu do szkoły, ale wielokrotnie znajdowali się już w nieprzyjemnych sytuacjach. Kategorycznie nie zgodziłam się na naukę w domu. Ich życie będzie niezwykle trudne, zważywszy na

historię naszej rodziny. Chcę, żeby uczyli się z tym walczyć już teraz, a nie po wejściu w dorosłość, kruche jak chińska porcelana.

Muszą stawić czoła potworom.

Terapia zrobiła dobrze nam wszystkim. Zaczęłam od indywidualnych sesji dla dzieci przez kilka miesięcy, potem robiliśmy to wspólnie, kiedy wraz z Samem spotykaliśmy się z innym terapeutą jako para. Teraz raz na tydzień bierzemy w tym udział wszyscy razem jako rodzina i jestem już w stanie zaryzykować stwierdzenie, że sprawy mają się... lepiej.

Nie biorąc oczywiście pod uwagę tego, że odcięto się od nas całe miasteczko.

Nie jestem do końca pewna, co wywołało taką niechęć do nas u mieszkańców Norton. Jedna z naszych teorii mówi o nieplanowanym, ale nadal trwającym konflikcie Sama z lokalną grupą zajmującą się handlem narkotykami, która ma spore wpływy. Część tej winy należy do mnie, po tym jak zgodziłam się na udzielenie wywiadu w telewizji. Sytuacja stała się niezwykle toksyczna. To z kolei zwróciło jeszcze większą uwagę mediów, których przedstawiciele zjawili się tłumnie w spokojnych zakątkach Stillhouse Lake. Wierzyłam, że postępuję słusznie, choć ostatecznie równie dobrze mogłabym zrzucić sobie na głowę stertę starych śmieci.

Internetowi prześladowcy jak zwykle powrócili, nieustępliwi i upiornie uradowani. Nie byłam pewna, co tak naprawdę chcieli osiągnąć, próbując zniszczyć mi życie, ale jedno musiałam im oddać: nie odpuszczali. Niedawno natrafiłam na wpis, z którego się dowiedziałam, że ich celem było doprowadzenie moich dzieci do samobójstwa w trakcie przekazu na żywo. Poziom socjopatii przekroczył wszelkie granice, ale niestety tak to wygląda w internecie. I nie jest to odosobniony przypadek.

Z czymś takim właśnie musimy sobie radzić w codziennym życiu. Nie lubię nazywać naszych prześladowców potworami – w moim

odczuciu są raczej znudzonymi, wściekłymi i pozbawionymi wszelkiej empatii istotami ludzkimi, które obrały sobie mnie za cel swojej frustracji. Byłam bądź co bądź żoną Melvina Roya, niesławnego seryjnego mordercy. Człowiek ten zarzynał kobiety dla zabawy, więc musiałam być w jakiś sposób za to odpowiedzialna. Nie, ten rój wszechobecnych internetowych trolli to nie są potwory. Znałam w życiu potwory. Stawiałam im czoła, łącznie z Melvinem.

Zabijam potwory i lepiej, żeby o tym pamiętały.

Rozmawiam z Samem przez mniej więcej pół godziny, ciesząc się komfortem i pragnąc znaleźć się blisko niego, oboje jednak wiemy, że nie ma na to w tej chwili szans. Dzięki zacofanym mieszkańcom Norton, którzy nas odtrącili, skończyły się dla niego oferty pracy na budowach i musiał wyjechać dalej w poszukiwaniu zajęcia. To oznacza dłuższe przejazdy i mniej czasu spędzonego wspólnie w domu.

Pracuję w agencji detektywistycznej z innego miasta, od której dostaję różnego rodzaju sprawy dotyczące miejsc położonych w mojej okolicy. Mogę oczywiście odrzucić zlecenie, któremu nie podołam bądź którego po prostu nie czuję. Płacą jednak przyzwoicie, a ja radzę sobie w tej pracy całkiem nieźle.

Obecnie moją uwagę przyciąga pewien bardzo bogaty dyrektor generalny nazwiskiem Greg Kingston. Zlecenie dostaliśmy od członków zarządu spółki, których zaniepokoiło coś, co określili mianem dziwnego zachowania i niepokojących wyników finansowych. Zdołałam już odkryć defraudację w jego firmie z branży public relations na Florydzie – zostawił za sobą wszechobecne cyfrowe odciski palców. Sprawa okazała się prosta: wystarczyło skontaktować się z zarządem i podjąć dalsze decyzje. Dni Kingstona były już prawdopodobnie policzone.

W trakcie pracy nad sprawą pana Kingstona odkryłam jednak coś, co zaniepokoiło mnie w znacznie większym stopniu. Nie jestem pewna, co to właściwie jest, dlatego nie powiedziałam o niczym

Samowi. Na razie muszę radzić sobie z poszlakami, instynktem i jednym istotnym pytaniem.

Dlaczego ktoś z taką pozycją społeczną, dysponujący takim saldem w banku jak Greg Kingston, zatrzymał się w podrzędnym motelu w szemranej dzielnicy Knoxville, podczas gdy w tym samym czasie miał zarezerwowany pokój w ekskluzywnym hotelu The Tennessean?

Greg Kingston mógł wybrać takie obskurne miejsce z kilku powodów: wynajął prostytutki, kupował narkotyki lub zajmował się czymś jeszcze mroczniejszym. Pozostaje mi mieć nadzieję, że lubi po prostu osoby sprzedające usługi seksualne z nieco gorszych dzielnic miasta. Taki powód byłby w tym wypadku najlepszy.

Ale nie zapowiada się tak łatwo.

Obserwuję zatrzymujący się w pobliżu anonimowy samochód. Wysiada z niego przysadzisty, biały facet. Ma na sobie dzinsy i niczym niewyróżniającą się kurtkę, a twarz przesłania mu daszek czapeczki baseballowej. Nie dostrzegam żadnej torby, jeśli więc jest dilerem narkotykowym, nie ma przy sobie więcej towaru, niż mieści się w jego kieszeniach. Nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś z monstrualnym ego Kingstona ślinił się na jedną działkę.

Kiedy mężczyzna otwiera tylne drzwi auta, uzmysławiam sobie, że źle go oceniłam.

Dziewczyna nie może mieć więcej niż dwanaście lat, co sprawia, że natychmiast zasycha mi w ustach, a serce gwałtownie przyspiesza. Zmuszam się do zachowania spokoju i robię tyle zdjęć, ile tylko jestem w stanie. Tablica rejestracyjna. Szczegóły nadwozia samochodu. Najlepsze ujęcia dziewczyny. Ubrana jest w niebieską sukienkę, która pasuje do młodszego dziecka. Jej twarz zupełnie pozbawiona jest wyrazu, co uruchamia we mnie kolejne dzwonki alarmowe.

Robię doskonale wyraźne zdjęcie Gregowi Kingstonowi, który otwiera drzwi pokoju w motelu i potrząsa dłonią ociężałego faceta.

Zaprasza oboje do środka i zamyka za sobą drzwi.

Nie mogę opanować drżenia rąk, kiedy odkładam aparat i wybieram numer na policję. Zgłaszam sytuację najspokojniej, jak tylko potrafię, tłumacząc, że dziecko jest w poważnym niebezpieczeństwie i że może tam dojść do nadużyć. Jeśli się mylę, jeśli z jakiegoś powodu Greg Kingston spotkał się w tym motelu ze swoim kuzynem i jego córką, to będzie po mnie.

Ale nie mogę się mylić. Nie ma mowy. Jestem świadkiem sprzedaży dziecka i muszę nad sobą zapanować, żeby czekać cierpliwie na przyjazd policji, a nie wparować do środka, zbić obu facetów do nieprzytomności i zabrać małą w bezpieczne miejsce.

Nie trwa to długo. Z pewnością nie więcej niż pięć minut, choć wydaje mi się, że czekałam całą wieczność. Powolny, cichy wjazd policyjnego wozu na parking to naprawdę przyjemny widok. Wsiadam z auta i rozmawiam z dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami. Traktują mnie poważnie, szczególnie po tym, kiedy pokazuję im kilka zdjęć z aparatu. Jestem cholernie spięta, kiedy opieram się o samochód, a oni pukają do drzwi motelowego pokoju.

Wszystko kończy się dość szybko. Cokolwiek znaleźli wewnątrz, wystarczyło, by zdecydowali się wyprowadzić Kingstona i jego grubego koleżkę w kajdankach. Po chwili pojawia się owinięta kocem dziewczyna. Jej puste spojrzenie w końcu ustąpiło miejsca czemuś na kształt prawdziwych emocji.

Narodzinom nadziei.

Przyjeżdża błyskający światłami ambulans, a po nim samochód detektywa. Zauważam, że wieczorni goście tego niedużego, układającego się na kształt litery „L” motelu zaczynają się po cichu ewakuować. Nikt nie chce zostać złapany w samym środku tego bałaganu.

Kingston wręcz kipi z wściekłości. Zdawałoby się, że powinien wyglądać na dużo bardziej wystraszonego, więc wybieram numer

telefonu do lokalnej gazety i kilku agencji medialnych. Ta historia im się spodoba, szczególnie że zdobędą zdjęcia wielkiego Grega Kingstona w bokserkach i czarnych skarpetkach. Jest blady na twarzy i sprawia wrażenie zupełnie bezbronny. Doskonały materiał na pierwszą stronę.

W końcu podchodzi do mnie dwoje detektywów. Podaję im wizytówkę i wyjaśniam, co tutaj robię. Mój aparat ma połączenie z internetem, więc od razu przesyłam im zdjęcia. Dołączam do tego wpisy z forum w sieci, które doprowadziły mnie w to miejsce. Wydają się w jakiś sposób zakodowane, a to wystarczyło, żeby wzbudzić moją ciekawość. Sądząc po spojrzeniach, jakie wymieniają między sobą detektywi, oboje doszli zapewne do tego samego wniosku.

Składam zeznanie i obiecuję odpowiedzieć na więcej pytań, jeśli okaże się to konieczne. Mężczyzna najwyraźniej nie rozpoznał mojego nazwiska – zawsze jestem przygotowana na taką okoliczność – ponieważ po prostu zapisuje moje dane.

Kobieta nieco się ociąga i rzuca mi uważne spojrzenie. Jej wzrok sugeruje, że coś jej zaświtało. Instynktownie unoszę gardę i czekam na szyderstwo czy przytyk.

– Cieszę się, że udało się pani pomyślnie przez to wszystko przebrnąć, pani Proctor – mówi w zamian. – To musiało być trudne. Uważa pani na siebie?

Jestem zaskoczona. Tak bardzo zaskoczona, że nie wiem nawet, co powiedzieć, więc tylko kiwam głową. Odczuwam ścisk w gardle. Nie próbuję jej dziękować. Pewnie i tak to zauważyła, bo uśmiecha się i odchodzi.

Czuję się teraz dziwnie odsłonięta. Jestem zawsze przygotowana do walki, a nie do *czegoś takiego*.

Wracam do samochodu i informuję Sama, że ruszam w drogę do domu. Czeka mnie bite półtorej godziny jazdy, nie licząc ewentualnego korka, ale chyba uda się nam jeszcze zobaczyć. Nacieszyć chwilą ciszy.

Rzadko miewam tyle szczęścia i dziś jest niestety tak samo. Wchodzę do domu i wyłączam alarm. Connor już wstał i siedzi przy stole, skubiąc kromkę chleba tostowego. Choć ma dopiero trzynaście lat, nagle zaczął rosnać w zaskakującym tempie. Nabrał masy w okolicy ramion i torsu. Wystrzelił w górę o kilka centymetrów.

Ale Connor nie wygląda dziś dobrze. Siedzi z opuszczonymi ramionami, a pod oczami ma cienie. Sam gotuje jajka. Rzuca mi ciepły, przelotny uśmiech i wzrusza ramionami – komunikaty wysłane i odebrane. Zbliży się do czterdziestki i jest nieco starszy ode mnie. Średniego wzrostu, średniej wagi, jasne włosy. Atrakcyjna, symetryczna twarz, która w zależności od jego nastroju i oświetlenia może wyglądać na młodszą lub starszą.

Kocham go na zabój. Wciąż mnie to cholernie zaskakuje. Czy mam w ogóle prawo kochać faceta tak solidnego, tak dobrego? I dlaczego on w ogóle kocha mnie? To jedna z tych zagadek, których zapewne nigdy nie rozwiążę.

– Cześć, skarbie – rzucam i całuję syna w czubek głowy. Reakcja jest mizerna. – Co się dzieje?

Connor nie odpowiada. Sprawia wrażenie nieobecnego, co po części można rzucić na wczesną porę, a po części na coś innego. Sam postanawia odpowiedzieć za niego:

– Twierdzi, że źle się czuje od samego przebudzenia.

– Źle? – powtarzam. Opadam na krzesło obok Connora. – Znów żołądek?

Kiwa głową i odgryza niewielki kęs kanapki. Ma podkrążone oczy i zdecydowanie przydałby mu się fryzjer. Przez cały czas nalegam, żeby się wybrał do zakładu fryzjerskiego. W tej chwili wygląda przez tę fryzurę na niemal zaniedbanego. Założył swój ulubiony wytarty sweter, który niejednokrotnie kazałam mu już wyrzucić, a do tego znoszone džinsy. Jeśli dołożyć te sterczące włosy i niewidzące spojrzenie... Gdyby usiadł na chodniku z tabliczką ZBIERAM NA JEDZENIE, z pewnością zebrałby niemałą sumkę.

– Nie chcesz iść do szkoły? – pytam, a on znów przytakuje skinieniem głowy. – A może warto by się wybrać do lekarza? – Tym razem zaprzeczenie. Przykładam dłoń do jego czoła, ale nie wyczuwam gorączki. – Przykro mi, skarbie, ale jest tylko taka alternatywa: albo szkoła, albo lekarz. Nie możesz tak po prostu zostać w domu. Masz już wystarczająco dużo nieobecności.

Rzuca mi pełne nieszczęścia spojrzenie, ale nadal nic nie mówi. Odkłada tylko kanapkę, wstaje i kieruje się do swojego pokoju. Patrzę na Sama, który unosi rękę w geście „mnie nie pytaj”.

– Gdybym miał zgadywać, postawiłbym na szkolnych tyranów – mówi.

– Connor boryka się z nimi od lat.

– Ale również przeprowadzał się z miasteczka do miasteczka. Za każdym razem mógł mieć nadzieję, że zobaczy tych drani oddalających się w tylnym lusterku, a potem to samo działo się od nowa. Wciąż musi stawiać im czoła i wcale nie widać końca tego koszmaru. Mogę się mylić, ale...

– Raczej się nie mylisz. – Wzdycham. – Okej. Zostały dla mnie jakieś jajka?

– Z serem i bekonem. Załatwione.

Pukam do drzwi pokoju Connora i je otwieram. Siedzi na skraju łóżka ze wzrokiem wbitym w podłogę i skarpetkami w dłoni, których jeszcze nie założył. Nie reaguje złością na moje wejście, więc zamykam za sobą drzwi.

– Sam uważa, że to przez szkolnych łobuzów. Zgadza się?

Kiwa powoli głową.

– Możemy o tym porozmawiać?

Nie jestem pewna, czy się zgodzi, ale w końcu odzywa się do mnie chrapliwym głosem.

– Po prostu... jest mi ciężko.

Wiem, co czuje. Sama codziennie odbieram maile z pogrózkami i wulgaryzmami. Widzę je w mediach społecznościowych. Czasami

nawet trafiają na nasz adres pocztą. Ale ci ludzie przynajmniej trzymają się z dala od nas.

Connor spotyka się z tymi draniami każdego dnia i nie może przed tym uciec.

Ogarnia mnie tak silne uczucie złości, frustracji i udręki, że czuję pulsowanie w skroniach. Choć chcę go uchronić przed bólem, niewiele tak naprawdę mogę zrobić. *Trzymaj się swojej decyzji. On dorasta i musi nauczyć się z tym walczyć.* Przytulenie go i ochrona przed światem nie zapewni mu pancerza, którego będzie potrzebował.

Gdyby się nauczył, jak się bronić... to zapewniłoby mu bezpieczeństwo podczas mojej nieobecności.

– Kochanie, wiem o tym. Bardzo mi przykro. Mogę porozmawiać z dyrektorem, żeby reagował w takich sytuacjach...

Connor kręci głową.

– Nie, mam. Jeśli czeokolwiek spróbujesz, będzie jeszcze gorzej.

Biorę głęboki wdech.

– Co mam w takim razie zrobić?

– Nic. Jak za... – Urywa i zagryza wargę. Wiem, co chciał powiedzieć. *Jak za każdym razem.* Zapewne tak postrzega moje zachowanie, choć doskonale wie, jak wiele poświęciłam, żeby ich chronić. To boli, ale dam sobie radę. – Poradzę sobie.

– Mogę cię umówić na dodatkowe spotkanie z terapeutą, jeśli...

Zakłada skarpetki i buty. Spokojne, metodyczne ruchy, jakby każdy z nich był bardzo ważny.

– Jasne – odpowiada niepokojąco bezbarwnym głosem. – Jak chcesz.

Znów to straszne „jak chcesz”. Jakby zatrzasnął mi przed nosem stalowe drzwi. Przywykłam do tych słów z ust mojej córki, ale nie Connora. Ale w końcu on dorasta, staje się kimś innym. Nie jestem już jego schronieniem.

Teraz raczej stoję mu na drodze. To boli. Muszę wziąć głęboki oddech, żeby poradzić sobie z emocjami.

– Kto to jest? – pytam.

Nie przerywa zawiązywania sznurowadeł.

– A co? Chcesz tam pójść i ich zlać?

– Może. Bardzo mnie boli twoje cierpienie, kochanie. Naprawdę.

– Przy ostatnim słowie słyszę drzenie w swoim głosie.

On też je usłyszał. Podnosi szybko wzrok. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy, gdyż natychmiast odwraca głowę.

– Kiedy się przeprowadzaliśmy, było dużo łatwiej – mówi. – Kiedy nie musieliśmy tkwić w jednym miejscu.

– Wiem. Chcesz się przeprowadzić? Myślałam, że wolisz przebywać w jednym miejscu.

– Kiedyś wolałem. Tak sobie po prostu pomyślałem. To tylko... – Prostuje się z westchnieniem, ale nie patrzy mi w oczy. – Po szkole idę do Reggiego, pamiętasz? – Mówi to takim tonem, jakbyśmy już to wcześniej ustalili. A niczego nie ustaliliśmy. Kiwam jednak tylko głową i odpuszczam temat. Mój syn musi żyć z poczuciem, że wciąż ma coś przed sobą.

– Zadzwonisz, kiedy będziesz na miejscu? – Staram się, by zabrzmiało to jak pytanie, a nie jak rozkaz. Widzę, że mu ulżyło.

– Jasne, mamo. – Wstaje. – Chyba powinienem jeszcze coś zjeść.

– Dobry pomysł.

Mam ochotę go przytulić, ale nie wydaje mi się, żeby mu się to w tej chwili spodobało. Tęsknię za nim. Bardzo się boję, że cały świat chce go skrzywdzić, ale nie zdołam przecież tego świata powstrzymać. Doskonale o tym wiem.

Może to jest właśnie najgorsze.

Kiedy Connor siedzi ponownie przy stole, do kuchni wchodzi moja córka. Długie, ciemne włosy opadają jej na twarz. Ma na sobie puchaty czerwony szlafrok, pełen naszywek przedstawiających

rysunkową wersję Draculi. Ziewa tak szeroko, że mogę zobaczyć jej migdałki.

– Cholera – rzuca. – Znów do szkoły?

– Znów – potwierdzam. – Chcesz jajka?

– Jasne. Dostanę kawę?

– Eliksir życia z mnóstwem śmietanki i cukru, zamówienie przyjęte.

Jemy śniadanie jak rodzina. Choć dzieci są na wpół śpiące, jest to dla mnie bardzo cenny czas. Muszę popędzać Lanny, która zaczyna się guzdrać. Jeśli ich nie podwiozę, spóźnią się na autobus, a Sam musi niebawem ruszać w drogę.

Całuję go czule w drzwiach i dostrzegam w jego oczach smutek. Zabrakło nam dziś tej upragnionej chwili prywatności.

Może wieczorem, jeśli nic nie wyskoczy.

– Sam? – wołam za nim. Odwraca się do mnie w drodze do pickupa. – Uważaj na siebie.

– Na każdym kroku – odpowiada z uśmiechem. Zza drzew wynurza się słońce, które spowija wszystko łagodnym blaskiem. Odbija się od okien samochodu i przez chwilę odnoszę wrażenie, że coś mi się przywidziało, ponieważ czerwony punkt na piersi Sama wydaje się całkowicie nie z tego świata.

Kiedy uzmysławiam sobie, co widzę, moje serce zaczyna łomotać w piersi. Punkcik lasera zaczyna się poruszać.

– Sam! – wołam alarmującym tonem, ale nie jestem pewna, czy zorientował się, o co mi chodzi. Chcę krzyknąć, żeby się położył, kiedy boczne okno jego pickupa zmienia się w mleczną pajęczynę pęknięć. W samym środku widzę otwór wielkości ćwierćdolarówki.

Echo strzału odbija się od wzgórz za domem.

Czuję potężne uderzenie adrenaliny i zrywam się w stronę drzwi. Sam nie jest ranny, ale jest w tym momencie tarczą strzelniczą. Przykucnął, jednak widzę, że rozgląda się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógł znajdować się strzelec.

– Tutaj! – wołam.

Biegnie w kierunku drzwi. Strzał padł z za domu, z miejsca położonego gdzieś powyżej. Snajper musi znajdować się na linii drzew. Ktoś chciał mi zademonstrować, że mógł trafić Sama z taką samą łatwością, z jaką przestrzelił okno w samochodzie.

– Jezu Chryste – mówi Sam dość spokojnym głosem, choć jest zupełnie blady. – Nie widziałem go.

Odciągam go od drzwi i zatrzymuję je za nami. Przekręcam zamki. Włączam alarm błyskawicznymi ruchami drżących palców. Dzieci wyskoczyły ze swoich pokoi i rzucają nam pełne niepokoju, pytające spojrzenia.

– Odsuńcie się od okien – nakazuję i kieruję je do kuchni. – Wejdźcie do skrytki i usiądźcie na podłodze!

– Mamo, czy to był strzał? – pyta Lanny.

– Zabierz Connora do skrytki, natychmiast!

Chwyta brata za ramię i ciągnie go za sobą. Przyglądam się pobieżnie Samowi w poszukiwaniu ran. Zdarza się, że pod wpływem adrenaliny człowiek nie czuje skutków postrzału. Ale nie widzę krwi.

Snajper miał go na tarczy, ale celowo chybił. Ostrzeżenie.

– Nic ci nie jest? – pytam.

Rzuca mi to samo dziwnie spokojne spojrzenie.

– Poza tym, że mam ochotę zwiększyć polisę ubezpieczeniową na samochód? Wszystko gra. Nie trafił.

– To nie jest tak, że nie trafił. Widziałam punkt lasera na twojej piersi.

– I wiesz dobrze, że celowniki laserowe potrafią być do dupy z takiej odległości. Pociski skręcają. – Kładzie mi dłonie na ramionach, po czym ujmuje w dłonie moją twarz. – Oddychaj, Gwen. Wszystko dobrze, to tylko szyba.

– Nie – odpowiadam. – To była pogroźka.

Odwracam się, sięgam po telefon i wybieram numer na posterunek w Norton.

Rozdział 2

Gwen

Nie jestem szczególnie zdziwiona, że gliniarze nie znajdują niczego sensownego.

Wydłubali nabój, który wbił się w oparcie fotela, ale niewiele z niego zostało. Technik kryminalistyczny, którego znam i cenię ze względu na kompetencje, nie uważa, by byli w stanie wiele zrobić.

Po strzelcu nie ma ani śladu. Albo – inaczej rzecz biorąc – śladów jest aż za dużo. W tych lasach często polują myśliwi.

Młody policjant, który nas przesłuchuje, jest nieznanym mi z widzenia umundurowanym funkcjonariuszem. Wydaje się niewiele starszy od mojej córki. Choć sili się na profesjonalizm, brzmi raczej protekcjonalnie.

– Pani Proctor, rozumiem, że jest pani przekonana o swojej racji, ale właśnie rozpoczął się sezon na sarny...

– W trakcie którego strzela się ze sztucerów! – przerywam mu, bo jestem poważnie wkurzona. – Niech pan da spokój. Widziałam celownik laserowy! To nie była broń na sarny.

– Proszę pani, sam fakt, że ktoś jest kiepskim strzelcem, nie oznacza, że miał tutaj jakiegokolwiek złe zamiary. Istnieje duże

prawdopodobieństwo, że to był po prostu wypadek. Na szczęście nikomu nie stała się krzywda.

Moją twarz wykrzywia grymas. Zanim jednak wypowiadam kolejne słowa, Sam kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Dziękujemy panu. Wszystko będzie dobrze. Gdybym tylko mógł poprosić o raport dla mojej firmy ubezpieczeniowej...

– Oczywiście – odpowiada chłopak i uśmiecha się do Sama. Jakżeby inaczej. – Cieszę się, że pan to zrozumiał, sir.

Komunikat odebrany. To Sam jest tutaj dorosłym, a ja tylko rozhisteryzowaną babą. Mam ochotę strzelić gówniarzowi w pysk. Oczywiście tego nie robię. Zaciskam zęby. Jestem zaskoczona, że na tym etapie jeszcze jakiegokolwiek mi zostały.

Sam najwyraźniej wie, w jakim jestem stanie, bo żegna policjanta słowami „dziękujemy za przybycie” tak neutralnym tonem, jaki tylko udaje mu się przyjąć. Policjant idzie się naradzić z technikiem kryminalistycznym, który słyszał naszą wymianę słów i rzuca mi przepaszające spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Nic nie poradzisz”.

Odwracam się do Sama.

– Serio?

– Serio – odpowiada. – Odpuść parę, Gwen. Kłótnia z glinami nikomu nie wyjdzie na dobre.

Ma oczywiście rację, choć mam szczerą ochotę się z kimś pokłócić. Nie ma jednak wokół żadnych kandydatów poza ludźmi, których kocham, biorę więc kilka oddechów. – Okej. Jak sądzisz, kto to mógł być?

– Jeśli miałbym zgadywać, to jeden z Belldene’ów.

Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Belldene’owie to zżyta miejscowa rodzina, którą można by określić mianem paramilitarnej i przestępczej. Sam miał już z nimi kilka nieprzyjemnych scysji, zawsze w obronie kogoś innego.

Nie spotkałam się jeszcze z żadnym z nich twarzą w twarz, choć ich reputacja jest znana i dobrze udokumentowana w aktach policji w Norton i stanu Tennessee. Specjalizują się w handlu różnego rodzaju opiatami. Chodzą pogłoski, że mają w kilku hrabstwach zaprzyjaźnionych lekarzy, którzy organizują im recepty, ale niczego dotąd im nie udowodniono. Wystarcza im pewnie niewielkie laboratorium do sporządzania metamfetaminy na boku.

Przywykłam już do nękania ze strony innych. Przeżyłam kilka lat nieustannych gróźb internetowych mścicieli. Zorganizowanych grup, takich jak Zagubione Anioły, zrzeszające krewnych i przyjaciół ofiar mojego byłego męża. Różnych popaprańców, którzy wychwalali Melvina pod niebiosa i chcieli albo się do mnie zbliżyć, albo mnie zabić. Stalkerów, którzy uważali, że moje dzieci mogą wyrosnąć na seryjnych morderców. Mam całe mnóstwo wrogów, ale to jest coś zupełnie innego. Tym razem był to ktoś, kto mieszka w odległości przejazdu samochodem, ktoś, kto może zjawić się w szkole moich dzieci, w pracy mojego partnera czy naszym sklepie spożywczym.

Albo w naszym domu.

Zazwyczaj reaguję dość agresywnie na wszelkiego rodzaju pogróżki, jednak Sam zdołał mnie przekonać, że Belldene'owie traktują ich konflikt jak zawody sportowe. Cokolwiek się uczyni przeciwko jednemu z nich, przypomina to uderzenie kijem w gniazdo wściekłych szerszeni. Teraz zarzucają nam przynętę.

Nie mogę sobie pozwolić na jej ugryzienie.

Mimo to trudno jest mi też odpuścić.

– W takim razie...

– Nie robimy niczego – kończy za mnie i rzuca mi aż nadto znajome spojrzenie. – W porządku?

– Może.

– Gwen.

– On mógł cię zabić.

– Gdyby chciał mnie zabić, to już byłbym martwy – protestuje. – Jeśli to się nie skończy, będziemy działać. Na razie jednak facet szuka pretekstu, więc nie dawajmy mu go. Okej?

Przytakuję głową. Żadne z nas nie wie, którym z nich jest ów *on*. Belldene'ów jest bardzo wielu i przypuszczam, że każdy z nich doskonale radzi sobie z karabinem. Jeden z nich jest snajperem szkolonym w armii, ale to nie oznacza, że to właśnie z nim mieliśmy dziś do czynienia.

Mam wrażenie, że trzymają go w odwodzie na wypadek zaognienia się sytuacji.

Odprowadzam dzieci do autobusu, szczególnie uważna na wszystko, co dzieje się dookoła, ale wsiadają do niego bez żadnych incydentów. Policja w końcu odjeżdża sprzed naszego domu. Sam usuwa uszkodzoną szybę z drzwi samochodu i informuje, że zadzwoni z pracy do serwisu w sprawie naprawy. Tym razem nasz pocałunek na do widzenia jest dłuższy i mocniejszy.

Powróciliśmy do słodkiego i przyjemnego stanu pełnego zaufania. Nigdy nie było nam łatwo. Sam jest bratem jednej z ofiar Melvina i zawsze będziemy mieli to gdzieś z tyłu głowy, podobnie jak fakt, że pomagał niegdyś Zagubionym Aniołom, jednej z najaktywniejszych grup moich prześladowców.

Teraz traktują Sama jak zdrajcę i wciąż uważają, że byłam współwinna zbrodni mojego byłego męża. Ale ja znam Sama. Ufam mu bezgranicznie w odniesieniu do tego, co dla mnie najcenniejsze – moich dzieci – i robię to moim pełnym blizn i strachu sercem.

Czasami mnie to przeraża. Świadomość, że pozwalam komuś tak bardzo się zbliżyć, że oddaję mu kontrolę nade mną... jest to zarówno emocjonujące, jak i przerażające. W takich momentach jak te jest to także niezwykle cenne.

Przesyłam ukończone raporty, zdjęcia i dane finansowe ze sprawy Kingstona mojej szefowej J.B. Hall, która jest właścicielką prywatnej agencji detektywistycznej, a zarazem mądrą i twardą

kobietą. Potwierdza odbiór i obiecuje zająć się wszystkimi tymi dokumentami i znaleźskami, a następnie w miły sposób przedstawić ostateczny raport klientowi. Dla zarządu tamtej firmy nie będzie to jednak nic miłego, choć usłyszeli już zapewne o aresztowaniu Kingstona.

Cieszę się, że ta sprawa nie dotyczy mnie samej. I tak wiodę już dość dramatyczne życie.

Uświadamiam sobie, że J.B. przysłała mi kolejne zlecenie. Otwieram jej wiadomość.

„To dość dziwne”, pisze. „Nierozwiązana sprawa zaginięcia młodego człowieka. Można by pomyśleć, że zwrócili się z tym do nas rodzice, ale tak nie jest. Klientem jest fundacja non profit. Być może w imieniu rodziców? Nie mamy pewności, więc działaj ostrożnie. Sprawa jest na tyle niejasna, że tak naprawdę musimy na dzień dobry sprawdzić wszystkich. Na dodatek dotyczy twojej okolicy. Rzucisz okiem?”.

Pobieram plik załącznika, dość skromny raport policyjny na temat zaginionej osoby: młody chłopak, który znikł z baru w trakcie wieczoru z przyjaciółmi. Student ostatniego roku na Uniwersytecie Tennessee w Knoxville. Fakty są dość ogólnikowe. Remy Landry, lat dwadzieścia jeden, biały, urodzony w Luizjanie.

W pewien piątkowy wieczór wybrał się z szóstką przyjaciół do dwóch różnych barów. Kiedy w końcu wszyscy odnaleźli się w tłumie w drugim barze, okazało się, że Remy'ego brakuje. Znajomi założyli, że spotkał kogoś i opuścił lokal, choć niepokojący był brak reakcji na wiadomości i telefony. Miał własny samochód, który znaleziono zaparkowany i zamknięty na parkingu kampusu. Logiczne – do baru pojechał z przyjaciółmi.

Materiał z kamer monitoringu dołączony do pliku pokazuje Remy'ego w pierwszym barze. Na filmie widać go zamawiającego drinki, tańczącego, rozmawiającego z dziewczynami. Kiedy na niego patrzę, czuję dziwny chłód w żołądku: to przystojny chłopak

z ładnym uśmiechem, silny i wysportowany. Wygląda, jakby odnosił w życiu same sukcesy. Dziwne jest jedynie to, że ma ze sobą plecak. Zastanawiam się, czy właśnie z tego powodu policja założyła motyw ucieczki.

Nie ma zbyt wiele materiału z drugiego baru, widać jednak Remy'ego i pozostałych, a potem wychodzących z lokalu przyjaciół. Do pliku dołączono informację, że przy tylnym wyjściu nie ma kamery monitoringu, ale że sprawdzono każdą minutę nagrania z frontu. Remy przyszedł, ale nie wyszedł, przynajmniej nie tymi drzwiami. I zabrał z sobą ten plecak.

Policja przeszukała dokładnie klub i niczego nie znalazła. Nie zadziałali oczywiście natychmiast, lecz po kilku dniach. Nikt nie traktuje zaginionych studentów – w szczególności chłopaków – zbyt poważnie, szczególnie gdy nie wracają do domu z baru. Nie w sytuacji, kiedy nie ma oczywistych dowodów przestępstwa.

Zanim uznano, że sprawa stanowi problem, nie było go już od dłuższego czasu. Remy rozpląnął się w powietrzu. Żadnych poszlak, żadnych świadków, których policja mogłaby zlokalizować.

I właśnie wtedy zauważam datę zniknięcia.

Trzy lata temu.

Piszę wiadomość do J.B.

„Sprawa jest już bardzo stara. Mamy jakieś nowe tropy?”

Minutę później dzwoni moja służbowa komórka, odbieram więc połączenie i słyszę ciepły, stanowczy głos J.B.:

– Pytasz o nowe tropy w sprawie Remy'ego Landry. Nie mamy niczego. Szczerze mówiąc, policja przeprowadziła całkiem przyzwoite śledztwo. Nie jestem pewna, co to za organizacja non profit, która płaci nam za pracę, ale wygląda mi na związaną z Kościołem. Właśnie to sprawdzałam.

– Brzmisz, jakbyś miała złe przeczucia – zauważam. Znam dobrze J.B. i wiem, że ma wyjątkowy instynkt.

– Bo mam. Mimo to... coś się przytrafiło temu młodemu człowiekowi. Niezależnie od tego, kto wyklada kasę, odkrycie prawdy dobrze zrobiłoby jego rodzicom. – Wzdycha. – Ty też jesteś matką, sama wiesz, jak to jest.

Wiem. Na samą myśl, że jedno z moich dzieci mogłoby zaginać bez śladu... budzę się po nocach. Wiem dobrze, jaka ciemność czyha na zewnątrz.

Znam drapieżniki, które czają się w niej jak rekiny.

– Na początek mogę pogadać z rodzicami – informuję. – Mieszkają w Luizjanie?

– Matka mieszka w Knoxville, dlatego wysłałam to tobie. Ojciec nadal mieszka w ich starym domu w Luizjanie. Prowadzi tam firmę.

Kiwam głową.

– Na wypadek, gdyby chłopak zjawił się w rodzinnym domu – stwierdzam. – W takim razie najpierw porozmawiam z matką.

– Stąpaj ostrożnie i bądź delikatna. Ich małżeństwo się sypie. – To również nic zaskakującego. Wiele par rozpada się po zaginięciu lub śmierci dziecka. Szczególnie jedynaka, takiego jak Remy Landry.

– Będę uważała. Czy kiedykolwiek natrafili na coś jeszcze? Coś, co nie znalazło się w aktach?

– Nie. Żadnych śladów po połączeniach telefonicznych, wieści od znajomych czy bywalców baru. Nikt niczego nie widział. Jak już powiedziałam... to dość frustrujące. Taka gonitwa za własnym ogonem. Jeśli jednak możemy zaoferować tej rodzinie odrobinę komfortu...

Nie lubię być niczyją ostatnią deską ratunku.

– A jeśli nie znajdę niczego nowego?

– Być może to również będzie swego rodzaju odpowiedzią. Może wtedy w końcu odpuszczą – mówi. – Czasami nasza praca sprowadza się do wypełnienia formularza i skasowania pieniędzy. I tak bywa, Gwen, czy ci się to podoba, czy nie.

– No dobrze – odpowiadam. – Sprawdzę wszystko jeszcze raz. – Waham się przez chwilę. – A... jeśli na coś natrafię?

– Mam szczerą nadzieję, że nie, chyba że będzie to prawdziwy przełom w sprawie, który pozwoli nam go odnaleźć. Chciałabym jednak zapewnić tym rodzicom spokój ducha, w taki czy inny sposób. Jeśli na coś trafisz, uderzaj do mnie i razem zastanowimy się, co z tym zrobić.

– Nie wierzysz, że on żyje, prawda?

– Trzy lata bez żadnego potwierdzonego kontaktu, bez korzystania z kart kredytowych i telefonu? Jaki młody chłopak tak robi?

– Żadnych problemów w rodzaju choroby psychicznej? Narkotyków?

– Czasami coś tam wypalił, jak większość dzieciaków z college'u. Ale żadnych problemów psychicznych. Cokolwiek mu się przytrafiło, nie wierzę, że przeżył nagłe załamanie psychiczne przed kontuarem w barze.

Ma oczywiście rację.

– Rzecz jasna będziesz starała się wybadać, kto nam za to płaci, tak?

– Jak najbardziej. Skontaktuję się z tobą, kiedy tylko czegoś się dowiem.

Dziękuję jej za pomoc, rozłączam się i zabieram do pracy.

Remy Landry sprawia wrażenie normalnego chłopaka, jak na swój wiek. Nieco narwany, ale nic nietypowego. Złamał w życiu kilka serc, jednak gniew i niechęć żadnej z dziewczyn nie wykraczał ponad normę. Jak powiedziała J.B., jego znajomi przyznali się do trawki palonej w klubie, jednak Remy o sobie dbał. Cokolwiek brał czy pił, robił to z umiarem. Oglądam jego selfie i filmy opublikowane w mediach społecznościowych. Przystojny chłopak o promiennym uśmiechu, sprawiający wrażenie kogoś, kto nigdy nie wątpił we

własny sukces. Uwielbiano go. Jego przyjaciele wyraźnie cieszyli się z jego towarzystwa.

Co sprawia, że ktoś taki znika z zatłoczonego baru o pierwszej w nocy? Instynkt podpowiada mi natychmiast „dziewczyna”, ale na filmie nie widzę, żeby poświęcał którejś szczególnej uwagę.

Przez kilka godzin przeczesałam akta, sporządzam notatki, po czym jeszcze dwukrotnie odtwarzam materiał z kamer monitoringu. J.B. zanotowała, kiedy chłopak pojawia się na nagraniu, loguję się jednak do chmury i oglądam pełny zapis od momentu, kiedy Remy i jego przyjaciele przyjeżdżają do klubu. Chcę obejrzeć uważnie każdą sekundę nagrania z każdej kamery. Może ktoś coś przeoczył. Może kręcił się przy nim ktoś podejrzany. Nie wiem, czego szukać, ale jestem pewna, że będę wiedziała, kiedy to zobaczę.

Problem w tym, że nie widzę niczego.

Kiedy o czternastej dzwoni mój prywatny telefon, jestem już zmęczona, obolała i senna. Zatrzymuję odtwarzany materiał i sięgam po komórkę, ponieważ tak czy inaczej mam już ochotę na przerwę. Sprawdzam numer.

Dzwoni mój syn. Nigdy nie kontaktuje się ze mną ze szkoły, jeśli sytuacja nie jest poważna – zwykle dotyczy to Lanny, która częściej niż Connor wpada w tarapaty.

Odbieram połączenie, czując, że moje serce bije już znacznie szybciej.

– Connor? Co się stało?

Słyszę jakieś głosy, ale żaden z nich nie należy do mojego syna. Wtedy odzywa się jakaś dorosła kobieta.

– Pani Proctor? – Sprawia wrażenie wystraszonej. Cały świat wokół mnie zaczyna wirować. To nie brzmi dobrze.

– Czy z moim synem wszystko w porządku? – pytam szybko, pełnym obawy głosem.

– Tak – odpowiada. – Cóż, mniej więcej. Nazywam się Prowd, jestem jego...

– Nauczycielką historii – rzucam pospiesznie. Czuję suchość w ustach i mocno zaciskam dłoń na telefonie. – Co się stało?

– Podczas naszych ćwiczeń doszło... do scysji...

– Jakich ćwiczeń? – pytam i zaraz sobie przypominam. Czuję, jakby rozstała się podę mną podłoga. *Powinnam była to wiedzieć.* Dzisiejsza niechęć Connora do pójścia do szkoły ma teraz sens. Ostrzegano mnie, ale pomyliłam datę. *O mój Boże.*

Dziś w szkole odbywały się ćwiczenia dotyczące ataku strzelca.

– Bardzo mi przykro, powinnam była z nim o tym porozmawiać – mówię do kobiety na drugim końcu linii. – Jeśli zachował się nieodpowiednio, porozmawiam z nim w domu. Wybiera się do terapeuty w...

Słyszę, że nauczycielka bierze głęboki oddech.

– Connor został zabrany do szpitala.

– Słucham? – Wstaję tak gwałtownie, że krzesło odjeżdża na kółkach i uderza o ścianę. Ledwie to rejestruję. Ściskam telefon tak mocno, że jego krawędzie wrzynają mi się w skórę. – Coś mu się stało?

– Może mieć złamany nos – odpowiada. – Trzech wzięło w tym udział.

– Udział w *czym?*

– W sali doszło do bójki – wyjaśnia. – Przykro mi...

– Który szpital? – pytam, choć to niemądre. W miasteczku jest tylko jeden. – Norton General.

– Tak, proszę pani. Naprawdę bardzo mi przykro. Próbowałam...

Rozłączam się, choć jeszcze słyszę jej głos. Biegnę do drzwi, chwytam po drodze kluczyki i torebkę, po czym wbijam kod alarmu, żeby go wyłączyć.

W połowie drogi do samochodu zauważam lśniące kawałki szkła na chodniku i ponieważ przypominam sobie, że jestem w tym miejscu jak na tarczy. Zatrzymuję się. Skręcam w stronę linii drzew

i robię niespiesznie półokrąg. Jeśli Belldene'owie mnie obserwują, chcę, żeby wiedzieli, że się ich nie boję.

Ale nawet jeśli ktoś tam jest, nie daje mi o tym znać.

Rozdział 3

Connor

Znów mam ten sen. Ten z uzbrojonym mężczyzną, który mnie ściga. Słyszę jego kroki. Otacza mnie mrok. Próbuję uciekać, ale on zawsze jest blisko, nieważne jak szybko bym biegł. Nie pamiętam, jak docieram do domu, ale nagle jestem w środku, rozglądam się i widzę, że wszyscy są martwi. Mama leży na podłodze, Sam zwisa ze stołu. Nie widzę tak naprawdę Lanny, choć dostrzegam jej stopy wystające zza kuchennej wysepki. Wiem, że ona też nie żyje.

Wtedy czuję lufę broni przyłożoną do głowy – zimny, idealny okrąg. Rozlega się głos mojego nieżyjącego ojca:

– Zawsze cię znajdę, chłopcze.

Budzę się, dygocząc na całym ciele i chce mi się wymiotować.

Zawsze mam ten sen, kiedy w szkole organizowane są ćwiczenia dotyczące ataku strzelca. Nigdy nie powiedziałem o tym mamie, ponieważ nienawidzi tych ćwiczeń, całej tej ich koncepcji, choć jednocześnie chce, żebym wiedział, co robić. I nauczyłem się. Uciekać, ukrywać się, walczyć – słyszałem to już tyle razy, że zastanawiam się, gdzie w tym wszystkim jest miejsce na „naukę”.

Po raz pierwszy musiałem to zrobić w szkole w Massachusetts i nieszczęśliwie mnie to obeszło. Byłem jeszcze dzieciakiem i traktowałem to wszystko jak grę. Ale tutaj, w Tennessee, naprawdę się do tego przykładali, jakby szkolili nas do wojska.

Kiedy mama przyszła do mnie rano, okłamałem ją. Pomyślała o szkolnych tyranach i nie wyprowadziłem jej z błędu. Tak jest łatwiej. To coś, co potrafi zrozumieć. Sama dorastała w świecie, w którym człowiek czuł się w szkole bezpiecznie, a szkolną bandyterkę można było postawić na jednej półce z huraganami i pożarami.

Teraz tak już nie jest.

Poinformowali nas, że dziś odbędą się ćwiczenia, nie wiemy jednak, o której godzinie. Czekam więc na nie przez cały dzień, nie słuchając słów nauczycieli, nie zwracając na nic uwagi, szykując się na dźwięk alarmu, który poinformuje nas o konieczności zejścia do schronu.

W końcu ma to miejsce podczas lekcji historii. Słyszę syrenę i głos dobiegający z głośników: „Uwaga, to są ćwiczenia”.

Czuję, że znów zanurzam się w jakimś koszmarze. Siedzę w jasno oświetlonej sali z dwudziestoma innymi uczniami, ale czuję się, jakbym był sam w ciemności z potworem. Słyszę, jak nadchodzi. To jest *on*. Widzę martwych mamę, Sama i Lanny, tak jak we śnie.

Nauczycielka próbuje zachować spokój i każe nam realizować plan. Nie pamiętam żadnego planu. Nie pamiętam niczego. Przez cały czas myślę o śnie, o głosie ojca, który zapewnia mnie, że zawsze mnie znajdzie. Czy to się teraz dzieje? Czy znów wysłał kogoś moim śladem?

Wzdrygam się, bo w tej chwili to nie rozgrywa się już w mojej głowie – naprawdę słyszę strzały. I krzyki. To nie moja wyobraźnia, ale dobiegające zewsząd odgłosy.

Ludzie się przemieszczają, a ja tkwię w bezruchu. Uczniowie przesuwiają ławki, żeby zablokować drzwi. Jeden z nich owija pasek

wokół samozamykacza nad drzwiami, żeby je zablokować, podczas gdy dziewczyna drżącymi rękami dopycha do nich gumowe odbojniki, które mają chronić przed kopniakami.

W drzwiach zainstalowano niedawno nową zasuwę i słyszę kliknięcie, kiedy ktoś ją przesuwają. Jeszcze ktoś pośpiesznie przykleja na oknie plakat, żeby osoby z zewnątrz nie mogły zajrzeć do środka. Zdrukowana strona plakatu jest skierowana do środka. Jerzy Waszyngton pokazuje nam uniesione kciuki, a kolorowe litery wokół niego informują, że HISTORIA JEST WSPANIAŁA.

Większość uczniów pochowała się już po kątach i stłoczyła razem. Niektórzy płaczą i krzyczą, ponieważ odgłosy strzałów są bardzo głośne, ale ja koncentruję się tylko na mojej krwawiącej na podłodze mamie. Na martwym Samie leżącym na kuchennym stole. Na nieruchomej stopie Lanny wystającej zza narożnika.

Słyszę w uchu głos ojca. *Zawsze przyjdę po ciebie, chłopcze. Jesteś mój.*

Czuję, jakbym spadał do czarnej dziury bez dna. Mam lodowate dłonie i nie mogę się poruszyć. Choć wciąż siedzę w ławce, mam wrażenie, że utknąłem w jakiejś klatce. Wołam do samego siebie, żeby się ruszyć z miejsca, ale nie potrafię tego zrobić.

Ktoś łomocze w drzwi z zewnątrz i próbuje je otworzyć.

Nauczycielka krzyczy coś do mnie, ale nie rozpoznaję pojedynczych słów. Słyszę tylko strzały. Krzyki. *Nie mogę się ruszyć.*

W tym samym momencie ktoś zjawia się tuż obok mnie i chwyta mnie za rękę. *Chyba jednak dziś nie umrę,* myślę sobie i bez zastanowienia podnoszę zszywacz, który leży pod ławką – pamiętam tylko, że mamy nimi rzucać w każdego, kto dostanie się do środka. Zamiast rzucić, zaciskam na nim dłoń i uderzam tego kogoś wystarczająco mocno, by poczuć w ręce przebiegający prąd. Nie przestaję. Znow go uderzam. Krzyczy, ale w końcu wszyscy krzyczą, a odgłosy strzałów wciąż odbijają się echem po

korytarzach, więc myślę tylko: *Mam go. Dopadłem go. Jestem już bezpieczny.*

Wtedy rzuca się na mnie ktoś inny. Jego też uderzam. Sekundę później zostaję zrzucony na podłogę. Wszyscy wokół wrzeszczą. Ktoś kopie mnie w rękę, żebym wypuścił zszywacz, więc również zacznę krzyczeć. Wołam „Przestań!” i w końcu tak się dzieje.

Koniec strzałów. Koniec wrzasków. Zapada cisza. Leżę zwinięty w kulkę na podłodze ze starego linoleum, teraz poplamionej krwią. Widzę obok siebie żółtą opaskę na włosy, rozbity telefon, podręczniki i przewrócony plecak. Podnoszę wzrok i napotykam surowe spojrzenia moich kolegów i koleżanek. Wszyscy na mnie patrzą.

Nauczycielka stoi nade mną i woła mnie po imieniu, ale nie reaguję. Nie wiem już, co mam robić. Zamykam oczy.

– To tylko ćwiczenia! – łka jeden z chłopaków leżących nieopodal na podłodze. Otwieram oczy i rozpoznaję go od razu. Nie jest strzelcem, a uczniem z mojej klasy. Nazywa się Aaron Moore, choć wszyscy wołają na niego Bubba. Przyciska dłoń do zakrwawionego policzka. Jedna z jego dłoni mocno napuchła. Drugi z moich kolegów leży obok niego. To Hank. Kwili cicho i przyciska obie ręce do szczęki. Z ust cieknie mu krew.

Leżący na podłodze między nami zszywacz też jest poplamiony krwią.

To moja wina.

Jestem potworem.

– Czy to prawdziwe strzały? – woła ktoś do naszej nauczycielki. Dzieciaki płaczą cicho i tulą się do siebie. – Czy ktoś naprawdę strzelał?

– Już wszystko w porządku. To tylko ćwiczenia, uspokójcie się wszyscy – odpowiada kobieta. Pochyla się nade mną i dotyka mojego ramienia. – Connor? Słyszysz mnie? – Czuję, że jej palce drżą. Nie odpowiadam. Nie chcę tego robić. – Brock, otwórz te drzwi.

Biegnij po dyrektora Loughlina i powiedz mu, że potrzebny będzie ambulans. A nawet dwa. Szybko!

Brock to kościsty okularnik. Sprawia wrażenie przerażonego na śmierć, ale biegnie do drzwi i zaczyna odsuwać ławki. Ktoś mu pomaga. Dopiero po chwili udaje się im usunąć barykadę. Kiedy drzwi w końcu stają otworem, dociera do mnie, że zrobiłem coś naprawdę złego.

Ale słyszałem wystrzały. Prawdziwe wystrzały i prawdziwe krzyki. Nie rozumiem, *dlaczego tak się dzieje*.

Odzywa się radiowęzeł i słyszę czyjś głos:

– Uwaga, w szkole nie ma prawdziwego strzelca, powtarzam, nie ma prawdziwego strzelca. Do celów dzisiejszych ćwiczeń wykorzystaliśmy nagranie strzelaniny, żeby zasymulować warunki, w jakich moglibyście się znaleźć w przypadku rzeczywistego zagrożenia. Nie padły żadne strzały. Nauczyciele, proszę uspokoić uczniów i zachęcić ich do zastosowania strategii radzenia sobie ze stresem. Na tym kończymy dzisiejsze ćwiczenia. Dziękuję wszystkim.

On mówi „dziękuję”. Nie wiem dlaczego.

Słyszę płaczących kolegów i koleżanki, a chłopak, któremu złamałem szczękę – Hank Charterhouse – patrzy na mnie, trzymając się za zakrwawioną twarz. Echa wystrzałów w mojej głowie wciąż jeszcze nie ustały.

Nie mam żadnej strategii radzenia sobie ze stresem.

Kiedy zaczynam płakać, nie potrafię przestać. Gdy wciągają mnie na nosze i ładują do ambulansu, dostaję zastrzyk i w końcu wszystko staje się ciche i spokojne. Przystaję walczyć, ale wciąż próbuję im powiedzieć, że *on tu jest*, choć dociera do mnie powoli, że się mylę. Nikogo tu nie ma. Tata wcale mnie nie gonił. Tata nie żyje.

Zaczynam nieustannie powtarzać słowa przeprosin, choć nie wiem, za co przepraszam. Czy nie powinienem stanąć do walki?

Kazali nam przecież walczyć. Nie poddawać się. Nie dać się nikomu pokonać.

Dopiero po pewnym czasie wszystko w mojej głowie układa się w jedną całość i wiem już dokładnie, co zrobiłem. Czuję, jakbym połykał popiół i spadał z ciemnego urwiska do lodowatej wody.

Mam przechłapanie. Wcześniej inni jakoś radzili sobie z moimi dziwactwami, ale teraz?

Odważyło mi kompletnie na oczach całej klasy. Pobitem dwóch kolegów. Jasne, byli dupkami, którzy wcześniej mnie popychali i obrażali, ale kiedy to wszystko się wydarzyło, nie wiedziałem nawet, kim są. Po prostu tam byli.

Nie mogę już nigdy wrócić do szkoły.

Nigdy w życiu.

Rozdział 4

Gwen

Mój syn jest ranny, a ja nawet nie wiem, jak poważne odniósł obrażenia. Ledwie pamiętam samą jazdę samochodem – nie koduję tego, co dzieje się dookoła, dopóki nie dojeżdżam do szpitala. Norton General to kanciasty, trzykondygnacyjny budynek z lat pięćdziesiątych, jeśli nie wcześniejszych. Tylko na nim potrafię teraz skoncentrować swoją uwagę. Zjeżdżam na parking w pobliżu izby przyjęć i nagle jestem już w środku, nie pamiętając nawet, czy zamknęłam SUV-a. Pewnie tak. Pamięć mięśniowa działa teraz lepiej niż ja sama. Serce tak mi łomocze w piersi, jakbym całą drogę ze Stillhouse Lake pokonała biegiem.

Pielęgniarka siedząca za biurkiem rzuca mi pytające spojrzenie. Sądząc po wyrazie jej twarzy, wie już dobrze, kim jestem: byłą żoną seryjnego mordercy, plamą kalającą dobre imię miasteczka. Ściągnięte wargi, uniesione brwi, zimne spojrzenie.

– Connor Proctor – rzucam. – Jestem jego matką.

– Sala numer cztery – odpowiada. Nie pytam o jego stan. Przeciskam się przez podwójne drzwi i zerkam na kolejne numery na drzwiach. W pierwszej sali leżą dwaj chłopcy, domyślam się, że to

pozostali uczestnicy bójk. Towarzyszą im rodziny. W trójce zauważam miłą, starszą panią, która popiskuje cicho z bólu, kiedy pielęgniarka pobiera jej krew.

Mój syn znajduje się w pomieszczeniu po przeciwnej stronie. Czuję ogromną falę ulgi, bo jest przytomny, żywy. Spoczywa w pozycji półleżącej na szpitalnym łóżku i przyciska woreczek z lodem do napuchniętej twarzy. Kiedy odsuwa go, żeby na mnie spojrzeć, aż się krzywię. Niebawem oczy i nos będą czarnoniebieskie. Jeden z policzków jest czerwony i nabrzmiął. Zmuszam się do spowolnienia ruchów i uspokojenia. Podchodzę do jego łóżka i chwytam za wolną rękę. Ma posiniaczone i poharatane kostki. Śmierdzi maścią antyseptyczną, krwią i potem. Wciąż ma na sobie ubranie, w którym pojechał do szkoły, choć sweter jest już do wyrzucenia.

– Przepraszam – mamrocze. Odwraca wzrok, ale nie zabiera ręki. Przykładam mu dłoń do czoła. Wydaje się ciepłe, ale to temperatura typowa dla kogoś, u kogo w żyłach wciąż płynie adrenalina. Już niebawem się ochłodzi i będzie potrzebował koca.

– Co się stało? – pytam. Czuję się już lepiej. Tak, mój syn został pobity. Tak, mam ochotę obdrzeć ze skóry tamtych dwóch chłopaków. Ale jest przytomny, żyje i rozmawia. – Nie jestem zła, Connor.

– Ale będziesz.

To brzmi... złowrogo.

– Nauczycielka powiedziała, że doszło do bijatyki...

Odwraca się i patrzy mi prosto w oczy. W jego opuchniętych oczach widzę coś nieprzyjemnego.

– To nie była bijatyka. To moja wina. Wszystko przez ten... hałas. Słyszałem strzały, mammo. I krzyki.

Przechodzi mnie dreszcz.

– W szkole doszło do strzelaniny?

Kręci głową i krzywi się w reakcji na ból.

– Nie, to nie tak. Oni po prostu odtworzyli nagranie z odgłosami strzałów i krzyków. Przez głośniki. Żeby było bardziej realnie.

– Co zrobili? – Nie dowierzam. W pierwszej chwili jestem przerażona i aż się kurczę na myśl o tym, że postawili dzieci w takiej sytuacji. Potem czuję gniew, tak silny, że wydaje się trawić moje kości i palić szpik. Już wcześniej koncepcja wydarzeń z aktywnym strzelcem sprawiała, że czułam się niekomfortowo, nawet bez psychicznej traumy, którą Connor opisał. Fatalnie, że muszą ćwiczyć, jak należy reagować w obliczu zagrożenia, ale rozumiem to, wiem, co dzieje się na świecie. Ale żeby celowo ich straszyć? Jakiś popieprzony dupek uznał zapewne, że to *ich wzmocni*. Nie wzmocni. To nie są rekruci do armii. To nie są ludzie tacy jak ja, którzy zdecydowali się stawić czoła niebezpieczeństwu. To tylko przerażone dzieci, które próbują żyć bez strachu.

Przytulałam mocno syna. Czuję, jak drży na całym ciele.

– Tak mi przykro – powtarza. – Ja... po prostu nie wiem, co się tam wydarzyło. Nie chciałem pozwolić, żeby mnie dotykali.

Oczywiście, że nie chciał. Mój syn jest twardy, ale również poturbowany przez zbrodnie ojca i nieustannie towarzyszący nam strach. Wielokrotnie już groziła mu śmierć. Cała ta trauma nie uczyniła go odpornym, nie w jego wieku. Sprawiała jednak, że podświadomie się bronił, a to oznaczało, że każdy, kto się do niego zbliży w takich okolicznościach, zostanie potraktowany jak poważne zagrożenie.

Nawet koledzy z klasy.

Nie potrafię tego zmienić. Uświadomienie mu, co tak naprawdę dzieje się w jego skomplikowanym umyśle, będzie wymagało jeszcze więcej czasu, terapii i cierpliwości. Ojcowska historia i trauma zaprogramowały mojego syna na przetrwanie. Znalezienie sposobów na utemperowanie tych instynktów będzie długim i trudnym procesem.

Ściskam jego dłoń, widzę, jak walczy ze łzami, i czuję coraz większe pretensje do samej siebie. Powinnam była to przewidzieć. Powinnam być aktywniejsza rodzinie w okresie tych ćwiczeń związanych z atakiem strzelca. Obecnie w ciągu roku zaplanowano ich aż sześć. Moim zadaniem było to zrozumieć, a ja zawiodłam i nie odczytałam znaków.

Pamiętam, jak powtarzałam mu z przekonaniem, że wiem, co czuje. Wcale tak nie było. W jego wieku byłam znajdującą się wiecznie pod parasolem dziewczynką, dla której niebezpieczeństwo było koncepcją całkowicie abstrakcyjną, a perspektywa utraty życia wydawała mi się jedynie fikcją. Nie rozumiem przez to nigdy, co on może czuć. Dorosły radzi sobie z czymś takim zupełnie inaczej niż trzynastolatek. Powinnam była o tym pamiętać.

Moje pełne niechęci do samej siebie rozmyślenia przerywa ostry głos kobiety.

– Tu jest ten mały drań.

Odwracam głowę i widzę stojącą w progu szczupłą kobietę z kępą włosów na głowie i dużymi, niebieskimi oczami wypełnionymi gniewem. Wskazuje mojego syna. Wstaję, osłaniając go instynktownie.

Obok niej stoi masywny mężczyzna. Jest starszy, siwiejący i ma spleaszczony jak u boksera nos. Ciężki, ale potężny. Opuszcza głowę i zerka na mnie spode łba. Odpowiadam podobnym spojrzeniem, przenosząc wzrok to na nią, to na niego.

– Czego chcecie? – pytam, choć dobrze wiem.

– Ten mały gówniarz złamał szczękę mojemu synowi! – mówi matka. – Twojemu popieprzonemu synalkowi odbiło, a mój syn próbował mu tylko pomóc. Zapłacisz za jego leczenie, suko!

Mam ochotę doskoczyć do niej, ale to w niczym nie pomoże. Poza tym ma rację.

– Okej – odpowiadam, zastanawiając się, ile będzie mnie to kosztowało. – Tak zrobię. Ale to nie była wina Connora...

– Nie, to jest twoja wina, że jest taki porąbany. Twoja i jego tatulka-mordercy! Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Instynkt każe mi ją zaatakować. Nie różnię się szczególnie od mojego syna, jeśli chodzi o zachowanie w warunkach stresu. Ale mam większe doświadczenie, potrafię się powstrzymać. Kiedy się odzywam, staram się to zrobić spokojnym głosem:

– To może być moja wina, ale nie mojego syna. Proszę go nie winić.

– Suko, będę winiła, kogo tylko zechcę, a proces w sądzie masz jak w banku! Hank próbował podejść do twojego dzieciaka zgodnie z poleceniem nauczycielki!

Pewnie założy mi sprawę. Czuję w niej prawdziwy gniew. Ale imię jej syna brzmi znajomo.

– Hank – powtarzam. Znam to imię. – Hank Charterhouse? Najgorszy tyran w całej szkole. Ilu dzieciakom spuścił już lanie?

Widzę, że moja kontra trafiła w dziesiątkę. Kobieta zerka na męża, po czym zbiera siły na kolejny atak.

– Hank czasami się w coś wplącze. Chłopaki tak już mają. Ale twój syn uderzył go cholernym metalowym zszywaczem!

– Mój syn ma siniaki i podbite oczy – rzucam ostro. – I jestem pewna, że mogłabym zebrać sporo osób ze szkolnej kadry, które opowiedziałyby przed sądem, kto sprawia problemy w Norton Junior High. Tego pani chce?

Nie chce tego. Nie zdążyła na to spojrzeć pod takim kątem. Wie, że jej chłopak jest tyranem i że stąpa po cienkim lodzie. Widzę to zapisane na jej szczupłej, wścieklej twarzy. Oczywiście znów mnie atakuje.

– Ty suko! – krzyczy. – Nazywasz mojego syna tyranem, podczas gdy ojcem twojego jest pieprzony morderca i gwałciciel, który zabił kilka kobiet i zdjął z nich skórę? Masz tupet. Wyjdź na ten korytarz, a skopię ci tę twoją miejską dupę! – Jej akcent nabrał takiej mocy, że ledwie rozpoznałem ostatnie słowa.

Nie ma mowy, żebym wdała się w bójkę z tą kobietą. Mieszkańcy Norton i tak mają już o mnie wyrobioną opinię. Podła reputacja to przekleństwo, szczególnie w takich małych miejscowościach. Sprawiam, że większość ludzi z okolicy czuje się przy mnie niekomfortowo. Nie pasuję do ich świata. Odmawiam jednak wzięcia na siebie winy za zbrodnie mojego męża. Kobiety zawsze muszą obrywać rykoszetem za postępowanie mężczyzn i odnoszę wrażenie, że z biegiem czasu jest tylko gorzej.

Gniew, przed którym się bronię, odbija się na moich dzieciach. I choć mam ochotę przyłożyć jej za to kilka razy, nie robię tego. Odwracam się do niej plecami i ponownie siadam przy Connorze, który patrzy na mnie zmieszany. Jeszcze nigdy nie widział mnie niepodejmującej walki.

Może powinien mnie taką zobaczyć.

– Już dobrze – uspokajam go i chwytam go za rękę. – Zignoruj hałasy.

– To nie są tylko hałasy – mówi. – Przepraszam, mamó. Nie powinienem był go tak uderzyć, ale nie mogłem... czułem się, jakbym tonął. Jakbym musiał się stamtąd *wydostać*, ale jednocześnie nie mogłem się ruszyć. – Bierze głęboki wdech i czuję, że gdzieś głęboko w sobie tłumi płacz. Bardzo mnie to boli. – Nie jestem tobą. Nie jestem Lanny. Nie potrafię być taki odważny.

Kobieta stojąca w drzwiach ciągle się wydziera, ale słyszę też podniesiony głos pielęgniarki, która każe się jej uspokoić, grożąc wyrzuceniem ze szpitala. Kiedy odwracam głowę, pary już nie ma, choć wciąż ich słyszę. Wyzwiska niosą się po korytarzu, mieszając się z lodowatymi ostrzeżeniami pielęgniarki.

Ta ostatnia zagląda do nas chwilę później. Jest pulchną Afroamerykanką o trójkątnych rysach twarzy i krótko przyciętych włosach. Rzuca mi spojrzenie, jakby chciała się przekonać, czy ja również będę sprawiała problemy. Dziękuję jej tylko za opiekę nad moim synem. Rozluźnia się, choć nie uśmiecha.

– Lekarz sprawdził wyniki prześwietlenia – mówi. – Nos nie jest złamany, tylko mocno potłuczony. Teraz nie jest to jeszcze bolesne, ale będzie, a siniaki zrobią się naprawdę widowiskowe. Pomogą na to leki przeciwbólowe bez recepty. Connor, przyciskaj do twarzy woreczek z lodem, tak długo, jak tylko zdołasz. To pomoże.

Kiwam głową. Connor opuszcza już nogi poza łóżko.

– Czy mogę już iść? – pyta. Pielęgniarka kręci głową.

– Przygotowanie wypisu potrwa niecałą godzinę. Dam ci znać.

Niewiele się pomyliła. Kiedy dostajemy w końcu papiery, dochodzi szesnasta trzydzieści. Podpisuję wypis w imieniu Connora.

– Będziecie jeszcze musieli się odmeldować w recepcji – mówi na odchodne.

Ma oczywiście na myśli rachunek. Kiwam głową i dziękuję Bogu, że mam normalną pracę z pakietem świadczeń zdrowotnych dla siebie i dzieci. J.B. okazała się hojna w sprawie stawki godzinowej w trakcie moich śledztw, więc nie mamy już takich problemów z gotówką jak wcześniej. Kiedy wylądowaliśmy w Stillhouse Lake, większość oszczędności wydałam na zakup i remont domu, a moja internetowa praca biurowa nie była w stanie zatkać odpływu gotówki przy dwójce dzieci. Sam dokłada się do rachunków, ale nie pozwalałam mu dawać więcej pieniędzy, niż jest to absolutnie konieczne. Przypominam sobie jednak, że będę musiała pokryć rachunek za leczenie przynajmniej jednego z tych dwóch dzieciaków, więc kłopoty finansowe mogły się jeszcze nie skończyć.

Connor patrzy z żalem na poplamiony krwią sweter.

– Fatalnie wyglądam.

– Wyglądasz tak, jakby stała ci się krzywda – wyjaśniam. – Jedziemy prosto do domu. Możesz wziąć prysznic i się przebrać.

Nie podnosi głowy.

– A jutro? Muszę wracać do szkoły?

Wzdycham.

– Jeszcze o tym porozmawiamy.

Idę korytarzem, zajmując pozycję między nim a pokojem pełnym rozjuszonych rodziców. Rzucają nam groźne spojrzenia, ale nie atakują. Podchodzimy do recepcji, pobieramy instrukcje wypisu, płacimy rachunek, organizujemy wysyłkę rachunków za leczenie syna Charterhouse'ów na mój adres i w rekordowym czasie ruszamy w kierunku SUV-a.

Oboje zwalniamy jednak po drodze.

W moich oponach nie ma powietrza. We wszystkich czterech. Kiedy kucam, by je sprawdzić, zauważam postrzępione rozcięcia w gumie.

Tłumię w sobie tak wielki gniew, że niemal czuję w ustach smak metalu, po czym po raz drugi tego dnia dzwonię na policję.

Czuję ogromną ulgę, kiedy w końcu docieramy do domu. Sam już na nas czeka, wyraźnie zaniepokojony, ponieważ już się ściemnia. Tymczasem wysłał do nas wiadomości. Poprosiłam Connora, żeby mu odpowiedział, ale nie wiem nawet, co mu napisał. Znając mojego syna, zapewne niewiele.

Sam otwiera nam drzwi, a tuż za nim stoi Lanny. Oboje sprawiają wrażenie podenerwowanych, choć nie reagują specjalnym zaskoczeniem na widok twarzy Connora. Sam patrzy ponuro, a Lanny jest nieco wystraszona. Radzi sobie z tym jednak niepokojąco szybko.

– Boli? – pyta, przyglądając się mu uważnie. Connor kiwa głową.
– Wow, wyglądasz, jakbyś grał w *Szczękach*. Nie wiedziałam, że nos może aż tak krwawić.

– A jednak – rzuca, mija ją i idzie korytarzem. – Dzięki za współczucie.

– Squirtle[1]...

Zawraca na pięcie. Dorównuje jej niemal wzrostem, a za rok przerośnie ją pewnie o kilka centymetrów.

– Przestań tak mnie nazywać! – woła poirytowany, po czym rusza w stronę swojego pokoju, nie czekając na odpowiedź.

– Obiad jest już prawie gotowy! – woła za nim. – Zrobiłam pizzę!
– Żadnej reakcji. Lanny wygląda na rozczarowaną.

– Mrożona pizza? – pytam, przytulając ją. Wzrusza ramionami. – Właściwym słowem jest tu chyba „odgrzewana”.

– Hej, dodałam kilka składników. Nie jestem w tym aż tak dobra.
– Szybko poważnieje. – Nic mu nie jest?

– Raczej nie, ale... – Biorę wdech i dodaję bez zastanowienia: – Lanny, nigdy nie mówiłaś o swoich odczuciach związanych z ćwiczeniami ataku strzelca. On też nie. Ale nie radzi sobie z nimi zbyt dobrze. A ty?

Lanny nie odpowiada, co jest dość nietypowe w jej przypadku. Wtedy to zauważam: ona również ma z tym problem, choć ukrywa to lepiej niż mój syn. Dzisiaj kazałam mu iść do szkoły. Zrobiłam to, ponieważ chciałam, żeby moje dzieci wiodły normalne życie, choć widać wyraźnie, że nie jest to możliwe i pewnie nigdy nie będzie.

Ściskam nieco mocniej jej ramię.

– Kochanie? Poradziłaś sobie z tym dzisiaj?

Milczy przez kilka sekund, nie patrząc mi w oczy.

– To jest przerażające – mówi. W jej ustach jest to prawdziwe wyznanie. – Byłam w bibliotece. Siedzieliśmy zamknięci aż do końca w schowku na książki. Światła zgasły, ludzie krzyczeli i... – Przetyka głośno ślinę. – To jest trudne, mamó. Dla niektórych to tylko gra, ale ja wiem, że tak nie jest. Wiem, co może się wydarzyć. Trudno w takich warunkach nie czuć się... uwięzioną.

Przytulam ją do siebie mocno. Robię to powoli i delikatnie, nie chcąc pokazać, jaka jestem tym przerażona. Lanny jest twarda, ale wiem, że pod spodem kryje się wrażliwość. Nie przetrwała tych ćwiczeń w spokoju. Mój syn też nie. Powinnam była wiedzieć...

Jej pancerz zaczyna się powoli rozpadać.

– Mamo. – Mówi to głosem zdławionym bardziej niż zwykle. – Nie możesz wysłać Connora z powrotem do szkoły. Już wcześniej było źle. Teraz ruszą na niego ze zdwojoną siłą.

– W porządku. Zostanie w domu, przynajmniej na jakiś czas. Będzie uczył się tutaj. A ty? Jeśli chcesz dalej chodzić...

– Nie chcę – odpowiada zdecydowanym głosem. Rzuca mi nieco zawstydzone spojrzenie. – Próbowałam, mamu. Naprawdę. Ale jest do dupy. Dahlia w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Unika mnie, jakbym roznosiła choroby, a jej koleżanki traktują mnie jak gówno. – Dahlia jest jej byłą dziewczyną. Miałam nadzieję, że w jakiś sposób przetrwają, ale nie udało się. Dahlia otoczyła się murem, a Lanny wciąż się starała. Bez powodzenia. – Trudno jest tutaj zdobyć przyjaciół. A ci, których poznałam, odwrócili się ode mnie, kiedy... – Urywa, ale wiem, co chciała powiedzieć. *Kiedy wystąpiłaś w telewizji.* Moja wina. Podjęłam złą decyzję, idąc do ogólnokrajowej stacji telewizyjnej, chcąc się oczyścić z zarzutów. Zamiast tego wywołałam tylko gniew, który już wcześniej zaczynał budzić się w ludziach. Wciąż mam tutaj kilkoro przyjaciół i sojuszników, ale to nie pomaga moim dzieciom żeglować po zdradzieckich wodach szkolnej społeczności.

Ja pogorszyłam tylko sprawę, a trauma, którą przeżyły dzieci – nie tylko moje – po ćwiczeniach ze strzelcem miała szczególne znaczenie dla Lanny i Connora, którzy doświadczyli już pogróżek nieznanym innym. Lanny i Connor za wszystko płacą, a ja czuję się zupełnie bezradna.

A teraz odizolowanie ich od reszty – coś, czego nigdy nie chciałam – jest moim jedynym wyborem. Albo to, albo kolejna przeprowadzka i rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Jestem uparta, ale jeśli chodzi o moje dzieci, muszę działać w ich obronie, a nie na ich szkodę. Instynkt podpowiada mi, żeby walczyć. Nie jestem jednak pewna, czy to właściwe podejście.

– Okej – mówię i całuję ją w czoło. Robi minę i się wykręca. – Zadzwoń jutro do szkoły i usprawiedliwię was oboje. Ale to nie oznacza wolności. Będziesz miała zajęcia, testy, podręczniki. A ja będę najwredniejszą nauczycielką, jaką miałaś do tej pory.

Lanny przewraca oczami.

– Tak, wiem. Uwierz mi. – Ale odczuwa ulgę. Widzę to po sposobie, w jaki odchodzi. W każdym jej kroku dostrzegam pewność siebie, której ostatnio jej brakowało.

To właściwa decyzja. Musi taka być. Załatwię wszystko i przekonamy się, jak nam pójdzie. Dopóki jesteśmy razem, wszystko będzie dobrze.

Sam obserwował nas w milczeniu, teraz jednak mnie obejmuje, przytula i bierze głęboki, drżący oddech.

– Z Connorem wszystko gra? – pyta. Słyszę troskę w jego głosie. Zmuszam się, by kiwnąć głową.

– Będzie potrzebował więcej sesji z naszą terapeutką. Mam wrażenie, że doznał klasycznego wstrząsu pourazowego. Zastygł, a kiedy ktoś go pchnął, utracił nad sobą panowanie. Złamał dzieciakowi szczękę. – Śmieję się gorzko. Nie brzmi to najlepiej. – Najgorsze jest jednak to, że te dzieci sześć razy w ciągu roku muszą doświadczać traumy. To zmienia ludzi. Sam, on nawet nie wiedział, co tak naprawdę robi.

– Rozumiem tę teorię. Muszą być przygotowani, żeby zareagować odpowiednio w razie niebezpieczeństwa. Ale to nie może być dobre dla niego.

Lanny oddala się korytarzem. Przyciszam głos i mówię:

– Sam... to miasteczko. Nie wiem, co mam robić. Oni nas od siebie odcinają, zwierają szeregi. Czuję to i ty też to czułeś.

– Wiem. Pamiętam również, że poprzysięgłaś sobie donikąd się nie wyprowadzać.

– Może to tylko ślepa, głupia duma – odpowiadam. – Wybrałam to miejsce, bo byliśmy tu anonimowi. Ale już nie jesteśmy i może

powinnam zaakceptować fakt, że już nigdy nie będziemy. – Biorę głęboki oddech i rozglądam się dookoła. Ten budynek ... on coś dla mnie znaczy. Kupiliśmy na wpół zrujnowaną skorupę, którą z Lanny i Connorem zmieniliśmy w dom. Położyliśmy nowe podłogi, nowe tynki. Farba, pot i miłość. Wybraliśmy to miejsce i ono należy do nas.

Prawda jest jednak taka, że jest to tylko i wyłącznie budynek. Możemy znaleźć inne miejsce i nazwać je swoim domem. I... chyba powinniśmy. Przeprowadzka do Knoxville byłaby kosztowna, ale Sam znów miałby możliwość latania, a ja... ja już mam pracę, poza tym znalazłabym się bliżej mojej szefowej i zasobów dostępnych w jej biurze.

Biorę głęboki oddech i oświadczam:

– Chyba powinniśmy się przeprowadzić.

Sam zachowywał do tej pory kamienną twarz, ale widzę, że przepłynęła przez niego ogromna fala ulgi, przez co czuję się jeszcze bardziej winna. Martwił się bardziej, niż byłem tego świadoma. Ujmuje moją twarz w dłonie, pochyla się i całuje mnie czule w czoło.

– To dobry pomysł – mówi. – Wiem jednak, że włożyłaś w to miejsce wiele serca. Nie chcę, żebyś poczuła, że cię naciskam.

– Nie naciskasz – odpowiadam i się uśmiecham. – Ale może powinienes. Ty też jesteś częścią tego wszystkiego.

– Okej. Uznaj to za nacisk. – Przez chwilę uśmiecha się tak szczerze, że zapominam o wszystkim innym. – A tak przy okazji... mam nadzieję, że nie poczujesz się niekomfortowo, ale skoro wspomniałaś o nauce w domu, mam informacje na temat Akademii Wirtualnej w Tennessee. Przeprowadzka w inne miejsce może zabrać trochę czasu, a nie jestem pewny, czy chciałabyś trzymać ich poza szkołą tak długo. – Kiedy odsuwam się zaskoczona, wzrusza ramionami. – Pomyślałem, że może dojść do takiej sytuacji. Możesz zapisać ich do akademii online, ale musiałybyś formalnie wypisać ich ze szkoły w Norton.

– Wow – rzucam. – Dziękuję.

Ponownie wzrusza ramionami.

– Po prostu się martwiłem i uznałem, że dobrze byłoby znaleźć jakieś rozwiązanie na wypadek, gdyby sprawy poszły w złym kierunku. Taki plan awaryjny.

Całuję go dość mocno, co go zaskakuje, ale się nie wycofuje. Wciąż jesteśmy w trakcie zamykania ogromnej szczeliny, która wytworzyła się między nami w przerażającym miasteczku Wolfhunter. Wypłynęły tam nieznane mi wcześniej fakty z jego przeszłości i mocno to przeżyłam. Bardzo. Teraz powoli odbudowujemy wzajemne zaufanie, które ma utrzymać ogromny ciężar naszej przeszłości.

Coś w tym pocałunku rozpala głęboko we mnie ogień, topi mnie jak masło i przesyła fale ciepła gdzieś do środka. Oboje czujemy się teraz bardzo dziwnie. Kciuk Sama przesuwają się po moich wargach, pieczętując pocałunek, a wyraz jego oczu pozwala mi myśleć, że czuje te same emocje co ja.

Nie mamy jednak możliwości kontynuowania tego, bo w pobliżu materializuje się Lanny.

– Hej, mam zrobić jakąś sałatkę czy... – Natychmiast orientuje się w sytuacji, bo oboje zachowujemy się jak przyłapani nastolatki, cofając się gwałtownie, choć wcale nie musielibyśmy tego robić. – Serio? Wow.

– Lanny. – Staram się nadać mojemu głosowi poważne brzmienie. Chyba mi się nie udaje. – Może ty zdecydujesz?

– Jasne – rzuca, dołączając do tego słowa ładunek, którego nie mam ochoty teraz rozpakowywać. – Zaraz... ech... się za to zabiorę.

Chwytam Sama za rękę.

– Sypialnia? – pyta.

– Sypialnia.

Kiedy mijamy Lanny, udaję, że nie słyszę stłumionego jęku mojej córki.

[1] Nazwa jednego z Pokemonów (przypr. tłum.).

Rozdział 5

Lanny

Powinnam zapewne czuć się dziwnie, mając przed sobą perspektywę dnia wolnego od szkoły, ale tak nie jest – to jest wręcz fantastyczne. Odnoszę wrażenie, że zrzuciłam z ramion ogromny ciężar i znów mogę swobodnie oddychać. Szkoła zawsze była dla mnie wojskowym obozem, a ja czułam się otoczona przez wrogich żołnierzy. Dziewczyny zazwyczaj nie ścierają się w taki sposób, więc częściej miałam do czynienia z sarkazmem i docinkami niż z prawdziwą walką. Muszę jednak przyznać, że sprąłam kilku chłopaków – parę dziewczyn również – którzy zareagowali na mnie nieodpowiednio, kiedy się tutaj pojawiłam. Nikt niczego nie próbował w ostatnim czasie, choć nigdy nie poczułam się częścią grupy. W najlepszym przypadku byłam wciąż *tą nową*, w najgorszym zaś córką seryjnego mordercy. Ci grzeczniejsi nie reagowali w taki sposób, ale to nie oznaczało, że tak nie myślą.

Wczesny wieczór. Connor czuje się, jakby przejechała po nim ciężarówka, i kiedy nie pomaga nawet ponowny seans jego ulubionego filmu z superbohaterami, uciekam do swojego pokoju. Kładę się do łóżka, żeby posłuchać mojej specjalnej playlisty,

i rozkoszuję się myślą, że choć mama obudzi mnie jutro o barbarzyńskiej porze, zaliczę kilka lekcji przez internet, rozwiążę kilka zadań, a potem będę miała czas dla siebie.

Zapowiada się niesamowicie.

Na zewnątrz kłębią się chmury i kiedy kończę oglądać film na laptopie i przechodzę do kilku samouczków dotyczących robienia makijażu na YouTube, słyszę przetaczający się grom. Jest jeszcze dość cichy i odległy, ale deszcz zdążył się już tutaj rozgadać. Rytmiczne stukanie w dach i okna jest nawet przyjemne.

Dochodzi druga w nocy i już prawie zasypiam, kiedy coś puka w moje okno. W pierwszej chwili biorę to za rozkołysaną gałąź. Po chwili jednak cała moja senność umyka i prostuję się na łóżku, bo dostrzegam na zewnątrz jakiś cień.

Ktoś stoi w deszczu i puka w szybę.

Otwieram usta, żeby zawołać mamę, kiedy uruchamia się we mnie jakiś instynkt. Znam tę sylwetkę. Podnoszę telefon, włączam latarkę i świecę w okno.

To Vera Crockett. Dla przyjaciół Vee. Vee z Wolfhunter. Co jest, do diabła?

Jest ode mnie nieco starsza, ale to kwestia zaledwie kilku miesięcy. Przeżyła takie samo piekło jak ja, choć może jeszcze nie doszła do siebie po tym wszystkim. Najpierw straciła matkę, a to wydarzyło się po dość trudnym dzieciństwie i jeszcze trudniejszym okresie dojrzewania. Vee jest jedną z niewielu osób, z którymi mogę się licytować traumatycznymi historiami, a ona w tym wypadku wygrywa. Mnie przynajmniej nie wsadzono do więzienia i nie oskarżono niesłusznie o morderstwo.

Vee miała jednak zamieszkać w nowym domu z jakąś ciotką czy kimś w tym rodzaju. Co ona tu, do cholery, robi, zwłaszcza o takiej porze?

To bez znaczenia. Lubię Vee. A teraz stoi przemoknięta na zewnątrz, z dala od domu.

Biorę kartkę papieru i piszę czarnym markerem: „Zaczekaj tam”. Przykładam ją do szyby, a ona potwierdza, że zrozumiała polecenie. Wychodzę z pokoju i przemykam przez korytarz. Nasłuchuję przy drzwiach prowadzących do sypialni mamy i Sama. Niczego nie słyszę. Śpią.

Podchodzę bezgłośnie do klawiatury przy drzwiach wejściowych i waham się przez chwilę. Mama zapewne nie usłyszy, jak wprowadzam kod wyłączenia ochrony mojego okna. Ale czy mam to zrobić? Może powinnam pójść do mamy i powiedzieć jej, że na zewnątrz czeka Vee? Wiem jednak, co się wydarzy. Mama zacznie się niepokoić i odeśle Vee z powrotem. Okej, może tego nie robi. Uratowała ją przecież w Wolfhunter. Ale nie mogę zaryzykować.

W głębi duszy pragnę się dowiedzieć, co Vee ma mi do powiedzenia.

Chrzanić to.

Wprowadzam kod, który wyłącza zabezpieczenia w moim pokoju, krzywiąc się w reakcji na dźwięki wydawane przez przyciski. Sypialnia mamy znajduje się na szczęście w głębi domu. Jeśli cokolwiek usłyszy, powiem jej, że sprawdzałam, czy wszystko jest w porządku.

Zatrzymuję się ponownie przy ich drzwiach i wstrzymuję oddech. W końcu upewniam się, że mama i Sam się nie przebudzili. Wracam do siebie i podnoszę okno. Deszcz jest zimny i kapie na moje nagie stopy. Staram się nie wydać żadnego dźwięku. Vee wskakuje do środka i rzuca przemoczoną torbę podróżną obok mojego łóżka.

– Ciszej! – syczę i zamykam okno. Kiedy się odwracam, Vee bierze mnie w ramiona i zastygam na chwilę, zaskoczona. Jest cała mokra i choć nie pachnie ładnie, jestem szczęśliwa, że ją widzę. – Co ty tutaj robisz? – pytam szeptem.

Kiedy się odsuwam, nie dostrzegam blasku w jej oczach. Wygląda dziwnie, jakby była na haju. Jej mokre włosy są brudne i zmatowiałe.

– Muszę skorzystać z twojej łazienki – mówi cicho. – Mogę wziąć prysznic?

O cholera. Zastanawiam się nad tym i zagryzam wargę.

– Tak, ale się pospiesz. – Mam nadzieję, że szum deszczu zagłuszy odgłos płynącej wody. – I bądź cicho. Może powinnaś umyć też włosy?

Uśmiecha się do mnie. Podoba mi się ten uśmiech. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, siedziała w areszcie. Próbowwała być opanowana i silna, ale dostrzegłam pod tym coś jeszcze. Kogoś wartego poznania. Vee ma swoje problemy, wiem o tym dobrze, ale zawsze uważałam, że też mnie polubiła.

A teraz jest tutaj.

Tylko dlaczego?

Vee niczego mi nie mówi. Odwraca się, grzebie w swojej torbie i wyciąga z niej spodenki, bieliznę i koszulkę. Prowadzę ją do drzwi i wskazuję łazienkę na końcu korytarza. Macha do mnie i rusza w tamtym kierunku. Czekam, aż zamknie za sobą drzwi, po czym wracam do sterownika alarmu i uruchamiam zabezpieczenia mojego okna.

Deszcz dość skutecznie zagłusza szum prysznic. Sama ledwie go słyszę, a sypialnia mamy jest położona jeszcze dalej. Vee zachowuje się przynajmniej cicho.

Czekam w napięciu, żując paznokcie, aż w końcu wraca. Umyła się i przebrała.

Siada z westchnieniem na moim łóżku. Z jej ciemnych włosów spływa na koszulkę woda, robiąc przezroczyście, mokre plamki. Wygląda dużo lepiej. I jakby mniej na haju.

Przysuwam się do niej i pytam:

– Co ty tutaj robisz, do diabła?

– No cóż – odpowiada, a jej akcent z prowincji sprawia, że przeciąga samogłoskę. – Sąd skierował mnie do mojej ciotki, która

ostatecznie nie chciała mnie przyjąć, więc wysłali mnie do rodziny zastępczej, a na to się nie zgadzam. Ty byś się zgodziła, Lanta?

Jedynie Vee zwraca się do mnie „Lanta”, co jest skróconą wersją Atlanty. Wszyscy mówią mi po prostu „Lanny”. Jej wersja nawet mi się podoba, ale jednocześnie boję się ją polubić.

– Pewnie nie – przyznaję. – Czy to byli jacyś wredni ludzie?

Wzrusza ramionami.

– Przez cały czas gadali mi, kiedy mam iść do łóżka, o której mam wstać, w co się ubrać i co zjeść. Co za gówno.

– I przyjechałaś tutaj? Spotkałaś się z moją mamą?

– Twoja mama to prawdziwa twarda sucz – rzuca Vee. – Uratowała mi życie, kiedy gliniarze z Wolfhunter chcieli mnie zabić. Ty również. – Mówi to mimochodem, ale czuję wagę tych słów. Widzę jej spojrzenie. – Sporo o tobie myślałam, Lanta.

Nie informuję jej, że ja również myślałam, ale taka jest prawda. Nie w jakiś poważny sposób, sądziłam przecież, że zniknęła z mojego życia na dobre. Ale Vee ma w sobie to coś. Może to ta niebezpieczna nutka, którą tak lubię.

– Co zrobisz w takim razie? – pytam.

– Tak ogólnie? – Wzrusza ramionami. – Sama wiesz. Będę się włóczyć tu i tam.

– Dopiero niedawno uciekłaś od tej rodziny?

– Tak, jakiś czas temu. Nagle znalazłam się na przystanku autobusowym niedaleko stąd i pomyślałam: cholera, może cię poszukam. I oto jestem.

To nie jest prawda. Wiem, że mnie okłamuje, choć nie znam przyczyny.

– Słuchaj, możesz zostać na noc, ale będziesz musiała odejść, zanim obudzi się moja mama, okej? Przyniosę ci coś do jedzenia i...

– Lanta. – Kładzie obie dłonie na moich ramionach i pochyla się bliżej. Zastygam. Ma piękne oczy, a moje serce wali tak mocno, że aż boli. – Atlanto Proctor, nie musisz robić niczego, na co nie masz

ochoty. Wiesz o tym, prawda? Zniknę, jeśli tego chcesz. To żaden problem.

Czuję ciepło. Czuję, jakbym nic nie ważyła. Mam ochotę pobiec po mamę. Mam ochotę pocałować tę dziewczynę. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Nie odpowiadam. Kładę się i podciągam pościel. Vee obserwuje mnie przez chwilę, po czym wsuwa się pod ciężką kołdrę obok mnie. Jej czyste, zwierzęce ciepło sprawia, że zapominam o oddechu.

Przysuwa się bliżej, a ja czuję, że prawie mnie dotyka. Drżę w oczekiwaniu.

Czuję jej ciepły oddech na karku, kiedy mówi:

– Dobranoc, Lanta.

Wzdycham, wyciągam rękę i gaszę światło.

Nie jestem pewna, czy w ogóle zasnę, mając ją obok siebie. Moje myśli galopują z ogromną prędkością, podobnie jak mój puls. Jest mi jednocześnie zimno i gorąco, jestem wniebowzięta i przerażona i wiem, że jedno i drugie nie jest właściwe, ale nic mnie to w tej chwili nie obchodzi. Nie i koniec. W Wolfhunter nie miałam praktycznie okazji, żeby być z Vee sam na sam, a kiedy tak było, przytłaczały nas dziesiątki innych problemów. Ale po tym wszystkim o niej myślałam. Fakt, że się tu pojawiła, wydaje się wręcz nierzeczywisty. A może to sen i po obudzeniu się nikogo nie zobaczę?

Kiedy Vee obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, wydaję z siebie jęk. To takie przyjemne, jak najlepszy pocałunek na świecie, choć nigdy się nie pocałowałyśmy.

Czuję jej westchnienie na karku, a po chwili Vee... po prostu zasypia. Wiem, bo czuję, jak się rozluźnia. Słyszę, jak zmienia się rytm jej oddechu.

Ona jest pijana, naćpana albo coś w tym rodzaju, powtarzam sobie. Nie powinnaś była jej tu wpuszczać. Nie powinnaś leżeć przy niej teraz w łóżku. Wstań.

Nie wstaję.

Ja również zasypiam, pomimo strachu i niepewności, które się we mnie narodziły.

Bo niezależnie od wszystkiego, przy Vee Crockett czuję się... bezpieczna. Wiem też, że to bardzo mylne odczucie: Vee nie jest bezpieczną osobą. Może po prostu znów czuję się potrzebna.

Vee powiedziała, że przyjechała tutaj po mnie.

Może wcale nie kłamie.

Budzi mnie poruszająca się Vee. Zabiera ręce, którymi mnie obejmowała, i ziewa. Mrugam, zerkając w szarość za oknem. Nie świta jeszcze, ale nie zostało wiele czasu do wschodu słońca. Mama niebawem wstanie, o ile jeszcze tego nie zrobiła. *Jasna cholera*, muszę eksmitować stąd Vee. Natychmiast.

Wyskakuję z łóżka, przykładam palec do ust i wsuwam stopy w kapcie. Vee uśmiecha się leniwie i przeciąga w pościeli, jakby zamierzała zostać. Otwieram drzwi i nasłuchuję. Z domu nie dobiegają jeszcze żadne odgłosy. Przechodzę pospiesznie korytarzem do salonu i w momencie, kiedy zaczynam wstukiwac kod mojego okna, słyszę świergot budzika Sama. *Cholera, cholera, cholera!* Naciskam przyciski tak szybko, że prawie ześlizgują mi się palce, ale udaje mi się w końcu. Biegnę cicho do pokoju i zamykam drzwi na zamek. Słyszę, jak mama i Sam wstają z łóżka.

– Musisz iść – szepczę do Vee. – Teraz. Teraz!

Ciągnę ją do pozycji siedzącej. Mruga powiekami, ziewa ponownie i w końcu wciska gołe stopy w buty, które zostawiła na podłodze. Jej włosy wyschły w fatalnym ułożeniu, ale nie zwraca na to żadnej uwagi. Wkłada brudne ubranie do torby. Otwieram okno, a ona przerzuca torbę na zewnątrz, siada na parapecie i patrzy na mnie, kołysząc nogami jak mała dziewczynka.

– Mogę przyjść dziś wieczorem? – pyta. Kręcę głową. – Oj, dajże spokój, dziewczyno. Przecież było fajnie, prawda? Poza tym byłam miła i zachowałam się w porządku.

– Vee, jeśli moja mama się dowie, że tu jesteś, wpadnie w szal. Powinnaś być w nowym domu! Nie możesz po prostu... uciec.

– Owszem, mogę. Jeśli wyślesz mnie z powrotem, i tak wrócę. – Jej uśmiech gaśnie. Zauważam w jej oczach chłodny dystans, który widziałam już w areszcie w Wolfhunter. Vee ma skomplikowany charakter. Wiem, że ma do przepracowania śmierć matki i że nie radzi sobie z tym we właściwy sposób, pijąc i ćpając. Matka utnie mi łeb, jeśli nie powiem jej o obecności Vee.

Wciąż jednak nie mam pewności, czy to zrobię.

– Wróc wieczorem – mówię. – Może uda mi się wyprać twoje ciuchy. – Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle składam jej podobną ofertę, ale już to powiedziałam i jest za późno, a uśmiech Vee sprawia, że mięknę w środku.

Całuje mnie. Szybki, gorący buziak, po którym znika za oknem i biegnie jak gimnastyczka. Przewraca się po drodze. Zamykam szybko okno i próbuję złapać oddech. Czuję się, jakbym miała gorączkę.

Ktoś puka do drzwi. Krzywię się i szybkim krokiem przemierzam pokój, żeby je otworzyć.

– Co? – pytam ostro. Jestem po prostu wystraszona. – Przecież wstałam!

To mama. Nie wygląda na zadowoloną.

– Zostawiłaś ręczniki porozrzucane po całej łazience – mówi. – To nie w twoim stylu, Lanny. Posprzątaj to. Zaraz.

Bałam się, że mogła zobaczyć Vee kręcącą się po domu, że w jakiś sposób się dowiedziała, jakbym miała na sobie jakiś neon czy znak. Ale nie o to chodzi.

Idę do łazienki i faktycznie zastaję tam bałagan. Vee zostawiła po sobie poprzewracane butelki z szamponem i mokre ręczniki na podłodze. Wrzucam je do pralki, po czym sprzątam płytki. W końcu pomieszczenie wygląda lepiej, a ja jestem dzięki temu spokojniejsza. Odrobinę.

– Przepraszam – mamroczę do mamy, wchodząc do kuchni. –
Chyba lunatykowałam.

– Czyżby?

– Może byłam po prostu zmęczona.

Nie kupuje tego, wiem o tym dobrze.

Powiedziałam Vee, żeby dziś wróciła.

O Boże.

Zapowiada się ciężka przeprawa.

Rozdział 6

Gwen

Od samego rana rozpoczynam oficjalną procedurę: korzystając z formularza zatwierdzonego przez stan Tennessee, piszę list skutkujący wypisaniem moich dzieci z Norton Independent School District i zapisuję oboje do Akademii Wirtualnej Tennessee. Lanny i Connor są z tego faktu zadowoleni, podobnie jak ja. Pozostanie mi jedynie zabranie ich rzeczy z szafek. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do pośrednika handlu nieruchomościami, ale wiem, że muszę dokładnie wszystko przemyśleć i porozmawiać z dziećmi. Podejmiemy decyzję jak rodzina. Instykt każe mi się wynieść ze Stillhouse Lake, ale dzieci w minionych latach zarzucały mi, że przed wszystkim chcę uciekać. Robię to, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, ale jednocześnie rozumiem ich frustrację. Jeśli się wyprowadzimy, tym razem uzgodnimy to wspólnie.

Cieszę się, że dzięki decyzji dotyczącej szkoły moje dzieci są bezpieczniejsze, ale to trochę utrudnia mi pracę. Planowałam dziś wyjechać do Knoxville i porozmawiać z matką zaginionego chłopaka, ale choć Lanny przekonuje mnie (jakżeby inaczej?), że poradzą sobie z Connorem podczas naszej nieobecności, trudno mi w to

uwierzyć. Każę im więc zalogować się do swoich nowych wirtualnych klas, pobrać zadania, a następnie wsiąść ze mną do samochodu.

Szykuje się wyprawa.

Nie są tym podekscytowani, co jest wkurzające, ale typowe. Oboje są już w takim wieku, że cokolwiek każę im zrobić, okazuje się dla nich strasznym brzemieniem. W głębi duszy wiem jednak, że nie mają nic przeciwko wyjazdowi. Lanny jest przygaszona po swoim porannym popisie, poprawia się jej dopiero, kiedy wsiadamy do SUV-a i ruszamy w drogę – oczywiście z zapasem paczków – a ona przejmuje kontrolę nad odtwarzaczem i wrzuca swoją ulubioną listę utworów. Pozwalam jej na to, bo ułatwia mi to życie, a poza tym córka ma przyzwoity gust muzyczny.

Connor pyta mnie o sprawę, nad którą pracuję.

– Zaginął student – odpowiadam. – Ma na imię Remy.

– Chłopak – zauważa mój syn. – Myślałem, że przytrafia się to tylko kobietom.

Martwi mnie taki tok myślenia, ale rozumiem, dlaczego tak powiedział. Największe sprawy dotyczą przede wszystkim zaginionych dzieci, nastolatków i młodych kobiet. Najczęściej atrakcyjnych i białych. Rzadko spotyka się w głównych mediach informacje o zaginionych kobietach o innym kolorze skóry.

Praktycznie nigdy nie wspomina się za to o mężczyznach, niezależnie od rasy, choć im też zdarza się zaginać.

Connor jest wciąż zaintrygowany.

– Coś mu się stało?

– Może. Znikł pewnej nocy, kiedy wyszedł na spotkanie z przyjaciółmi.

– Może nie chce, żeby go znaleziono?

– Studenci nie uciekają – wtrąca Lanny. – Oni już uciekli z domu. I to legalnie.

– Czasami uciekają przed innymi sprawami – odpowiadam jej. – Przed życiem. Przed odpowiedzialnością. Przed problemami w związkach. Istnieje również możliwość, że miał styczność ze złymi ludźmi, zaczął brać narkotyki lub przeszedł załamanie psychiczne. Mogło nawet dojść do wypadku, choć to akurat mało prawdopodobne w tych okolicznościach. Trudno stwierdzić na tę chwilę. Dlatego właśnie jadę porozmawiać z jego mamą, żeby lepiej zrozumieć, jaki był i co mogło się wydarzyć.

– Możemy pójść z tobą? – pyta. Nie znosi czekać sama, a ja muszę przyznać, że ma smykałkę do rozwiązywania poważnych problemów. Niepokoi mnie jednak jej poranne zachowanie. Nie wiem, co dzieje się w tej chwili w jej głowie.

– Wybacz, ale nie – odpowiadam. – Pracuję pod presją czasu i może jej się nie spodobać, że was zabrałam. Pomyślałam więc... że może zostawiłabym was w tym lokalu z linami zjazdowymi, które tak lubicie...

– Navitat? – Connor wyprzedza Lanny o kilka sekund. – Super!

– Tak, Navitat. Pobędziecie sobie tam przez kilka godzin, a potem was odbiorę. Lanny...

– Wiem, wiem, ja dowodzę – rzuca. Nie jest jednak z tego faktu niezadowolona, podobnie jak Connor. Moje dzieci mocno się do siebie ostatnio zbliżyły, co bardzo mnie cieszy. Poza tym oboje marudzą ostatnimi czasy, że chcieliby więcej swobody. Navitat to miejsce dobrze chronione, a ja mogę im na tyle zaufać.

Choć nie chcę.

To tylko kilka godzin, powtarzam sobie, starając się nie myśleć o wszystkich tych ludziach, którzy chcieliby nastraszyć, skrzywdzić, a nawet zabić moje dzieci. Na szczycie tych wszystkich prześladowców znajdują się bardziej osobiści wrogowie, którzy chętnie skorzystaliby z okazji „pomszczenia” – to ich słowo, nie moje – ofiar Melvina Royała poprzez wyeliminowanie mojej rodziny. Niektórzy mają przynajmniej powody, by tak czuć, ponieważ stracili

swoich najbliższych. Inni po prostu szukają sposobu, by uwolnić swój nieustający gniew.

Moje dzieci są jednak w takim wieku, że odrobina wolności pomoże im zyskać pewność siebie i wiarę we własne umiejętności. To element dorastania.

Wcale mi się to nie podoba.

Dojeżdżamy do Knoxville. To naprawdę ciekawe miejsce. Zimy bywają tu srogie, choć rzadko pada dużo śniegu. Dużo większym problemem jest oblodzenie. Tego dnia jest słonecznie, a temperatura sięga dwudziestu stopni, dzięki czemu miasto lśni bardziej, niż na to zasługuje.

Jak na typowe miasto na Południu, sporo tutaj naprawdę paskudnych morderców. Kiedy przejeżdżamy ulicami, zaczynam identyfikować trudne do określenia miejsca, w których znaleziono ciała, popełniono przestępstwa i złapano sprawców. To nie tak, że interesuję się takimi rzeczami. Nie mam po prostu specjalnego wyboru. Po sprawie z Melvinem, po jego porwaniach i morderstwach młodych kobiet, do których dochodziło pod dachem naszego wspólnego domu... musiałam zrozumieć, dlaczego był tym, kim był. Spojrzałam więc w głęboką i bardzo mroczną otchłań. Nie jestem przekonana, czy dało mi to większą wiedzę, ale z pewnością jestem bardziej świadoma.

Knoxville – a w jeszcze większym stopniu Nashville – zawsze będą miały pod tym blaskiem ciemną warstwę. Przynajmniej dla mnie.

Na szczęście Navitat, park linowy organizujący również zjazdy na tyrolkach, nie przypomina miejsc z horrorów, jest dobrze zarządzany i chroniony. Daję Lanny i Connorowi pieniądze na bilety i nakazuję im obiecać, że nie spuszczą się nawzajem z oczu, nawet na chwilę. Na koniec przepytuję ich z zasad bezpieczeństwa. Wiedzą, na czym one polegają. Krzyki i ucieczka. Numer alarmowy w telefonie. Zwrócenie uwagi i wołanie o pomoc. Nieoddalanie się z nikim

samotnie. Wciąż to wszystko powtarzam, choć wiem, że dzieciaki zawsze znajdą jakiś powód, żeby złamać zasady i podjąć ryzyko. Jeśli tylko mogę sprawić, że zawahają się przez chwilę, że odrobinę pomyślą, to już traktuję to jak sukces.

– Przyciski alarmowe? – pytam. Oboje pokazują mi swoje breloki. Urządzenia uruchamiają alarm w moim telefonie i emitują przenikliwy dźwięk, którego, mam nadzieję, nie będę musiała nigdy usłyszeć. – Okej. Bądźcie rozsądni, mądrzy i...

– Ostrożni, tak, wiemy – rzuca Connor i wyskakuje z SUV-a. Zagląda jeszcze do środka. – Dzięki, mamo.

– Kocham cię.

Jest w tym wieku, w którym kiwa się tylko głową w odpowiedzi. Użycie tych samych słów to obciach. Bez znaczenia. Wiem, że też mnie kocha.

Lanny przytula mnie szybko i znika w ciągu kilku sekund.

Stoję na jałowym biegu przy krawężniku i czekam, aż oboje znikną za bramką bezpieczeństwa, po czym sprawdzam adres matki Remy'ego.

Piętnaście minut drogi.

Ruszam w trasę i po pewnym czasie wjeżdżam nie w zamieszkałe przez klasę średnią przedmieścia, lecz na tętniące życiem ulice z apartamentowcami po obu stronach. Wiem, że matka Remy'ego przeprowadziła się do Knoxville, ale nie jest to miejsce, które pasuje do kobiety w średnim wieku. Wszystkie mijane osoby są poniżej trzydziestki, a większość dźwiga plecaki i kieruje się na uczelnię lub z powrotem.

Wtedy to do mnie dociera. *Mieszka w apartamencie należącym do jej syna.* Nie ma go tutaj od trzech lat, a ona płaci czynsz i... czeka. Robię głęboki wdech. Zastanawiam się, co zrobiłabym w podobnej sytuacji, gdyby policja się poddała i sprawa trafiła na półkę. Czy gdyby Connor zaginął, zrezygnowałabym z miejsca, które kiedyś nazywał domem?

Nie. To tak, jakby zrezygnowała również z niego.

Pod wskazanym adresem mieści się niezbyt imponujący blok z lat osiemdziesiątych, choć widać, że jest regularnie odnawiany. Numer mieszkania w moich notatkach to 303.

Parkuję i wchodzę po schodach. Ktoś na półpiętrze wystawił paproć, która wita mnie przyjemnym aromatem wilgotnej ziemi, eliminującym lekko wyczuwalny zapach kurzu i zgniłego drewna.

Pukam do wyblakłych, brązowych drzwi z numerem 303.

– Kto tam? – W wizjerze pojawia się jakiś cień.

– Gwen Proctor. Pracuję dla J.B. Hall. Z pewnością już się z panią kontaktowała, żeby poinformować o moim przyjeździe. Jestem prywatnym detektywem. Chciałabym porozmawiać z panią o synu, Remym.

Nie formułuję zdań tak, by brzmiały jak pytania. Nie należę do nieśmiałych osób. Po kilku sekundach kobieta uchyla lekko drzwi.

– Ma pani jakiś dokument?

Wyjmuję portfel i pokazuję jej licencję prywatnego detektywa ze zdjęciem. W końcu otwiera drzwi do końca i się cofa, wpuszczając mnie do środka.

Czuję się, jakbym wchodziła do zamieszkałego grobowca. Wszystko wydaje się pozornie na swoim miejscu – lampy się świecą, żaluzje są uchylone. A jednak dostrzegam tu ślady bytności młodego mężczyzny, od plakatów sportowców na ścianach (ze szczególnym uwzględnieniem piłki nożnej) po postrzępioną kanapę, którą większość kobiet od razu wystawiłaby na chodnik. W pobliżu telewizora o dużym ekranie stoi konsola do gier. Na stoliczku obok leżą dwa doskonale ułożone kontrolery, niczym eksponaty. Na krześle przed telewizorem nadal przewieszona jest bluza z kapturem, a obok leży para trampek.

Jakby jeszcze przed chwilą tutaj był. Jakby znikł na chwilę, włączając w życie pauzę, jak w grze.

Do całości obrazu nie pasuje jedynie stojąca przede mną kobieta. Jest ode mnie starsza o co najmniej dziesięć lat, ale wygląda jeszcze starzej. Towarzyszy jej pewna nieidentyfikowalna szarość, jakby to ona była duchem nawiedzającym to miejsce, a nie jej syn. Ma na sobie gładkie, czarne spodnie i miękki pulower z naszywką uniwersytetu w Tennessee. Pasuje do niej rozmiarem, choć zastanawiam się, czy należy – należał – do Remy'ego. Ta myśl sprawia, że robię się jednocześnie smutna i ostrożna.

– Jestem Ruth – przedstawia się i wyciąga dłoń. – Ruth Landry. – Słyszę u niej lekki akcent Cajun^[2], choć nie wydaje mi się, żeby płynęła w niej ta krew. Podejrzewam, że wynika raczej z małżeństwa. – Jestem wdzięczna, że zajęła się pani naszą sprawą, pani Proctor.

W tym momencie jestem już pewna, że nie rozpoznała w ogóle mojego nazwiska. Kiedyś żyła zapewne w bezpiecznym otoczeniu, w którym dobrzy ludzie nie robią krzywdy innym. Dopiero nagłe zniknięcie jej syna spowodowało, że ta zasłona została brutalnie zerwana i odsłoniła jej prawdziwy świat.

Bardzo się cieszę, że jestem dla niej zwyczajną osobą. To niestety nie zdarza się zbyt często w moim życiu.

– Przyjechałam, żeby porozmawiać o pani synu – mówię, a ona kiwa głową. Wydaje się podenerwowana, jakby zapomniała już, jak się rozmawia z obcymi. – Czy mogłabym poprosić o szklankę wody?

Zapewniam jej chwilowe zajęcie i poświęcam ten czas na dokładniejsze przyjrzenie się mieszkaniu. Nie udaje mi się jednak dostrzec niczego więcej ponad to, co już zobaczyłam.

Podaje mi szklankę migoczącej w świetle wody. Odbieram ją i wypijam. Czuję nieco chemiczny posmak w ustach. Przywykłam do wody z wiejskich ujęć, a w Norton i wokół Stillhouse Lake smakuje ona wręcz wspaniale. Woda miejska... cóż, to nie to samo. Robię jeszcze kilka łyków i odstawiam szklankę na stolik. Kobieta zachęca mnie gestem, żebym usiadła. Wybieram krzesło stojące przy konsoli

do gier, a ona opada na sofę. Dziwne uczucie, jakby Remy wciąż siedział na tym krześle wraz ze mną. Siedzisko i oparcie są już nieco zużyte i przez to całkiem wygodne. Potrafię go sobie tutaj wyobrazić – nie, zaraz, widziałam go przecież siedzącego na tym właśnie krześle. Na zdjęciu w mediach społecznościowych, z wyprostowanymi nogami wspartymi na stoliku. Z kontrolerem do gier w dłoni.

Pochylam się do przodu, nie chcąc poddać się temu smutkowi, po czym wyjmuję telefon.

– Pani Landry, czy miałaby pani coś przeciwko, żebym nagrywała naszą rozmowę? Pozwoli mi się to skupić na słuchaniu pani, a nie na sporządzaniu notatek.

– Oczywiście – mówi z uśmiechem. Dostrzegam w jej oczach światełko nadziei. Jestem pierwszą osobą, która odwiedziła ją tutaj od dłuższego czasu, która zapytała o syna i uczyniła go tematem rozmowy. – Od czego mam zacząć?

– Zacznijmy od ostatniego razu, kiedy rozmawialiście ze sobą – odpowiadam i zaraz widzę, że kobieta lekko się krzywi. Delikatny temat. Opuszcza wzrok. Ma ziemistą skórę, a jej zdrowa opalenizna z Luizjany ustąpiła już miejsca bladości. Sucha i niezadbana, podobnie jak włosy. Nie krytykuję jej jednak, nawet w myślach. Po prostu gromadzę szczegóły. Widziałam jej zdjęcia sprzed zaginięcia, na których wyraźnie dbała o wygląd ciała. Była z niego dumna. Teraz porzuciła to wszystko, traktując jak marnowanie czasu.

– To nie była zbyt dobra rozmowa – przyznaje. – Żałuję. No cóż, żal już na nic się nie przyda, prawda? – Nie odpowiadam. – Mój Remy był dobrym chłopcem. Nie chciał po prostu już słuchać zrzędzenia swojej matki, rozumie pani. Nie mogę go za to winić. Dorósł i uważał, że wszystko wie najlepiej.

Czekam. Wiem, że powoli dociera do sedna. W końcu wyrzuca to z siebie:

– Obawiam się, że trochę się pokłóciliśmy.

– O co?

– O dziewczynę, do której miał słabość.

– Jak miała na imię?

– Carol. Mieszkała gdzieś na północy. – Określa całą północ machnięciem ręką. – Miastowi.

Nie mówię jej, że sama mieszka w mieście. Kiwam tylko głową.

– Okej. Poznała pani Carol?

– Nie. Po prostu o niej mówił. Twierdził, że zamierza jej pomóc. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Odniosłam wrażenie, że lubiła się włóczyć. Do tego była bardzo religijna.

– Czy ona była jego dziewczyną? Spotykali się?

– Nie. Uważał, że jest tylko przyjaciółką potrzebującą pomocy. Nie wiem, czy to prawda. Wiem za to, że spotykał się z niejaką Karen Forbes, która była miłą dziewczyną, ale chyba nie miała do niego aż takiej słabości, jak on do niej. Rozpocząła studia na uniwersytecie. Chyba biologię. Całkiem bystra.

– Zna pani nazwisko tej Carol?

– Nie, nigdy mi nie powiedział, ale skoro nie była jego dziewczyną, to nie interesowało mnie ono.

– Ma pani jakieś zdjęcie Karen Forbes? Może ona byłaby w stanie podać mi jakieś informacje kontaktowe?

– Sprawdzę. – Wychodzi, zapewne do sypialni. *Śpi w jego łóżku. Nosi jego ubrania.* Niedobrze. Zastanawiam się, czy jej mąż rozumie głębię obsesji swojej żony. Nie jestem tu jednak w roli doradcy. Jestem tu po to, żeby odnaleźć jej syna, a jeśli dobrze odczytałam Ruth Landry, lekiem dla niej będzie odpowiedź na pytanie, co przydarzyło się jej synowi. Czy jest żywy, czy martwy. Prawdziwym piekłem jest to zawieszenie, w którym się znalazła.

Wraca ze zdjęciem w ramce. Przedstawia radosnego Remy'ego, który obejmuje młodą kobietę. Blondynka, wysoka i kształtna, z uśmiechem jak z kolorowego magazynu. Ładna i pełna życia. Zdjęcie nie mówi o niej niczego więcej, ale biorę je, stawiam na

stoliku i fotografuję telefonem. Następnie wyciągam zdjęcie w nadziei na znalezienie jakiegoś napisu z tyłu, ale nie ma niczego. Wkładam je z powrotem i oddaję Ruth. Odkłada je na stół i patrzy na syna.

– Traktował ją całkiem poważnie – mówi. – Bardziej niż powinien, zważywszy na swój wiek. Prosiłam, żeby wrócił do domu. Jego ojciec chciał, by Remy odziedziczył firmę i ją poprowadził. Ale on w ogóle nie był tym zainteresowany. Chyba zamierzał się oświadczyć Karen. Nie wiem jednak, czy by się zgodziła, a jeśli tak, czy przetrwaliby długo.

– Jakiego rodzaju działalność prowadzi pani mąż? – pytam. Znalazłabym to zapewne w dokumentach, ale chcę podtrzymać rozmowę. Wygląda, jakby nie mogła oderwać wzroku od syna.

– Samochody – odpowiada. – Jesteśmy największym sprzedawcą w naszej okolicy. Do tego łódzie. Zdarzały się też kampery, choć głównie używane.

Kiwam głową. Wydaje mi się, że tkwi w tym mieszkaniu już od dłuższego czasu, więc mówiąc „my”, ma zapewne na myśli swojego męża. Jej praca polega w tej chwili na doglądaniu tego cmentarza.

– W porządku, dziękuję, była pani bardzo pomocna. A teraz porozmawiajmy nieco więcej o Remym, jeśli to możliwe... ostatnia rozmowa dotyczyła Carol, tak?

– Kłótnia – poprawia mnie. – Cóż, mniej więcej. Nie podobało mi się, że spotyka się z kimś w tarapatach, jak w przypadku Carol.

– Jakiego rodzaju tarapatach?

Kręci głową.

– Nie wiem tak naprawdę. Nie przekazał mi żadnych informacji na ten temat, a kiedy zaczęłam wypytywać, zdenerwował się. Potem pokłóciliśmy się o jego plany spędzenia Dnia Dziękczynienia z Karen i jej rodzicami. Wyobraża sobie pani? W Connecticut. Tupnęłam nogą i powiedziałam: nie, Remy, wracasz do domu. Pozwól tej dziewczynie spędzić święto ze swoją rodziną, a ty zostań ze swoją.

Nie spodobało mu się to i powiedział mi o tym wprost. – W jej oczach pojawiają się łzy, a twarz pąsowieje pod wpływem smutku. Zaczyna mówić bardziej drżącym głosem. – Kiedy rozmawialiśmy, do Dnia Dziękczynienia pozostawał jeszcze tydzień. Zaczęłam już planować, co przygotuję do jedzenia. Kazał mi się zająć bieżącymi sprawami i obiecał to przemyśleć. Przygotowałam jedzenie, choć nie miałam tak naprawdę pewności, że przyjedzie. Wierzyłam po prostu, że się zjawi, albo przynajmniej zadzwoni. Ale ostatecznie siedzieliśmy tylko przy stole i... – Urywa. Potrafię to sobie wyobrazić – rodzinę zgromadzoną przy stole, puste miejsce, jedzenie stygnące na talerzach. Wszyscy siedzą i czekają, choć w pewnej chwili jest już oczywiste, że nie będzie żadnego cudu na Dzień Dziękczynienia, że Remy nie zapuka do drzwi, uśmiechając się i przepraszając za spóźnienie.

Przesuwam w jej stronę pudełko z chusteczkami. Wrywa kilka z nich i przykłada do twarzy, łkając. Trwa to chwilę, a ja zaczynam nagle wyczuwać zapach jedzenia. Zastanawiam się, czy dochodzi z sąsiednich mieszkań, ale wtedy rozlega się dźwięk kuchennego zegara. Ruth zrywa się z sofy, upuszczając chusteczki, które opadają na podłogę.

Idzie do kuchni. Wstaję i zatrzymuję się w progu. Widzę, jak zakłada kuchenne rękawice i wyciąga z pieca blachę z ciasteczkami. Kładzie ją na kuchence i uśmiecha się zdawkowo.

– Przysmak Remy’ego – wyjaśnia. – Ciastka czekoladowe z masłem orzechowym. – Przesuwa blachę na blat pod oknem. Czuję przyjemny zapach. – Spróbuje pani?

– Jasne – odpowiadam.

Zsuwa zręcznie jedno z blachy na talerzyk, który mi podaje.

– Kawa do tego?

Kiwam głową i po chwili dostaję filiżankę zaparzonej wcześniej kawy. Siadamy przy małym stole kuchennym w stylu kolonialnym.

– Piekę je co tydzień – oznajmia Ruth. – Na początku, kiedy się wprowadziłam, miałam je przygotowane każdego dnia. Tak sobie myślę... że jeśli poczuje ich zapach, to wróci do domu. Otwieram okno, żeby mógł powąchać je z zewnątrz. Gdziekolwiek jest. Wiem, że powinnam z tym skończyć, ale nie mogę. Głupie, prawda?

Odgryzam kawałek ciastka.

– Wspaniałe – mówię. – I nie, to wcale nie jest głupie. Niewykluczone, że wynika z desperacji i bólu, ale to normalne, Ruth. Potrzebuje pani odrobiny nadziei.

– To prawda. – Bierze głęboki oddech i pije łyk kawy, wyraźnie próbując się uspokoić. – Sądzi pani, że on nie żyje, pani Proctor?

– Nie wiem – przyznaję, co jest prawdą. – Zaczynam tutaj od zera. Będę musiała wszystko sprawdzić. Policja jest w tym dobra, ale mają również wiele priorytetów i całe mnóstwo spraw na biurkach. Nie twierdzą, że się nie starają, ale kiedy urywa się trop, muszą przejść do następnej krytycznej sytuacji, w której znalazła się inna rodzina. My możemy zrobić nieco więcej dlatego, że mamy na to więcej czasu. Obiecuję, że postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy.

Patrzy na mnie dość dziwnie. Zastanawia się chwilę, jakby sortowała dane w pamięci.

– Wygląda pani dość znajomo. Czy my się nie znamy?

– Nigdy się nie spotkałyśmy – odpowiadam. Wiem, dokąd to zmierza, ale nie zamierzam jej w tym pomagać. Biorę kolejny kęs ciastka. – Ruth, nie koncentrujmy się na mnie. Czy Remy miał samochód?

– Samochód? Tak. Stoi tutaj, w garażu. Policja już go sprawdziła, ale niczego nie znaleźli. Tamtego wieczoru nie prowadził.

– Rozumiem. A z kim pojechał?

Wymienia nazwiska z taką łatwością, jakby należały do jej starych przyjaciół. To naprawdę jakiś rodzaj mantry. Upewniam się,

że dyktafon łapie wszystkie, choć lista jest tożsama z tą, która znajdowała się w dokumentach. Lubię po prostu mieć pewność.

– Czy Remy wspominał może, że w tygodniach poprzedzających zniknięcie wydarzyło się coś nietypowego? – pytam. – Jakies telefony, e-maile, cokolwiek dziwnego w mediach społecznościowych?

– Nie. Nic. Przechowywał jednak stare listy i kartki od swoich przyjaciół i dziewczyn. Dać je pani?

– Tak. Wystarczy, że porobię zdjęcia, nie muszę ich zabierać. Przydałoby się też cokolwiek, co dotyczy tej Carol.

Kiwa głową, ale mogłabym dać sobie uciąć rękę, że wciąż myśli o mnie, a nie o swoim synu. Może to nawet lepiej. Sama nie wiem.

– Wiem, że gdzieś panią widziałam – mówi i kręci głową. – No dobrze, zaraz je przyniosę. – Wstaje, a ja robię to samo.

– Miałaby pani coś przeciwko, żebym się tu trochę rozejrzała? – pytam. – Tak dla uzyskania ogólnego obrazu.

– Och, oczywiście, śmiało.

Zabieram ze sobą kawę – jest świeża i dobra. Już dawno się nauczyłam, że życie jest lepsze z kawą niż bez niej. Robię łyk i rozglądam się najpierw po salonie. Remy nie należy do zagorzałych czytelników, ale uwielbia sport. Większość książek na regale to podręczniki, jakieś materiały szkolne i biografie znanych sportowców. Biorę kilka do ręki, znajduję parę notatek służących za zakładki, ale nie ma na nich niczego ważnego. Mimo to je fotografuję.

W końcu wraca Ruth z korespondencją. Robię zdjęcia kopert, ale nie czytam ich. W jej obecności mogłoby to być nieco niezręczne. Później się nimi zajmę.

Idę do sypialni. Nie jestem wcale zaskoczona na widok japońskiej maty pełniącej funkcję łóżka.

Obecność matki jest tutaj bardziej widoczna, co mnie specjalnie nie dziwi. Widzę jej książkę na stoliczku, krem do rąk, odzież

wiszącą w szafie tuż obok jego ubrań. Przesuwam w bok jej wieszaki, żeby zobaczyć, co zostawił. Dżinsy, koszulki, kilka sportowych kurtek, dobrej jakości garnitur, zapewne na oficjalne okazje. Na podłodze szafy para kłapek i eleganckich sznurowanych butów, które zakładał zapewne do garnituru. Zauważywszy trampki porzucone przy łóżku, zastanawiam się, co miał na sobie w dniu zniknięcia.

W pudełku na półce odkrywam erotyczne zabawki. Stosunkowo nieduża kolekcja, nic szczególnie radykalnego. Puchate kajdanki. Nuda. Do tego kilka wibratorów, które mogły się podobać jego dziewczynom.

Odkładam pudełko na swoje miejsce i rozglądam się dalej.

Zaglądam właśnie do szafki na leki, kiedy w progu rozlega się głos Ruth:

– Znam panią.

W jej głosie pojawia się nowa nuta. Rozpoznaję ją. Robię zdjęcie zawartości szafki i odwracam się.

– Tak?

– Jest pani żoną tego mordercy.

– Już nie – odpowiadam. – Rozwiodłam się z nim. A potem zabiłam go w obronie własnej. – Zamykam szafkę. – Próbuje również pani pomóc.

– Nie potrzebuję pani pomocy – mówi. Zaciska teraz mocno usta, a smutek ustępuje miejsca gniewowi. Jestem toksyczna przez samą więź. To takie przypomnienie, że nie wszystko kończy się dobrze.

Próbuję nie westchnąć, zanim odpowiadam:

– Pani Landry, może pani oczywiście poprosić J.B. Hall o innego detektywa, ale ja jestem najbliżej i prawdę mówiąc, rozumiem to wszystko, przez co pani przechodzi, dużo lepiej, niż się pani wydaje.

– Twierdzi pani, że rozumie moje położenie lepiej tylko dlatego, że pani mąż porwał te dziewczyny z ich rodzin?

– Nie – odpowiadam cicho. – Rozumiem, bo moje własne dzieci żyją w ciągłym zagrożeniu. Ruth... moje dzieci też już zaginęły i myślałam, że umrę. Dzięki Bogu zdołałam je odzyskać, ale te wszystkie godziny zdawały się trwać całą wieczność. Jestem po pani stronie. Proszę pozwolić mi pomóc.

Nie podoba się jej to. Boi się przemocy, która mnie otaczała i wciąż otacza. Niewykluczone, że boi się słusznie, ale powinna też odczuwać spokój.

Nikt inny nie potraktuje tego tak poważnie jak ja.

W końcu kiwa nieco sztywno głową.

– Ma pani to, czego szukała? – Sugeruje, że powinnam już to mieć.

– Tak. Chciałabym również porozmawiać z pani mężem...

– Jeśli uda się pani do niego dotrzeć, będę przeszczęśliwa – mówi. – Joe nie lubi rozmawiać o Remym. Nie potrafi pogodzić się z faktem, że stracił syna.

Słyszając słowo „stracił”, uzmysławiam sobie, że jakaś jej część już zaakceptowała prawdopodobne rozwiązanie tej sprawy: jej syn nie żyje i nie zmieni tego nawet desperacja matki. Kiedy jednak dociera do niej, co właśnie powiedziała, szybko się poprawia: – Wiem, że on wróci. – Unosi podbródek, jakby rzucała mi wyzwanie i oczekiwała, że ją skoryguję.

Nie robię tego. Ta kobieta jest krucha, wrażliwa i rozpaczliwie trzyma się kłamstwa, które sama sobie wmawia, a je nie chcę złamać jej serca. Nie zrobię tego dopóty, dopóki nie poznam całej prawdy.

– Dziękuję za pomoc, pani Landry. Skontaktuję się z panią, kiedy tylko czegoś się dowiem.

Waha się, czy to powiedzieć. Moja historia i niesława wiszą teraz nade mną niczym chmura. W końcu jednak mówi:

– Proszę go odnaleźć. Bardzo proszę.

Nie obiecuję, że to zrobię. Nie mogę.

Trudno jednak nie rozpoznać rozpacz i przerażenia w jej oczach. Żyje w ciągłym koszmarze, ale udaje, że wszystko jest w porządku. Ja też udawałam, że wszystko jest w porządku, kiedy żyłam przez lata u boku Melvina i usiłowałam go zadowolić. Udawałam tak bardzo, że naprawdę uznałam, iż wszystko jest w porządku. Wszystko się zmieniło tego dnia, kiedy pijany kierowca rozbił jedną ze ścian w naszym domu i ujawnił wszystkie straszliwe tajemnice Melvina. Widok tej biednej, martwej kobiety – siostry Sama – będzie prześladował mnie już do końca.

Ta świadomość, że gdybym tylko była bardziej ciekawska, gdybym *cokolwiek zrobiła*... jest jeszcze gorsza. Zrobię, co w mojej mocy, żeby zakończyć koszmar Ruth w taki czy inny sposób. Może robię to dla niej, a może dla siebie samej.

Tak czy inaczej, jestem w to zaangażowana.

[2] Cajun – osoba należąca do francuskojęzycznej grupy etnicznej zamieszkującej wybrzeże Zatoki Meksykańskiej w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Rozdział 7

Gwen

Zatrzymuję samochód na parkingu przy Navitat i czekam, aż dzieci dokończą swoje zjazdy. Próbuję się skoncentrować na sprawie, na poszlakach. Nie potrafię przestać myśleć o Ruth Landry. O tych ciasteczkach, których nikt nie je. O błaganiu ducha, żeby przybył do domu. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym straciła Connora i Lanny.

Szukam informacji za pomocą specjalnej aplikacji, którą dostałam od J.B. Hall – trochę jak Google na sterydach, opracowanej specjalnie z myślą o szukaniu śladów osób według nazwisk lub innych ważnych elementów tożsamości – kiedy do samochodu podchodzą Lanny i Connor. Zaczynają trajkotać niemal równocześnie:

– Mamo, to było super, powinnaś była pójść tam z nami, te liny wcale nie są takie złe...

– Dowiedziałaś się, dokąd odszedł? Co się z nim stało? – pyta Connor.

Lanny przerywa słowotok i rzuca mu spojrzenie.

– Jakim cudem mama miałaby rozwiązać sprawę w dwie godziny?

– Przecież to *mama*.

Śmieję się, kiedy zapinają pasy.

– Dzięki za wiarę we mnie – mówię – ale twoja siostra ma rację. Obawiam się, że to trochę potrwa.

– Och. Czyli jedziemy w inne miejsce? – Mój syn wydaje się zbyt zaintrygowany taką możliwością. – Możemy ci pomóc.

– Nie. Muszę wykonać parę telefonów, kiedy dojedziemy do domu. Na razie to wszystko sprowadza się do umawiania spotkań i przekonywania ludzi, żeby ze mną porozmawiali. Nic ciekawego, prawdę mówiąc.

Nie wierzy mi, podobnie jak Lanny, ale oboje wdają się w trwającą kilka minut sprzeczkę. Connor uważa, że Lanny przyglądała się innej dziewczynie na linie, i droczy się z nią. Nie zwracam im uwagi zbyt ostro. Nie robi jej przykrości z powodu odmiennej orientacji seksualnej – zachowałby się tak samo, nawet gdyby była narwanym chłopakiem.

Lanny stara się go przekonać, że taka sytuacja nie miała miejsca. W końcu zapada buntownicza cisza, więc nakazuję obojgu zakończyć spór, czemu jednak nie udaje się zaradzić aż do końca podróży do domu.

– W porządku – rzucam, skręcając w naszą ulicę. – Teraz macie już dać sobie spokój z kłótniami i zająć się lekcjami. Sprawdzę dziś wieczorem wasze postępy... – Urywam, kiedy dostrzegam stojący przed domem nieznamy samochód. Wielki, zabłocony pickup upstrzony naklejkami NRA^[3] z zatkniętymi flagami amerykańskimi. Karoserię zdobi leśny kamuflaż.

Zatrzymuję SUV-a na wzniesieniu i czekam, aż coś się wydarzy. Lanny i Connor milkną, zauważywszy obecność intruza. Czuję, że moja córka wsuwa głowę między siedzenia, ale nie odwracam się.

– Kto to jest? – pyta.

– Nie mam pojęcia. – Przystawiam bieg na parkowanie, jednak nie wyłączam silnika. Przez głowę przebiega mi milion odpowiedzi, włącznie ze stalkerami i trollami, którzy regularnie wysyłają mi pogróżki przez e-mail. – Pójdę sprawdzić. Lanny, usiądź za kierownicą. Jeśli cokolwiek złego się wydarzy, wrzuć wsteczny i jedź prosto na posterunek w Norton. Connor, jeśli Lanny zacznie wycofywać, natychmiast dzwoniś na policję. Nie czekacie na mnie, cokolwiek zobaczycie. W porządku? Wszyscy znają swoje zadania?

Dzieci kiwają głowami, zauważam jednak wyraz twarzy Connora. Znów się boi. Następną traumatyczną sytuacją po wczorajszych ćwiczeniach w szkole.

– Connor, wszystko jest w porządku. Oddychaj i odliczaj. Rób to, co każe ci Lanny. Dasz sobie radę. Wierzę w ciebie. – To nie wystarczy, ale nie mam czasu na więcej. Mam tylko nadzieję, że w razie czego sobie poradzi.

Wysiadam z SUV-a, a Lanny siada na przednim siedzeniu. Blokują zamki w drzwiach, choć jej o tym nie mówiłam. Muszę się teraz skupić na tym, co przede mną, a nie co za moimi plecami.

Idę ścieżką, czując zgrzytający pod stopami żwir, kiedy dwoje drzwi pickupa otwiera się ze zgrzytem. Z jednej strony wysiada mężczyzna w wyblakłym, podniszczonym kombinezonie roboczym i flanelowej koszuli. Nie widzę, żeby był uzbrojony, jeśli nie liczyć wielkiej, nastroszonej brody.

Z drugiej strony auta wysiada kobieta – wysoka, żylasta, ubrana w koszulkę z flagą amerykańską i tak wytarte dżinsy, że wydają się nie mieć żadnego koloru.

Ma słabe, siwe włosy, pomarszczoną twarz i... niesie talerz z zapiekanką.

Zdejmuję dłoń z rękojeści pistoletu pod kurtką.

– Proszę pani – mówi mężczyzna i dotyka przelotnym ruchem daszka czapki. Jeśli kiedykolwiek znajdowało się na niej logo, to

zginęło już pod warstwami smaru. – Nie chcemy przeszkadzać, ale pomyśleliśmy, że chcielibyśmy zadośćuczynić.

– Zadośćuczynić? – pytam, próbując rozgryźć, z kim mam do czynienia. – Przykro mi, ale nie znam państwa. Może pomyliliście adres...

– Pani jest Gwen Proctor – mówi kobieta. Uśmiecha się, sprawiając wrażenie niepokojąco przyjaznej. – Nasz chłopak przypadkowo wystrzelił w okno w państwa samochodzie. Niezdara, polował na wiewiórki, a trafił prosto w wasze auto. Chcielibyśmy zapłacić za tę szkodę.

– Wasz chłopak. – To wszystko wydaje się dziwne. Tak, to jest Południe. Tak, ludzie starają się dobrze żyć z sąsiadami. Ale nie ze *mną*. Ja jestem pariasem całego hrabstwa.

– Zachowaliśmy się bardzo niegrzecznie, nie przedstawiając się na dzień dobry – mówi mężczyzna i robi krok naprzód, wyciągając wielką dłoń. – Jestem Jasper Belldene.

Jasper Belldene. Niekoronowany król narkobiznesu w tym hrabstwie. Głowa popieprzonej rodziny, obejmującej kilku narwanych krewnych, którzy często korzystają z argumentu siły i z broni palnej. Nigdy dotąd go nie widziałam, nawet na zdjęciu. Sam miał niestety okazję poznać jednego z jego synów. Niewielka konfrontacja, do której doszło, stała się załączkiem tej całej osobliwej waśni. Dziwnie mi ze świadomością, że chociaż raz to nie moja przeszłość do tego doprowadziła, a bijatyka między Samem i pijaczną, który zachował się nieodpowiedzialnie na miejscowej strzelnicy.

Potrząsam dłonią Belldene'a, ponieważ jest to jedyna rozsądna opcja. Facet ma mocny, pewny uścisk. Mam nadzieję, że tak samo odebrał mój.

– Miło mi, panie Belldene.

– Och, żaden ze mnie pan. Wystarczy Jasper. A to moja lepsza połowa, Lilah. Co tam masz na tym talerzu, Lilah?

– Mielone z Tennessee w mamusiny style – wyjaśnia. – Z naszej własnej wieprzowiny. Tajnym składnikiem jest tu owies, a nie tarta bułka. Tak smakuje o wiele lepiej. Mam nadzieję, że pani rodzina przyjmie to jako podarunek na zgodę, pani Proctor.

Nie wiem, co się tutaj wyprawia. Ci ludzie zachowują się w wyjątkowo naturalny sposób, ale to przecież nie jest w stylu Belldene'ów, wiem o tym dobrze. To zatwardziali kryminaliści.

Mimo to przygotowali zapiekankę z mielonym mięsem.

– Dziękuję – odpowiadam i odbieram od niej ciężkie naczynie. Z tej odległości nie odnoszę już niestety wrażenia, że rozmawiam z miłą, starszą kobietą. Ma zbyt surowe spojrzenie, zbyt pozbawione emocji.

Zapiekanka pachnie szałwią i aromatycznym sosem. Z pewnością jest przepyszna.

– Powiadomię mojego partnera Sama, że przyjechaliście – mówię. Dostrzegam oczywiście stalowy błysk w oczach Belldene'a, który kłóci się z miłym uśmiechem. Kojarzy mi się to z zakłóceniami w sygnale radiowym. – Z pewnością będzie żałował, że się z wami minął.

– Naprawdę szkoda, że go nie ma – mówi Lilah. Słyszę w tej wypowiedzi zakamuflowane drugie znaczenie. Chciałabym być teraz twardsza i wredniejsza, ale to nie jest właściwy moment. Belldene'owie wyraźnie robią show, a ja muszę się dowiedzieć dlaczego.

Poza tym bardzo skutecznie unieruchomili mi ręce, każąc trzymać ten cholerny talerz z zapiekanką.

Uświadamiam sobie, że cokolwiek zamierzają, nie jest to tylko zakamuflowane przekazanie naczynia. Chcą pogadać. Zapiekanka jest jedzeniowym odpowiednikiem białej flagi i muszę to przyznać: jestem ciekawa, czego tak naprawdę chcą. Macham do dzieci, żeby dać im znać, że wszystko jest w porządku, po czym podchodzę do

drzwi, otwieram je i wyłączam alarm, balansując naczyniem. Uśmiecham się szeroko do obojga Belldene'ów.

– Czy mogę zaprosić was na kawę?

– No cóż – rzuca Jasper. – Dobrej kawie nie odmówię. Chyba możemy się skusić, co, mamuśka?

Mamuśka. Drzę lekko. Mogłabym przyjąć podarunek i ich odesłać, ale nie tak wygląda grzeczność mieszkańców Południa, a sądząc po reakcji Belldene'ów, tego właśnie oczekiwali.

Lanny podjeżdża bliżej SUV-em i parkuje go przed zabłoconym pickupem. Wsiadają wraz z Connorem i wchodzą do domu. Odkładam naczynie na kuchenny blat i dostrzegam, jak Belldene'owie wymieniają spojrzenia z dziećmi w drzwiach. Jakby dwa roboty wymieniały informacje bez żadnych emocji. W końcu powracają uśmiechy, Jasper wybuchą śmiechem i mówi:

– No, no, kogo my tu mamy?

Dzieci się nie przedstawiają. Rzucają mi tylko pytające spojrzenie.

– Moja córka Lanny i syn Connor – wyjaśniam. – Przywitajcie się.

– Cześć – mówią niemal jednocześnie, bez większego entuzjazmu. Lanny wciąż patrzy na mnie z niepokojem: *wszystko w porządku?* Szczerze mówiąc, nie potrafiłabym jej odpowiedzieć, ale jednego jestem w tym momencie absolutnie pewna: nie chcę, żeby były w centrum tego wszystkiego. Connor radzi sobie doskonale, zachowując twarz pozbawioną wyrazu, pamiętam jednak dobrze, jak zareagował na ostatni kryzys.

– Dzieci, idźcie do swoich pokojów i zróbcie lekcje – mówię. – Macie dziś cztery godziny czasu szkolnego do wyrobienia.

– Jasne, mamó – odpowiada Lanny. Jeszcze chyba nigdy na nic nie zgodziła się tak łatwo. Connor podąża za nią do jej pokoju i rozlega się odgłos zamykanych drzwi. Choć tego nie słyszę, wyobrażam sobie, jak szepczą do siebie gorączkowo, zastanawiając się, co zrobić. Mam nadzieję, że Lanny niczego nie wymyśli,

przynajmniej dopóki nie usłyszy czegoś niepokojącego. A jeśli coś się wydarzy, liczę na to, że zabierze brata, wyskoczy przez okno i pobiegnie do samochodu. Zauważyłam, że zatrzymała kluczyki. Mądra dziewczyna.

Nastawiam czajnik. Gorąca ciecz zawsze może posłużyć za broń. Wybieram filiżanki, które można stłuc na ostre fragmenty. Kiedy człowiek obawia się o swoje życie, wszystko, co znajduje się pod ręką, może okazać się przydatne. Naprawdę wszystko.

Ale sytuacja sprawia wrażenie całkowicie normalnej. Jestem świadoma, że Belldene'owie siedzą w moim salonie jak miny przeciwpiechotne, ale spokojnie przygotowuję kawę, napełniam dwie filiżanki i zanoszę na stół wraz z cukrem i śmietanką.

Siadam na krześle stojącym najbliżej drzwi i obserwuję, jak szykują swoje kawy do picia – ona używa śmietanki i cukru, on samego cukru – i cmokają z zadowoleniem.

– Przykro mi, ale nie mam żadnych przekąsek – mówię. – Nie spodziewałam się was. Cóż, przynajmniej tak grzecznych. Oczekiwałam raczej czegoś bardziej bezpośredniego, jak ostrzelanie domu czy rzut koktajlem Mołotowa.

Dobre maniery pozostają, jednak uśmiechy znikają u obojga.

– Oj, oj, pani Proctor – rzuca karcąco Belldene, mieszając kawę.
– Gdybym chciał, żebyście byli martwi, to już byście leżeli w grobach.

– W ubiegłym roku wsadziliście mi grzechotnika do skrzynki na listy! – Czuję narastający gniew i nie wstydzę się tego. – Któreś z moich dzieci mogło zostać ukąszone!

– Och, to był tylko grzechotnik pospolity. Poza tym wcześniej został wydojony. Te cholery ukąsiły mnie chyba z dziesięć razy i nic się nie stało. W szpitalu mają mnóstwo surowicy.

– Poza tym my tego nie wymyśliliśmy – wtrąca jego żona. – To nasz chłopak Jesse wpadł na taki genialny pomysł. W ogóle nie ma wyczucia. Powiedzieliśmy mu tylko, żeby wysłał wam ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie przed czym?

Wymieniają spojrzenia.

– Wiem, że ludzie z miasta są durni, ale to już chyba przesada – mruczy Jasper i następane trzy słowa artykułuje bardzo wyraźnie: – *Przed pozostaniem tutaj*. Prosimy uprzejmie, żebyście wynieśli się z hrabstwa. Ze stanu, jeśli to możliwe. Wszyscy.

– Nic osobistego – świergocze Lilah. – Ale mieszacie kijem w kopcu mrówek, a co gorsza, sprowadziliście tu tych wszystkich reporterów. Ludzie marzą o tym, żeby znaleźć się w telewizji i gazetach, więc paplają, co im ślina na język przyniesie. Jeśli się gdzieś wyprowadzicie, sprawa przycichnie.

– Zła prasa – mówię, a oni kiwiają głowami. – Uważacie, że ja to na was sprowadziłam? – Zmuszam się, żeby powstrzymać szalony chichot. – Nie akceptują mnie *handlarze narkotyków*?

– Zaraz, w sądzie niczego nam nie udowodniono – protestuje Jasper. – Nie wypada szerzyć kłamstw. A nawet jeśli mamy jakieś zapasy dla miejscowych, świadczymy tylko usługę. Nie sprawiliśmy, że ci ludzie uzależnili się od leków przeciwbólowych, a potem nie odcięliśmy ich od dostaw. Tak postąpili wasi bogaci lekarze i koncerny farmaceutyczne. Poza tym to nawet nie może się równać z tym, co pani zrobiła.

– Nie zrobiłam...

– Dziecko. – Lilah pochyła się do przodu. – Była pani żoną tego człowieka. Ja jestem żoną tego starego pryka przez niemal całe życie i nie ma mowy, żebym nie wiedziała, co robi. Cokolwiek zrobiła pani, żeby sąd dał temu wiarę, ja wiem swoje. Może nie pomogła mu pani pozabijać tych kobiet, a może pomogła, nie mnie sądzić. Ale proszę mi nie wciskać kitu.

Absurdalność tej wypowiedzi chwyta mnie za gardło i tylko dzięki temu nie wybucham szyderczym śmiechem. Ci ludzie – przywódcy przestępczego gangu, jednego z najgorszych w tym hrabstwie – uważają, że jestem zbyt straszna, żeby pozostać ich sąsiadką. Nie

ma sensu ich przekonywać, że nie wiedziałam nic o zbrodniach Melvina. A jeśli mogłam się czegokolwiek domyślać, mój własny strach nauczył mnie ignorowania wszystkiego wokół.

– Okej – mówię i uśmiecham się do nich. – Pomówmy o tym przez chwilę. A co, jeśli wiedziałam? Musiałabym być bardzo, ale to bardzo zimna. Chcielibyście w takiej sytuacji ze mną walczyć? Jest pani matką, Lilah. Do czego by się pani posunęła, żeby chronić swoje dzieci?

– Poszłabym do samego diabła po pomoc – odpowiada. – Ale wszyscy wiemy, że najlepszym sposobem na zwycięstwo w walce jest jej uniknięcie. Dlatego powinniście się wynieść. W taki sposób ochroni pani dzieci. Opuszczając nasze terytorium.

– Zastanowię się nad tym – mówię. – Prawdę powiedziawszy, Stillhouse Lake wcale nie jest takim cudownym miejscem. Ale zrozumcie mnie dobrze: jeśli się wyprowadzimy, to tylko dlatego, że sami tego zechcemy. Nie dlatego, że nas pogoniliście.

– To ma jakieś znaczenie? – pyta Jasper. – I tak sprowadza się do tego samego.

– To ma znaczenie – odpowiadam z naciskiem i patrzę mu w oczy. – Sam pan o tym wie.

Kiwa głową.

– To kiedy możemy się spodziewać takiego posunięcia, pani Proctor?

– Nie wiem. Za kilka miesięcy. Musimy znaleźć nowe miejsce, a potem sprzedać ten dom...

– Nie ma mowy – wtrąca Lilah. – W przyszłym miesiącu ma już was tutaj nie być.

Kręcę głową.

– To niemożliwe, pani Belldene. Postąpimy zgodnie z naszym harmonogramem. *Jeśli* zdecydujemy się wyjechać.

Jasper rozgląda się po tej przystani, którą tak starannie odbudowaliśmy, wyposażyliśmy i nazwaliśmy domem. Kiwa powoli

głową, robi łyk kawy i odstawia filiżankę na spodek z głośnym westchnieniem.

– Wspaniała kawa, proszę pani – mówi. – Chciałbym, żeby zachowała pani zdrowy rozsądek w tej sprawie. Widzę jednak, że tak nie jest, i nic nie mogę na to poradzić. Ale nauczy się pani. A wtedy proszę sobie przypomnieć: chcieliśmy porozmawiać o tym przyjaźnie.

Lilah przytakuje.

– Mam nadzieję, że zasmakujecie wam ta zapiekanka. Jeśli będzie pani chciała zwrócić naczynie, proszę podjechać. Jeśli nie, my przyjedziemy.

Rozumiem, co to oznacza. Tak czy inaczej, zrobi się paskudnie.

Nie ma sensu dłużej udawać, że się przyjaźnimy.

Podchodzę do kuchni, wyciągam worek na śmieci i wyrzucam do niego zawartość talerza. Puszczam gorącą wodę, biorę płyn do naczyń i szoruję, aż talerz lśni. Wycieram go ręcznikiem, podchodzę do niej i wciskam jej w dłoń.

– Jest pani wredną suką – mówi, ale odbiera naczynie. – Ale mimo wszystko dziękuję. To talerz firmowy.

– Możecie już iść. Oboje. Wypad. – Pozwalam im to zobaczyć: lodowatą furię, która niosła mnie przez wszystkie te lata. Ból, strach i niekończąca się potrzeba ochrony moich dzieci.

Patrzają na mnie niepewnie.

– No cóż – mówi Lilah, unosząc brwi. – Proszę wpadać, kiedy tylko pani zechce, pani Proctor. Chętnie powitamy też tego pani faceta. Jeden z naszych synów zawdzięcza mu złamaną kość policzkową i kilka wybitych zębów. Już się nie może doczekać, kiedy będzie mógł odpłacić pięknym za nadobne.

– Czas ruszać w drogę – rzucam ostro. – Natychmiast.

Ruszają w stronę pickupa. Jasper rzuca mi ostatnie spojrzenie, aż w końcu zatrząskuję za nimi drzwi. Staję przy oknie z dłonią na

pistolecie i czekam, aż uruchomią silnik i odjadą, wzniecając chmurę pyłu.

– Mamo? – Lanny ściska kluczyki do SUV-a. Wygląda na spiętą i zmartwioną.

– Wszystko w porządku – odpowiadam i obejmuję ją ramieniem. Po chwili przytulam ją oburącz. – Wszystko będzie dobrze.

Szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzę.

Sądząc po sztywności ramion, ona również w to nie wierzy.

Sam wraca do domu późno. Widać, że jest zmęczony. Przygotowałam kurczaka w sosie barbecue z chlebem kukurydzianym, czym sprawiłam wszystkim przyjemność. Zapiekanka Belldene'ów wciąż tkwi w plastikowym worku w kuchni. Zastanawiam się, czy nie zbadać jej pod kątem obecności trucizny na szczury.

Sam jest brudny i spocony. Ręce ma pocierane od pracy, na widok czego niemal pęka mi serce. Robi to wszystko dla nas. Lubi pracować na budowie, ale to jest jego płatne zajęcie, a nie pasja. Jest pilotem i powinien latać, a nie robi tego z powodu... swojego zaangażowania w naszą rodzinę, przynajmniej na razie. Nie prosiłam, by tak uczynił. Taki po prostu już jest: solidny, twardo stąpający po ziemi mężczyzna, gotów do poświęceń dla ludzi, których kocha. Nie chce zostawić nas tutaj samych, doskonale zna powagę sytuacji.

Ale to poświęcenie nie powinno być wieczne, a to jeszcze jeden dobry powód, żeby dać sobie spokój z wiernością wobec Stillhouse Lake.

Podążam za nim do sypialni i w milczeniu pomagam pozbyć się brudnej odzieży. Pojękuje lekko, poruszając jednym ramieniem, więc masuję je pospiesznie.

– Dzięki, Gwen – mówi. – Wybacz, naciągnąłem sobie coś.

– Byłabym zaskoczona, gdybyś każdego dnia nie wrócił z jakimś urazem – odpowiadam. – Pod prysznic, proszę pana. Kolacja będzie gotowa za pół godziny.

– Och, za pół godziny? – Unosi brwi. Sam Cade ma zaskakująco niewinne oblicze, zważywszy wszystko to, co widział i do czego jest zdolny. Jest bardzo dobry w ukrywaniu tajemnic, nawet przede mną. Podobnie jak ja, skrupulatnie ćwiczy z bronią. Nigdy nie powiedział mi wszystkiego, co musiał zrobić, żeby ochronić mnie i dzieci, i jestem pewna, że ma również swoje sekrety. Wszystko to jest interesującym kontrastem dla blasku, który widzę teraz w jego oczach. – Mamy zatem sporo czasu.

– Hmm – udaję, że się zastanawiam, po czym ściągam buty i rozpinam spodnie. – Dobra myśl.

Seks pod prysznicem jest oczywiście wspaniały, a płynąca woda tłumi wszystkie odgłosy, które mogłyby zaniepokoić dzieci. Kocham tego mężczyznę, a on kocha mnie i choć nie zawsze jest idealnie, w takich chwilach jesteśmy naprawdę blisko siebie. Przywieram do niego, oddychając ciężko i drżąc, a woda spływa po naszych ciałach i je obmywa. Zawsze w takiej sytuacji przypomina mi się Melvin, który zadawał mi ból w trakcie seksu. Ale Melvina już nie ma. Tamto się skończyło.

To jest prawdziwe i gorące, a Sam jest najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Mam naprawdę ogromne szczęście.

Tulimy się i całujemy, poddając się strugom ciepłej wody, aż w końcu niechętnie się rozdzielamy. Wychodzę spod prysznicza i wycieram do sucha. Mam mokre włosy, ale teraz mnie to w ogóle nie obchodzi.

Czekam, aż wyjdzie, ubrany już do pasa, po czym mówię:

– Mieliśmy gości, kiedy byłeś w pracy. – Lepiej mu to powiedzieć, zanim zrobi to Lanny lub Connor.

– O? – Sam przerywa zakładanie koszulki i patrzy na mnie uważnie, żeby potwierdzić to, co wyczuł w moim głosie. – Kogo?

– Jaspera i Lilah Belldene'ów. Przyjechali przeprosić za strzelecki incydent z ich synem w roli głównej. – Wykonuję przy tym gest sugerujący zastosowanie cudzysłowów, a jego oblicze natychmiast ciemnieje. – A tak naprawdę? Zjawili się, żeby wypowiedzieć nam wojnę.

– Wojnę? Dlaczego? Co takiego zrobiliśmy, do cholery? Nie licząc tego, że grzmotnąłem kiedyś ich głupiego synka na strzelnicy. A wiemy, że sobie na to zasłużył.

– Nie chodzi o ciebie, a o mnie – wyjaśniam. – To ja jestem zgniłym jabłkiem. Więcej dziennikarzy, więcej zainteresowania ze strony glin, nie zapomnieli także o tym nieudanym dokumencie, który zaczęła nagrywać Miranda Tidewell. – Zostaliśmy swego czasu zaskoczeni wieścią o filmie dokumentalnym, który był próbą uczynienia z mojego życia piekła. Sprawa zakończyła się wraz z jej śmiercią. – Naprawdę rozumiem ich punkt widzenia. Trudno jest prowadzić działalność przestępczą, kiedy całe to miejsce otaczane jest blaskiem reflektorów, gdy tylko wychodzę z domu.

Sam kończy się ubierać i wsuwa stopy w kapcie. Jego szybkie, urywane ruchy sugerują, że jest niezłe wkurzony, ale – mam nadzieję – nie na mnie.

– Mają tupet, żeby się tu zjawiać. Co oni sobie myśleli, że zdołają cię nastraszyć?

– Nie jestem pewna. Może to była po prostu ich wersja kolejnego strzału ostrzegawczego. – Zastanawiam się, czy powinnam wspomnieć o wyprawadźce. Wiem, że powinnam, ale to nie wydaje się właściwe na tym etapie rozmowy. Może jutro do tego wrócę. Czuję, że dręczy go coś więcej, niż tylko naciągnięty mięsień.

– Ten ich strzał ostrzegawczy kosztował mnie dwieście dolców. Wydaje mi się, że swoje już w ten sposób powiedzieli.

– Przykro mi, Sam.

– To nie twoja wina. – Wstaje i całuje mnie delikatnie. – Masz mokre włosy.

– Rób tak dalej, a nie tylko one będą mokre.

– Gwen.

Całuję kącik jego ust.

– Kolacja – przypominam. – Potem się zastanowimy, co z tym wszystkim począć.

Zanim w ogóle udaje mi się poruszyć ten temat przy kolacji, wyprzedza mnie Lanny.

– Mamo, kim byli ci ludzie? Te staruchy?

Wymieniamy z Samem spojrzenia. Wzrusza ramionami. Ma oczywiście rację, nie mogę dłużej chronić dzieci, nie mówiąc im prawdy.

– Pamiętacie ludzi, którzy włożyli nam grzechotnika do skrzynki na listy? – pytam.

– O kurwa – woła Lanny. Rzucam jej ostre spojrzenie. – Cholera. Nieważne. To ta mafia wsioków z miasteczka?

– Chcą, żebyśmy się wynieśli ze Stillhouse Lake.

– Dlaczego? – pyta Connor.

Przypominam sobie słowa Lilah Belldene. *Nic osobistego*. Ale to było i jest bardzo osobiste. Zawsze takie będzie, jeśli w grę wchodzi moje dzieci.

– Z tego samego powodu, dla którego nie znoszą nas mieszkańcy Norton. Przyciągamy za dużo uwagi.

– Mamo? – Mój syn zdejmuje okulary przeciwsłoneczne. Krzywię się lekko na widok jego sinego oka. Przynajmniej opuchlizna już ustąpiła. – Może chodzi też o to, co ja zrobiłem. Hankowi Charterhouse'owi nieźle się dostało.

– Kto to jest Hank Charterhouse? – pyta Sam.

– Jeden z dzieciaków, których uderzył Connor. A przy okazji kuzyn Belldene'ów – wyjaśnia Lanny. – Wszyscy w szkole wiedzą, dlaczego Hankowi wszystko uchodzi na sucho.

Możliwość, że Connor również przyczynił się do urazy, którą chowają Belldene'owie, sprawia, że podnoszą mi się włoski na rękach. *Nie ważcie się przychodzić po moje dzieci.*

Melvin Royal próbował kiedyś przyjść po nasze dzieci. A teraz Melvin Royal gnije w kartonowej trumnie w mogile dla ubogich, oznaczonej tylko numerem. To moja sprawa.

Belldene'owie powinni wyciągnąć z tego wnioski.

Jem kilka kęsów kurczaka i mówię:

– Okej, oto co zrobimy. Teraz, kiedy jesteście już zapisani do Akademii Wirtualnej, możecie się uczyć z dowolnego miejsca, prawda?

– Tak? – Lanny nie jest pewna, dokąd to zmierza. – Ech, zrobiliśmy lekcje, mamó. Możesz sprawdzić, jak chcesz.

– Już to zrobiłam i dziękuję wam. Ale muszę zadać wam wszystkim ważne pytanie. – Przyciągam w ten sposób uwagę wszystkich i na chwilę ogarniają mnie wątpliwości. Może nie powinnam tego zaczynać. Może postępuję niewłaściwie, ponownie uciekając. Ale muszę o to zapytać. – Co sądzicie o tym, żeby nie toczyć tej wojny z Belldene'ami?

Sam prostuje się powoli na krześle.

– Mówisz o wyprowadzce?

– Owszem. Uważam, że to byłoby właściwe posunięcie. – Biorę głęboki oddech i kontynuuję. – Słuchajcie, nie mamy powodów, żeby z nimi walczyć. Nie mamy niczego do wygrania poza tym, że zostaniemy w miejscu, w którym nie jesteśmy przez nikogo tolerowani. W domu, o którym mowa na forach dyskusyjnych i witrynach w całym internecie tylko po to, żeby ludziom było jeszcze łatwiej nas nękać i nam grozić. Sam, wiem, że znalezienie pracy okazało się trudniejsze od czasu tego całego bałaganu z filmem

dokumentalnym. A wam – patrzę na Connora i Lanny – żyje się tutaj naprawdę trudno. Przepraszam was za to wszystko. Myślałam, że robię coś dobrego, chcąc uczynić was częścią tej społeczności, ale... ta społeczność nas odrzuciła. I wiem, jak bardzo to boli.

Connor milczy, gapiąc się tylko w talerz.

– Jest tu parę miłych osób – mówi Lanny. – Kez i Javier, nawet detektyw Prester. Kilku nauczycieli też jest całkiem w porządku.

Próbuje być sprawiedliwa, ale wiem, że nie jest to dla niej łatwe. Przyjaciele, których poznała przed rokiem, nie są już jej przyjaciółmi. Nie podoba mi się samotność, w której żyją moje dzieci.

Sam niczego nie mówi. Milczy, co oznacza, że stara się nie wkładać zbędnego ciężaru do tej rozmowy, która tak naprawdę jest bardziej moim monologiem. Chciałabym, żeby coś powiedział, a kiedy tego nie robi, czuję, że muszę brnąć dalej.

– Mogę porozmawiać w miasteczku na temat sprzedaży domu – mówię do niego. – To nie oznacza, że musimy robić to od razu, po prostu... rozważymy dostępne opcje. W najgorszym wypadku możemy nawet wynająć ten dom, jak robi wielu właścicieli nad jeziorem. – Jego reakcja sprowadza się do powolnego kiwnięcia głową, ciągnę więc dalej: – Muszę przeprowadzić rozmowę z ojcem zaginionego chłopaka w Luizjanie, poszukać jego przyjaciół i tak dalej. Czeka mnie trochę łożenia. – Przerrywam i patrzę na dzieci. – Mogę was zabrać ze sobą, jeśli – i to naprawdę duże „jeśli” – obiecacie mi, że potraktujecie to poważnie. Podczas mojej pracy będziecie mogli zostać w hotelu i tam zająć się lekcjami. No i...

– Ja też mogę pojechać – oznajmia Sam.

Tego się nie spodziewałam i nie wiem tak naprawdę, co o tym myśleć. Nie wiem też, co on o tym wszystkim myśli.

– Nie musisz jechać do pracy?

– Cóż, moje usługi nie są już potrzebne na tej budowie.

Prostuję się gwałtownie.

– Dlaczego?

– Mam strzelać? Belldene’owie rozpowiedzieli zapewne, że nie życzą sobie, żeby zatrudniano mnie gdziekolwiek w tym hrabstwie.

Czuję narastający gniew przeciwko wszystkim, którzy przyczynili się do tego smutku w jego oczach. Sam szybko się jednak otrząsa i po chwili znów się uśmiecha.

– Dobra strona jest taka, że nie zużyję tak dużo paliwa. Zła... nie jestem pewny, co mam teraz zrobić.

W jego głosie nie słyhać drżenia, w spojrzeniu panuje spokój. Jeśli cokolwiek w nim wrze, nie daje po sobie tego poznać.

– Cholera, tak mi przykro. To wszystko... – Macham bezradnie ręką w stronę świata. Siebie samej. Całego tego pakietu połączonego z przeszłością, której nie mogę kontrolować i której nigdy się nie pozbędę. Blizny, rany, pancerz i ból.

Jestem wściekła. Trochę też na niego, prawdę mówiąc, że nie powiedział mi o tym, zanim usiedliśmy do stołu. To dlatego wcześniej zachowywał się dość dziwnie. Nie chciał, żeby moje motywy dotyczące ewentualnej wyprowadzki w jakikolwiek sposób dotyczyły jego samego.

Uspokajam się w końcu i lekko uśmiecham.

– W takim wypadku nie widzę powodu, żebyś nie dołączył do naszej wyprawy do Luizjany. – Szczerze mówiąc, kiedy już to powiedziałam, odczuwam swego rodzaju ulgę. Przez chwilę nie wiem nawet dlaczego. Zapewne dlatego, że sprawa tego chłopaka wiedzie mnie w rejony, w które rozpaczliwie nie chciałam nigdy wracać.

Na rozlewiska.

Do parnego, zielonego piekła, w którym stawiałam czoła mojemu byłemu mężowi i osobistym koszmarom. *Nie, to przecież nie o to chodzi, wmawiam sobie. Chcę po prostu komuś pomóc. Panuję nad wszystkim.*

Mimo to moje serce nie zwalnia, a mięśnie się nie rozluźniają. Zrobiłam już duże postępy w pokonywaniu traumy, którą przeżyłam

tego dnia, kiedy musiałam zabić Melvina. Ale to wcale nie oznacza, że mam już wszystko za sobą. *Muszę zadzwonić do terapeutki*, myślę. To chyba dobra okazja, zapisałam już przecież Connora na sesję w przyszłym tygodniu. Muszę zadbać również o siebie. Zagrożenie ze strony Belldene'ów i ta zbliżająca się podróż... czuję, że świecą się moje lampki ostrzegawcze.

Sam chyba wie, co mnie dręczy, bo mówi:

– Luizjana. Gdzie dokładnie...

– Nie tam – wtrącam i wiem, że doskonale zrozumiał, o co mi chodzi. – Ale wiesz, to ten sam stan. Podobna okolica. Tym bardziej się cieszę, że pojedziesz.

– A co później?

Biorę głęboki oddech.

– Dzieci? Co myślicie?

Milczą przez chwilę, patrzą na siebie, po czym Connor powoli podnosi rękę:

– Głosuję za przeprowadzką – oznajmia.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek, daleko stąd.

To już wiele mówi. Przenoszę spojrzenie na Lanny, która siedzi z założonymi rękami.

– Jasne – mówi. – Tak myślę. I tak nie prowadzę tu żadnego życia społecznego. Ale nie do jakiejś dziury, okej? W jakieś ciekawe miejsce. Może gdzieś, gdzie są przynajmniej dwie knajpy z fast foodami.

– Rozważę to – odpowiadam i zerkam na Sama. – A ty?

– Wiesz, że nie cierpię się poddawać.

– Wiem. Naprawdę o tym wiem. Ale wiesz, czego ja nie cierpię jeszcze bardziej? Patrzyć, jak cierpią ludzie, których kocham. Żaden dom nie jest tego wart. Nie dla mnie. – Przełykam ślinę, ponieważ ciepło jego spojrzenia niemal rozbija mnie na kawałki. – Jak zagłosujesz, Sam?

– Czuję się dziwnie, głosując, ale... – Podnosi rękę. – Tak. Jestem za.

– W porządku – mówię. – A więc się przeprowadzamy. Wszyscy tego chcemy. – Przepętnia mnie dziwna fala mieszanych emocji. Frustracja, owszem. Włożyłam sporo wysiłku, żeby tu zostać. Stillhouse Lake stało się dla mnie nie tyle przystanią, co twierdzą, u bram której czai się wróg. Ale również ulga. Łatwo jest dać się zamknąć, patrzeć w jedno miejsce i czuć się uwięzionym przez własne decyzje. Udowodniłam sobie jednak, że możemy zmienić tę przyszłość.

I to jest miłe uczucie. Przeróżające, ale miłe.

– Wiesz, że nie sprzedamy tego domu od ręki, prawda? – mówi Sam. – Myślisz, że Belldene'owie będą aż tacy cierpliwi?

– Wątpię. Dopilnują, żebyśmy się wynieśli, w taki czy inny sposób. – Uśmiecham się do niego ze smutkiem. – Założę się, że złożą nam parszywą ofertę i zmuszą, żebyśmy ją przyjęli.

– To całkiem możliwe – przyznaje. – Wszędzie wsadzają te swoje łapska.

– Tym będziemy martwić się później. Teraz musimy skoncentrować się na wyjeździe. Hej... skoro jesteś teraz dostępny...

– Można to tak ująć – wtrąca Sam. – I zanim zapytasz, nie. Nie ma problemu, żebym zajął się dziećmi, kiedy będziesz pracować.

– Czytasz mi w myślach.

– To jeden z wielu moich talentów. – Sam uśmiecha się do Lanny, kiedy oboje sięgają równocześnie po chleb kukurydziany, a on ją wyprzedza. – Musisz być szybsza!

Wszyscy musimy być szybcy, żeby zdążyć przed pętlą, która zaciska się wokół naszego domu.

Szybcy i inteligentni.

Lanny szykuje się wcześniej do snu. Twierdzi, że boli ją głowa. Zastanawiam się, czy nie znalazła jakiejś nowej dziewczyny, do

której wysyła wiadomości. Mam taką nadzieję – zerwanie z Dahlią, jej pierwszą miłością, bardzo ją przybiło. Nowe związki są rzadko dobrym lekarstwem, ale może przynajmniej podbuduje nieco swoją pewność siebie i zbuduje grubszy pancierz na następny raz.

Obawiam się tylko odrobinę, że coś przede mną ukrywa. Jestem jednak mamą i wiem, kiedy należy naciskać, a kiedy nie. Tym razem decyduję się tego nie robić. Dostyc już chaosu na dzisiaj.

Modlę się tylko, żebym nie żałowała tej decyzji.

[3] National Rifle Association (Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie) – organizacja działająca na terenie USA, propagująca prawo do posiadania broni palnej, bezpiecznego jej użytkowania i samoobrony za jej pomocą, a także prawo do polowania (przyp. tłum.).

Rozdział 8

Lanny

Vee wraca oczywiście o północy. Jestem podenerwowana, wystraszona i wciąż mam ochotę powiedzieć o wszystkim mamie, mimo to wyłączam alarm w moim oknie, kiedy wychodzę wynieść śmieci. Mama niczego nie zauważa. Nikt niczego się nie domyśla. Przez to czuję się jeszcze bardziej winna.

Kiedy Vee zjawia się ponownie ze swoją wielką torbą, podnoszę okno i pomagam jej dostać się do środka. Nasmarowałam je wcześniej, żeby nie wydawało dźwięków podczas przesuwania. Vee na szczęście zachowuje się cicho. Zdjęła nawet buty, więc kiedy ląduje na mojej podłodze, ma bose stopy.

Rzuca mi radosny uśmiech, a ja odpowiadam jej tym samym. Po chwili mnie przytula. Od kiedy wzięła tutaj ostatni prysznic, pachnie całkiem dobrze, choć wyczuwam delikatną nutę potu i lasu.

Muszę przyznać, że mnie to kręci.

Vee zamyka okno, odkłada torbę na bok i szepcze:

– To jak będzie z tym praniem?

– Dziś nie dam rady. Mama jest na wszystko wyczulona po tym, co się dziś wydarzyło.

Oczekuję, że zapyta, co się stało, ale tego nie robi. Wzrusza tylko ramionami.

– Okej. A pożyczysz mi jakąś koszulkę albo coś w tym rodzaju?

– Po co?

– Nie słyszałaś? Dzisiaj przy Killing Rock organizują zajebistą imprezę! Pójdiesz ze mną, prawda?

– Co? Nie! – Nie dotarły do mnie wieści o żadnej imprezie. Nikt do mnie nie zadzwonił, nikt nie wysłał wiadomości. Mama trzyma nas z dala od mediów społecznościowych, więc nie mam żadnych źródeł informacji. – To znaczy... nikt mnie nie zaprosił.

– To nie jest impreza na zaproszenie – odpowiada Vee. – Po prostu się tam... idzie. Jak na dyskotekę, wiesz?

Nigdy nie byłam na żadnej dyskotecie. Prawdę powiedziawszy, uczestniczyłam tylko w kilku imprezach, a każda z nich była pod szczególnym nadzorem. Zabierałam wtedy prezenty. Boże, mam szesnaście lat i jestem kompletną frajerką. No dobra, byłam już przy Killing Rock. Dzieciaki lubią się tam spotykać i robić różne rzeczy. Wybrałyśmy się tam kilka razy z Dahlią, ale nigdy po zmroku.

– Nie idziesz? – Vee nie kryje rozczarowania. To *ja* ją rozczarowałam. – Myślałam, że chętnie się stąd wyrwiesz i zabawisz.

Podejrzewam, że nasze definicje zabawy mocno się różnią. Mimo to jestem zaintrygowana.

– Kto ma tam być?

– Wszyscy z miasteczka w naszym wieku. Norton leży niedaleko stąd, prawda?

Przytakuję. Jestem ciekawa, czy już tam była. Potem zastanawiam się, dlaczego w ogóle jest tutaj. Mam nadzieję, że chciała mnie zobaczyć, ale tak szczerze mówiąc, nie jestem do końca pewna. A jeśli to naprawdę jest takie nieskomplikowane? Jeśli Vee jest tutaj, bo coś do mnie czuje?

Nie wiem, co o tym myśleć. Powinno mi to schlebiać? Na pewno jestem zaintrygowana. Ale jest w tym również coś dziwnego i niekontrolowanego. *Czy znalazłam się w tarapatach?* Nie wiem. Czuję się jednak na swój sposób uwięziona. Wpuściłam Vee do środka. To moja wina, że tu jest. Mogłam powiedzieć o tym mamie, a nie zrobiłam tego.

Mogłabym zrobić to teraz, ale musiałabym wyjaśnić, w jaki sposób Vee dostała się do domu, a ona z pewnością przyznałaby się, że była tutaj już wczoraj. Nie, nie mam ochoty na tę rozmowę. Nie chcę też, żeby czuła się rozczarowana z mojego powodu.

Dużo łatwiej powiedzieć coś zupełnie innego:

– Hm, no dobra. Chyba możemy pójść, ale nie na długo. Nie mamy daleko, to jest po przeciwnej stronie jeziora. Ale wiedz, że nie zamierzam się tam upić.

Kiwa głową, a postrzępione, ciemne włosy opadają jej na oczy. Dostrzegam na jej policzkach rumieniec, a kiedy się uśmiecha, błyska zębami.

– Za bardzo boisz się mamy? – pyta, nadal pamiętając o szepcie.

– Żebyś wiedziała. O której jest ta impreza?

– Już trwa – odpowiada Vee i wskazuje na okno. Uspokajam się nieco i zerkam na zewnątrz. Widzę skraj jeziora, za którym mieści się Killing Rock, i dostrzegam chyba nawet blask ognisk przy brzegu. Nad wodą niesie się dudnienie muzyki.

Wiem, że to zły pomysł, ale nawet jeśli jest tam kilka nieprzyjaznych mi osób, dam sobie z nimi radę. W przeciwieństwie do szkoły, stamtąd mogę wyjść o dowolnej porze, a może, tylko może, uda mi się nawet odrobinę zabawić.

Czuję, że przez cały czas usprawiedliwiam się przed sobą. Nie powinnam iść. Ale... nigdy nie robię czegoś, czego nie chcę. Byłam *taka dobra*. Jeśli nie będę aż tak dobra, szczególnie w perspektywie wyprowadzki z tej głupiej miejsciny... może nic się nie stanie. Tylko raz.

Używamy maskotek i poduszek i układamy kołdrę w taki sposób, żeby z progu pokoju wyglądało, jakbym spała. Wychodzi całkiem przekonująco. Vee znajduje jakiś purpurowy cień do oczu i proponuje, że zrobi mi makijaż. Siadam, a ona klęczy przede mną. Cała ta sytuacja jest dziwna i intymna, kiedy zamykam oczy i staram się nie reagować na dotyk pędzelka na wargach. I na jej palce, które rozprowadzają szminkę sprawnymi ruchami.

– Nie ruszaj się – mówi, a ja słyszę, jak otwiera kolejny pojemnik z kosmetykami. – Dobrze wychodzą mi kocie oczy. Zaczekaj jeszcze chwilę. Zaufaj mi.

Ufam jej oczywiście, ale czuję się bardzo dziwnie. Siedzę, pozwalam jej nakładać mój makijaż i cieszę się w głębi duszy na każdy dotyk, reagując na niego skurczami mięśni ud. Nie jest to reakcja seksualna, ale całkiem seksowna, muszę więc nerwowo przetykać ślinę.

– Kończysz już? – pytam.

– Sekunda... – Kolejne długie, pewne przeciągnięcie kciukami po moich powiekach. – Doskonale.

Otwieram oczy i widzę ją przed sobą, pochyloną nisko i patrzącą mi prosto w oczy. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zamierza mnie pocałować, ale Vee puszcza do mnie oko i podnosi lusterko.

Wyglądam *dobrze*. Naprawdę niesamowicie. Jaka ona jest utalentowana.

Ubieramy się. Odwracam się do niej plecami, zmieniając ciuchy, ale zastanawiam się, czy rzuca mi ukradkowe spojrzenia. Skóra mnie łaskocze, czuję się podekscytowana i niemal tracę równowagę, wciągając sprane, czarne džinsy. Kiedy w końcu się odwracam, Vee stoi oparta o ścianę z założonymi rękami i mnie obserwuje. Nieco dziwnie zobaczyć na niej swoje własne ubrania, jakbym patrzyła w lustro w wesołym miasteczku. Ale to przyjemnie uczucie, jakbyśmy miały wspólną tajemnicę. Przez chwilę brakuje mi tchu. Od dawna chciałam poczuć jakieś emocje niezwiązane z moją rodziną

i owszem, miałam Dahlię, ale... to już się skończyło i zostałam sama.

Vee sprawia, że znów czuję się dostrzeżona. Obecna. Chciana. Nawet fajna. Bardzo mi tego potrzeba.

Przeskakuje zwinnie przez parapet, chwytając mnie za rękę i pociąga mnie za sobą. Nie powiem, żebym się opierała.

Vee Crockett jest chyba najbardziej interesującą dziewczyną, jaką kiedykolwiek poznałam. Niebezpieczna, dzika i nieprzewidywalna. W jej obecności nie jestem w stanie stwierdzić, co się wydarzy w następnej minucie. W porównaniu z moim codziennym życiem, pozbawionym pozytywnych niespodzianek, czuję, jakbym była w najlepszym parku rozrywki na świecie.

Wiem jednak również, że nasza rozpędzona kolejka górską może w każdej chwili wypaść z szyn, i myśl ta nie daje mi spokoju po drodze. Widać już wyraźnie ogniska, słysząc pokrzykiwania, śmiech i pulsującą muzykę.

– Dalej, chodźmy tam, zanim gliny rozpieprzą tę imprezę! – woła Vee i zaczyna biec. Rozpędzam się i szybko ją wyprzedzam. W tym akurat jestem dobra. Nie pocę się nawet, co więcej, muszę zwolnić, żeby mogła dotrzymać mi tempa. Śmieje się i dyszy trochę, kiedy docieramy na miejsce.

Impreza odbywa się pod nawisem zwanym Killing Rock, na plaży z nawieszonym piaskiem w samym sercu Tennessee. Nocne powietrze jest świeże i ostre, ale nie powstrzymuje to nikogo przed kąpielą w jeziorze i skakaniem do wody wprost z nawisu. Nie jest tak źle, temperatura z pewnością jest dodatnia. Jesień w Tennessee potrafi czasami być latem ze zmieniającymi barwy liśćmi, a zima jesienią ze świątecznymi dekoracjami. Tej nocy nie jest inaczej. Niebo jest trochę zachmurzone, ale są to pierzaste chmurki, które bardziej je dekorują, niż grożą opadami.

W Norton można by naliczyć mniej więcej setkę nastolatków, z których zgromadziło się tutaj może osiemdziesiąt. Pozostali są już

zapewne w drodze.

– No, wygląda po prostu idealnie – rzuca Vee i uśmiecha się szeroko do człapiącego w pobliżu chłopaka. Jest już pijany, ale chyba nie sprawia jej to różnicy, bo zerka na niego drugi raz. Czuję ukłucie... czegoś. Nie chcę nawet myśleć, że to zazdrość. Powtarzam sobie, że Vee i tak niczego do mnie nie czuje i pomyliłam się po prostu w Wolfhunter, gdzie była dla mnie bardzo miła. *Tak? To dlaczego jest w ogóle tutaj, jeśli nie dla ciebie?*

No dobrze. Może jestem zazdrosna.

Zatrzymuję się i widzę, jak Lottie, jedna z dziewczyn, która mi się spodobała, rozpędza się po nawisie i skacze, przyciskając kolana do piersi, po czym uderza o taflę jeziora z potężnym rozpryskiem, czemu towarzyszą wiwaty osób zasiadających na składanych turystycznych krzeselkach przy przystani. Wokół ognisk malujących wodę na złoto i czerwono zgromadziły się dziesiątki ludzi. Zauważam kątem oka, że Vee się oddala, czekam jednak, aż Lottie wypłynie na powierzchnię. W końcu się pojawia, macha rękami i płynie do brzegu, odprowadzana kolejnymi wiwatami. Lottie jest niesamowita. Ma rude włosy, duże zielone oczy, zadarty nos i tak spowolniony akcent z Tennessee, że każde słowo wydaje się kroplą miodu. Tak, podobała mi się od początku. Ale Lottie nie zarejestrowała chyba nawet faktu mojego istnienia. Najważniejsze, że nie okazywała mi żadnej wrogości. To sprawia, że wciąż mam do niej słabość.

Killing Rock^[4] nie jest zapewne prawdziwą nazwą dużego nawisu wystającego nad taflę jeziora. Pewnie nosi jakieś oficjalne, nudne określenie, jak Punkt widokowy lub Widok zachodzącego słońca. Uczniowie z Norton nazywają go jednak Killing Rock od niepamiętnych już czasów. Nawet nauczyciele znają to określenie. Nikt nie potrafi jednak stwierdzić, kto tutaj zginął. Słyszałam dziwną legendę o indiańskiej księżniczce, która popełniła w tym miejscu samobójstwo, ale to zapewne jakaś gówniana historia, którą

opowiadali sobie biali faceci, wspominając o rdzennych mieszkańcach, których tutaj wybili do nogi. Nie kupuję takich mitów. Jednak nazwa skądś musiała się wziąć.

Rozglądam się w poszukiwaniu Vee, ale nigdzie jej nie widzę. Rozpłynęła się w tłumie. Krzywię się i szukam dalej, ostatecznie jednak dochodzę do wniosku, że zjawi się, kiedy będzie gotowa. *Tak, może znalazła tego pijanego gościa i teraz się do niego mizdrzy.* Nie podoba mi się ta wizja. Nie jestem pewna orientacji Vee, nie powiedziała dotąd niczego, co mogłoby mnie naprowadzić na jakiś trop. Wiem jednak w głębi jedno: nie jest dobrym wyborem dla mnie. Kiedy ją poznałam, siedziała w areszcie. Owszem, nie zabiła swojej mamy, ale swoje miała i tak za uszami. Brała narkotyki, piła alkohol i potrafiła posunąć się do różnych rzeczy, żeby osiągnąć swój cel.

Nie oznacza to wcale, że wciąż jej nie chcę.

– Hej, Lanny. – Odwracam się. Ktoś – jakiś cień pośród drzew – wyciąga w moją stronę butelkę piwa, ale kręcę głową. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, to mama wyczuwająca ode mnie woń alkoholu. Zamiast tego dostaję wodę. Upewniam się, że nakrętka nie została naruszona, po czym otwieram i biorę łyk. Życie w ciągłej paranoi ma swoje dobre strony – nikt mnie nie podejdzie, posługując się zwyczajną taktyką drapieżcy. *No jasne, durna, przychodzenie tutaj po zmroku było superbezpieczne.* Nie znoszę tego szyderczego głosu w mojej głowie, ale nie potrafię go wyłączyć. Przynajmniej teraz mówi z sensem. Zazwyczaj jest to ciągła litania na temat mojej głupiej fryzury, różnicy w wielkości oczu, nadwagi, niedowagi, niewłaściwego wzrostu czy braku seksapilu. Pociesza mnie jedynie to, że każdy ma w głowie taki sam głos.

No dobra. Może nie te dupki.

Ognisko zapewnia wystarczająco dużo światła, żebym w chłopaku podającym mi wodę mogła rozpoznać Bona Caseya siedzącego na składanym krześle. Podobnie jak ja, posługuje się

dziwnym zdrobnieniem, ale przynajmniej Atlanta to fajne imię. Ale *Bonaventure*? Uch, nie za bardzo. Jest ode mnie starszy o kilka lat i czuję się przez to nieco onieśmielona.

– Bon – witam się i wznoszę toast butelką wody. Podsuwa mi nogą rozchybotane krzesło turystyczne, na którym siadam. – Co słychać?

Wzrusza ramionami.

– Jako tako. – Technicznie rzecz biorąc, Bon jest uczniem ostatniej klasy i jest już dorosły, więc nie mogę się nadziwić, że przyszedł w to miejsce. – Słyszałem o twoim bracie. Wszystko z nim w porządku?

– Tak, wszystko gra.

– Gorzej na tym wyszedł Hank Charterhouse – zauważył Bon. – Całą szczękę ma odrutowaną. Wiesz, z kim Charterhouse'owie mają powiązania?

– Tak, to kuzyni Belldene'ów.

– Ostrzegam, że Hank będzie szukał odwetu, kiedy już dojdzie do siebie. Uważajcie więc lepiej. Z klanem Belldene'ów nie warto zadzierać.

– Dzięki – odpowiadam. Nie wspominam mu o tym, że starzy już zjawili się w naszym domu i próbowali nas nastraszyć. – Zapewniam cię, że moja mama nie należy do osób, z którymi chcieliby mieć na pieńku.

Bon wybuchła nieco piskliwym śmiechem.

– Tak, straszna z niej suka.

– Mamy to we krwi. – Uśmiecham się. Wystawia butelkę, a ja stukam w nią swoją. Powinnam wstać i pójść dalej, ale nie jestem pewna, jak zareaguje główna grupa, kiedy zbliżę się do ogniska. Sprawia wrażenie dość zgranej. Kilka owiniętych we flanelowe kurtki i koce osób przeszło właśnie obok mnie. Nawet jeśli gliny nie są już w drodze, to z pewnością zjawią się tutaj w ciągu godziny.

Ponownie rozglądam się w poszukiwaniu Vee, wciąż bezskutecznie. Jestem rozczarowana, że mnie porzuciła, ale z drugiej strony nie mogę czuć się szczególnie zaskoczona.

Pozostaje mi obserwować Lottie, która rozmawia z kilkoma chłopakami, pijąc zdecydowanie za dużo i za szybko. Czuję się bardzo samotna, pomimo obecności Bona, Lottie i osiemdziesięciu innych osób w zasięgu kilkunastu metrów. Ktoś inny – tym razem chłopak – skacze z nawisu do wody, a rozprysk dociera aż do brzegu. Słyszę udawaną wściekłość w okrzykach osób, które robią sobie selfie na Instagrama. Lottie jest pośród nich. Tak, widzę to wszystko, choć nadal wściekam się na Vee, że zostawiła mnie w takim niekomfortowym położeniu.

– Buu!

Podskakuję, kiedy ktoś chwyta mnie od tyłu, i upuszczam butelkę z wodą. Odwracam się błyskawicznie i zauważam Vee. Uśmiecha się w jakiś maniackalny sposób, spod którego prześwituje chemia. Jest tak naćpana, że aż dziw bierze, że jeszcze nie lewituje nad ziemią.

– Kurwa! Nie rób tak!

– Przepraszam – rzuca obojętne. – Chodź, potańczymy.

– Hej, nowa, chcesz poimprezować? – pyta Bon. Vee całkowicie go ignoruje i zaciąga mnie w pobliże ogniska, na pusty odcinek plaży. Zaczyna tańczyć. Obejmuje mnie ramionami i przyciąga do siebie. Słyszę pohukiwanie i oklaski chłopaków. Nie podoba mi się to. Nie zamierzam dokładać siebie do ich kolekcji sprośnych myśli.

Odsuwam się od Vee i mówię:

– Hej, ta impreza zaraz się posypie. Powinnyśmy już wracać.

– Wracać? Dokąd? – przekrzykuje muzykę. Ktoś podkręcił ją tak głośno, że czuję dudnienie w kościach i całym ciele.

– Do domu! – Jestem zmęczona i dziwnie się czuję. Instynkt podpowiada mi, żeby się stąd zbierać. Coś niepokojącego rośnie

pod tą całą warstwą okrzyków, ognisk i energii. To tylko przeczucie, ale mama zawsze mi powtarzała, żebym go nie ignorowała.

– O cholera, nie, Lanta. Tylko nie do domu. Zostaniemy tutaj przez całą noc i będziemy imprezować! – Przeciąga ostatnie słowo i przechodzi do szalonego wirowania, wymachując ramionami. Muszę się cofnąć, żeby nie oberwać. Jest zdecydowanie za bardzo naćpana i nie podejmuje właściwych decyzji. Chwytam ją za rękę i ciągnę za sobą, popycham na krzesło obok Bona i wyjmuję jeszcze jedną butelkę z jego chłodziarki. Bon przełyka właśnie piwo.

– Hej, dziewczyno, to kosztuje, wiesz?

Wygrzebuję pięć dolarów z kieszeni spodni i rzucam w jego stronę. Mamrocze coś, ale przyjmuje banknot. Podaję wodę Vee, która wypija ją do dna za jednym pociągnięciem, po czym pochyla się i dyszy, jakby miała zwymiotować. Nie robi tego jednak. Kiedy się prostuje, jest odrobinę trzeźwiejsza. Dziwny wyraz jej oczu znika. Teraz zaczyna się pocić, czuję ostry zapach, który od niej dochodzi. Potrzebuje kolejnego prysznic, i to jak najszybciej.

– Cholera, za dużo. Spieprzyłam sprawę – mówi i kryje twarz w dłoniach. – Wybacz. Chciałam... chciałam się tylko zabawić. Czy to coś złego?

Zaczyna się trząść. Narkotyki zaczynają szybko działać i martwi mnie to.

– Co ty wzięłaś, Vee?

Ze sposobu, w jaki na mnie patrzy, wnioskuję, że nie ma pojęcia. Zapewne połknęła jakieś pigułki albo coś wypaliła. Trudno stwierdzić.

Z pewnością nie jest z nią w porządku, nie mogę jej tutaj zostawić. Może jej się coś przydarzyć.

– Hej – mówię do Bona. – Chciałbyś może zawieźć nas do domu? Zapłacę.

– Nie jestem Uberem, dziewczyno. Zamów sobie.

Kolejna osoba skacze z nawisu do jeziora, wywołując więcej okrzyków u zebranych. Wokół robi się coraz głośniejsze. Podnoszę

wzrok. To tylko morze zniekształconych twarzy i wijących się ciał. Blask płomieni sprawia, że znajomi ludzie wyglądają jak niebezpieczni obcy.

– To jak? Kupujesz coś więcej niż wodę? Bo jeśli nie, to zwolnij miejsce dla klientów. – A więc Bon sprzedaje ziło i piguły. Oczywiście. Powinnam była się domyślić. Nikt nie jest miły za darmo.

– Jasne. – Chwytam Vee i pomagam jej wstać.

– Nie czuję się zbyt dobrze – mówi.

– W porządku. Idziemy do domu. Tam to odeśpisz.

Nagle Vee wyszarpuje się i zaczyna biec. Rozpędza się naprawdę szybko i natychmiast ruszam za nią w pościg. Wcale nie kieruje się w stronę domu, ale w stronę nawisu.

– Vee! Stój!

Nie zatrzymuje się. Wspina się po stromej ścieżce, wymachując rękami i śmiejąc się dziko, a ja podążam za nią. Choć dobrze biegam, w jakiś sposób wciąż ma nade mną przewagę. Pewnie to, co przyjęła, dało jej niezły zastrzyk energii. Mknie w ciemności, ślizga się po kamieniach, ale wchodzi na górę, a ja wpadam na nawis tuż za nią.

Vee wydaje z siebie okrzyk i odwraca się do mnie. Rozkłada ramiona i przewraca się na mnie. Jest cała spocona i ciężko oddycha, czuję każdy fragment jej ciała.

– Jasna cholera – rzuca. – Ale ty jesteś szybka.

– Tylko kiedy muszę – odpowiadam. Przechodzi mi ochota nakrzyczenia na nią. – Vee, ty naprawdę musisz przestać brać to dziadostwo. Czy ty w ogóle wiesz, co to było?

– To właśnie połowa całej zabawy – wyjaśnia Vee i wydaje z siebie niski, gardłowy pomruk, którego wibracje dokładnie czuję. – Chcesz wiedzieć, jaka jest druga?

– Nie – kłamię.

– Jesteś nudna, Lanto Proctor – oznajmia i zanim w ogóle reaguję w jakikolwiek sposób, zanim udaje mi się wymienić powody, dla których uważam to za złą ocenę, zaczynamy się całować. W jednej chwili zapominam o tym, dlaczego tutaj jestem i że cały pomysł Vee był niewypałem, ponieważ jest to najlepszy pocałunek, jakiego doświadczyłam, i chcę jeszcze więcej.

Vee odrywa się ode mnie, ciężko chwytając powietrze.

– Co to było, do cholery?

Wydaje mi się, że żartuje, ale w tej chwili też to słyszę. Byłam zbyt zaskoczona i skupiona na niej, żeby wychwycić szelest pod drzewem i towarzyszące mu jęknięcie. A może wydawało mi się, że to nasze odgłosy. Myliłam się.

Moje oczy przywykły już do ciemności i widzę wyraźnie twarz Vee. Ktoś za nią leży na ziemi. Dostrzegam blade nogi.

Grzebię w kieszeni w poszukiwaniu telefonu i włączam latarkę, która oświetla wszystko z brutalną szczegółowością. Światło odbija się od bladej skóry na udzie dziewczyny, której włosy zaplątały się w korzenie drzewa. Przypomina porzuconą lalkę.

Moje serce gwałtownie przyspiesza. Tkwię w bezruchu przez kilka sekund, po czym przeciskam się między kamieniami i kucam obok niej. Żyje i słyszę, jak jęczy.

– Jezus, co jest z nią nie tak? – słyszę za plecami głos Vee. – Nie dotykaj jej!

– Żyje – mówię. Dziewczyna leży twarzą do ziemi, otoczona wieńcem własnych włosów. Nie wiem, kto to jest, ale nie chcę jej ruszać. Drżę ze strachu, a jednocześnie czuję, że muszę dowiedzieć się więcej. Bo coś jest z nią nie tak. Zastygam, kiedy światło latarki łapie smugę krwi na dużym kamieniu leżącym tuż obok niej. We włosach też ma krew. *O Boże.*

– Powinnyśmy stąd pójść – mówi Vee. – Natychmiast! Dalej, Lanta! – Niemal panikuje.

– Nie mogę jej tak zostawić! – Co się jej stało? Upadła? A może ktoś chwycił ten kamień i walnął ją w głowę? Nie potrafię jasno myśleć i nie chcę dokonać złego wyboru.

Układam telefon w dłoni i zaczynam naciskać przyciski.

– Co ty robisz, do cholery? – rzuca ostro Vee. Jest zła. – Lanta! O nie, chyba nie dzwonisz na gliny? – Jej akcent jest teraz dużo bardziej słyszalny.

Nie odpowiadam na jej pytanie, wybieram po prostu numer.

– Policja w Norton, słucham? – pyta głos, który wydaje się tak leniwy, jak lato nad jeziorem. Delikatny, spokojny i dziwnie kojący.

– Leży tutaj dziewczyna. Jest ranna. – Spoglądam na Vee, która rzuca mi lodowate spojrzenie. Odwraca się i znika na ścieżce prowadzącej w dół. Korzysta z okazji, żeby się ulotnić. Jestem zdruzgotana. W krótkiej chwili przeszłam od najlepszego na świecie pocałunku do tej niebezpiecznej sytuacji i błyskawicznie uświadamiam sobie, że jestem zupełnie sama.

Znów czuję, że brakuje mi tchu i drzę. Wstaję i się rozglądam. Ścieżka wygląda w tej chwili kusząco. Odwracam od niej wzrok i zerkam w stronę jeziora.

Widzę mój dom – maleńką przystań w ciemności, oświetloną lampami systemu bezpieczeństwa. Myślę o mamie śpiącej w swoim łóżku. Śpi w przekonaniu, że postępuję właściwie. Policjantka informuje mnie, że powinnam sprawdzić, w którym miejscu dziewczyna została ranna. Nie chcę tego robić, ale wiem, że muszę. Jestem jej jedynym wsparciem w tym momencie. Próbuję kilka razy, po czym pokonuję strach i w końcu to robię. Dotykam ostrożnie jej głowy, ale nie natrafiam na nic poza krwią.

– Nie wiem, gdzie została zraniona – informuję. – Leży twarzą do dołu.

– Dobrze, musisz ją teraz ostrożnie przewrócić na bok. Jestem tutaj z tobą. – Głos operatorki jest ciepły i spokojny, dzięki czemu odzyskuję siły pozwalające mi odłożyć telefon i przełączyć go na

głośnik. Jakaś część mnie woła, że nie chcę tego robić. Mimo to ostrożnie odwracam dziewczynę na bok. Z tej strony zauważam, że cała lewa strona jej głowy wygląda... *jakoś nie tak*. Spłaszczona. Jej jasne włosy zmatowiały w jednym miejscu, a widzę też luźno wiszący kawałek skóry. O *Boże*. Walczę ze sobą, żeby nie odskoczyć do tyłu. Zaciskam mocno oczy, ale nie mogę pozbyć się tego widoku, jakby został wypalony na dobre na mojej siatkówce. Robi mi się niedobrze. Wydaję z siebie urwany okrzyk, ale kobieta po drugiej stronie linii wciąż mówi i staram się skupić na jej głosie.

– Tak – mówię, choć nie wiem, co w ogóle powiedziała. – Ach, ma ranę głowy. Chyba... chyba uderzyła nią o skałę, albo coś w tym rodzaju. Nie wygląda to dobrze.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że znam tę dziewczynę. To Candy Clark, dość znana w szkole. Chyba z ostatniej klasy. Właśnie skończyła osiemnastkę. Zauważam u niej lśniący cień do oczu. Taki jak mój. To jest przykre. Czuję, że płyną mi po policzkach łzy, zapewne w reakcji na szok. Drżę na chłodnym wietrze, ale kiedy dotykam Candy, ta wydaje się jeszcze zimniejsza. Zdejmuję kurtkę i okrywam ją z nadzieją, że to pomoże.

Vee odeszła. Zostawiła mnie tutaj samą.

Głos w telefonie każe mi się uspokoić. Informuje mnie, że wysłała ambulans i policję oraz że powinnam monitorować puls Candy. Próbuję, ale mam lodowate palce i nie jestem pewna, czy w ogóle cokolwiek wyczuwam, czy tylko sobie to wyobrażam. Trzęsę się tak mocno, że szcękam zębami.

Chcę do mamy. Ona by wiedziała, co zrobić.

W dole, na plaży, wciąż dudni muzyka, jednak w oddali słyszę już narastający dźwięk syren. Słyszę, jak ludzie krzyczą „gliny!”. Nie mogę teraz spojrzeć w dół, ale wyobrażam sobie, że wszyscy, którzy zachowali przytomność, zrywają się właśnie do ucieczki. Próbuję zachować spokój i liczę uderzenia serca, które tak trudno wyczuć mi przez zmarznięte opuszki.

– Hej – odzywam się. – Candy? Słyszysz mnie?

Chyba jednak mnie nie słyszy. Płaczę, mam dziwny głos i muszę wysmarkać nos, zanim spróbuję ponownie.

– Candy, to ja, Lanny Proctor. Jestem tutaj. Nie zostawię cię samej, okej? Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Słyszę odgłos uruchamianych silników. Imprezowicze wynoszą się stąd w diabły.

Jestem przez to jeszcze bardziej samotna.

Operatorka informuje mnie, że pomoc jest już w drodze. Brzmi profesjonalnie i spokojnie, co z pewnością pomaga, jednak wciąż czuję się tutaj strasznie odizolowana od świata, jakbym była oprócz Candy jedyną żywą istotą. Szkoda, że nikogo tu nie ma. Kogokolwiek.

Chyba sobie jednak kogoś wyblagałam, bo słyszę kroki na ścieżce. Może to Vee? Ale to nie jest ona.

To Bon. Co on tutaj robi?

W blasku księżyca jego twarz jest blada i spocona.

Instynktownie wyciszam mikrofon.

– Hej – mówi. – Widziałem, jak zmywa się twoja przyjaciółka. Wszystko gra?

Mam ochotę rzucić mu się w ramiona i rozplakać, ale tego nie robię. Wskazuję tylko dziewczynę. W świetle latarki z mojego telefonu wygląda na kredowobiałą i martwą, ale wyczuwam nadal puls na jej szyi. Bon otwiera szeroko oczy.

– Czy ona żyje? – pyta. Kiwam głową. Nie jestem pewna, czy potrafię teraz składać pełne zdania. *Już w porządku. Bon tutaj jest. Jest starszy, będzie wiedział, co robić.*

Operatorka pyta, czy wciąż jestem tutaj sama. Przykładam palec do ust, żeby ostrzec Bona, po czym włączam mikrofon.

– Jestem tylko z nią.

Bon okazał się odważny, że wszedł tutaj za mną, ale ma zapewne przy sobie mnóstwo narkotyków i mógłby znaleźć się

w poważnych opałach. Mógł przecież uciec, jak wszyscy pozostali. Nie chcę, żeby go aresztowali.

– Widziałaś kogokolwiek tam na górze? – pyta operatorka.

– Nie. To znaczy, tak. Ludzie skakali z nawisu do wody. Ale nie wiem, kto to był. – To kłamstwo, powinnam wspomnieć o Lottie. Nie robię tego jednak, jej również nie chcę wpędzić w tarapaty.

Bon coś gestykuje. Chyba prosi mnie o telefon. Podaję mu go, a uczucie związane z przeniesieniem odpowiedzialności przynosi mi ogromną ulgę. Dziękuję mu samymi ustami.

Zamiast jednak porozmawiać z operatorką, Bon kończy połączenie i wyłącza telefon. *Co jest, do cholery?*

– Żałuję, że to ty musiałaś ją znaleźć, Lanny – mówi.

Przez kilka długich sekund nie wiem, o co mu chodzi. Naprawdę nie wiem.

Wtedy uświadamiam sobie, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazłam, i przechodzi mnie gwałtowny dreszcz. Czuję nagle ogromny strach, ale staram się go odepchnąć. Jeśli mam z tego wyjść cało, muszę być mądra, jednak mój mózg cały czas walczy, płacze się i zastanawia, co robi Bon, dlaczego zrobił to Candy, kiedy to nastąpiło... tak wiele pytań. Nie zadaję ich jednak. Oddycham tylko i patrzę. Kiedy Bon wsuwa do kieszeni mój telefon, podnoszę się powoli z kolan i odsuwam od Candy. Ani na chwilę nie spuszczam z niego oczu.

– Gliny tutaj jadą – mówię, choć brzmi to idiotycznie. Oboje słyszymy syreny w oddali. Nie musi to jednak wcale oznaczać, że są naprawdę blisko, nie w takim hrabstwie.

– To znaczy, że musimy załatwić to szybko – odpowiada i z pochwy przymocowanej do paska wyjmuje nóż. – Przykro mi, Lanny, to nic osobistego.

O cholera.

[4] Killing Rock (ang.) – Zabójcza Skała (przyp. tłum.).

Rozdział 9

Lanny

– Ty to zrobiłeś? – Nie dowierzam. Nie chcę nawet myśleć, że spędziłam całkiem miło czas, siedząc obok chłopaka, który rozbił głowę jednej z moich koleżanek z klasy.

Wzrusza ramionami.

– Ona mnie okradła. Powinna była wiedzieć, jak to się skończy. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Poza tym mam partnera, a on sobie na coś takiego nie pozwoli.

Policja jest w drodze, ale nie sposób stwierdzić, kiedy znajdą się na miejscu. Za kilka minut? Mogę nie mieć tyle czasu. Bon blokuje mi drogę do ścieżki prowadzącej na plażę. Staram się więc przeciągać czas, bo ci gliniarze są moją jedyną nadzieją i kiedy się zjawia, to może zdecyduje się uciec. Wiem jednak, że tego nie zrobi.

Nie może.

– Może... – Mój głos brzmi słabo i cicho i cała się trzęsę. Nie mogę złapać tchu. – Może to był wypadek. Upadła i uderzyła się w głowę. Mogę im powiedzieć, że tak powiedziała.

– A jeśli dojdzie do siebie i zezna co innego? – Kręci głową. – Słuchaj, nie chciałem jej skrzywdzić. Potrząsnąłem nią, popchnąłem,

a ona przewróciła się na kamień. – Nie jestem przekonana, czy to jest prawda. Kiwam jednak głową. Bez przerwy obraca w dłoni nóż i wyczuwam, że tak naprawdę nie chce mnie skrzywdzić.

Słyszę, że ktoś wspina się po ścieżce. Przepętnia mnie ogromna ulga, aż miękną mi kolana. Przyjechała policja. Dzięki Bogu.

Ale to nie jest policja. Syreny wciąż wyją, coraz głośniejsze, ale policjanci jeszcze nie dojechali na miejsce. Ta cudowna fala ulgi ustępuje nagle miejsca prawdziwemu strachowi, który sprawia, że zasycha mi w ustach, a dłonie zaciskają się w pięści. Młody mężczyzna, który pojawia się na górze, jest spocony, śliski i starszy niż Bon. Ma na sobie stary, poplamiony podkoszulek i nosi bajerancką fryzurę. Przykry odór jego ciała czuję już z odległości metra. Nie wygląda na naćpanego, jak Bon, co chyba przeraża mnie jeszcze bardziej.

Przenosi spojrzenie z Bona na mnie i mówi:

– Co ty sobie myślisz, do cholery? Kurwa, chłopie. Powiedziałem ci, żebyś zgarnął pieniądze, a nie zabijał kogoś! Teraz mamy przesrane.

– Naprawię to – obiecuje Bon i rusza w moim kierunku, unosząc nóż. Nie mam już czasu tego przeciągać i próbuję w jednej chwili wymyślić jakiś plan, walcząc z paniką. Nie jest zbyt wysublimowany, ale powinien wystarczyć.

Biegnę prosto w ciemność czającą się za krawędzią nawisu.

Skaczę.

Ale mi się nie udaje.

Bon rzuca się za mną w pościg. Ma wystarczająco długie ramiona, żeby chwycić mnie za tył koszulki. Pociąga mnie do tyłu i wytrąca z równowagi. Wymachuję rękami niczym śmigłami, usiłując utrzymać się na nogach, ale znów pociąga i ląduję na ziemi. Skręcam się i przyjmuję pozycję ochronną, obejmując się za głowę. Czuję, że ciągnie mnie z powrotem jak worek.

– Puszczaj! – wołam i zaczynam krzyczeć. Słyszę, jak mój wrzask niesie się echem po powierzchni jeziora. Może ktoś mnie usłyszy.

Problem w tym, że krzyki roznosiły się tutaj przez cały wieczór.

Panika wypala w mojej piersi dziurę. Uderzam Bona rękami i wierzgami nogami, a kiedy pochyla się, żeby lepiej mnie schwycić, z kieszeni wypada mu mój telefon. Chwytam go, naciskam przycisk wywołujący menu alarmowe i wybieram 911. Nie słyszę ich odpowiedzi, krzyczę tylko:

– Pomocy, jestem na Killing Rock, oni...

Wytrąca mi z dłoni telefon, który stuka o kamienie i znika. Mam wrażenie, że straciłam ostatnią deskę ratunku. Czuję się zupełnie odsłonięta. Nie mogę zadzwonić do mamy. Nie mogę skontaktować się z policją. Nie wiem nawet, czy operatorka usłyszała moje słowa.

Tak bardzo się boję. To, co dzieje się wokół, wydaje się takie *ostateczne*. Nie potrafię powstrzymać łez płynących mi po policzkach. Przed oczami pojawiają mi się wszystkie te momenty, których nigdy więcej nie doświadczę: przytulenie mamy, Sama, Connora; pocałunki pięknych dziewcząt; filmy, zabawy, śmiech i bieganie. Obrazy najpierw przesuwają się z dużą szybkością, a potem zatrzymują z krystaliczną wyrazistością w mojej głowie.

Muszę poradzić sobie z tym sama.

Nikt nie przybędzie mi na pomoc.

Przestaję walczyć. Staję się bezwładna i ciężka, ale to nie przeszkadza Bonowi w ciągnięciu mnie po ziemi. Nie mam się czego chwycić... Wtedy przypominam sobie wszystko to, czego nauczyła mnie mama. Te ruchy do tej pory zawsze kojarzyły mi się z zabawą. Ale nie teraz. Teraz są wszystkim, co mi pozostało.

Słyszę niemal jej głos: jeśli nie pozostaje ci nic innego, musisz użyć swojego własnego ciała.

Przekręcam się błyskawicznie.

Nadgarstek Bona wykręca się pode mną, a jego ramię zostaje naciągnięte. Zapieram podeszwy butów do biegania o kamienie i wyskakuję do góry, zrywając jego kontakt z moją koszulką. Chyba się rozdziera, ale nie obchodzi mnie to teraz. Pozwalam, by zadziałał pęd, dzięki któremu kucam i odskakuję, kiedy ten drugi rzuca się w moją stronę.

– Łap ją! – woła Bon. Robię unik.

Odwracam się, kurczę niczym sprężyna i znów biegnę w stronę krawędzi.

Nigdy dotąd tego nie robiłam. Nigdy nie skakałam do wody, a w dole jest zupełnie ciemno, nie sposób stwierdzić, jak blisko jest powierzchnia ani gdzie znajdują się niebezpieczne kamienie. Skaczę na ślepo, wiem jednak instynktownie, że to moja jedyna szansa, żebym wyszła z tego cało. Ogarnia mnie przerażenie, ale mimo to spadam w nicość.

Lecę przez dwie długie sekundy. Jeśli uderzę o skały, roztrzaskam sobie nogi. Całkiem możliwe, że nawet się nie zorientuję, dopóki nie znajdę się pod wodą. *Nie, nie, nie, nie w taki sposób...* Nie chcę zakończyć życia nad dnem. Nie mogę. Każda komórka mojego ciała krzyczy w proteście, a przed oczami pojawia się niespójna seria obrazów związanych z unoszeniem się w wodzie, z podwodnym ogrodem mojego ojca, pełnym martwych kobiecych ciał. *Nie w taki sposób.*

Udaje mi się uniknąć niebezpiecznych kamieni. Zwinięta w kokon, uderzam w taflę wody z potężnym rozbryzgiem, który tak kłuje, jakbym wylądowała w płomieniach. Znikam pod powierzchnią i natychmiast rozpościeram ręce, żeby wrócić na górę. Mam nadzieję, że płynę w dobrą stronę, bo jest zupełnie ciemno. W wodzie jestem ślepa. Straciłam poczucie kierunku i równie dobrze mogę kierować się ku dnu. Moje płuca już zaczynają płonąć, ale to tylko panika. Muszę ją powstrzymać, zanim pokona mnie i stracę wszystko. *Uspokój się. Płyń. Przebij powierzchnię.*

Kiedy w końcu moje palce stykają się z powietrzem, a po nich wynurza się głowa, mam wrażenie, że minęła cała wieczność. Łapię rozpaczliwie powietrze i próbuję określić swoje położenie. Gdzie jestem? Blisko brzegu przy Killing Rock, ale nie chcę wracać w tamtym kierunku. Plaża jest teraz praktycznie opustoszała, wszyscy uciekli w stronę wzgórz i zaparkowanych samochodów. *Policja. Gdzie oni są?* Gdzieś na horyzoncie widzę migające światła.

Po Vee nie ma ani śladu. Zostawiła mnie tutaj. *Zostawiła mnie samą.*

Dobrze biegam, ale nie należę do świetnych pływaków. Szybko się męczę i muszę przerywać, żeby w ogóle posuwać się naprzód. Wiem, że to nie jest bezpieczne. Stillhouse Lake jest głębokie i ciemne i ginęli w nim już ludzie. Nikt nie wie, że tutaj jestem, nie licząc Bona i jego handlującego prochami kolegi. Mój telefon przepadł.

Muszę się ratować, choć jestem taka zmęczona.

Nie widzę, czy mnie gonią, ale to bez znaczenia. Woda w jeziorze jest taka zimna, że czuję się coraz bardziej ospała. Muszę stąd wyjść. Natychmiast.

Płynę więc w kierunku brzegu.

Zjawia się pierwszy policyjny wóz, migając światłami. Tuż za nim zatrzymuje się ambulans. Nie potrafię nawet odczuwać ulgi, tak bardzo mi zimno.

Dwaj gliniarze, którzy wysiedli z samochodu, nie zauważają, że płynę w ich stronę. Stoją odwróceny plecami, a zanim udaje mi się zebrać oddech, by krzyknąć, ruszają w górę ścieżki. Ciekawe, czy uznają, że to ja skrzywdziłam Candy. To zupełnie nowy pomysł, który mi się wcale nie podoba. Znów zaczynam płynąć. Może nie powinnam wychodzić na brzeg?

Dopiero kiedy woda wlewa mi się do nosa i zaczynam panikować, uświadamiam sobie, że zwolniłam i zaczęłam tonąć. Wymachuję energiczniej rękami, dysząc ciężko. Plusk przyciąga

chyba uwagę sanitariusza, który zaczyna wołać, żebym wyszła z wody.

Płynę, aż dotykam nogami mułu. Wychodząc z wody, czuję się o pięćdziesiąt kilo cięższa, poza tym nie znalazłam się na piaszczystej części plaży – wokół są tylko śliskie skały. Ślizgam się i upadam, ale w końcu jestem na brzegu. Odwracam się na plecy i po prostu... oddycham. Wykastuję wodę, której najwyraźniej się napiłam. Trzęsę się tak mocno, że aż wszystko mnie boli. Sanitariusz podbiega do mnie i okrywa mnie kocem. Woła coś do mnie, zadając pytania, ale nie odpowiadam. Nie jestem pewna, co powiedzieć. Chcę wracać do domu.

Mężczyzna pyta mnie o imię i w końcu udaje mi się je wypowiedzieć. Chyba je rozpoznaje, bo chwilę później wybiera numer w komórce i przysuwa mi ją do ucha.

– Lanny? – Słyszę głos mamy. Odnoszę wrażenie, że w moich zmarzniętych żyłach popłynęła ciepła woda i niemal wydaję z siebie jęk ulgi. – Co się dzieje?

Zaczynam płakać. Mówię coś, ale nie wiem nawet, czy mnie rozumie pośród tych wszystkich jęków i ciężkich oddechów. Zapewnia jednak, że już do mnie jedzie, powtarzam więc, że wszystko jest w porządku. Kiedy kończy połączenie, opadam na ziemię, dygocząc na całym ciele.

Okrywają mnie kolejnymi kocami, ale wciąż jest mi zimno, kiedy w pobliżu zatrzymuje się pickup Sama. Przyjechało więcej policji. Próbują zatrzymać moją rwącą się do przodu mamę, ale udaje się jej wyrwać i biegnie do mnie. Wyraz desperacji na jej twarzy sprawia, że w końcu czuję się bezpieczna. Podnoszę się powoli na nogi i jeszcze zanim odkładam koce, otacza mnie ramionami i przytula tak mocno, że aż boli. Cudowne uczucie.

Ulga trwa mniej więcej dziesięć sekund, po czym mama odsuwa się i pyta:

– Co ty sobie, do cholery, myślałaś? Dlaczego wyszłaś z domu w taki sposób? Nie mówiąc nikomu ani słowa?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chcę kłamać, ale wolałabym również nie mówić prawdy na temat Vee. Jest mi wstyd i wciąż czuję złość, że mnie tam zostawiła. Nie wiem nawet, dokąd uciekła. W końcu udaje mi się zebrać myśli.

– Chciałam... po prostu chciałam przyjść na tę imprezę, mamó. Wiedziałam, że nie pozwolisz... – Trzęsie mi się głos i znów zbiera mi się na płacz. Cała moja hardość się rozplynęła i znów czuję się jak mała dziewczynka. Pamiętam, jak miałam dwanaście lat i popisywałam się przed Connorem. Wyjęłam ze skrzynki pistolet mamy i zaczęłam go ładować i rozładowywać. Kiedy mnie nakryła, miała podobny wyraz twarzy. Zła, wystraszona, rozczarowana, tak bardzo zaniepokojona. To boli. Mam ochotę zwinąć się w kulkę i płakać bez końca.

Jestem jedynym prawdziwym świadkiem.

Jeśli policja nie dopadnie Bona i tego drugiego, znajdę się w prawdziwych opałach.

Rozdział 10

Gwen

Trudno mi nawet opisać ulgę, jaką w tej chwili odczuwam. Lanny jest zmarznięta, przemoczona i cała się trzęsie, ale żyje. Nie została ranna, jest tylko przerażona. Muszę zabrać ją do domu i przebrać w coś suchego, jednak funkcjonariusz, który zatrzymał pickupa Sama i kazał mu zaparkować nieco dalej, zbliża się do nas wraz z Samem i Connorem.

– Będziecie musieli poczekać na detektywów – oznajmia. – Są już w drodze.

– Jak ona się czuje? – pyta Lanny. – Candy, ta dziewczyna na górze.

Jest blada, wciąż drży, ale już opanowała emocje.

Na górze? Jaka dziewczyna?, zastanawiam się, ale nie czas teraz na pytania. Odwracam się do sanitariusza, który odpowiada mojej córce:

– Właśnie idziemy na górę. – Przenosi spojrzenie na mnie. – Z Lanny wszystko w porządku. Musi się tylko rozgrzać i odpocząć. Przez jakiś czas będzie miała podrażnione płuca, warto więc zabrać ją do lekarza. Być może zechce jej coś na to przepisać.

Powiedziawszy to, mężczyzna oddala się ze swoim kolegą z ambulansu, niosąc lekkie nosze. Kierują się w stronę nawisu, który dzieciaki nazwały Killing Rock.

– Skarbie, co się stało? – pytam Lanny.

Nie chce mi powiedzieć. Nie wiem, czy to kwestia szoku, samopoczucia, czy jeszcze czegoś innego. Mam ochotę naciskać dalej, ale Sam kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nic jej nie jest, Gwen. Uspokój się.

– Chciałam tylko pójść się pobawić – szepcze Lanny. Jej wargi odzyskały nieco wcześniejszą barwę, ale wciąż sprawia wrażenie częściowo podtopionej. – Przepraszam.

– Wiesz, jak niebezpiecznie jest tak wychodzić, pamiętasz, jak wyglądało to wtedy z ojcem...

Mój syn milczał do tej pory, ale teraz rzuca mi spojrzenie pełne niechęci i zniecierpliwienia.

– Tak, mam. Pamiętamy. Ona chciała po prostu, żeby było normalnie. Miała ochotę zrobić coś normalnego.

Powstrzymuję się przed powiedzeniem mu, że nigdy nie będzie normalnie, bo nie chcę, żeby to była prawda. Musimy znaleźć tę normalność. Pracować nad nią. Uświadamiam sobie teraz z jeszcze większą mocą, że nie możemy tutaj zostać. Bycie nastolatką jest trudne w każdych okolicznościach. Poziom trudności, na jakim muszą funkcjonować moje dzieci, jest miazdzący.

Nie możemy tak dłużej żyć.

Trzymam Lanny i pocieram jej ramiona, żeby się rozgrzała. Wszędzie dookoła walają się puste butelki, a przy brzegu wciąż pali się duże ognisko. Porzucone krzeselka turystyczne i porozrzucane śmieci dają pojęcie na temat liczby osób, które tutaj imprezowały. Teraz nie ma tutaj nikogo i wokół panuje dziwna cisza.

Dostrzegam światło na szczycie nawisu: sanitariusze zajmują się dziewczyną, o której wspomniała Lanny. Nie zabiera im to dużo czasu i po chwili schodzą w dół, niosąc nieruchome ciało na

noszach. Dziewczyna żyje, ale wygląda koszmarnie. Sądząc po ilości bandażu, ma poważną ranę na głowie. Lanny najwidoczniej ją tam znalazła. Ale dlaczego wylądowała się w jeziorze? Znow mam ochotę zasypać ją pytaniami, ale w tej samej chwili podjeżdża czarny sedan z detektywami. Dostrzegam detektywa Prestera, a po chwili moją przyjaciółkę Kezię Claremont. Prester nie wygląda na kogoś, kogo cieszy perspektywa wspinaczki. Przygląda się ścieżce, wysłała tam Kezię i rusza w naszym kierunku. Kiedy się zbliża, widok jego twarzy sprawia, że mieszają mi się zdarzenia z przeszłości z tymi bieżącymi. Pamiętam, że już kiedyś tak szedł w moją stronę – wtedy w Stillhouse Lake znaleziono ciało, a ja stałam się podejrzaną. Nie chcę, żeby przesłuchiwał moją córkę w podobny sposób.

– Hej, Gwen. Sam. – Prester wymienia z nami uściski dłoni, po czym przenosi spojrzenie na Lanny. Jego twarz należy do tych, które można uznać za miłe i pomocne aż do momentu, kiedy zatrzaśnie człowiekowi przed nosem drzwi do celi. Jego dobre maniery wcale mnie nie uspokajają. – Muszę z tobą porozmawiać, młoda damo. Gwen, możesz zostać z nami.

– Świetnie – odpowiadam, a Lanny bierze oddech, żeby zapewnić mnie, że poradzi sobie sama. Nie chcę jednak, żeby znalazła się w pułapce. Nie sędzę, żeby była czemukolwiek winna, ale... mimo wszystko. – Może w twoim samochodzie?

– Jasne, nie ma sprawy. Włączę nagrzewnicę. Panno Atlanto, usiądziesz ze mną z przodu. Gwen, możesz zająć miejsce z tyłu?

Nie mam nic przeciwko do chwili, kiedy zatrzaśnie drzwi. Przypominam sobie wówczas, że nie zdołałabym pewnie otworzyć ich sama od środka. Jednak to nie ja mam tutaj kłopoty. Moja córka jest twarda, ale wiem, że w środku jest nadal wystraszoną dziewczynką.

Detektyw Prester wyciąga telefon i naciska przycisk aplikacji do nagrywania.

– Mówi detektyw Timothy Prester, przesłuchuję Atlantę Proctor. Lanny, podaj proszę swój adres i datę urodzenia do akt.

Robi to, jękając się lekko. Nie wiem, czy to efekt chłodu, który wciąż czuje, czy stresu. Prester uśmiecha się do niej uspokajająco, co wzbudza moją ostrożność.

– W porządku, mamy teraz... drugą piętnaście nad ranem. Okej, obiecuję, że to nie potrwa długo. Wiem, że sporo dziś przeszłaś. Dobrze się czujesz? Niczego ci nie potrzeba?

Lanny kręci głową, ale nadal drży. Prester uruchamia silnik i dmuchawę.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło, po kolei, Lanny. Słucham.

Moja córka jest zaskakująco powściągliwa, ale wyciąga z niej wszystko krok po kroku. Wymknijcie się z domu. Przybycie na imprezę. Rozmowa z chłopakiem imieniem Bon. Pójdźcie na nawis, żeby oddalić się od tłumu. Znalezienie ofiary.

Wiem, że mówi prawdę na temat kolejności zdarzeń. Wiem, że pewne szczegóły ukrywa. Prester również.

Opowiada o konfrontacji na szczycie, o Bonie Caseyu i drugim mężczyźnie. Prester tylko kiwa głową. O ile to w ogóle możliwe, wygląda jeszcze bardziej ponuro.

– Z twojego opisu wynika, że był to prawdopodobnie Olly Belldene – mówi. – Bon Casey wykonuje dla niego drobną robotę, sprzedając pigułki i trawkę na imprezach. Zajmiemy się tym.

Wiem, że nic dobrego z tego nie wynika. Nie potrzebowaliśmy kolejnych powodów, żeby toczyć wojnę z Belldene'ami, ale one same nas znalazły. Moja córka jest jedynym świadkiem przestępczej działalności Olly'ego Belldene'a, co bardzo, ale to bardzo mnie niepokoi.

Lanny musi również zdawać sobie z tego sprawę. Siedzi ze zwieszonymi ramionami i choć już się nie trzęsie, wydaje się jednym wielkim kłębkim nerwów. Prester kończy przesłuchanie i dziękuje jej

za pomoc. Wypuszczam powietrze i uświadamiam sobie, że boli mnie całe ciało. Robiłam wszystko, żeby tylko się nie wtrącić.

Kiedy Lanny sięga do klamki, Prester dodaje:

– Jeszcze jedno, Lanny. Chciałbym pobrać twoje DNA, żeby wyeliminować cię z miejsca zbrodni, okej?

Chcę się sprzeciwić. Ogarniają mnie wątpliwości, ale Lanny otwiera tylko usta, kiedy Prester wyciąga sterylną pałeczkę z pojemnika. Zanim wypowiadam słowa, że to nie jest dobry pomysł, jest już po wszystkim. Prester robi to zwinnie jak magik na scenie. Jej DNA z pewnością znajdzie się na Candy, nie mam co do tego wątpliwości. Dotykała ją przecież, sprawdzała puls. Ale może to dobre posunięcie, a nie początek czegoś gorszego. Dostrzegam jednak tysiąc innych, znacznie gorszych zakończeń tej sprawy.

Prester informuje nas, że możemy już wracać. Jestem wyczerpana, ale wciąż mocno zdenerwowana i chciałabym już być ze wszystkimi w domu. Waham się jednak chwilę i w końcu zadaję mu pytanie wprost:

– Czy my jesteśmy tutaj bezpieczni?

Zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

– Chciałbym powiedzieć, że tak. Ale wy już macie swoje własne problemy z Belldene'ami, a teraz jeszcze to. Może dobrze byłoby się wybrać na rodzinne wakacje? Jeśli będziecie potrzebni, zawsze mogę zadzwonić.

Wzdycham.

– Dzięki. Chyba tak zrobimy. A skoro o Belldene'ach mowa... przyjechałam dziś gości z samej góry. Przyjechali do mnie Jasper i Lilah. Dostałam zapiekankę w prezencie.

Wbijają we mnie wzrok. Chyba po raz pierwszy zaskoczyłam detektywa Prestera.

– Zjadłaś ją?

– Nie. Bałam się, że w środku może być jakaś przykra niespodzianka.

– Wątpię, szczerze mówiąc. Lilah to świetna kucharka, a jej potrawy obrosły tutaj legendą. Nie chciałyby rzucić cienia na swoją reputację. Czego chcieli?

– Żebyśmy się wynieśli – odpowiadam. – I to było przed całą tą akcją. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby po tym polubili nas bardziej.

– Ma to swoje dobre strony. Skoro zamierzamy poszukać Olly’ego, będziemy musieli dość dokładnie przeczesać ich włóści. Powinni przez to stać się nieco ostrożniejsi. – Prester się nie uśmiecha. Wie równie dobrze jak ja, z jakim niebezpieczeństwem to wszystko się wiąże. – Musisz być naprawdę ostrożna, Gwen. Nie podoba mi się to wszystko, ani trochę.

Mnie również. Zabieram rodzinę do domu, który chyba nie jest już bezpiecznym miejscem. Czeka nas bardzo krótka noc. Próbuję porozmawiać z Lanny, ale ta jest zbyt wyczerpana i zdenerwowana, a ja czuję się jak podła mama, która próbuje ją na siłę obudzić. Jeszcze przyjdzie na to czas.

Tej nocy nie udaje mi się już zmrużyć oka.

Rozdział 11

Gwen

Naszą ucieczką staje się sprawa Remy'ego Landry.

Wyjeżdżamy wczesnym rankiem ze Stillhouse Lake i wjeżdżamy na autostradę w kierunku Luizjany. Czekają nas długa, jedenastogodzinna wyprawa na południowy zachód. Zabieramy SUV-a, który zapewnia nam przynajmniej względny komfort. Muszę przyznać, że widok oddalającego się we wstecznym lusterku domu jest całkiem przyjemny. Za dużo kłopotów wiąże się z tym miejscem.

Pozostawienie miasteczka za sobą wydaje się przynosić ulgę, choć wiem, że jest ona tylko tymczasowa. Niezależnie od tego, co wydarzy się podczas podróży, będziemy musieli wrócić do Belldene'ów, którzy muszą być wściekli jak szerszenie, że moja córka jest głównym świadkiem przeciwko jednemu z nich. Chcieli, żebyśmy się stamtąd wynieśli, więc przynajmniej tyle możemy dla nich zrobić. Nie zamierzam jednak prosić mojego dziecka, żeby kłamało w ich sprawie.

Poranna mżawka zmienia się w deszcz jeszcze przed wjazdem do Missisipi, ale jednocześnie rośnie temperatura. Sam prowadzi, a ja śpię tyle, ile tylko mogę. W końcu dzwonię do ojca Remy'ego.

Nie odbiera, ale włącza się poczta głosowa. Wyjaśniam mu, że przyjechałam do miasta i chcę się spotkać w sprawie jego syna. Zostawiam numer telefonu i adres zarezerwowanego wcześniej miejsca, w którym się zatrzymamy.

Po przybyciu na miejsce wszyscy jesteśmy zmęczeni i zesztywniali.

Rodzinne miasto Remy'ego niczym się nie wyróżnia, ot, większy punkt na drodze, kilka tysięcy mieszkańców, parę barów szybkiej obsługi, burgerowni i postojów dla ciężarówek. Do tego kilka francuskich restauracji, wszystkie jasno oświetlone neonami.

Przed dwudziestą drugą jesteśmy w motelu. Przypominam sobie natychmiast wszystkie te tanie noclegownie, w których zatrzymywałam się w ostatnich latach, uciekając z dziećmi to z jednego, to z drugiego domu. Jeszcze więcej moteli zaliczyliśmy z Samem, polując na Melvina. W motelach czuję się jednocześnie przybita, jak i ogarnięta dziwną nostalgią.

Tym razem celowo wybrałam coś przyjemniejszego. Czysty, dobrze oświetlony, stosunkowo nowoczesny. J.B. zapłaciłaby pewnie za hotel z wyższej półki, ale tutaj jest mi wygodniej, a poza tym niedaleko stąd do domu rodzinnego Landrych. Ojciec Remy'ego jeszcze nie oddzwonił, mam jednak nadzieję, że zrobi to rano. Jeśli nie, będę musiała się do niego wybrać. Rozpakowujemy się w swoich pokojach – w jednym dla mnie i Sama i drugim dla Lanny i Connora. Moja córka zaczyna już oczywiście narzekać i utrzymuje, że powinna mieć osobny pokój, w którym nie musiałaby się dzielić łazienką. Ale poza tym wszystko jest w porządku. Myślę, że poczuła ulgę, oddalając się od Stillhouse Lake. Podobnie jak Connor.

Kładziemy się do łóżka, ale męczy mnie duża wilgotność, jaka tutaj panuje. Nie mogę się ułożyć. W końcu się poddamę i zaparzam sobie filiżankę zaskakująco dobrej kawy z ekspresu w pokoju. Otwieram laptopa, żeby sprawdzić wiadomości.

Co dziwne, jest ich kilka. Skonfigurowałam sobie filtry dotyczące słów, dzięki którym każda wiadomość zawierająca wyrazy takie jak „gwałt”, „kurwa” czy „zabić”, trafia do folderu o nazwie RADIOAKTYWNE, chyba że pochodzi od znanego mi nadawcy. Ale te wiadomości obeszły filtr. Wszystkie pochodzą z anonimowych kont, w większości złożonych z samych ciągów liczb.

Nie zawierają niczego poza zdjęciami.

W dzisiejszych czasach trudno jest mnie już czymś zaskoczyć. Widziałam miejsca okrutnych zbrodni, zarówno na kolorowych obrazach w wysokiej rozdzielczości, jak i w realnym życiu. Przyglądałam się ofiarom okaleczeń i przemocy. Większość z nich wciskano mi na siłę za pomocą podobnych kont, mając na celu wywołanie u mnie strachu.

Te zdjęcia są jednak dość niepokojące. Jedno z nich zostało zrobione na miejscu zbrodni – Bóg wie gdzie – z dużym nasyceniem kolorów, przez co krew ma mocny, czerwony odcień. Kobieta leżąca na ziemi. Nie ma twarzy, jedynie postrzępioną dziurę w miejscu, w którym powinna się ona znajdować. Jedno oko leży na ziemi tuż obok. Ma matową, brązową barwę.

Napis na zdjęciu mówi: *Wkrótce, suko.*

Szykuję się na następne zdjęcie. I kolejne. I jeszcze jedno. Wszystkie są straszne, ale kilka się wyróżnia. Widzę takie, które ma stanowić bezpośrednią pogrózkę skierowaną do Sama. Przerazona, przechodzę do gróźb wobec moich dzieci. W tego typu korespondencji zawsze znajdowałam kretynów, którzy uwzięli się na mnie, ale groźby związane ze zgwałceniem i zamordowaniem moich dzieci są czymś, co wywołuje we mnie wyjątkowe emocje. Lanny i Connor ich nie obchodzą. Dla tych chorych skurwysynów to tylko kawałki ciała, które można rozerwać dla efektu. Czuję ogromną wściekłość i strach, ale tego właśnie ode mnie oczekiwali. Wiem o tym i nic na to nie poradzę.

Powtarzam sobie, że to zupełnie normalne, że panika przychodzi falami i wkrótce odejdzie... ale nawet wtedy ataki nigdy nie ustają. Zawsze na forach pojawi się ktoś nowy, kto opublikuje jakiś wątek, wezwie do działania. Ci ludzie czują się bezradni i są szczęśliwi, kiedy mogą uderzyć choćby w taki sposób.

Internet bardzo skutecznie organizuje hejt. Pozwala ludziom uwierzyć, że są wojownikami w słusznej sprawie, podczas gdy w rzeczywistości stukają jedynie w klawisze. Ogromne uderzenie adrenaliny, zerowe zagrożenie. Większość z nich nigdy nie posunie się dalej. Jeden strzał i znikają.

Zawsze jednak istnieje możliwość, że jedna z tych wiadomości pochodzi od stalkera dysponującego czasem i chęcią do podróżowania. Człowieka gotowego śledzić naszą rodzinę w oczekiwaniu na nadarzącą się okazję. I to właśnie mnie przeraża, bo wiem lepiej od innych, że bezpieczeństwo jest iluzją.

Zatrzymuję się przy trzydziestej czwartej wiadomości, bo widzę zdjęcie, na którym jest cała nasza czwórka. Ja, Sam, dzieci. Stoimy przed domem i rozmawiamy. Lanny się uśmiecha. Mam na sobie swój ulubiony czerwony sweter. Na każdej z naszych postaci narysowano celowniki.

Zdjęcie zrobiono niedawno, nie dalej niż miesiąc temu, bo pamiętam, że kupiłam ten sweter, kiedy zaczęła psuć się pogoda.

Podpis jest ciosem w twarz. *Nie zaznacie szczęścia*. Ile razy to już słyszałam? Z ust rodzin ofiar, byłych znajomych czy zupełnie obcych osób.

Wystarczająco często, żebym musiała się napracować nad umiejętnością ignorowania tych słów.

Archiwizuję wszystkie wiadomości na pendrivie, łącznie z nagłówkami, a następnie nurkuję do „radioaktywnego” folderu, żeby znów pogrzebać w ściekach. Tu jest jeszcze gorzej, ale na szczęście przeważają słowa, nie obrazy. Umieszczam je na oddzielnym dysku. Około dwustu wiadomości.

Podskakuję, kiedy na moim ramieniu ląduje dłoń Sama.

– Jesteś taka cicha – mówi.

– Tak. – Zamykam pokrywę laptopa i odwracam się do niego z uśmiechem. Mój uśmiech jednak znika, kiedy dostrzegam jego poważną minę.

– Muszę z tobą porozmawiać. Masz chwilę?

– Jasne. Ojciec Remy’ego i tak jeszcze nie oddzwonił. – Czekam chwilę, po czym zadaję pytanie, którego się boję: – Co się stało?

Siada na skraju łóżka naprzeciw mnie i pociera dłonie. Ten gest ma znaczenie – oznacza, że Sam nie czuje się komfortowo i że chodzi o coś osobistego. – Skontaktowały się ze mną Zagubione Anioły.

Skontaktowały. Nie „groziły mi”. Nie odpowiadam, bo nie wiem, co powiedzieć. On chyba też nie.

– Prosimi, żebym ci przekazał, że zamierzają nagrać podcast. Sama wiesz, jakie one są teraz popularne.

Owszem, wiem. Słuchaczy liczy się w milionach. Sama nawet kilka subskrybuje.

– Na mój temat? – pytam. Kręci głową i opuszcza wzrok. To niepokoi mnie jeszcze bardziej.

– Nie bezpośrednio. Chodzi o mnie. Uważają, że mam coś wspólnego ze śmiercią Mirandy.

Miranda Tidewell i Sam byli... w związku. Nie tradycyjnym, opartym na seksie, z tego, co mi wiadomo, choć mocno się w to angażowała. Łączyła ich przede wszystkim wspólna trauma. Córkę Mirandy zamordował mój mąż. Podobnie jak siostrę Sama. To ona pomagała mu w najtrudniejszych chwilach, nie ja. To ona wiedziała, jak przekształcić rozpacz Sama w czysty gniew skierowany przeciwko Melvinowi i kobiecie, która umożliwiła mu popełnianie wszystkich tych zbrodni.

Przeciwko mnie.

Miranda naostrzyła Sama i skierowała go w moim kierunku jak włócznie i pozostaje mi tylko dziękować Bogu, że miał na tyle rozumu, żeby sobie uświadomić, że został wykorzystany. I że byłam niewinna.

Miranda nienawidziła mnie jednak do ostatniego tchu. Winiła Sama, że zwrócił się przeciwko niej i że mnie chronił. Nie było mnie przy tym, kiedy zginęła, ale Sam tam był. W oficjalnej wersji nie miał z tym nic wspólnego... ale to nie satysfakcjonowało głodnych kolejnych spisków maniaków na stronie Zagubionych Aniołów. Rozpoczynają kampanię przeciwko Samowi. To mnie przeraża, bo tylko wydaje mu się, że jest na to gotów. Widział, co groziło mnie, moim dzieciom... ale obserwowanie to nie to samo, co doświadczanie, a jego czeka teraz zanurzenie w gównie. Co gorsza, tego typu podcast może uczynić go pariasem, zrujnować zawodowo i osobiście. Sam chce znów latać, ale każdy potencjalny pracodawca poszuka go sobie najpierw w Google. Nazwisko Sama zostanie poważnie obciążone.

Wyciągam ręce, chwytam jego dłonie, a on podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. Uśmiecha się niepewnie.

– Przykro mi – mówi. – Nie sądziłem, że dojdzie do czegoś takiego. To chyba w porządku, że wysłali mi ostrzeżenie, zanim zrobi się nieprzyjemnie. – Akurat tu się z nim nie zgadzam. Uważam, że chcieli go nastraszyć. To psychologiczna tortura, w stosowaniu której Zagubione Anioły mają spore doświadczenie. Nie chcę ich nienawidzić – większość to pogrążone w smutku rodziny ofiar mojego byłego męża, zapewne zupełnie normalni ludzie. Jednak na tym forum, na tej stronie, jednoczą się w jednym konkretnym celu: pociągnąć mnie do odpowiedzialności. A teraz również Sama, bo opuścił ich po to, żeby być ze mną.

Biorę głęboki oddech.

– W porządku. Oto, co się wydarzy. Kiedy ruszą z podcastem, będą nabierać pędu przez tydzień czy dwa, kiedy wieści zaczną się

rozchodzić. Musisz teraz zamknąć swoje konto e-mail i utworzyć nowe, anonimowe. Nie używaj go do korespondencji z nikim, komu nie ufasz. Potem utworzysz drugie, którego będziesz używać w sytuacjach, kiedy konieczne jest podanie adresu, ale ono również musi znajdować się za firewallem. Nie rób niczego, nie logując się najpierw w wirtualnej sieci prywatnej. Pozbądź się telefonu i kup nowy. Zadzwoń do ludzi, którym ufasz, i powiedz im, co się wydarzy, aby uważali na specjalizujące się w inżynierii społecznej trolle, które zechcą zdobyć twój nowy telefon lub e-mail. Naszym największym zagrożeniem są ludzie, którzy uważają, że robią coś niewinnego.

– Zaplanowałaś to starannie – zauważa.

– Spodziewałam się, że może dojść do czegoś takiego – przyznaję. – Zagubione Anioły nigdy nie dadzą ci spokoju. Posłuchaj, w chwili, kiedy zdecydowałaś się z nami zostać, również stałaś się celem. I tak jestem zaskoczona, że to trwało tak długo. Ale oni idą po ciebie i to nie będzie przyjemne. Będą mówili podłe rzeczy na twój temat. Być może też na temat dzieci. Powiedzą cokolwiek, żeby tylko cię sprowokować do ujawnienia się. – Wytrzymuję jego spojrzenie. Zaczyna rozumieć. – Zniszczą twoją reputację i znajdą ludzi, którzy będą przeciwko tobie przysięgać. Narobiłeś sobie w życiu wrogów, którzy wyleżą z ciemnych zakątków jak karaluchy po zgaszeniu światła.

Czuję, jak zaciska dłonie na moich.

– Tak mi przykro, Sam. Będą próbowali wszystkiego i to okaże się bolesne. Znasz tych ludzi. Ufałaś im. Oni traktują to jak coś osobistego. Najprawdopodobniej dołączą do nich inne fora i twórcy podcastów. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie rozniesie się to po całym internecie, i trzymać głowy nisko, aż opadnie kurz. W porządku?

Wypuszcza powoli powietrze i mruga.

– W porządku. – Wcale tak nie jest. – Przepraszam. Wiem, że będzie z tym teraz mnóstwo zamieszania, a tobie coś takiego wcale

nie jest potrzebne.

– Ale ty jesteś mi potrzebny – odpowiadam z przekonaniem. – Sam. Słyszysz mnie? Potrzebuję cię.

Kiwa tylko głową. Podchodzę bliżej, siadam obok niego i się przytulam. Żałuję, że nie jestem w stanie tego powstrzymać. Miałam nadzieję, że po śmierci Mirandy działania Zagubionych Aniołów osłabną. Ktoś jednak popycha ich do przodu, zapewne w przekonaniu, że Sam zabił Mirandę i że uszło mu to na sucho. To zły znak, że gdzieś w tylnym rzędzie siedzi jakiś nowy przywódca.

Sprytnie zadziałali, zmieniając cel ataku. To wytrąci nas wszystkich z równowagi.

Szczególnie Sama.

– Zabiorę się za te wszystkie sprawy, o których wspomniałaś – mówi Sam. Czuję, że bardzo chciałby zmienić temat rozmowy. – Wciąż bez odpowiedzi ze strony taty Remy’ego?

– Cisza.

– Może pracuje do późna. Może nie wrócił do domu i nie odebrał wiadomości. Cholera, może jest na wakacjach na Bahamach. – Sam bardzo się stara, żeby zbagatelizować swoje problemy i skoncentrować się na moich. Nie wiem, czy to dobre podejście.

– Mam nadzieję, że to tylko coś takiego – przyznaję. – Myślę jednak...

Dzwoni mój telefon.

Wymieniamy spojrzenia z Samem. Zerkam na wyświetlacz. Numer z Luizjany, jednak nie ten, z którym się wcześniej połączyłam. Może komórka.

Naciskam przycisk.

– Gwen Proctor – mówię. Cisza.

– Powinna pani wracać do domu – mówi głos po drugiej stronie. Brzmi, jakby jego właściciel trochę sobie popił.

– Pan Landry?

– Powinna pani wracać do domu i powiedzieć temu, kto miesza w tej sprawie, żeby sobie odpuścił. – Zdecydowanie jest pijany i nieco mamrocze. – Nie mam pani nic do powiedzenia. Dla mojego chłopaka nie może pani już nic zrobić. Nie ma go już od dawna. Przepraszam za kłopot. – Miałam rację w kwestii akcentu Cajun u pana Landry’ego. Choć jest odurzony alkoholem, od razu słyszę tę melodię w jego głosie.

– Panie Landry, może wrócimy do rozmowy rano...

– Nie – ucina. Oddycha szybciej, jakby płakał. – Nie mogę. Nie dam rady. Nie.

Rozłącza się. Zerkam na telefon, zaskoczona.

– Zakładam, że nie chce rozmawiać? – mówi Sam. – Co zamierzasz?

– Jutro wpadnę do jego biura – odpowiadam. – Prowadzi komis samochodowy, więc to moja najlepsza opcja. Mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś będzie świadkiem sceny. Jeśli mi się nie uda, porozmawiam z przyjaciółmi Remy’ego w okolicy. Mam ich listę z jego mediów społecznościowych.

Sam kiwa głową.

– Okej, to już jakiś plan. Potrzebujesz mnie czy...

– Zawsze cię potrzebuję, chyba już o tym wspomniałam? – Trącam go. – Zawsze. O planach porozmawiamy potem. Jest już późno.

– W porządku – rzuca i spogląda na mnie. Uśmiecha się ciepło, a jego oczy są jeszcze gorętsze. – I jesteś zmęczona.

– Nie aż tak zmęczona – mówię i całuję go. Opadamy na łóżko i śmiejemy się spontanicznie, ponieważ jest twarde jak skała. Ale to już bez znaczenia, bo szybko zapominam o Zagubionych Aniołach i mrocznej, podłej nienawiści sączącej się z mojej poczty elektronicznej.

Nadchodzą kłopoty.

Jedynym lekarstwem na nie jest po prostu przetrwanie.

Poranek nadchodzi wcześniej, ale za to wraz z kawą i przyzwoitym śniadaniem. Lanny chce wybrać się ze mną do pracy. Zamierza być moją asystentką. Nie popełnię jednak drugi raz tego samego błędu. Sam obiecuje dzieciom, że kiedy ja pojedę odwiedzić ojca Remy'ego, oni zajmą się czymś fajnym. Żadne z nich nie sprawia wrażenia przekonanego, ale przynajmniej współpracują. Jak na razie.

Ojciec Remy'ego Landry prowadzi przyzwoity komis przy głównej ulicy. Dostrzegam nadmuchiwanego goryla, który kołysze się na wietrze, i mnóstwo kolorowych proporczyków. Parkuję samochód i wchodzę do biura. Za biurkiem wita mnie kobieta około czterdziestki, którą proszę o rozmowę z szefem. Natychmiast przygląda mi się nieufnie. Chyba nie wyglądam jak ktoś, kto szuka nowego samochodu.

– Po co? – pyta. – Jest pani jedną z naszych klientek?

– Proszę mu tylko przekazać, że przyjechała Gwen Proctor – odpowiadam, po czym podchodzę do wielkiego, lśniącego SUV-a, który prezentuje się majestatycznie na platformie obrotowej na środku salonu.

Słyszę za plecami kroki, ale nie odwracam się, dopóki nie padają słowa:

– Chyba już mówiłem, że nie mam pani nic do powiedzenia.

Obracam się na pięcie i podaję mu dłoń. Ścisną ją, ale to tylko odruch. Patrzy na mnie przekrwionymi oczami i sprawia wrażenie bardzo nieszczęśliwego. Podobnie jak jego żona w Knoxville, wygląda jak starzec. Włosy całkiem mu posiwiały, a głębokie linie znaczą skórę nad czołem i biegną wzdłuż policzków. Jego skóra ma niezdrowy, żółtawy odcień pod gasnącą opalenizną. Garnitur wisi na nim jak na wieszaku. Założył do niego elegancki krawat ze

starannym węzłem. Na nadgarstku ma dobry zegarek, a na stopach stylowe buty. Temu człowiekowi nie brakuje pieniędzy.

Ale pieniądze najwidoczniej nie pomogły.

– Panie Landry, rozumiem, że nie chce pan tego robić – mówię. – To trudne i bolesne, przechodzić przez to raz za razem. Wiem o tym i obiecuję, że jeśli poświęci mi pan godzinę, nie będę już więcej pana niepokoić. Zawsze jest taka możliwość, że to śledztwo pozwoli zdobyć więcej informacji na temat pańskiego syna.

– Ja pani do tego nie wynająłem – mówi. – Wiem również, że nie zrobiła tego moja żona. Kto pani za to płaci? I dlaczego? – To ostatnie słowo wydaje się zdławionym jękiem i odbieram je jak policzek. Wiedziałam, że to nie będzie łatwe, ale jest dużo gorzej. Mam szczerą ochotę przeprosić i odejść.

– Firma, którą reprezentuję, została wynajęta przez organizację non-profit z zadaniem zbadania sprawy zniknięcia Remy'ego – wyjaśniam. – Przykro mi, że to takie dla pana bolesne, panie Landry. Ale istnieje możliwość, że go znajdziemy.

– Mój syn nie żyje – oznajmia bez emocji w głosie. – Nadzieję porzuciłem już dawno temu.

Mimo to dostrzegam niemal ulotny błysk... czegoś. To sprawia, że kontynuuję:

– Nie twierdzę, że sprowadzę go do domu żywego. Może uda mi się jednak przynieść panu spokój ducha i doprowadzić winnych przed oblicze sprawiedliwości.

Przygląda mi się uważniej. Ocenia mnie niczym potencjalnego nabywcę auta. Zastanawia się, czy jestem warta kłopotu. W końcu wzdycha i mówi:

– W porządku, miejmy to już za sobą. Proszę za mną.

Wchodzimy do biura. Zamykam za sobą drzwi i siadam. Wtedy zauważam, że to pomieszczenie przypomina kapliczkę. Na każdej ścianie wiszą zdjęcia Remy'ego. Na jednym uśmiecha się jako mały chłopiec i tuli szczeniaka. Na innym, jako nastolatek, pozuje we fraku

podczas balu uczniowskiego. Na jeszcze innym na głowie ma biret. Zdjęcie po lewej, największe, przedstawia Remy'ego na boisku, kiedy strzela gola. Jest radosny i bardzo ożywiony.

Przy jednej ze ścian stoi oklapnięta sofa ze starannie złożonym kocem i stłamszoną poduszką. Pan Landry z pewnością ma gdzieś swój dom, ale często sypia tutaj.

Biuro wygląda podobnie jak smutne mieszkanie w Knoxville, gdzie wartę trzyma matka Remy'ego.

– Okej, rozmawiała już pani zapewne z moją żoną – mówi pan Landry. – Powiedziała, że jestem walnięty?

– Stwierdziła tylko, że rozważał pan przeprowadzkę, ale nie była na to gotowa – odpowiadam. Pomimo deklaracji, że jego syn nie żyje, nic w tym pomieszczeniu nie wskazuje, że ten człowiek ruszył się choćby o cal od momentu, kiedy dowiedział się o zaginięciu. Joe Landry sprawia wrażenie uwięzionego w trumnie wyściełanej przeszłością. – Interesuje mnie korespondencja, którą pan z nim prowadził w formie listów czy e-maili, oraz czy cokolwiek wzbudziło pański niepokój.

Joe Landry sięga do szuflady i wyciąga z niej pudełko po butach. Przesuwa je po blacie w moją stronę.

– Jest tu każdy list i widokówka, które dostałem od niego od momentu, kiedy wyjechał do college'u – mówi. – Również e-maile. Zebrałem to wszystko dla policji, ale nigdy nie wykazali nimi zainteresowania.

Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego archiwum. Podnoszę pudełko, które okazuje się dość ciężkie.

– Zeskanuję wszystko – informuję go – i zwrócę później.

– Nie chcę tego – rzuca. Jego szare oczy wypełniają się łzami. – Może to pani oddać Ruth, kiedy z tym skończy.

Kiwam głową i opieram dłonie na pudełku.

– A co z rozmowami telefonicznymi?

– Nie dzwonił zbyt często – przyznaje Joe. – Głównie rozmawiał z matką, najczęściej przy okazji urodzin czy świąt. Ostatnio jednak...
– Zerka w górę i w prawo, przywołując wspomnienia. – Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, z całą pewnością był zainteresowany jakąś dziewczyną.

Budzi się we mnie instynkt.

– Jaką dziewczyną? – Nie chcę go naprowadzać. Wolę słuchać.

– Nie tą, którą miał – wyjaśnia i przez chwilę nawet lekko się uśmiecha. – Remy lubił towarzystwo dziewcząt, a one to odwzajemniały. Nie, ta miała na imię Carol. Na pewno Carol. Pamiętam, bo uznałem to imię za dość staromodne.

– Co mówił na jej temat? – Wyjmuję niewielki notes i notuję datę ostatniej rozmowy Remy’ego z ojcem. Wygląda na to, że Joe nie wie o tym, o czym wspominała jego żona: że jej syn pomagał Carol w jakichś tarapatach. Nie mówię mu o tym.

– Wiem, że poznali się w kościele. Remy chętnie chadzał do kościoła. Twierdził, że bardzo się różniła od dziewczyn ze szkoły. Chyba się w niej zadurzył.

– W jaki sposób różniła się od innych dziewczyn?

Landry poprawia się na krześle, które trzeszczy pod jego ciężarem.

– Po pierwsze, była ewangeliczką. Nosiła długie spódnice, nie ścinała włosów i takie tam. Żadnego makijażu. Zaskoczyło mnie to jego zainteresowanie nią, szczerze mówiąc, ale uznałem, że postrzega ją jako... coś czystego.

Pozostawiam dla siebie swoją niechęć do narzucania kobietom tego, co jest czyste, a co nieczyste.

– Czy powiedział panu, jak ona się nazywa?

– Nie. Po prostu Carol. Ale może się pani rozejrzeć w tym kościele. Kościół Świadców Ewangelii w Knoxville. Ktoś musi ją kojarzyć, nawet jeśli już tam nie chodzi.

Nie pozyskuję żadnych cennych informacji w pozostałej części rozmowy. Joe mówi o rzeczach, które słyszałam już od jego żony, z drobnymi jedynie różnicami. Nie ma żadnej teorii na temat tego, co przydarzyło się jego synowi. Nie chce się nad tym zastanawiać, choć wystrój tego biura wskazuje, że jest zupełnie inaczej.

Kiedy wychodzę, znów ściska moją dłoń. Tym razem serdeczniej. Wciąż ma w oczach tę pustkę, ale wydaje się odrobinę bardziej... obecny.

– Da mi pani znać, jeśli czegokolwiek się dowie? – pyta. Nie jest to nadzieja, ale i tak coś lepszego od apatii, którą widziałam na początku.

– Dam znać – obiecuję i wręczam mu wizytówkę. RzUCA na nią wzrokiem i chowa do kieszeni. – Proszę nie tracić wiary, panie Landry.

– Będę się o panią modlił – mówi. To z pewnością mi się teraz przyda.

Zerkam na zegarek. Minęła niemal godzina. Nie wiem, czy Landry to kontrolował, czy instynktownie zamknął sprawę w wyznaczonym czasie, jak biznesmen.

Kiedy wychodzę, recepcjonistka rzUCA mi uważne spojrzenie. Niech sobie patrzy. Landry najwyraźniej potrzebuje odźwiernego.

Kładę pudełko z korespondencją na siedzeniu pasażera i otwieram cyfrowy plik Remy'ego. W notatkach znajduje się krótka informacja na temat jego przynależności do Kościoła Świadków Ewangelii w Knoxville, gdzie śpiewał w chórze. Otwieram stronę w internecie. Kościół niczym specjalnym się nie wyróżnia. Wybieram numer i proszę o połączenie z pastorem.

Po chwili w słuchawce odzywa się powolny, niski głos:

– Pastor Wallace, czym mogę pani służyć?

– Pastorze, nazywam się Gwen Proctor. Jestem prywatnym detektywem i zajmuję się sprawą zaginięcia młodego mężczyzny nazwiskiem Remy Landry. Należał do pańskiego Kościoła i...

Duchowny się rozłącza.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że to ja przypadkowo zakończyłam połączenie, ale nie. Ten człowiek świadomie przerwał rozmowę. Wygląda na to, że pastor nie chce ze mną rozmawiać. Nie na temat Remy'ego.

Cóż, muszę przyznać, że to bardzo interesujące.

Rozdział 12

Sam

Gwen trafiła na coś ciekawego i musi podążyć tym śladem. Powrót nie wchodzi w rachubę, podobnie jak oddanie jej samochodu. A poza tym mieliśmy unikać Belldene'ów. Zgłaszam się więc na ochotnika i zawożę ją na najbliższe lotnisko w Nowym Orleanie. Odprowadzamy ją, po czym wyruszam z dziećmi w długą podróż powrotną.

Kończę wieczorną jazdę w całkiem miłym hotelu, gdzie dostajemy mały apartament. Dzieci mają swoją sypialnię i łóżka, a ja ładuję na składanej sofie, która okazuje się nawet wygodna. Do tego dobre jedzenie i filmy na życzenie. Jak na ucieczkę przed lokalną mafią, do tej pory jest całkiem przyzwoicie.

Kiedy dzieci zostają w swoim pokoju, upewniam się, że wszystko jest pozamykane. Connor czyta książkę grubą jak mój biceps, a Lanny z zamkniętymi oczami słucha czegoś przez słuchawki. Zrelaksowane i odprężone, dzieci wyglądają jak kiedyś, zanim nastąpiły ich problemy. Delikatne. Cenne. Muszę je chronić.

Martwię się trochę o Lanny. Wciąż jest nerwowa, a ja nie chcę, żeby poznała mroczną stronę życia Belldene'ów. To nie jest dla niej

dobre miejsce.

Dlatego po części zdecydowałem się na sofę: dzięki temu jestem ulokowany między nimi a drzwiami. Tak na wszelki wypadek.

Nie mogę dłużej tego unikać. Sięgam po laptopa i przechodzę na stronę Zagubionych Aniołów. Na początku pomagałem przy jej zakładaniu. Wraz z Mirandą wybieraliśmy kolory i układ. Ona opracowała abstrakcyjne logo, którego widok sprawia teraz, że zasycha mi w ustach. Nie kochałem jej, ale łączyła nas skomplikowana, trudna historia. Zналиśmy swoje najgorsze strony, nigdy nie zdążyliśmy poznać tych najlepszych.

Gdybym tylko mógł ją ocalić, zrobiłbym to.

Zdjęcie mojej siostry znajduje się w ostatnim rzędzie ofiar Melvina Royała. To ona sprawiła, że został złapany. Przynajmniej miała z tego choć odrobinę satysfakcji. Sprawiedliwości nigdy jednak nie stało się zadość i nigdy nie stanie.

Czuję obawę, klikając łącze prowadzące do strony z forum dyskusyjnym. Zabezpieczono je hasłem i waham się przez kilka długich chwil, zanim wpisuję moje stare kody administratora i naciskam klawisz Enter. Wciąż działają, choć nie jest to szczególnie zaskakujące: grupy wolontariuszy nie są najlepsze w tego typu technikaliach.

Mimo wszystko miałem jednak nadzieję, że cofnęli mój dostęp.

To tylko forum dyskusyjne, powtarzam sobie. Przeszarżała technologia, którą media społecznościowe wyprzedzają o dekadę, wciąż stosowana przez takich ludzi jak ja. Nie powinno być w tym nic groźnego.

Oczywiście tak nie jest. Forum wciąż stanowi wrzącą studnię nienawiści, w której kiedyś i ja pławiłem się z prawdziwą lubością. Wierzyłem niegdyś, że po zawodzie, jaki sprawił naszym rodzinom sąd, sprawiedliwość może się opierać tylko na jednym. Tak naprawdę próbowałem jedynie wypełnić pustkę w mojej duszy.

Niektórzy ludzie uciekają się do alkoholu i narkotyków. Ja uzależniłem się od czegoś równie jadowitego. Uratowała mnie ucieczka przed nienawiścią i zbliżenie się do Gwen. Kiedy przeprowadziłem się do Stillhouse Lake, planowałem ją skrzywdzić, ale gdy zobaczyłem ją z dziećmi, zły czar przysł. Z celu na papierze stała się prawdziwą osobą. Kiedy zobaczyłem, jak chroni innych – ludzi, których nawet nie znała – zrozumiałem, jak bardzo zwichrowany stał się mój kompas.

Gwen uratowała moją duszę. Zagubione Anioły nigdy tego nie zaakceptują.

Zaczynam czytać wpisy. Najnowszy, przypięty na samej górze, upamiętnia Mirandę Tidewell. Zaczyna od wychwalania jej, ale już po chwili wypełnia się gniewem. Każdy temat na tym forum ostatecznie kończy się pełnymi nienawiści słowami. Grzeczność tych wpisów jest równie krucha jak stosowany przez iluzjonistów papier błyskowy.

Mnóstwo strasznych słów kieruje się tutaj oczywiście przeciwko Gwen. Poświęcono jej cały wątek, w którym mowa o kolejnych pomordowanych kobietach i w którym to jej, a nie byłemu mężowi, przypisuje się rolę oprawcy. Według nich, bycie niewinną żoną mordercy w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Ty to wszystko zainicjowałeś, dupku. Ty nienawidziłeś jej tak bardzo, że przejechałeś cały kraj, żeby ją zadręczyć.

Przyznaję się do tego bolesnego faktu i przechodzę dalej. Znajduję oczywiście cały nowy wątek na mój temat. Jest ogromny, ponad sto stron. Rozpoczął się wówczas, kiedy uświadomiłem sobie, że nie zdradzam Gwen tak, jak to zaplanowałem. Choć pierwsze wpisy są dość rozsądne i mówią o tym, że prawdopodobnie zaplanowałem dłuższą rozgrywkę, takie podejście szybko znika. Według kolejnych wpisów motywy mojego postępowania wynikają albo z prania mózgu, albo z faktu, że nigdy nie byłem prawdziwą częścią Zagubionych Aniołów. Niektórzy uważają nawet, że byłem rośliną, którą zasadziła Gwen – doskonała manipulatorka – by

obserwować ich od samego początku. To wyjątkowo nieprawdopodobna teoria, ale uczepili się jej jak muchy i eksploatują na kilku kolejnych stronach. Gromadzą najdrobniejsze nawet plotki z mediów i internetu, doklejając do nich własne kłamliwie wnioski.

Do śmierci Melvina funkcjonuje przekonanie, że jestem jednym z jego sekretnych wielbicieli, przez co muszę odsunąć się na chwilę od laptopa, żeby nie roztrzaskać pięścią ekranu. Opróżniam buteleczkę bourbona z minibaru, a kiedy w końcu się uspokajam, wracam do czytania.

Gwen ma rację, muszę na to wszystko uważać. Nie obronię się, nie wiedząc, co nadchodzi.

Po medialnym cyrku, który rozkręcił się po wystąpieniu Gwen w Howie Hamlin Show, i późniejszych tarapatach, w których znaleźliśmy się w miasteczku Wolfhunter, charakter wpisów znów się zmienia.

Oni mnie teraz *naprawdę* nienawidzą. Ich zdaniem zbrukałem pamięć o wszystkich ofiarach i rodzinach. Ale co najważniejsze, byłem tam, kiedy zabito Mirandę. Podobnie jak w przypadku Gwen, jestem wystarczająco blisko zła, żeby skazali mnie na swojej sali sądowej na forum. Skoro tam byłem, to znaczy, że ponoszę odpowiedzialność. Fakt, że byłem wówczas unieruchomiony i nie miałem szans, by ją uratować... nie ma żadnego znaczenia.

Wszyscy na forum są przekonani, że zastrzeliłem Mirandę, a FBI – w szczególności mój przyjaciel Mike Lustig – wszystko zatuszowało. To będzie oczywiście w ostatniej części ich podcastu, a nie na początku. Jestem przekonany, że wszyscy wrogowie, których narobiłem sobie już od czasów szkolnych, będą mieli możliwość wypowiedzieć się do mikrofonu, zanim przejdą do faktów. Zbudują tę opowieść starannie, choć w oparciu o kłamstwa.

Gwen ma rację, mówiąc, że powinienem się od tego odciąć. Już samo czytanie tych wpisów wprowadziło mnie w paskudny nastrój i pozbawiło pewności siebie. Nawet kiedy zna się prawdę, trudno jest

patrzeć, jak wiele osób jest przekonanych o twojej winie. To tak, jakby przegrywało się bitwę już od samego początku.

Klikam myszą i przechodzę do innych wpisów. Zagubione Anioły nie poświęcają swojego czasu wyłącznie Gwen i mnie. Pojawiają się również teksty dotyczące pamięci po ukochanych osobach. Zwyczajne rozmowy. Dyskusje na temat niepokojącej popularności książek, filmów, programów i podcastów poświęconych zbrodni. Zdrowy rozsądek pośród patologicznej nienawiści.

Jak na ironię, pojawiły się tam również wątki dotyczące innych seryjnych morderców i szału zabijania. Niektóre związane są ze starymi sprawami, w innych próbuje się łączyć punkty, zrobić coś dobrego.

Jeden z wątków na czwartej stronie przyciąga moją uwagę: wpis dotyczący zaginionego młodego człowieka. To dość nietypowe i przyglądam się temu uważniej. Osoba to publikująca nie dysponuje żadnymi dowodami, co jest dość logiczne. Coś jednak sprawia, że zwalnam i czytam uważniej. Autor wspomina o przypadkach zaginięć na całym południowym wschodzie, a jedno z nazwisk brzmi znajomo.

Remy Landry.

Co, do cholery...?

Zaczynam czytać od początku i czuję, jak po kręgosłupie przebiega mi dreszcz. Tak, dowody są znikome, ale on może mieć rację. Coś mogło się tam wydarzyć. Jego wnioski są do kitu i sprowadzają się do działań czcicieli Szatana, ale te sprawy faktycznie wydają się mieć ze sobą coś wspólnego.

Podnoszę telefon i dzwonię do Gwen. Odzywa się poczta głosowa, więc nagrywam jej najważniejsze informacje z wpisu. Na koniec dodaję:

– Remy może być jedną z tych ofiar. Jeśli to się potwierdzi, to może się okazać, że prowadzisz kilka połączonych spraw. Może więcej. Uważaj więc na siebie, dobrze? Jeśli to prawda, to ktoś tam

wybiera młodych mężczyzn i sprawia, że znikają. I wie, jak zrobić to po cichu. Zadzwoń do mnie.

Zamykam laptopa, wracam do łóżka i leżę, gapiąc się w sufit. W końcu poddaję się, włączam telewizor i wydaję z minibaru drugą, piekielnie drogą buteleczkę z alkoholem.

Rozdział 13

Gwen

Kościół Świadców Ewangelii nie jest megaświątynią, jak to sobie wyobrażałam. Na Południu często widuje się masywne budowle sakralne, w tym przypadku jest to jednak skromna kaplica z desek, która aż się prosi o renowację i warstwę świeżej farby. Tablica informacyjna skierowana w stronę ulicy jest wyblakła i bardzo stara. Napis wykonany z czarnych, wsuwanych liter mówi: STRZEŻCIE SIĘ! WKRÓTCE TU DOJDĘ! Nie potrafię powstrzymać parsknięcia śmiechem w reakcji na podwójne, zapewne nieintencjonalne znaczenie tych słów. To miejsce nie wygląda na takie, w którym wierni miewają tego typu poczucie humoru, a przynajmniej nie kosztem Jezusa.

Późne popołudnie. Wjeżdżam na niemal opustoszały parking. Jest piątek, więc nie trwa zapewne żadne nabożeństwo, ponieważ zielonoświątkowcy preferują niedziele i środy. Mogę oczywiście trafić na czytanie Biblii czy innego rodzaju zajęcia, ale jeśli coś takiego ma miejsce w tej chwili, to znaczy, że nie cieszy się dużą popularnością.

Zostawiam wynajęty samochód pod tracącym liście żywopłotem. Kiedy otwieram drzwi, atakuje mnie podmuch zimnego wiatru. Nie

mam na sobie płaszcz, w Luizjanie go nie potrzebowałam. Podchodzę do bagażnika i otwieram walizkę, żeby znaleźć kurtkę. Pod spodem leży mój pistolet z blokadą spustu i amunicja w osobnym pudełku. Ładuję broń, zakładam kaburę naramienną i poprawiam ją, żeby sig sauer mnie nie uwierał pod pachą. Zakładam kurtkę, chwytam torebkę i zamykam samochód.

Krótki sygnał klaksonu został z pewnością usłyszany przez ludzi w środku, jeśli zwrócili na niego uwagę.

Próbuję otworzyć główne drzwi prowadzące do kościoła. Zamknięte. Wiecznie otwarte drzwi w miejskich kościołach wyszły z mody mniej więcej w tym samym czasie, kiedy na pierwsze strony gazet trafili seryjni mordercy i narkomani. Nie można oczywiście nikogo winić za taką decyzję. Okrążam kościół, gdzie zauważam drewniane drzwi, obok których znajduje się dzwonek i napis BIURO.

Naciskam przycisk.

Drzwi się otwierają i w progu staje bardzo młody chłopak o krótko przyciętych włosach.

– Chciałabym porozmawiać z pastorem – mówię. – Czy zastałam go?

– Nie, proszę pani, niestety go nie ma. – Zaczyna zamykać drzwi. Przytrzymuję je za klamkę, ale staram się jednocześnie wyglądać łagodnie. Na tyle oczywiście, na ile potrafię.

– Naprawdę... naprawdę muszę z kimś porozmawiać – wyjaśniam. Przywołuję kobietę, jaką byłam kiedyś, kiedy nazywałam się jeszcze Gina Royal: niepewną, skromną, uległą. Zmieniam język ciała. Obniżam głos, żeby brzmiał jeszcze bardziej nieśmiało. – Proszę. Naprawdę potrzebuję jego pomocy!

Jest to ściema i trochę mi wstyd z tego powodu, ale wydaje się działać. Chłopak otwiera szerzej oczy, powiększa nieco szczelinę drzwi i zerka przez ramię na kogoś, kogo nie widzę. Musiał dostać przyzwolenie, bo cofa się o krok.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością i wchodzę do biura. Jest klaustrofobicznie małe i zagracone przez stare, zmęczone biurko. Większość miejsca na blacie zajmuje zwalisty, antyczny z wyglądu komputer stacjonarny. Na tanim, metalowym regale leżą sterty papierów i wydruków. W narożniku biurka stoi zielonkawy telefon stacjonarny z mniej więcej tego samego roku co komputer, a pozostałe miejsce wypełniają porcelanowe aniołki. Pod stopami czuję wytarty dywan.

Za biurkiem nikogo nie ma i uświadamiam sobie, że należy ono do stojącego przed mną chłopaka. Po prawej stronie dostrzegam kolejne wąskie drzwi, a za nimi nieco większe pomieszczenie w identycznie wyglądającym biurkiem, tyle że bez aniołków i komputera.

Kiedy ruszam w tym kierunku, zza biurka podnosi się starszy mężczyzna.

– Proszę pani – mówi i wyciąga rękę, ale nie po to, żeby uścisnąć moją, ale żeby wskazać mi krzesło dla gości. – Przepraszam bardzo, ale zamykaliśmy właśnie kościół na noc. Jestem pastor Dean Wallace, czym mogę służyć?

Przeprowadzam analizę tego człowieka już od pierwszych sekund naszego spotkania. Pasuje idealnie do profilu pastora z Południa: ciemne włosy zaczesane do tyłu w stylu, który przestał być modny w latach osiemdziesiątych, mlecznobiała skóra i zwyczajna, granatowa koszula. Nie ma krawata, ale nie stoi dziś na ambonie, więc to musi być jego wersja luźnego piątku. Wydaje się sympatyczny, choć jednocześnie nieco sfrustrowany z powodu późnej godziny. Zajmuję krzesło dla gości – sztywny, drewniany mebel, niegwarantujący żadnej wygody. Uważam, żeby spod kurtki nie wystawała rękojeść mojego pistoletu, i układam dłonie na udach. Język ciała jest bardzo ważny w takich sytuacjach jak ta.

– Przepraszam, ale czy moglibyśmy... zamknąć drzwi?

Rzucam mu tylko nieśmiałe spojrzenia.

– Proszę pani, właśnie zbieram się do domu – informuje, choć zerka na mnie z powątpiewaniem. – Może przełożymy tę rozmowę na jutro...

– Nie mogę czekać – oznajmiam. – Proszę. Obiecuję, że zabiorę tylko kilka minut. To bardzo wiele dla mnie znaczy.

Już mi się wydaje, że go stracę, ale w końcu kiwa głową i uśmiecha się sztucznie.

– W porządku. – Przechodzi obok mnie, żeby zamknąć drzwi, a ja przyglądam się mu uważnie. Oświetlenie nie jest tu nadzwyczajne – okno skierowane jest na wschód, więc po tej stronie budynku zapadł już zmrok, a jedynym źródłem światła jest pojedyncza, słaba lampka biurkowa. Na jego obwisłej twarzy pojawia się naturalny wyraz dezaprobaty. Walczy, żeby sprawiać wrażenie zainteresowanego, i raczej mówi prawdę, że chciałby już stąd wyjść i pojechać do domu.

Nie wiem jeszcze, co mam myśleć na temat tego człowieka.

– Wracaj do domu, Jeremy – zwraca się do młodzieńca w drugim biurze. – Poradzę sobie, też niedługo stąd wyjdę. Powiedz mamie, żeby czekała z kolacją.

– Dobrze, proszę pana – odpowiada chłopak – czyżby jego syn? – i pastor zamyka drzwi. Rozgląda się, jakby właśnie zdał sobie sprawę z panującego w pomieszczeniu półmroku, po czym włącza światło na suficie. Robi się zbyt jasno i natychmiast zauważalny staje się stary, pozawijany na krawędziach dywan i kurz na półkach. Wraca za biurko i patrzy na mnie zza swojej bezpiecznej barykady.

– Jak się pani nazywa, młoda damo?

Prawdopodobnie miał to być z założenia komplement, ale muszę się kontrolować, żeby się nie nastroszyć. Efekt jest zupełnie odwrotny – nie jestem aż tak młoda.

– Gwen – odpowiadam, rezygnując z podawania nazwiska.

– No cóż, Gwen, powiedz mi, co się dręczy, a potem możemy się w tej sprawie pomodlić. Zgadzasz się?

Czekam, aż rozlegnie się odgłos zamykanych drzwi w drugim biurze. Jego syn już wyszedł. Zostaliśmy tylko my dwoje. Odpreżam się trochę, unoszę podbródek i patrzę mu prosto w oczy. Zahukana żona znika i natychmiast dostrzegam, jak poprawia się na swoim krześle, wyraźnie zaskoczony.

– Obawiam się, że nie zechce się pan ze mną modlić, kiedy skończymy. Rozmawiałam dziś z panem przez telefon. Chodzi o Remy'ego Landry. Rozłączył się pan.

Wygląda, jakbym mu przyłożyła. Otwiera oczy tak szeroko, że widzę białka dookoła źrenic. *Boi się*. A to ci niespodzianka. Oczekiwałam raczej, że stanie się agresywny. Próbuje oczywiście takiego podejścia, ponieważ wstaje po kilku sekundach.

– Proszę, żeby pani stąd wyszła – mówi. – Natychmiast. Nie chcę być niegrzeczny, ale nie mam pani nic do powiedzenia na ten temat.

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiadam z naciskiem, a kiedy rusza w kierunku wyjścia, przesuwam ciężkie krzesło, które blokuje mu drogę i dodatkowo dociska drzwi. – Najpierw porozmawiamy o Remy. Jeśli chce pan zdążyć do domu na kolację, radzę się sprężyć.

– Kim pani jest? – rzuca z warknięciem, zaciskając dłonie w pięści. Obserwuję go uważnie i pozostaję na swoim miejscu. Nie sądzę, żeby odważył się na mnie ruszyć, ale próbuje mnie zastraszyć. Wcale dobrze mu to nie wychodzi. – Nie ma pani żadnego interesu w domu bożym, zjawiając się tutaj z kłamstwami!

Pokazuję mu identyfikator prywatnego detektywa.

– Zostałam wynajęta przez rodzinę Remy'ego – wyjaśniam. – A to oznacza, że mam tutaj interes, ponieważ Remy był członkiem pańskiej kongregacji. Dlaczego nie chce mi pan pomóc go odnaleźć, pastarze?

Nie podoba mu się to. Tym razem nadchodzi jego kolej, żeby się najeżyć i wycofać. Siedzę w milczeniu i pozwalam mu zadecydować. Jego spojrzenie w ogóle nie robi na mnie wrażenia.

– Zadzwoń na policję – ostrzega i wraca za biurko. – Wkroczyła tu pani bezprawnie.

Nie odpowiadam, tylko obserwuję. Podnosi słuchawkę, naciska kilka przycisków, po czym odkłada ją, nie nawiązując połączenia. To wiele mi mówi.

– Naprawdę musi pani stąd wyjść. Natychmiast. Bardzo proszę. – Jego autorytet topnieje jak masło na słońcu.

– Remy Landy był członkiem pańskiego Kościoła – mówię. – Ten młody człowiek panu zaufał. Od trzech lat uznaje się go za zaginionego. Jego rodzice zasługują na odpowiedzi.

– Nie wiem, gdzie może się znajdować ten chłopak! Być może po prostu uciekł. Nie wie pani, co te dzieciaki wyprawiają w dzisiejszych czasach, piją alkohol, biorą narkotyki... – Urywa, ponieważ nie odpowiadam. W jego głosie wychytuję nutę, która podpowiada wyraźnie, że sam nie wierzy w to, co mówi. – Tutaj nie znajdzie pani żadnych informacji na ten temat. Przykro mi z powodu jego rodziców, naprawdę. Ale ja nie wiem niczego. Powiedziałbym policji, gdybym wiedział.

– Jest pan o tym przekonany? – Pochylam się do przodu ze złożonymi dłońmi. – Bo brzmi pan tak, pastorze, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar. Postąpić właściwie. Widzę to wyraźnie. Wie pan dobrze, jak bardzo cierpi jego rodzina. I Bóg z pewnością nie chce, żeby to się ciągnęło, jeśli jest pan im w stanie pomóc.

Opada na krzesło, jakbym podcięła mu nogi.

– Nie wiem – odpowiada cicho. – Nie wiem, gdzie on jest.

– Ale coś pan wie – podpowiadam. – Może o tej dziewczynie, którą poznał w kościele. O Carol.

Odnoszę wrażenie, że wcisnęłam mu w tyłek rozżarzony pręt. Jeśli na początku był wystraszony, to teraz, kiedy usłyszał jej imię, jest już przerażony. Wystarczająco mocno, żeby rozchylić usta i nie wydać z siebie dźwięku.

– Wie pan, o kim mówię, pastorze. Ona jest bardzo konserwatywna. Żadnego makijażu, długie włosy, których nie ścina. Zwyczajne ubranie. – Decyduję się na skok w ciemno. – Chroni ją pan, prawda? Uważa pan, że jeśli powie cokolwiek na temat Remy’ego, narazi ją na niebezpieczeństwo.

Opuszcza ręce i bierze głęboki oddech.

– Kim pani jest?

– Gwen Proctor – odpowiadam. Widzę, że moje nazwisko nic mu nie mówi. I dobrze. – Jak już powiedziałam: zostałam po prostu wynajęta przez rodzinę Remy’ego, żeby rozwiązać tajemnicę jego zniknięcia. Ma pan syna. Z pewnością dobrze pan rozumie, jaki koszmar przechodzą, nie wiedząc, co się z nim stało, czy cierpi i czy kiedykolwiek wróci. Oni nie mogą zrobić żadnego kroku w swoim życiu. Wiem, że Remy był dobrym chłopakiem. Mówił pan o alkoholu, narkotykach i ucieczce, ale wie pan dobrze, że to nieprawda w jego przypadku. W ten sposób kala pan tylko jego imię.

Pastor opuszcza wzrok i tak mocno splata dłonie, że muszą go chyba boleć. Nadal nie otrzymuję żadnej odpowiedzi.

– Pastorze Wallace, był pan pasterzem tego chłopaka – ciągnę. – I Carol. Jeśli zatem może mi pan cokolwiek powiedzieć, co pozwoli mi znaleźć jego trop...

– Proszę zapomnieć o Carol – mówi. – Proszę. Błagam, żeby zostawiła ją pani w spokoju. Może ją pani wpakować w niebezpieczeństwo, wypowiadając tylko jej imię.

Wydaje się szczerze zmartwiony. Z pewnością nie udaje. Zbladł i się spocił. Chciałabym dać mu już spokój, ale jeśli to zrobię, niczego nie osiągnę.

– Remy wspominał swojej mamie, że chce jej pomóc. Co się stało? Napotkał ludzi, którzy jej grozili? – Żadnej odpowiedzi, ale jestem chyba na dobrej drodze. Elementy układanki zaczynają wskakiwać na swoje miejsce. – Uciekała przed swoim byłym chłopakiem, prawda?

Pastor bierze się odrobinę w garść i prostuje na krześle. Prowadzę rozgrywkę opartą na blefie i chyba dobrze mi idzie.

– Ma pani rację – mówi w końcu. – Miała kłopoty z chłopakiem. Remy nie powinien się w ogóle w to mieszać. Ale to nie miało nic wspólnego z jego zaginięciem.

Znów kłamię. Zmieniam bieg.

– Powiedziała Remy’emu, że ma problem z chłopakiem – mówię. Kluczem w tej grze jest mówienie z przekonaniem, nawet jeśli nie ma się na ten temat pojęcia. – Ale pan wiedział, co się dzieje. I nadal wie. Carol nie uciekała przed związkiem. To było coś poważniejszego.

Ciepłej. Gorąco. Wygląda na tak wstrząśniętego, że nie mam najmniejszych wątpliwości co do mojego strzału w dziesiątkę. Teraz boi się, co jeszcze mogę wiedzieć.

– Proszę mi pozwolić z nią porozmawiać – dodaję. – Nie zdradzę jej tożsamości, nie umieszczę jej nazwiska w moim raporcie. Nikt nigdy nie usłyszy jej imienia. Nie trafi ono do żadnych moich notatek. – Kiedy zaczyna potrząsać głową, uświadamiam sobie, że muszę odrobinę zmienić strategię. – Pastorze Wallace... wiem dobrze, jak to jest, kiedy ucieka się przed niebezpiecznymi ludźmi. Moim mężem był Melvin Royal. Seryjny morderca. Mógł pan o nim słyszeć.

To nazwisko akurat rozpoznaje. Jego mowa ciała wyraźnie się zmienia, ale nie sposób stwierdzić, co teraz czuje.

– To pani... to pani go zabiła.

– Tak. Nie miałam wyboru. – Kiedy to mówię, przed moimi oczami przesuwa się szybki kadr: Zbliża się do mnie Melvin. Opieram drżącą dłoń na ramieniu Sama i celuję. Widzę, jak znika już na zawsze. Nie jest to tak traumatyczne wspomnienie jak kiedyś, ale wciąż ma swoją moc. – Problem w tym, że polowali na mnie jego wielbiciel, ludzie, którzy go nienawidzili, oraz inni, którzy lubią kopać leżących. Rozumiem istotę bycia w niebezpieczeństwie dużo lepiej niż większość ludzi. Mówiąc zatem, że nie ujawnię tożsamości

Carol, składam obietnicę: będę ją chroniła własnym życiem. Tak jak pan.

Przetrawienie moich słów zabiera mu krótką chwilę. W końcu podejmuje słuszną, choć trudną decyzję. Chęć walki całkowicie go opuszcza i jego ramiona opadają.

– Zapytam – mówi. – Jeśli się nie zgodzi, to kończymy temat. W porządku?

– Proszę ją zapytać teraz.

– Nie, proszę pani. Pójdę do niej, ale nie może mi pani towarzyszyć. Nie będę w taki sposób ryzykował jej życiem.

Nie zmieniam pozycji przy drzwiach.

– W takim razie proszę do niej zadzwonić. Zamienię z nią parę słów.

– Ona nie ma telefonu. Jeśli zechce porozmawiać, zorganizuję spotkanie w bezpiecznym miejscu. Jeśli się nie zgodzi, a tak się zapewne stanie, będzie musiała się pani z tym pogodzić i zapomnieć o wszystkim.

– Pan by zapomniał? – pytam go cicho. – Gdyby Jeremy znikł, a ktoś mógł panu powiedzieć, gdzie przebywa? Zrezygnowałby pan i zapomniał o całej sprawie?

Odwraca wzrok, ale widzę, jak zaciska zęby. Nie dostanę od niego nic więcej.

Przesuwam krzesło na swoje miejsce – w dywanie są wgłębienia, które informują, gdzie dokładnie powinno stanąć. Na środku jego starego biurka kładę wizytówkę.

– Dziękuję za pomoc, pastorze. Nie jestem tutaj wrogiem. Jeśli ta młoda kobieta ma problemy, jestem po jej stronie i nigdy nie naraziłabym jej świadomie na niebezpieczeństwo. Jeśli ten komputer ma w ogóle połączenie z internetem, proszę mnie sobie wyszukać. Stanę do walki za nią. Obiecuję.

Wiem, że zauważyła zarys pistoletu, kiedy się prostuję. Uświadomił sobie właśnie, że mogłabym zagrozić mu nim, chcąc wydobyć od

niego adres Carol. Nie zrobiłam tego i to powinno zadziałać na moją korzyść.

Nie wymieniamy uścisku dłoni, po prostu wychodzę. Idę prosto do samochodu, wsiadam i dzwonię do J.B. Hall. Odbiera po drugim dzwonku.

– Gwen? Wszystko w porządku?

– Tak. Skontaktowałam się z kaznodzieją i chyba coś mam. Możesz sprawdzić rejestr rozmów z telefonu stacjonarnego, prawda?

– Nie oficjalnie.

– A tak realnie?

– Może.

– Potrzebuję namiaru na następne połączenie, które wyjdzie z Kościoła Świadców Ewangelii. Wraz z adresem lub lokalizacją, jeśli to możliwe.

Słowa pastora, że Carol nie ma telefonu, padły bardzo pospiesznie i empatycznie, a ostatnią rzeczą, jaką zauważyłam przed wyjściem, był jego szybki, odruchowy rzut oka na stary biurkowy telefon. Prosto połączyć jedno z drugim. Ten mężczyzna zamierzał ją ostrzec.

J.B. odpowiada, że postara się pociągnąć za kilka sznurków, a ja wycofuję swój wypożyczony samochód z przykościelnego parkingu. Nie jadę daleko. Pokonuję kilka przecznic i zatrzymuję samochód pod sklepem spożywczym położonym przy samej ulicy. Samochód pastora – duże, białe i kanciaste kombi, które ma pewnie ze dwadzieścia lat – pojawia się w polu widzenia. Duchowny korzysta z kierunkowskazów. To dobrze, łatwiej go śledzić. Mija mnie, a ja wyjeżdżam z zatoczki i podążam jego śladem. Jego samochód niełatwo będzie zgubić. Wyróżnia się jak kudłaty pies na ulicy pełnej kotów.

Według mojego licznika pokonaliśmy mniej więcej sześć kilometrów, kiedy dzwoni mój telefon. Przełączam go na głośnik.

– Hej, mówi Gwen – mówię. Nie jestem specjalnie zaskoczona, że dzwoniącą osobą jest J.B.

– Wysłałam ci wiadomość z numerem, który wybrał – informuje mnie szefowa. – Ale to telefon na kartę. Zdobycie informacji na temat lokalizacji przez moje źródła trochę niestety potrwa. To jest hmm... pozaprawne użycie legalnego oprogramowania. W porządku z technicznego punktu widzenia... Jednak jeśli spojrzeć na to uważniej, to widać wyraźnie, że właściciel telefonu też nie chce zostać złapany. Nie bez nakazu.

– Jadę za pastorem. On zdecydowanie coś wie. Całkiem możliwe, że doprowadzi mnie prosto do niej. – Streszczam jej krótko, czego się dowiedziałam od rodziców Remy'ego, i dodaję parę słów na temat tajemniczej Carol. Przez cały czas podążam za samochodem pastora, dzielą nas teraz dwa inne auta. Prowadzi ostrożnie i przestrzega ograniczeń prędkości. Bardzo to przydatne dla moich celów.

– Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że ten chłopak uciekł z Carol? Że z nią mieszka i ją chroni?

– Nie wiem – przyznaję. – Ale to dużo więcej, niż mieliśmy do tej pory. Będę w kontakcie, pastor dojeżdża już chyba na miejsce.

Mam rację, to jego dom. Rozpoznaję samochód zaparkowany na małym podjeździe i jeszcze jeden, który stał na przykościelnym parkingu – najprawdopodobniej należący do jego syna. Na zderzaku ma naklejkę z napisem „POD OCHRONĄ BOGA”, otoczonym niebiesko-czerwoną flagą amerykańską. Bardzo się tym wyróżnia. Parkuję i obserwuję przez chwilę na wypadek, gdyby działo się coś interesującego, ale nic się nie dzieje. Przez duże okno w jadalni widzę, że szykowana jest kolacja. Trzy miejsca, a więc Carol się tutaj nie ukrywa.

Coś jednak sprawia, że oddycham szybciej, na karku gromadzi mi się pot i przez sekundę czy dwie nie wiem nawet, co to takiego.

Mrugam kilka razy i dostrzegam dom z podobnymi liniami nałożonymi na ten budynek. Normalny dom na normalnej ulicy. Rozbita zewnętrzna ściana garażu i wystający z niej skasowany pojazd.

Mój normalny dom. Moja normalna ulica w normalnym miasteczku w Kansas.

I martwa dziewczyna zwisająca z drucianej szubienicy w odsłoniętym garażu w dniu, kiedy to wszystko się skończyło. Wszystkie te lata spędzone w tym domu u boku potwora, bez świadomości, co się dzieje pod naszym wspólnym dachem. Przygotowywanie kolacji. Rozkładanie talerzy na stole, tak jak robi to ta kobieta.

Biorę kilka szybkich oddechów i zaciskam powieki. Stosuję pewne mechanizmy radzenia sobie z tymi wspomnieniami i korzystam z nich teraz, spowalniając rytm bicia serca i oddalając się od przerażenia i paniki, które nigdy tak naprawdę nie opuszczają mnie do końca. Przyciskam drżące dłonie do ud. *Przeszłość jest przeszłością. Ty jesteś tu i teraz. Poczuj powietrze. Postaraj się zidentyfikować zapachy. Nasłuchuj. Bądź tutaj.*

Przytłaczające poczucie uwięzienia powoli znika. Panika odchodzi. Kiedy znów otwieram oczy, wiem już, że to nie jest mój dom, moja jadalnia, a trzy siedzące przy stole osoby nie należą do mojej rodziny. Za tymi murami nie kryje się żadna przerażająca rzecz, ale jeśli się kryje, to nie dotyczy mnie.

Sprawdzam wiadomości w komórce. J.B. wysłała mi numer, na który zadzwonił pastor Wallace. Wiem, że powinnam zaczekać, aż moja szefowa zdobędzie informacje na temat lokalizacji. One mogą – choć wcale nie muszą – naprowadzić mnie na właściwy trop. Jeśli powiedział jednak dziewczynie, żeby uciekała, to mogę ją stracić na dobre.

Czuję teraz prawdziwą i silną potrzebę działania. Wybieram ten numer. Rzucam kośćmi.

Odzywa się głos kobiety:

– Halo?

Brzmi, jakby należał do młodej, nieco wystraszonej i zmartwionej dziewczyny.

– Nie rozłączaj się – mówię. – Jestem twoim sojusznikiem, Carol. Wiem, że się boisz. Pozwól mi sobie pomóc.

Oczekuję odgłosu rozłączanego połączenia, ale dziewczyna wydaje się wahać. Po chwili mówi:

– To o pani mówił pastor. – Mówi z akcentem, ale nie z Tennessee. Stawiałabym raczej na któryś z północnych stanów. Może nawet Maine czy Vermont. – Detektyw?

– Tak. Nazywam się Gwen Proctor. I mogę pomóc, jeśli masz kłopoty.

– Niczego pani nie rozumie – odpowiada. – Nikt nie może mi pomóc.

– Mnie może się udać.

– On nigdy na to nie pozwoli.

– Kim jest *on*?

– To bez znaczenia – mówi cicho. Jest zrezygnowana. – Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Wyjechałam, ale nie mogę się uwolnić. Myślałam, że mi się uda, ale... nie ma na to szans.

Zaciskam powieki i staram się wychwycić jakieś wskazówki z otoczenia. W tle słyhać jakieś rozmowy. Komunikat nadawany przez głośnik. Metaliczny pisk.

Wyczuwam, że może się za moment rozłączyć, więc szybko mówię:

– Carol, czy możesz mi powiedzieć, co stało się z Remy? Gdzie on jest?

Milczenie. Milczenie tak długie, że zerkam na wyświetlacz, żeby się upewnić, że połączenie trwa. Wtedy się odzywa:

– Remy jest ze świętymi.

Kliknięcie.

Ale ja usłyszałam wystarczająco dużo. Chyba wiem, gdzie ona jest.

Dworzec autobusowy.

Rozdział 14

Gwen

Próbuję odgadnąć w mroku, który dworzec autobusowy. Mogła znajdować się na regionalnym, ale jeśli zamierza opuścić miasteczko, wybrała raczej główny terminal Greyhounda. Orientuję się w topografii miasteczka, bo załatwiam w okolicy sporo spraw dla J.B. Pędzę ulicami z dużo wyższą prędkością, niż zaaprobowałby pastor Wallace, i zajeżdżam przed dworzec trzynaście minut później, co jest całkiem przyzwoitym wynikiem.

Jeśli jednak Carol wsiadła do autobusu po zakończeniu naszej rozmowy, to jest już za późno.

Kieruję się w stronę budynku. Na drzwiach dworca dostrzegam znak informujący o zakazie wnoszenia broni, z czym absolutnie się zgadzam, ale nie mam czasu wracać do samochodu, poza tym pozostawienie pistoletu w schowku na rękawiczki też nie jest dobrym pomysłem. Upewniam się, że nie jest widoczny pod kurtką, i wchodzę do środka. A przynajmniej próbuję. Dworzec wybudowano całkiem niedawno. Szkło, stal i otwarte przestrzenie powinny wydawać się przestronne, ale takie nie są, a wszędzie tłoczą się ludzie z bagażami. Podróże autobusem nie przyciągają z reguły

pasażerów pierwszej klasy, więc w większości przypadków są to zwykłe torby, stare, podniszczone walizki i plecaki. Większość ludzi wygląda na wyczerpanych i zniechęconych.

Szybko zauważam Carol, ponieważ siedzi w pobliżu grupy amiszów lub menonitów. Kobiety mają na sobie proste, długie suknie z fartuchami i czepki, a mężczyźni niesprawyające wrażenia wygodnych garnitury. Na wykrochmalonych koszulach spoczywają długie brody. Carol *prawie* się wtapia, nie ma jednak na głowie czepka. Jest młodą, bladą kobietą, ubraną w białą bluzkę z długimi rękawami i kokardą na szyi, a do tego długą, granatową spódnicę. Nie nosi makijażu ani żadnej biżuterii. Włosy sięgają jej pasa. Ma przy sobie plecak wyglądający na nie całkiem nowy, co z jakiegoś powodu wydaje mi się... niewłaściwe. Nie wiem dlaczego. Jeszcze nie.

Rozgląda się po hali, jakby od tego zależało jej życie, oceniając każdą osobę pojawiającą się w polu widzenia. Zerka na mnie i przenosi wzrok na kolejnego człowieka. Najwidoczniej nie jestem tym, kogo się obawia. To dobrze. Bałam się, że zacznie uciekać, kiedy tylko mnie zobaczy.

Przeciskam się przez tłum. Naprzeciw niej dostrzegam wolne miejsce i siadam. Dziewczyna wciąż skanuje otoczenie nad moją głową.

– Cześć, Carol. Jestem Gwen.

Kurczy się na swojej ławce obok kobiety ze swojej grupy, która odwraca głowę, wyraźnie zaniepokojona. Lepsze to niż Carol zrywająca się do biegu, choć niewiele. Niepotrzebny mi publiczny incydent, szczególnie że mam przy sobie broń. Zostałabym aresztowana.

Szybko wysuwam przed siebie puste dłonie, grzbietami do dołu. Oferuję pokój i przyjaźń.

– Wybacz, że cię wystraszyłam – mówię z uśmiechem. – Uwierz mi, jestem tu po to, by ci pomóc. Wypatrujesz kogoś, ale nie mnie,

prawda?

Carol powoli się odpręża.

– Wszystko w porządku? – pyta amiszka i rzuca mi pełne powątpiewania spojrzenie. – Mam wezwać pomoc?

Carol ma duże, ciemne oczy, jak u sarny. Potrafię zrozumieć, dlaczego pociągała młodego chłopaka z college'u. Ma w sobie wrażliwość i delikatność charakterystyczne dla kogoś, kto potrzebuje ochrony. *Przed drapieżnikami*, myślę sobie. *Melvin byłby nią oczarowany*. Tak, jak oczarowany był mną, niewinną dziewczyną pochodzącą ze skromnej, religijnej rodziny. Patrząc na tę młodą kobietę, widzę samą siebie i mam ochotę krzyknąć, żeby się *obudziła*.

– Wszystko gra, dziękuję – odpowiada Carol niemal szeptem. Amiszka powraca do swoich przemyśleń, ale cały czas obserwuje mnie kątem oka. Staram się ze wszystkich sił, żeby mowa mojego ciała była poprawna i niekojarząca się z zagrożeniem. – To pani do mnie dzwoniła?

– Tak.

Carol potrząsa głową, czemu towarzyszy ruch satynowej kurtyny jej włosów.

– Nie mogę pani pomóc.

– Ale możesz mi powiedzieć, co wiesz na temat Remy'ego. Tylko tego chcę. Przysięgam. Myślę o tym, co czują jego rodzice. Oni cierpią, Carol, a wiem, że nie chciałybyś, żeby tak było.

Opuszcza wzrok. Jest szczupła, wysoka i pełna wdzięku. Długie palce jej dłoni są poczerwieniałe i poobcierane, jakby niedawno ciężko pracowała w pralni. Krótkie, mocne paznokcie. Podrywa głowę, kiedy spiker zapowiada odjazd autobusu do Pensylwanii, i wiem, że zaraz ją stracę. Amisze zaczynają się podnosić i zbierać swoje rzeczy. Carol podróżuje z nimi lub przynajmniej tym samym autobusem.

Wciąż niepokoi mnie jej plecak. Widzę na nim wyblakłe piłkarskie naszywki uniwersytetu w Tennessee. Dziewczyna nie wygląda mi na absolwentkę.

Wskazuję go głową.

– To plecak Remy’ego, prawda?

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Ja... on mi go dał!

– Kiedy?

– Kiedy mu powiedziałam, że muszę wyjechać. Powinnam była wyjechać. Wyjechałabym, ale wtedy...

– Wtedy Remy zaginął?

Nie mruga, nie kiwa głową, nie reaguje w jakikolwiek sposób. Po prostu wstaje.

– Kto cię ściga, Carol? – pytam, również się podnosząc. Jej paranoja staje się zaraźliwa – zaczynam rozglądać się po tłumie, szukając kłopotów. Mnóstwo ruchu, żadnych zauważalnych zagrożeń. – Ci sami ludzie, którzy go porwali? Co się z nim stało? Próbowali od niego wyciągnąć, gdzie jesteś?

– Nigdy im tego nie zdradził – odpowiada.

Odwraca się i odchodzi. Ruszam za nią. Nie mam zbyt wiele czasu. Kolejka wsiadających jest długa, ale kiedy zbliżę się do kontrolera biletów, będzie po wszystkim. Dziewczyna znajdzie się poza moim zasięgiem.

– Carol, proszę, daj mi cokolwiek, jakąkolwiek informację, która może być przydatna. Ty wiesz, co się z nim stało, widzę to. Remy próbował ci pomóc i coś się mu przydarzyło. Powiedz po prostu, gdzie mogę zacząć go szukać, to wszystko!

Kiedy kończę mówić, zauważam, że przesunęliśmy się już o pół metra. Carol ściska plecak Remy’ego jak koło ratunkowe na wzburzonym oceanie. Zauważam, że płacze. Bezgłośnie łzy spływają jej po policzkach i kapią na bluzkę. Wyciera je pośpiesznie i znów kręci głową.

Nagle rusza niespodziewanie w kierunku łazienki. Waham się, nie wiedząc, czy próbuje przede mną uciec, czy oczekuje, że za nią podążę. Nie odwraca głowy. Postanawiam zaryzykować. W najgorszym przypadku powiem, że muszę skorzystać z toalety.

Carol czeka przy zlewach, przestępując z nogi na nogę.

– Przepraszam – mówi. – Proszę posłuchać. Może... może mogę coś pani powiedzieć. Chodzi o to, że nie mam pieniędzy na następny bilet. – Ociera łzy i bierze głęboki oddech. – Nie chcę również, żeby wiedziała pani, dokąd jadę.

– A więc chcesz, żebym dała ci pieniądze? Nie, Carol. Nie ma mowy. Nie tutaj.

Zerka na mnie, zaskoczona.

– A gdzie?

– Zabiorę cię do restauracji – oznajmiam. – Kupię ci coś do jedzenia. Wynajmę pokój na noc. Rano dostaniesz ode mnie bilet na samolot i polecisz, dokądkolwiek zechcesz. Do tego dołożę ci tyle gotówki, żebyś mogła zniknąć na dobre. Musisz mi jedynie opowiedzieć, co się stało z Remym. Umowa stoi?

Carol milczy przez chwilę, ale w końcu odpowiada:

– Będzie pani żałowała, że w to wszystko się wmieszała. Bo to nic dobrego.

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wychodzimy na zewnątrz. Obserwuję ją przez cały czas, poszukując pierwszych oznak, że zamierza mi się urwać, ale moja oferta okazała się chyba dość atrakcyjna. Nie próbuję prowadzić z nią żadnych pogaduszek. Nie wygląda na kogoś, kto to lubi.

Mój wynajęty samochód stoi za dworcem autobusowym, na parkingu przylegającym do innego, całkowicie zajętego. Ruszamy w tamtą stronę i zauważam wtedy rozklekotanego kampera, którego kierowca krąży po parkingu, niestrudzenie poszukując wolnego miejsca.

Carol chwyta mnie nagle za rękę i zatrzymuje. Jest zaskakująco silna.

– Ma pani broń? – pyta.

– Nawet jeśli mam, to nie zamierzam niczego rozpętać na parkingu pod terminalem Greyhounda – odpowiadam. – O co chodzi?

Wskazuje kampera ruchem głowy. Wyblakły i stary, z rodzaju tych, których nikt już nie chce. Pochodzi najpóźniej z połowy lat osiemdziesiątych. I tak się dziwię, że jeszcze działa. Carol odciąga mnie na bok, za przepelniony kontener na śmieci. Staram się nie wdychać smrodu odpadków i moczu. Dziewczyna wydaje się tego nie czuć. Uważnie obserwuje wielkie auto.

– Znaleźli mnie – mówi. – O Boże, wspomóż mnie. – Odwraca się do mnie i rzuca mi pełne złości spojrzenie. – To przez panią mnie odszukali. Nie trzeba było się mieszać.

– Kim oni są, Carol?

Nie odpowiada. Kamper krąży, nie parkując nigdzie, po czym przejeżdża na sąsiedni parking. W końcu wtacza się na główną ulicę.

– Musimy się pospieszyć – mówi Carol. – Oni tu wrócą.

Nie wiem, co ma na myśli ani kogo się obawia, ale jedno wiem na pewno: nie blefuje. Biegniemy do samochodu, uruchamiam silnik i każę się jej położyć nisko na siedzeniu.

Mijam kampera jadącego w przeciwnym kierunku. Zerkam w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić jego numery, ale okazuje się to niemożliwe. To tablice z Tennessee, ale brudne i zachlapanie błotem w stopniu uniemożliwiającym odczytanie czegokolwiek poza literą „M”.

Wnętrze chronione jest w całości przez przyciemniane szyby.

Nie zatrzymujemy się. Trzymam się tuż poniżej ograniczenia prędkości i wypatruję, czy kamper nie jedzie za nami.

Nigdzie go nie ma. Mijam jeszcze kilka przecznic i informuję Carol, że jesteśmy bezpieczne.

– Nie jesteśmy – mówi, ale poprawia się na siedzeniu pasażera. Skuliła ramiona, a włosy opadają jej na twarz jak zasłona. – Muszę stąd wyjechać. Natychmiast.

– Mamy umowę.

– *Miałyśmy* umowę – odpowiada. – Ale oni tutaj są. Szukają.

– Jeśli zamierzają nas ścigać kamperem, będzie ich cholernie łatwo zauważyć. Nigdzie ich teraz nie widać. Wszystko jest teraz w porządku. Co powiesz na coś do zjedzenia? Nadal jesteś głodna?

Patrzy przed siebie przez dłuższą chwilę, po czym kiwa głową.

Potem składa dłonie i zaczyna się modlić.

Kiedy siedzimy przy kolacji, pochłania smażonego na maśle kurczaka z taką zawziętością, jakby był to jej ostatni posiłek. Wybrała miejsce na tyłach, w pobliżu kuchni, skąd może obserwować drzwi wejściowe. Stolik nie znajduje się przy oknie.

Najwyższa czujność. Rozumiem ten impuls. Miałam go przez wiele lat.

Zastanawiam się, jak często dostaje prawdziwe jedzenie. Siedząc nad talerzem, zachowuje się dość dziwnie, jakby go chroniła. Tak postępują ludzie, którzy głodowali. Może to konsekwencja jej stylu życia, a może coś znacznie gorszego. Nie jest zbyt rozmowna i odzywa się tylko po to, by odpowiedzieć *tak, nie* lub zapytać, czy może wziąć więcej masła.

Kiedy w końcu napełnia żołądek i prostuje się z westchnieniem, płacę rachunek i wracamy do samochodu. Wciąż nie ma śladu po kamperze. W okolicach lotniska znajduje się kilka przyzwoitych hoteli. Wybieram Best Western, który wydaje się wystarczająco nierzucający się w oczy, i wynajmuję pokój. Jeden pokój i jeden

klucz. Parkuję nasz anonimowy samochód na podziemnym parkingu w taki sposób, żeby nie było widać tablicy rejestracyjnej. Nigdy nie znosiłam przepisu w Tennessee, który zezwalał na zakładanie tylko tylnej tablicy... aż do teraz. W tym momencie bardzo mi to ułatwia życie. Jeśli ktokolwiek z tego kampera zechce sprawdzić każdy biały samochód z wypożyczalni w Knoxville, będzie musiał poświęcić na to bardzo dużo czasu.

Kiedy zamykam za nami drzwi pokoju, mam dziwne *déjà vu*. Jest całkiem przyjemny, ale to kolejne anonimowe, tymczasowe schronienie. W mojej historii było ich tyle, że przyprawia mnie to o zawrót głowy. Są tutaj dwa łóżka. Carol siada na jednym z nich, sprawdzając materac i przesuwając palcami po czystej pościeli. Podskakuje lekko, jakby zapomniała już, jak się śpi w łóżku.

– Jak się nazywasz? – pytam. Nie patrzy na mnie, nie przestając gładzić prześcieradła.

– Hickenlooper. Carol Hickenlooper.

Nie wierzę jej, ale odpuszczam. Znów coś mnie niepokoi i nie potrafię tego zidentyfikować.

– Jeśli chcesz wziąć prysznic, to śmiało – zachęcam ją. Przyniosłam ze sobą moją walizeczkę i otwieram ją, żeby wyjąć laptopa z bocznej kieszeni. Stawiam go na małym stoliku. Młoda kobieta bez wahania korzysta z mojej propozycji. Wyjmuje z plecaka bieliznę i czyste ubranie – kolejną gładką koszulę i długą spódnicę, z tego, co widzę – i znika w niedużej, czystej łazience. Po chwili rozlega się kliknięcie zamka w drzwiach.

Nie tracąc czasu, zaglądam do jej plecaka. Tak jak oczekiwałam, na wewnętrznej stronie przedniej kieszeni zauważam inicjały Remy'ego zapisane czarnym markerem. To bardzo przygnębiające. Nie wierzę, że dał jej plecak przed swoim zniknięciem – miał go przy sobie w nocy, kiedy przepadł bez wieści w barze. Widziałam to na filmie.

Ona coś wie. Coś widziała.

W środku nie ma już niczego, co należy do niego. W dużej komorze tylnej znajduję damską bieliznę, sportowy stanik i znoszoną białą koszulę nocną z taniego, lekkiego materiału, bez żadnych zdobień. Na dnie schowana jest brudna odzież, starannie złożona i gotowa do wyprania. W mniejszej przedniej komorze dostrzegam egzemplarz Biblii Króla Jakuba w miękkiej okładce z mnóstwem notatek. Trochę przyborów toaletowych i parę tanich, miękkich butów, które trzyma chyba na wszelki wypadek, bo podeszwy są nadal czyste. Myjkę najprawdopodobniej ukradzioną z hotelu, kilka miniaturowych kosteczek mydła, niemal opróżnione buteleczki z szamponem i odżywką, również hotelowe.

Carol może być w tym momencie bezdomna, ale z pewnością dba o czystość.

Kiedy kończę sprawdzać zawartość plecaka, wciąż słyszę szum prysznic. Na koniec przyglądam się nieco uważniej Biblii, ponieważ notatki wydają się... dziwne. Często towarzyszą im daty.

Zamierzam czegoś spróbować. Zamykam książkę, stawiam grzbietem opartym o blat stolika i pozwalam opaść. Otwiera się na stronie, którą Carol najczęściej czyta. Wyróżnia się tam jeden z wersetów – List do Kolosan 1,26. Ozdobiła go dziecinnie wyglądającymi gwiazdkami.

Tajemnicę, która była zakryta od wieków i wobec pokoleń, a teraz objawiona została świętym jego[\[5\]](#).

Świętym. Przypominają mi się jej wcześniejsze słowa. *Remy jest ze świętymi.* Sprawdzam kilka innych notatek. Z niepokojem zauważam, że intensywnie poznaczala fragmenty, które mówią o uległości kobiet. Obok nich napisała: *zapamiętać.* Na wewnętrznej stronie okładki Biblii znajduje się cytat, którego nie rozpoznaję: *Przyprowadzisz mi świętych, których mogę zabrać ze sobą na nadchodzącą wojnę.*

Pod spodem podpisano się inicjałami O.T. Żadnego numeru rozdziału czy wersetu.

Próbuję przyjrzeć się bliżej Pierwszemu Listowi Pawła do Tesaloniczan. Ma jedynie cztery rozdziały i krótkie wersety. Znajduję tylko jedno nawiązanie do świętych na końcu, ale w ogóle nie pasuje ono do tego cytatu. Po raz kolejny przerzucam strony egzemplarza w poszukiwaniu notatek, aż w końcu w Lamentacjach znajduję coś oznaczonego kółkiem z odręcznym dopiskiem: *Przekaz Ojca Toma 4/2012.*

O.T.

Ojciec Tom.

Odkładam Biblię i przechodzę do komputera, jednak po wpisaniu hasła „Ojciec Tom” w Google wyświetla się kilkadziesiąt wyników dotyczących różnych księży z różnych parafii. Przez chwilę czuję się rozczarowana, ale wtedy sobie coś uświadamiam. *To jest Biblia Króla Jakuba.* Ona nie jest katoliczką, a protestantką. W kościołach protestanckich występują pastorzy, nie księża czy ojcowie. Chyba że mowa o sekcie, której nie znam.

Zerkam na staromodny zegarek na stoliku. Dochodzi północ. Nic dziwnego, że jestem wykończona.

Wpatruję się w elektroniczny wyświetlacz, nie mrugając. Nie wiem nawet, dlaczego to robię, aż w końcu dostrzegam wypisaną białymi literami nazwę w rogu urządzenia. Jest małe, ale napis jest wyraźnie widoczny z miejsca, w którym siedzę.

Hickenlooper.

A więc stąd wzięło się rzekome nazwisko.

Przez to, że wyciszyłam telefon, mam nieodebrane połączenie. Telefon wibruje, informując mnie o wiadomości w poczcie głosowej, sprawdzam więc nadawcę. To od Sama. Będzie musiał jednak poczekać, bo słyszę, że cichnie odgłos lecącej wody. Odkładam Biblię na swoje miejsce, zapinam plecak i siadam przy laptopie. Kiedy po paru minutach otwieram pocztę, Carol wychodzi z łazienki.

Włosy ma schowane w ręczniku, ale poza tym jest całkowicie ubrana. Ma zaróżowione policzki i jest wyraźnie odprężona po

prysznicu. Opada na łóżko z westchnieniem i odsuwa plecak.

– To było naprawdę coś wspaniałego – mówi. – Dziękuję.

– Drobiazg.

– I za kolację również. Nie jadłam tak od jakiegoś czasu.

Zamykam pokrywę laptopa i obracam się na krześle w jej stronę.

– Od jak dawna uciekasz przed tą sektą? – To strzał w ciemno, ale zważywszy na zaznaczone wersety, człowieka określanego mianem *Ojca Toma*, dychotomię między tym a Biblią protestancką, śledzącego ją kampera... myślę, że to dobry strzał.

Zaskoczona, rozchyła usta, a w jej oczach przez chwilę gości panika. Zerka w stronę drzwi. Unoszę brwi, ale milczę. Instykt podpowiadał jej ucieczkę, ale tylko przez krótką chwilę.

– Od jakiegoś czasu – odpowiada i opuszcza wzrok. Znowu czuje się niekomfortowo. – Od lat.

– Od trzech lat?

Kiwa głową.

– Remy pomógł ci uciec?

Kolejne skinienie.

– Carol, musisz mi powiedzieć, co się stało.

Zamierza mnie okłamać, czuję to w kościach. Wygląda jednak tak, jakby była zupełnie szczerą.

– Kiedy poznałam Remy'ego, byłam już w trakcie ucieczki – odpowiada. – Włączyłam się po Knoxville i zaczęłam chodzić do Świadców Ewangelii. Pastor, który okazał się dla mnie naprawdę miły, pozwolił mi się zatrzymać u siebie. Znalazł mi bezpieczne miejsce i przez pewien czas wszystko było w porządku. Remy'ego poznałam na czytaniu Biblii. – Siedzi bardzo sztywno. Nienaturalnie sztywno. Stara się nie zdradzić niczego mową własnego ciała. To działa, bo trudno jest cokolwiek z niej wyczytać. – On nie był... to znaczy... nie byliśmy parą. Po prostu przyjaciółmi. Miał chyba dziewczynę, a ja niczego od niego nie oczekiwałam. Fajnie się z nim rozmawiało. Niepokoił się o mnie.

– Dowiedział się, że należałaś do sekty.

Powolne skinienie głową.

– Pewnego dnia zobaczył, że płaczę. Nie powinnam była mu o tym mówić, ale... Remy był takim dobrym słuchaczem. Chciał mi pomóc. Był naprawdę dobrym, młodym człowiekiem. I pobożnym.

Z tego, czego się dowiedziałam, Remy nie był aż tak pobożny. Lubił się zabawić jak wszyscy inni. Nie komentuję tego jednak w żaden sposób.

– Co się stało tej nocy, kiedy zaginał, Carol?

Milczy przez kilka długich sekund. Zdejmuje ręcznik z głowy, a jej wilgotne włosy opadają kaskadą, zawijając się na końcach. Pozwala, by zasłoniły jej twarz.

– Zamierzał pomóc mi wydostać się z miasta – odpowiada. – Miał się ze mną spotkać i dać mi trochę pieniędzy. Nie zjawił się jednak. Czekałam, ale... nie przyszedł i nikt już nigdy go nie widział. Pomyślałam, że mógł zostać porwany.

– Przez sektę? – Wzrusza ramionami. – Dlaczego mieliby go porwać? Żeby dostać ciebie?

Kolejne drgnięcie ramion. W ogóle nie patrzy mi w oczy. Kłamie. Ale przynajmniej mówi.

– Carol, popatrz na mnie. – W końcu to robi, ale w jej oczach dostrzegam rezygnację. – Dokąd mogliby go zabrać?

– Nie wiem. Oni zmieniają miejsce. I jeżdżą tymi kamperami.

Wyznawcy kultu na kółkach? To brzmi przerażająco.

– Jak dokładnie działa ta sekta?

– Normalnie. – Wykrzywia lekko usta. – Jeżdżą dookoła, wygłaszają kazania, rozdają podarunki. Rekrutują nowych wyznawców, a oni poświęcają swoją rodzinę i pieniądze, żeby dostać się do nieba.

– I dostają się?

– Kiedyś tak myślałam. Ale... – Waha się i znów odwraca wzrok.
– Ale może to było zwyczajne kłamstwo. Nie mieliśmy nigdy żadnych

pieniędzy i nie było... nie było tak, jak wyobrażałam sobie niebo. I to, jak nas traktowali... jak rzeczy ruchome. Wie pani, czym są rzeczy ruchome?

– Tak.

– W szczególności kobiety. Nie miałyśmy żadnego prawa głosu. Nawet między sobą. – Mówi o czymś strasznym. Wyczuwam to, obserwując napięcie jej ciała, jakby stąpała na skraju urwiska. Prostuje się i śmieje. Jest to dziwnie pusty dźwięk. – Tak bywa.

– Jak więc uciekłaś?

– Nie uciekłam. A przynajmniej nie świadomie. Poszłam do sklepu i wróciłam za późno, a wtedy ten mężczyzna... próbował wciągnąć mnie do samochodu. Sprzedawca z tego sklepu zauważył, co się dzieje, i zadzwonił na policję. Tamten człowiek został aresztowany. Nie mogłam jednak odejść, policja nie pozwalała mi na to do momentu złożenia zeznania. Kamper odjechał. Widziałam go zaparkowanego nieco dalej. Oni nie lubią rozmawiać z policją. Wtedy uświadomiłam sobie... że mam szansę. Zdecydowałam się uciec. Nie wiem tak naprawdę dlaczego. Nie wiedziałam, co robić, dokąd się udać.

– Nie mogłaś wrócić do domu? – Trzy lata temu musiała być jeszcze niepełnoletnia. Teraz wygląda co najwyżej na dwudziestolatkę.

– Nie miałam tak naprawdę domu, zanim przygarnął mnie Ojciec Tom. Byłam w rodzinie zastępczej.

Wrażliwa, pozbawiona pewności siebie... idealna dla sekty. Choć nie mogła wnieść dużej wartości materialnej, sam fakt akceptacji i bycia kochaną uczynił ją lojalną. Dla niej było to swego rodzaju cudem. Większość ludzi nie odchodzi, dopóki sprawy nie mają się tak źle, że nie mogą już tego wytrzymać. Wtedy są ratowani lub... giną.

Wiem, że część historii, którą mi opowiedziała, jest prawdziwa. Podejrzewam jednak, że było też sporo kłamstw, zapewne

dotyczących drobiazgów. Większość tak robi. Jest jednak zaskakująco dobra i nie umiem ocenić, czy najważniejsze kwestie, które poruszyła, są prawdziwe, czy nie.

– Kiedy dostałaś ten plecak? – pytam, bo nie mam już nic do stracenia, a może uda mi się nią wstrząsnąć.

Nie udaje się. Milczy chwilę, po czym odpowiada:

– Na dzień przed naszym zaplanowanym spotkaniem. Remy powiedział, że to stary plecak, że go nie potrzebuje. – W jej głosie pojawia się nuta nerwowości. Chyba trafiłam w czułe miejsce. – Nie ukradłam mu tego plecaka.

– Wcale nie sugeruję, że to zrobiłaś, Carol. Jak się naprawdę nazywasz?

– Hicken...

– Widziałam tę nazwę na zegarku.

Zamyka usta i patrzy na mnie z jeszcze większą intensywnością niż do tej pory. Zmieniam swój osąd dotyczący tej dziewczyny. Ona tylko doskonale gra bezbronną. Ale nie wtedy, kiedy trzeba. Ma w sobie coś stalowego, co ujawnia się tylko na ułamek sekundy i zaraz kryje pod kamuflażem.

– Nie wiem, jak brzmi moje nazwisko – mówi w końcu. – Nigdy go nie poznałam. Nazwisko mojej ostatniej rodziny zastępczej brzmi Sadler. Więc zapewne Carol Sadler, choć to bez znaczenia. Nie mam nawet niczego, co pozwoliłoby mi to udowodnić. Kościół zabrał wszystko, kiedy do niego dołączyłam.

Słowa *kościół* użyła zupełnie nieświadomie. Nie *sektą*. I wiem, że nie ma na myśli tego chwiejącego się budynekczku, którym opiekował się pastor Wallace.

– Jak on się nazywał? Ten kościół? – *Sekta*.

Patrzy na mnie dość długo, po czym odpowiada:

– Nazwali go Zgromadzeniem Świętych. Jestem naprawdę zmęczona. Chciałabym położyć się do łóżka.

Zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, Carol podciąga pościel i wsuwa się pod nią, całkowicie ubrana. Kładzie sobie poduszkę i kołdrę na głowie i zakopuje pod spodem, jakby chciała zniknąć w miękkiej bawełnie.

Dziś niczego już z niej nie wyciągnę. Spróbuję rano. Zostawiam ją i siadam przed moim komputerem. Wysyłam J.B. podsumowanie wszystkiego, czego się dowiedziałam, i dokumentuję to w moich notatkach. Pamiętam, żeby sprawdzić nazwisko Carol Sadler, choć nie sądzę, żeby mnie to do czegokolwiek doprowadziło. Kiedy kończę, jestem już całkiem zmęczona, ale nadal pozostaje mi do odsłuchania poczta głosowa Sama.

Słucham jego nagrania, po czym otwieram dokument i ponownie je odtwarzam, zapisując nazwiska, które podaje. Jest ich sześć. Jednym jest Remy Landry. Jeśli autor wpisu się nie myli, pięciu pozostałych zaginęło w ciągu ostatnich kilku lat. Po prostu... przepadło. Dwaj opuścili swoje pokoje w szkolnym akademiku i nigdy więcej ich nie widziano. Jeden był w szkole średniej i znikł bez śladu po zajęciach. Jeden w drodze z pracy do domu. I ostatni z baru. Jak Remy.

Sprawdzam pospiesznie ich nazwiska na firmowej wyszukiwarce J.B. i widzę, że w sprawie każdego z nich toczy się śledztwo. Nie łączy ich jedno miejsce, choć każdy z przypadków miał miejsce na południowym wschodzie. Wszyscy są jednak białymi, wysportowanymi chłopakami w pewnym wieku: najmłodszy miał siedemnaście, a najstarszy dwadzieścia dwa.

Wychodzę z pokoju, opieram się o ścianę korytarza i dzwonię do Sama. Odbiera po drugim dzwonku. Zerkam na zegarek – jest już po pierwszej w nocy.

– Hej – mówię. – Nie śpisz jeszcze?

– Nie, miałem nadzieję, że zadzwonisz. Nie mogę zasnąć, choć jestem tak zmęczony, że mógłbym się rozbić jak Hindenburg.

– Auć.

– Za wcześnie?

– Za dokładnie. Jesteś w domu?

– Nie, zatrzymaliśmy się w innym hotelu. Chyba tu zostaniemy, dopóki Kezia nie da znać, że kurz opadł. To chyba nie powinno zbyt długo potrwać, prawda? Bon Casey i Olly Belldene nie wyglądają mi na geniuszy.

Czuję ulgę, że nie pojechali prosto do Stillhouse Lake. Za dużo tam nieznanymi zagrożeniami.

– Naciesz się obsługą hotelową – mówię. – Ja też wynajęłam pokój.

– Jak tam sprawa?

– Interesująco – przyznaję. Przyciskam plecy do ściany. Gdzieś za moimi oczami formuje się ból głowy i zaciskam na chwilę powieki.

– Dowiedziałam się od Carol, że miała się spotkać z Remym, żeby odebrać pieniądze, które dla niej przygotował z myślą o wyjeździe z Knoxville. Nie pojawił się jednak na miejscu i nikt go nie widział. Ona ma jego plecak. Teraz, kiedy już wiem, że istnieje pewna prawidłowość związana z tymi zniknięciami – dzięki tobie, tak przy okazji – rano zapytam ją o inne nazwiska i zobaczę, jak zareaguje. – Waham się przez chwilę, jak wiele powinnam mu powiedzieć, po czym dodaję: – Ona twierdzi, że należała do sekty. Nazywa ją Kościołem, ale jak dla mnie to typowa sekta.

– Och. Jak w Wolfhunter? – Tamto miasteczko było toksycznym miejscem, a w jego zgniłym sercu zagnieździł się paskudny kult oparty na okrutnej filozofii związanej ze złym traktowaniem kobiet. *Rzeczy ruchome*. Carol użyła takiego określenia. Większość wyznawców sekty nie żyła, jednak jej przywódca duchowy – z tego, co słyszałam – zdołał zbiec. Z pewnością nie była to jednak ta sama sekta, o której opowiadała Carol. O ile mi wiadomo, tamci nie werbowali ludzi w tak otwarty sposób.

– Nie wiem – przyznaję. – Nie udało mi się zbyt wiele z niej wyciągnąć.

– Wciąż jest tam z tobą?

– Tak. Planowałam zdobyć od niej informacje, a potem pozwolić odejść rano. Kupić jej bilet na samolot i wysłać w jakieś bezpieczne miejsce.

– Być może to tylko efekt połączenia telefonicznego, ale słyszę tu nieme „ale” – mówi Sam. Uwielbiam z nim rozmawiać. Zawsze jest albo krok za mną, albo o krok mnie wyprzedza. Nigdy nie muszę na niego czekać, żeby złapał wspólny rytm. – Nie wierzysz jej.

– Nie do końca, to prawda. Obawiam się, że zbyt dobrze wychodzi jej granie ofiary.

– Myślisz, że ma coś wspólnego z porwaniem Remy’ego?

– Może. Uważam, że nie powiedziała mi jeszcze wielu rzeczy, a to oznacza, że nie mogę sobie pozwolić na wsadzenie jej do samolotu i odesłanie Bóg wie dokąd. Nie wiem jeszcze, co mam zrobić. Dziś się z tym prześpię i zadecyduję rano.

– Chciałbym znów być z tobą w domu – mówi. – I żałuję, że męczysz się z tym sama.

– Wiem, że zawsze jesteś gotów mi pomóc.

– Zawsze.

Milczę przez chwilę.

– A jak oni sobie radzą?

– Śpią. Rano będą tęsknili tak samo mocno jak ja.

– Powiedz im, że ich kocham. – Czuję, jak robi mi się ciepło na sercu. – Ciebie też kocham. Uważaj na siebie.

– Kocham cię, Gwen. Bądź ostrożna.

Zamierzam właśnie wrócić do pokoju, kiedy słyszę kroki. Zerkam w głąb korytarza i na sam koniec, gdzie znajdują się windy. Prosiłam o pokój w pobliżu schodów, choć w takich najczęściej dochodzi do włamań, ponieważ w razie konieczności zapewniają one bliskość drogi ucieczki. Jestem oczywiście paranoiczką. Nie ma mowy, żeby sekta mogła nas tutaj wyśledzić.

Chyba że oprócz kampera dysponują dodatkowym samochodem.
Nie. Zauważyłabym. O jednej rzeczy nigdy nie zapominam:
o obserwacji otoczenia.

Odprężam się, kiedy dostrzegam dwóch policjantów
w mundurach. Kiedy podchodzą bliżej, okazują się dwiema
czarnoskórymi funkcjonariuszkami. Zmierzają pewnym krokiem
w moją stronę. Pozdrawiam je kiwnięciem głową, ale nie
odpowiadają. Zbliżają się w bardzo konkretnym celu.

– Proszę się odsunąć od drzwi – mówi jedna z nich.

Obie trzymają dłonie na rękojeściach broni.

Ja swoją mam wciąż przy sobie, ale w tym momencie odczuwam
ją bardziej jak rozgrzany do czerwoności kulochwył, a nie środek
obronny. Nie wiem, co się dzieje, ale wykonuję polecenie. Staję pod
przeciwległą ścianą. Podnoszę ręce, przez cały czas trzymając
w dłoni kartę do pokoju.

Odwracają mnie twarzą do ściany. Nie opieram się, bo
przyjrzałam się ich sprzętowi, a poza tym obie kobiety wyglądają
bardzo autentycznie. I są cholernie spięte.

– Jestem uzbrojona – informuję. – Kabura naramienna, lewa
strona. W portfelu mam pozwolenie, a portfel jest w pokoju.

– Proszę trzymać dłonie płasko na ścianie – mówi policjantka
i wyjmuję moją broń. – W porządku. Ręce w dół i za plecy.

– Chcecie mnie skuć? Co ja zrobiłam?

– To dla pani bezpieczeństwa. – Słyszę kliknięcie kajdanek
i szarpnię nimi instynktownie. Boli.

– Co się dzieje, do cholery? – pytam.

– Proszę usiąść – nakazuje stojąca przede mną policjantka. Ma
gęste brwi i mocno zarysowaną szczękę. Osuwam się posłusznie na
podłogę. – Proszę skrzyżować nogi i nie poruszać się, dopóki nie
powiem inaczej.

– Nazywam się Gwen Proctor...

– Wiem, jak się pani nazywa – rzuca ostro. – Ma pani prawo zachować milczenie i radzę z tego prawa skorzystać.

Druga funkcjonariuszka puka do drzwi, które niemal natychmiast otwiera Carol.

Na twarzy ma duży, czerwony ślad, który wkrótce zmieni się w siniaka. Jedno oko zaczyna już puchnąć.

Trzyma ręce przed sobą i zauważam na nich kajdanki zrobione z plastikowej opaski, którą noszę w walizce.

Kurwa. Niewiele mi brakuje, żeby wyrazić podziw dla jej postępowania.

– Pomocy – mówi, łkając. – Proszę mi pomóc!

Doskonale gra ogarniętą strachem ofiarę.

Czuję, jak zapada się pode mną ziemia, i jednocześnie uświadamiam sobie swoją własną głupotę. Sprawdziłam jej bagaż. Powinnam się domyślić, że ona robi to samo, kiedy tylko wyjdę z pokoju.

Powinnam była to przewidzieć.

[5] Wszystkie cytaty z Biblii za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekładzie polskim o. Jakuba Wujka SJ, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962.

Rozdział 15

Sam

O szóstej nad ranem dzwoni telefon. To Kezia, która chciała mnie poinformować, że obaj podejrzani z Killing Rock wylądowali już w areszcie i że możemy wracać do domu. To dobre wieści. Rzuciłem się w pościeli przez całą noc, nie mogąc wyzbyć się uczucia niepokoju. Czułem, że powinienem być w drodze.

– Dzięki za informację – mówię. – Świetna robota.

– Ani nie była taka świetna, ani roboty nie było za dużo – odpowiada z rozbawieniem. – Bon sam się zgłosił. Nie jest głupi. Olly Belldene był już większym zaskoczeniem. Spodziewałam się raczej, że tatuś ukryje go gdzieś na wzgórzach, ale zamiast tego zadzwonił, żebyśmy po niego przyjechali. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że chcieli uniknąć przeszukania ich nieruchomości. – Kezia znów poważnieje. – Sam, będę potrzebowała tutaj Lanny. Musi ich formalnie zidentyfikować i złożyć jeszcze jedno zeznanie. Kiedy możecie tu dotrzeć?

– Jesteśmy o kilka godzin drogi od miasteczka i powoli się zbieramy. Zadzwonię do ciebie. – Nie mówię, że przywiozę Lanny ani o której będziemy w domu. Teraz to ja za nią odpowiadam, a nie

jestem jej rodzicem ani opiekunem prawnym. Nie pozwolą mi zostać przy niej podczas składania zeznania, a chcę, żeby Gwen była na miejscu. Nie chodzi o to, że nie ufam Kez czy detektywowi Presterowi, oboje są naprawdę w porządku. Czasami jednak sprawy toczą się własnym torem i nie wynika to z czyjejkolwiek winy.

Budzę dzieci. Nie są zbyt zadowolone z wczesnej pobudki, ale po początkowych narzekaniach zaczynają się cieszyć, że źli faceci trafili za kratki i że możemy ruszać w drogę. Nie mówię Lanny, że policja znów chce z nią porozmawiać. Nie ma sensu jej teraz denerwować. Wsiadamy do samochodu i w ciągu godziny jesteśmy znów w drodze, co chyba jest rekordem świata. Wracamy do domu.

Kiedy pozostaje nam mniej więcej godzina jazdy do Stillhouse Lake, dzwoni mój telefon. Postępując zgodnie z radą Gwen, kupiłem nowy i poprzedniego wieczoru skopiowałem do niego wszystkie moje kontakty. Normalnie nie odebrałbym żadnego połączenia spoza tej listy, jednak identyfikator dzwoniącego podpowiada, że to szefowa Gwen, J.B. Hall. Czuję dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Zjeżdżam na pobocze drogi, włączam światła awaryjne i odbieram połączenie.

– Halo?

– Pan Cade? – Głos po drugiej stronie jest ciepły, ale poważny. – Gwen podała mi pański nowy numer. Obiecuję, że nikomu go nie podam, doskonale rozumiem, że musi pozostać poufny...

Przerywam jej, ponieważ nie mogę dłużej czekać.

– Czy coś przydarzyło się Gwen? – Nie wyobrażam sobie innego powodu, dla którego ta kobieta miałaby do mnie dzwonić. Żadnego. Czuję smak goryczy w ustach i uderzenie adrenaliny.

– Jest bezpieczna – odpowiada J.B. i pozwalam sobie na wypuszczenie powietrza z płuc. *Dzięki Bogu*. Connor śpi na siedzeniu pasażera, ale napięcie w moim głosie sprawia, że się budzi i zaczyna obserwować mnie z troską malującą się na twarzy.

Jego siostra leży z tyłu ze słuchawkami na uszach. – Nic jej nie jest, Sam. Właśnie się z nią widziałam.

– Okej, to dlaczego pani do mnie dzwoni?

– Ponieważ została aresztowana pod zarzutem napaści.

Otwieram usta i zamykam je bez słowa. Potrafię wyobrazić sobie tuzin sytuacji, w których Gwen przeszłaby do stosowania mieszanych sztuk walki, ale kiedy rozmawialiśmy ubiegłej nocy, nie znajdowała się w żadnej z nich. J.B. nie czeka, aż spytam, i kontynuuje:

– Ta młoda dziewczyna, z którą rozmawiała. Carol. Wrobiła Gwen, kiedy ta wyszła z pokoju, żeby z panem porozmawiać. Sama zadała sobie obrażenia, wezwała policję, a Gwen resztę nocy spędziła w areszcie. Carol odmówiła badania w szpitalu i zniknęła zaraz po złożeniu zeznań, a policja już się zaczyna domyślać, że cała ta sprawa została ustawiona. Jestem teraz w sądzie, a Gwen niebawem wyjdzie za kaucją. Proszę się nie martwić, nie postawią jej żadnych zarzutów. Tutejszy detektyw dobrze rozumie, co się kroi.

Przypominam sobie naszą swobodną rozmowę z Gwen. Kiedy się żegnaliśmy, wszystko było w porządku. Do tego zamieszania musiało dojść chwilę później. Gwen niełatwo jest wykiwać ani zmanipulować. Ta Carol musiała być naprawdę dobra, skoro udało się jej wykręcić taki numer.

– Sam... – Odnoszę wrażenie, że J.B. nie podoba się to, co zamierza właśnie powiedzieć. – Zdaje pan sobie sprawę, że wieści o tym, że została aresztowana za napaść, rozejdą się błyskawicznie, prawda? To spowoduje dolanie oliwy do ognia. Fakt, że młoda dziewczyna oskarżyła Gwen o uwięzienie...

Zaciskam powieki i biorę głęboki oddech.

– Media będą się tym karmić, rozumiem.

– Dotarcie do Stillhouse Lake i ponowne oblężenie waszego domu nie zabierze im dużo czasu. Może pan zabrać dzieci do Knoxville...

– To może być problem. Musimy porozmawiać z policją z Norton. Lanny jest świadkiem w sprawie, która niedawno miejsce, i musi kogoś zidentyfikować. Nie możemy się z tego wywinąć. – Zastanawiam się nad tym przez kilka sekund. J.B. czeka. – Okej, pojedziemy do domu, zabierzemy, co trzeba, zahaczymy o posterunek i stamtąd skierujemy się prosto do pani biura. – Następne hotele w naszej przyszłości... a może nie. Może po prostu znajdziemy jakieś miejsce w Knoxville i wyślemy firmę przeprowadzkową, żeby nas spakowali w domu. Może właśnie czegoś takiego potrzebujemy. Gwen nie będzie łatwo wykonać takiego ruchu, ale to będzie przynajmniej krótka i szybka decyzja. Poza tym rozwiążemy automatycznie problem z Belldene'ami.

Niepokoi mnie tylko wizja dziennikarzy, którzy zaczną się znów kręcić wokół naszego domu. J.B. będzie chronić naszą prywatność tak bardzo, jak tylko zdoła, ale w końcu tam dotrą. Już wyobrażam sobie te pytania: *Jest pan bratem jednej z ofiar Melvina Royała. Jak się pan czuje z tym, że Gina Royal została oskarżona o napaść i porwanie? Albo: Czy wciąż wierzy pan, zważywszy na to nowe oskarżenie, że Gina Royal jest niewinna i nie była zaangażowana w zbrodnię swojego męża?* Nie mam najmniejszego zamiaru odpowiadać na takie pytania, a każda moja odpowiedź zaczęłaby się i zakończyła słowami: *Pierdolcie się.*

Kończę rozmowę z J.B. i wyłączam światła awaryjne. Włączam się do niezbyt intensywnego o tej porze ruchu.

– Słyszałeś wszystko? – pytam Connora.

– Część – odpowiada. – Mama ma kłopoty?

– Może tylko przez chwilę. – Nie chcę go niepokoić. – Zobaczymy się z nią najpóźniej po południu, w porządku?

– Okej. – Milczy przez chwilę, po czym dodaje: – Sam? Chciałbym, żeby wszystko było takie jak kiedyś.

– Tak? Jak kiedy? – Momentalnie żałuję, że to powiedziałem. – Przepraszam, Connor. Nie chciałem tego powiedzieć. Masz na myśli

ten czas kilka lat temu, kiedy budowaliśmy pomost? – To wtedy tak naprawdę się poznaliśmy i to wtedy uświadomiłem sobie, jak wspaniałe dzieci wychowała Gwen. I jak dobrą jest kobietą. Zgadza się, to były fantastyczne czasy.

– Tak – odpowiada cicho. – Chcę, żeby wszystko było w porządku, żeby nie nachodzili nas reporterzy i ci wszyscy nienawidzący nas ludzie.

– Normalne życie – odpowiadam, a on kiwa głową. – Okej. Obiecuję, że spróbujemy znów tak żyć. Nigdy jednak nie będzie nudno, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Uśmiecha się i patrzy przez okno.

– Tak. To znaczy, z mamą nigdy nie będzie nudno.

– Zgadza się. Ja akurat jestem dość nudny. Ale popracuję nad tym.

– Wcale nie uważam, że jesteś nudny.

– Miło mi to słyszeć. – Czochram mu włosy, on uderza mnie lekko w ramię i znów jest między nami w porządku. Przynajmniej na razie. Ale dzieciak ma rację. Rozpaczliwie potrzebujemy normalności. Straszliwe doświadczenia Connora w szkole, nieprzyjemne odkrycie Lanny nad jeziorem i aresztowanie Gwen... to nie jest najlepszy okres w naszym życiu. Nie mogę się już doczekać relatywnego spokoju w Knoxville i mam nadzieję, że J.B. odsunie Gwen od tej sprawy i pozwoli nam przez chwilę zająć się sobą.

Na kilka kilometrów przed Norton znów odzywa się mój telefon. Numer znajduje się w mojej książce kontaktów i choć rozmowa podczas jazdy jest nielegalna, natychmiast przysuwam aparat do ucha, nie przełączając na głośnik. Nie chcę pogorszyć sytuacji.

– Hej – mówię. – Javi?

– Człowieku, jak już wy wpadniecie w gówno, to po same uszy, co? – mówi Javier Esparza.

– Dzwonisz, żeby mnie rozweselić czy co? – Javier jest dobrym przyjacielem i byłym żołnierzem piechoty morskiej. Dokuczamy sobie wzajemnie, używając żartobliwych określeń dla swoich formacji wojskowych, ale pozostajemy towarzyszami broni. Javier prowadzi lokalną strzelnicę, jedno z moich ulubionych miejsc w Stillhouse Lake. Spotykamy się tam czasami na prywatnych zawodach. Jak dotąd, prowadzi jednym punktem na trzydzieści kilka rozegranych pojedynków. Dużo lepiej radzi sobie na większych dystansach, ale na krótkich to ja jestem nie do pokonania. Javier jest porządnym facetem, który pomógł nam już kilkakrotnie w trudnych sytuacjach.

Przypominam sobie, że jestem mu dłużny rundę czyszczenia toalet na strzelnicy po ostatnim przegranym pojedynku. W zamian zaproponował mi lekcje nurkowania. Nie mam zamiaru nurkować. Nienawidzę pływania. Wolę już szorować te kible.

– Chciałbym – odpowiada. – Kez się martwi. – Kezia jest dziewczyną Javiera.

– O co dokładnie się martwi?

– Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że ci to mówię, więc ani słowa, dobrze?

– Jak najbardziej.

– Boi się, że to może skończyć się źle dla Lanny. Postępuj, Bon i Olly to dranie, wszyscy o tym wiedzą. Problem w tym, że mają spójne zeznania, a ona niczego nie ujawniła.

– Czyli?

– Ona z kimś była na tej imprezie, stary. Nie przyszła sama. Chyba z jakąś dziewczyną. Musisz to z nią wyjaśnić, zanim wszystko się spieprzy. Nie może nic ukrywać, jeśli to jej mają uwierzyć, a nie im. Poza tym oni się sami zgłosili. W ten sposób zapewnili sobie co najmniej tyle, że zostaną wysłuchani.

Chciałbym sprzeczać się z nim w kwestii niewinności Lanny, ale fakt pozostaje faktem, że mnie tam nie było. Zjawiliśmy się tam z Gwen, kiedy wszystko się już zakończyło, i choć jej wierzę, nie

mogę wiedzieć na sto procent, co się wydarzyło. On ma rację. Olly Belldene stawiający się dobrowolnie na posterunku? To bardzo dziwna sprawa.

– W porządku – mówię. – Porozmawiam z nią. – Staram się nie patrzeć na Lanny, choć bardzo mnie to kusi. To może poczekać, aż wrócimy do domu. Widzę w lusterku wstecznym, że wciąż leży z zamkniętymi oczami. Słyszę cichy rytm muzyki dobiegający z jej małych słuchawek. – Jakies inne dobre wieści?

– Zarezerwowałem na jutro basen, tak jak się umawialiśmy.

– Javi... okej, po pierwsze nie mówiłem, że to zrobię...

– Przegrałeś zakład, stary. Masz u mnie dług, a to znaczy, że zakładasz sprzęt i włączysz do wody. Hej, gdybyś to ty wygrał, z pewnością wsadziłbyś mnie do jednego z tych małych samolotów śmigłowych i narobił tyle beczek, aż bym się porzygał.

– Zgadza się – przyznaję. – Ale zważywszy na okoliczności związane z Lanny... może jednak zajmę się tymi toaletami. Opcja B.

– Widziałeś kiedyś, jak one wyglądają? Korzystają z nich ludzie ze wzgórz i kierowcy ciężarówek. Żaden z nich nie ma ani dobrego celu, ani zasięgu. Ale jak chcesz. Twój wybór.

Wiem, że stara się podtrzymać dobry nastrój, choć sprawa Lanny jest poważna. Doceniam to.

– Wyszoruję osobiście tę porcelanę, aż zacznie lśnić. Nie zrobisz ze mnie marine, niezależnie od tego, jak bardzo będziesz się starał.

Javier tłumy śmiech.

– Okej, wiem. Obiecuję, że będę miły. Nie dostaniesz do pracy szczoteczki do zębów.

– Lepsze to niż ćwiczenia obozowe.

Milczy przez chwilę, a kiedy się odzywa, znów jest poważny.

– Uważaj na siebie, przyjacielu. I pamiętaj: są tu ludzie, którym na tobie zależy.

– Wiem – odpowiadam. – Tutaj też, gdybyś miał wątpliwości.

– To nie ja mam kłopoty. Kiedy będę je miał, będziesz pierwszym, do którego zadzwonię. No, może drugim, po Kez.

– W porządku.

Rozłączamy się. Pomimo trosk, czuję się lepiej. Nie polują na nas i nie jesteśmy sami.

No, może tylko to drugie.

Droga robi się znajoma. Norton jest tym samym sennym miejscem co zwykle i wkrótce mijamy je i zjeżdżamy na szosę wiodącą do jeziora. Po drodze zerkam w stronę Killing Rock. Ktoś posprzątał tam podczas naszej nieobecności. Nie widać żadnych śmieci, choć na wietrze wciąż łopocze kawałek policyjnej taśmy przywiązanej do drzewa. Przypomina mi to, że kłopoty wcale się nie skończyły.

Kiedy wejdziemy do środka, będę musiał odbyć poważną rozmowę z Lanny.

Zatrzymujemy się na podjeździe i natychmiast uruchamiają się moje instynkty. Nie wiem nawet dlaczego, dopóki nie zauważam okna w sypialni Lanny.

Jest uniesione o kilka centymetrów, a wiatr porusza firanę.

Lanny ziewa i po chwili zaczyna się kłócić z Connorem o to, kto pierwszy wchodzi pod prysznic.

– Cisza – przerywam im.

W jednej sekundzie poświęcają mi całą swoją uwagę.

– Hm, słucham? – rzuca Lanny. – Czy właśnie kazałeś się nam zamknąć...

– Dlaczego twoje okno nie jest zamknięte?

Obserwuję ją we wstecznym lusterku i natychmiast dostrzegam winę na jej twarzy. Wie, o czym mówię, ale odpowiada:

– Nie wiem! Może ktoś się włamał?

– Nie uruchamiając alarmu?

Na to nie ma już odpowiedzi. Już to rozpracowałem: odłączyła swoje okno od systemu alarmowego. W ten sposób wydostała się

z domu tamtej nocy. Powinienem był się domyślić i to poprawić przed wyjazdem. Cholera. Mieliśmy za dużo na głowie i za bardzo się o nią martwiliśmy.

Domyślałem się jednak po jej minie, że wymknięcie się z pokoju nie jest kompletną historią. Przypominam sobie, jak Javier powiedział, że nie była na imprezie sama.

– Kto jest w naszym domu, Lanny?

– Nie wiem!

– Owszem, wiesz – mówi Connor. – To pewnie Vee.

– Zamknij się, zdrajco! – rzuca ostro Lanny, a on tylko wzrusza ramionami.

– Twoja wina – odpowiada i odwraca się do mnie. – Vee do nas przychodziła.

– Vee Crockett – mówię. Jezu, to ta pokręcona dziewczyna. Zależy mi na niej, ale... nie sposób zaprzeczyć, że niesie z sobą spory bagaż. Miała problemy jeszcze przed śmiercią matki i nie potrafię sobie wyobrazić, żeby wszystko mogło pójść ku dobremu później. Nie chcę, żeby Lanny stała się częścią jej dramatu. – Nie powiedziałaś o tym mamie?

Kręci głową.

Szlag by to trafił. To bardzo wiele wyjaśnia.

– To z powodu Vee poszłaś na imprezę na Killing Rock. – Od początku uważałem, że takie postępowanie nie pasuje do Lanny. Towarzystwo Vee nadaje temu doskonały sens.

Nie odpowiada tym razem, choć wiem, że mam rację. Nie jestem aż tak stary. Pamiętam, że wymykałem się na imprezy w jej wieku i to nie tylko po to, żeby pobawić się z chłopakami. Zwykle chciałem zrobić wrażenie na dziewczynach.

– Lanny, okłamałaś policję, mówiąc, że byłaś na imprezie sama. Nas również. Czy ona była z tobą na tej skale?

– Vee niczego nie zrobiła!

– Tak? Rozumiem, że byłaś przy niej przez cały czas?

Znów nie odpowiada, choć jej milczenie można uznać za odpowiedź. To Vee poszła na imprezę, a Lanny pobiegła za nią. Bardzo mnie martwi fakt, że Lanny ją kryje, podczas gdy sama jest w tym momencie w poważnych tarapatach.

Connor nadal przygląda się uchylonemu oknu.

– Nie powinnaś była tam iść. A jeśli to nie Vee, a jeden z tych Belldene'ów?

Dobrze mówi, choć jestem przekonany, że Belldene'owie uruchomiliby alarm. Nie są zbyt delikatni, po prostu otworzyliby drzwi kopniakiem, narobili bałaganu i zniknęli, zanim ktokolwiek by się pojawił. Poza tym skąd mieliby wiedzieć, że okno jest odłączone od systemu alarmowego?

Mimo to ma rację. Mamy dosyć zagrożeń z każdej strony, więc nakazuję im zostać w samochodzie. Lanny zaciska palce na telefonie, gotowa dzwonić po pomoc. Wiem, że mogę na nią liczyć w takiej sytuacji.

Podchodzę do okna Lanny i odsuwam firany, żeby zajrzeć do środka.

Vee Crockett siedzi na skraju łóżka i patrzy na mnie, zaciskając ręce na kij do baseballa, który podniosła z podłogi. Jest spanikowana i gotowa do wyprowadzenia uderzenia. W Wolfhunter widziałem ją albo dziką, albo przerażoną. Nie wiem, którą wersję wolę.

– Spokojnie, Vee. To tylko ja, Sam Cade. Pamiętasz? Mieszkam tutaj.

Po krótkiej chwili zastanowienia opuszcza kij, ale go nie odkłada.

– Och, wróciłeś – mówi. – Spałam.

Owszem, wygląda, jakby spała. Ma rozmazany makijaż, potargane włosy i sprawia wrażenie, jakby była na potężnym kacu.

– Wejdę przez drzwi frontowe – mówię. – Zostań tam. Nie uciekaj, nie narobię ci problemów.

Widzę, że w to nie wierzy. Zamykam okno, chcąc przynajmniej opóźnić ją o kilka sekund, podchodzę do drzwi wejściowych, otwieram je i wpisuję kod alarmu. Wracam do okna i widzę, że Vee zdążyła już wyrzucić na zewnątrz swoją brudną, niebieską torbę i wystawić jedną nogę.

– Proszę, nie rób tego – powtarzam. – My nie jesteśmy źródłem twoich problemów. Chodź, weźmiesz prysznic i odpoczniesz. Wszystko jest w porządku.

Jest niespokojna, ale jednocześnie piekielnie zmęczona. I wystraszona.

– Jest tutaj Lanny?

– Tak. – Odwracam się i daję znak dzieciom, żeby wysiadły z samochodu. Po chwili oboje dołączają do mnie przy oknie.

– Cześć, Vee – rzuca Connor. – Kiepsko wyglądasz.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – odpowiada i zerka na Lanny, która ją obserwuje. Znam to spojrzenie. Wymieniamy takie od czasu do czasu z Gwen.

O nie, tylko tego mi teraz trzeba, żeby te dwie się w sobie zakochały.

– Do środka – mówię. – Bagaże zabierzemy później. – Podnoszę torbę Vee z ziemi. – Z wyjątkiem tej. Zabieram ją ze sobą do salonu. – Wiem, że dziewczyna nie zechce się z nią rozstać. Gdyby była na to gotowa, uciekłyby mi bez wątpienia.

– Hej! – protestuje Vee. Przez cały czas wystaje do połowy z okna.

– Chodź, zaparzę kawę.

Nie wiem, czy to obietnica kawy, czy fakt, że zarekwirowałem jej bagaż, ale słyszę za plecami, że wraca do pokoju Lanny i zatrzaskuje okno. Zyskałem przynajmniej kilka minut. Jestem pewny, że Gwen nie postąpiłaby tak samo, ale żal mi tej dziewczyny. Miała gówniane życie i chyba niewiele się jej poprawiło po tym, jak opuściliśmy Wolfhunter.

Przygotowuję kawę. Lanny i Vee przysiadają razem na sofie. *Przysiadają* jest tutaj dobrym określeniem, bo Vee wygląda jak biegaczka gotowa do startu w każdej sekundzie. Rozpoznaję tę głęboko zakorzenioną ostrożność. Widzę ją czasami u Gwen i wiem, skąd się bierze.

Staram się rozluźnić atmosferę. Przygotowuję kawę w sposób, o jaki proszą – nie dotyczy to Connora, który dostaje gorące kakao – a kiedy ją wypijają, oferuję coś do zjedzenia. Vee nie wygląda już na tak skorą do gryzienia i ucieczki, a na myśl o domowym posiłku wyraźnie łagodnieje.

– Proste spaghetti – mówię. – Piętnaście minut.

Wiem, że to ścinanie zakrętów, ale nie sądzę, żeby przywiązywanie uwagi do kulinarnych detali było teraz potrzebne. Lanny błaga ją spojrzeniem, żeby się zgodziła, więc Vee w końcu kiwa głową. Sztywno, jakby miała w szyi stalowy pręt.

Zanim siadamy do stołu, nie mówię o niczym innym, jak tylko podróży do domu. Vee jest już całkowicie pochłonięta swoim spaghetti z klopsikami.

– Okej – mówię w końcu. – Vee, rozumiem, że uciekaś z zastępczego domu, tak? Spokojnie, nie oceniam cię. Muszę tylko poznać fakty.

Nie przerywa jedzenia. Zauważam, że chroni instynktownie talerz, kładąc za nim rękę. Ostrzega mnie jednak wzrokiem, żebym zbytnio nie naciskał.

Szkoda.

– Tak – mówi w końcu. – Uciekłam. No i?

– Miałaś dobry powód?

– Oboje są dupkami.

– A to dlaczego?

– Tak sobie – rzuca. – Lepiej mi samej ze sobą.

Nie będę się z nią kłócił. Nie znam całej historii i nie chcę wypytywać o potencjalne nadużycia. Od tego są gliniarze.

Najważniejsze, żebym nie wątpił w jej słowa ani jej niczym nie zraził. Jeśli to zrobię, wystrzeli jak proca i pewnie zabierze ze sobą talerz.

– Masz się gdzie zatrzymać? – pytam. Wiem, że nie ma, w przeciwnym razie nie zakradłaby się do naszego domu.

– Coś małego w lesie – odpowiada. – To bardziej taka szopka. Żaden pałac.

– Nie brzmi zbyt bezpiecznie. Chcesz się tutaj zatrzymać? U nas?

Otwiera szerzej oczy. Rozgląda się, jakby nie wierzyła, że ktokolwiek jest skłonny podzielić się tym luksusem. Dla mnie jest to tylko zwyczajny dom z względnie wygodną kanapą i dobrym telewizorem z wyprzedaży.

– Tutaj? Gdzie?

– W moim pokoju – odpowiada Lanny w tym samym czasie, kiedy mówię:

– Kanapa się rozkłada.

Głupio wyszło, ale nie zamierzam wpuścić Vee Crockett do łóżka zakochanej dziewczyny i liczyć na to, że nic się nie wydarzy. Tutaj Gwen z pewnością by się ze mną zgodziła. Uświadamia mi to przy okazji, jak bardzo za nią tęsknię, i żałuję, że nie uczestniczy w tej rozmowie. J.B. powinna była się już odezwać, ale kiedy zerkam na telefon, nie widzę żadnego komunikatu.

– Ona zostanie ze mną, w moim pokoju – oznajmia Lanny, jakby to ona podejmowała tutaj decyzje.

– Nie – odpowiadam i przełykam spaghetti. Nie zamierzam z nią dyskutować i dobrze o tym wie. – Kanapa jest wygodna. Wiem o tym, spałem na niej przez kilka miesięcy.

Musieliśmy przepracować kilka spraw z Gwen po tym jak odkryła, że miałem związek z Zagubionymi Aniołami. To nie było przyjemne, ale nie kłamię w sprawie kanapy.

– W porządku – mówi Vee do Lanny. – Nie, żebym nie lubiła twojego łóżka. – Mruga, a ja otwieram usta, żeby zapytać, ile razy

tutaj była. Ostatecznie nie mówię ani słowa. Twarz Lanny spąsowiała: jest głęboko wstrząśnięta, że Vee powiedziała to w mojej obecności.

– Vee – mówię, zamiast podążać za przynętą – czy możemy się spodziewać, że policja zapuka do naszych drzwi i że będą cię szukać? Czy może się tak zdarzyć z powodu czegokolwiek, przed czym uciekasz? Nie mam na myśli samego urwania się z domu zastępczego – dorastałem w tym systemie i sam wiem, jak to bywa. Mam na myśli rzeczywiste przestępstwa, które mogą prowadzić do ciebie.

Przestaje jeść. Patrzy na mnie i przypominam sobie tę wyraźną niechęć w jej oczach. Nie zmieniła się od czasów Wolfhunter.

– Nikogo ostatnio nie zabiłam – odpowiada. – Jeśli o to pytasz. – Sporo w tym sarkazmu. Vee Crockett została oskarżona o zamordowanie swojej matki. Z tego, co mi wiadomo, nigdy nikomu życia nie odebrała.

To oczywiście nie znaczy, że ufam jej bezgranicznie.

– Wypowiedziałem się jasno – mówię. – Prosta odpowiedź, Vee. Jeśli chcesz zostać.

Wie, że mówię poważnie. Widzę, jak kalkuluje w głowie. Jest całkiem sprytna – nie wyjątkowo inteligentna, ale potrafi czytać z ludzkich twarzy. To coś, czego dzieciaki żyjące na krawędzi uczą się bardzo wcześnie. Niektóre potrafią zmienić to w czyste cwaniactwo, inne korzystają z tego do celów defensywnych, tak jak ona. Jeśli tylko uzna, że to możliwe, spróbuje mnie ograć.

Chyba jednak tak nie uznaje, bo w końcu mówi:

– Zrobiłam to, co musiałam. Niektóre sprawy nie muszą być tak do końca legalne.

– Ale czy na tyle poważne, żeby sięgnąć po nakaz?

Zaprzecza ruchem głowy. Nie sędzę, żeby kłamała.

– Okej. Możesz tu zostać do przyjazdu Gwen. Wtedy wrócimy do tematu. Dokończ jedzenie. Potem cała trójka gra w papier, nożyce

i kamień, żeby ustalić, kto myje naczynia.

Kończę swoje spaghetti i zerkam na telefon. Żadnych połączeń od Gwen. Wysyłam jej wiadomość jedną dłonią.

„Zabawna historia, mamy nowego gościa”.

Jeśli cokolwiek może sprawić, że do mnie wróci, to ten tekst z pewnością się do tego przyczyni.

Patrzę na ekran.

Żadnej odpowiedzi.

Zaczynam odczuwać napięcie w kręgosłupie i mięśniach. Dzieciaki rozmawiają, ale ich nie słucham. Koncentruję się tylko na wyświetlaczu.

Nic.

– Do sprzątania, wszyscy – nakazuję, wstając od stołu. – Ja muszę zadzwonić. Lanny, podłącz okno z powrotem do systemu alarmowego i zablokuj je. Vee, ten alarm pozostanie włączony przez cały czas. Możesz wyjść, jeśli zechcesz, ale zapytaj, zanim otworzysz drzwi, w porządku?

Salutuje mi gestem wyrażającym zmęczenie.

– Tak jest, szefie.

– I nic nie kombinuj.

Kieruję się do biura. Gwen dodała tam warstwę dźwiękoszczelną, bo większość jej połączeń jest poufna. Nie chcę, żeby dzieciaki mnie teraz słyszały.

Dzwonię do J.B., która odbiera po pierwszym sygnale.

– Proszę wybaczyć, właśnie chciałam do pana dzwonić. Rozprawa się opóźniła. Gwen stanie przed sądem za mniej więcej godzinę i wtedy będę mogła wpłacić za nią kaucję.

– Miałem nadzieję, że cała ta sprawa rozejdzie się po kościach.

– Wiem. Też na to liczyłam, ale lokalny prokurator musi dostać swoje piętnaście minut dla prasy. Carol zniknęła, a numer telefonu, którego Gwen użyła do jej wyśledzenia, jest już wyłączony, więc nie mają niczego. Wątpię, żeby policja ruszyła jej śladem, ta dziewczyna

jest utalentowana, jeśli chodzi o znikanie. Czy Gwen wspominała panu... – Urywa, dając mi możliwość wypowiedzenia się, z której korzystam.

– O kulcie, przed którym ucieka ta dziewczyna? Tak. To brzmi znajomo.

– Z pewnością mamy tu podobieństwo do kultu z Wolfhunter, ale ten już nie istnieje. Jest całkiem prawdopodobne, że Wolfhunter było tylko jednym z miejsc. Być może warto byłoby zapytać pańskiego przyjaciela Mike'a Lustiga. FBI, prawda?

– Tak – przyznaję. Mike był mocno zaangażowany w wydarzenia w Wolfhunter. Widział doskonale, jak to wszystko się potoczyło, a znam Mike'a na tyle dobrze, że jeśli zostało cokolwiek do wykopania po tym kulcie, to nie odpuścił. – Zapytam go, jeśli to w czymkolwiek pomoże.

– To całkiem możliwe – przyznaje. – No dobrze. Skontaktuję się ponownie, kiedy Gwen będzie wolna. Proszę na siebie uważać. Z pewnością będzie się po tym wszystkim ostro kurzyć.

– Dziękuję. Proszę powiedzieć Gwen... ach, nic takiego. Ona wie.

Rozłączam się po grzecznym pożegnaniu i otwieram rejestr sądowy z Knoxville. Jeśli dziennikarze jeszcze nie skojarzyli jej nazwiska, to burza niebawem się rozpęta. Muszę wcześniej dopilnować, żeby dzieciaki – włącznie z Vee Crockett, bo przejąłem teraz za nią odpowiedzialność – były bezpieczne, a nasze środki obronne przyzwoite.

Dzwonię najpierw do Kezii, żeby ją ostrzec. Wiem, że powiadomi posterunek w Norton, że będziemy potrzebowali patroli w pobliżu domu, żeby kontrolować zlatujących się jak muchy reporterów. Mamy swoje protokoły, więc nie przejmuję się zbytnio, przynajmniej do chwili, kiedy odzywa się Kez:

– Miałam nadzieję, że nie będziemy rozmawiać, Sam.

Nie podoba mi się to.

– Dlaczego?

– Bo zeznania, które złożyli nasi podejrzani, są sprzeczne z tym, co usłyszeliśmy od Lanny. Twierdzą, że nie wiedzieli nic na temat Candy. Gonili Lanny dlatego, że uznali ją za winną przestępstwa i próbowali – tutaj cytuję Belldene’a – postawić ją przed obliczem sprawiedliwości.

– Gówno prawda.

– Jak widać, przygotowali sobie solidną historię. Tak czy inaczej, będę tu potrzebowała tej dziewczyny, i to wcześniej niż później.

– Nie przyjedziemy.

– Sam.

– Daj spokój. Wiem, że ty jesteś sprawiedliwa. Ale czy równie sprawiedliwy będzie prokurator, sędziowie czy przysięgli? Kez. Oni to wszystko powiążą z córką mordercy. – Już słyszę te argumenty. Jesteśmy przybyszami, obcymi, Lanny ma zły wpływ. Belldene’owie byli częścią tej społeczności jeszcze przed wojną secesyjną. Punkt dla miejscowych.

– Sam, wiesz dobrze, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale musisz ją przywieźć, żeby tę sprawę zakończyć.

– Nie mogę. Nie jestem jej opiekunem prawnym. Gwen nie ma w miasteczku. – Jeszcze nigdy dotąd tak się z tego nie cieszyłem. Nie mogą przesłuchać kogoś w wieku Lanny bez obecności i pozwolenia rodzica lub opiekuna prawnego. A Gwen jest w tej chwili bardzo niedostępna. – Dam ci znać, kiedy tylko wróci.

Kez wzdycha.

– Cholera, nie próbuj wykręcić jakiegoś numeru. Nie chcę szukać również ciebie.

Kezia jest dobrą przyjaciółką, ale to nie oznacza, że nie przyjedzie po mnie i nie wsadzi mnie do celi. Wiem o tym dobrze.

– Zadzwoń, kiedy tylko Gwen się pojawi – obiecuję jej. – Do tej pory nie będziesz rozmawiała z Atlantą Proctor. Bez urazy.

– Nie ma problemu. Cieszę się, że ma swoich adwokatów. Do zobaczenia, Sam. Patrol będzie krążył w okolicach jeziora, tak jak prosiłeś. – Wiem, że ma to na celu nie tylko przegonienie ewentualnych intruzów, ale również poinformowanie Kez o powrocie Gwen. Taka podwójna akcja.

Zastanawiam się, co jeszcze mogę zrobić. Niewiele, jak się okazuje, co jest dość frustrujące. Zanim dotrę do Knoxville, Gwen zdąży wyjść za kaucją i wyruszyć w drogę do domu. Okopanie się na miejscu, jakkolwiek teraz logiczne, również wydaje mi się niewłaściwe.

Rozlega się pukanie do drzwi biura. Wstaję i je otwieram. To Vee Crockett.

– Hej – rzuca. – Mogę wejść na moment?

Zapraszam ją gestem do środka i zamykam za nią drzwi. Siada na krześle biurowym Gwen i obraca się na nim, odchylając się do tyłu pod takim kątem, że obawiam się o jej kark. Wyciągam rękę i zamykam pokrywę laptopa.

– Wcale nie patrzyłam – mówi. Przystaje się obracać i patrzy na mnie. – Zastanawiasz się pewnie, dlaczego przyjechałam aż tutaj, prawda?

– Nie jesteś tu dla Lanny?

Uśmiecha się. Coś jest nie tak z tym uśmiechem. Sprawia, że się spinam.

– Nie. Oczywiście lubię Lantę. Jest naprawdę słodka. Jest jednak coś, o czym chciałam powiedzieć pani Proctor.

– Okej. O co chodzi?

– Nie jesteś panią Proctor.

– Vee, miałem gówniany dzień, jestem zmęczony i kończy mi się cierpliwość. Wyrzuć to z siebie.

Przygląda mi się przez chwilę, po czym kiwa głową.

– Chodzi o Vernona Carra. Faceta, do którego należał ten kompleks pod Wolfhunter. I tego od warsztatu. Pamiętasz?

Przywódcą sekty. I do tego wyjątkowy dupek.

– Co z nim?

– Wiem, gdzie jest.

Nie jestem przekonany, czy powinienem jej wierzyć. Jest dość zadowolona z siebie. Kręcę jednak głową.

– Powiedz o tym FBI. To oni go szukają.

– Domyślam się, że mogli wyznaczyć jakąś nagrodę, ale mnie jej nie dadzą. Jestem za młoda. Ty mógłbyś jednak ją odebrać i mi przekazać.

Jestem na to zbyt zmęczony. Za bardzo martwię się o Gwen, Lanny i Connora.

– Nie jesteśmy policją, nie jesteśmy agentami, a ja nie będę dla ciebie kłamał FBI. Okej, Vee? Możesz tu zostać do powrotu Gwen, a potem pogadamy o tym, co dalej z tobą zrobić. To najlepsza oferta, jaką możesz dostać. Co ty na to?

– Do kitu – rzuca z niechęcią. – A z ciebie prawdziwy dupek, Sam.

– Czasami tak bywa. Najczęściej jednak jestem zbyt zmęczony, żeby owijać w bawełnę. – Spodziewam się, że wyjdzie, ale tego nie robi. Znowu obraca się na krześle, tym razem wolniej. – Idź już, Vee. Muszę jeszcze wykonać parę telefonów.

– Za chwilę. – Znowu odwraca się do mnie. – A gdybym ci powiedziała, że stary Vern uciekł, żeby spiknąć się z Ojcem Tomem?

– Nie wiem, kto to jest, więc...

– Wygląda na to, że o wielu rzeczach nie wiesz, co? Wszyscy w Wolfhunter wiedzą o Ojcu Tomie.

– Bo...?

– Bo zaczynał właśnie tam. To on założył Zgromadzenie.

– Kościół?

– Niektórzy mogą tak twierdzić – przyznaje. – To tam skierował się Carr, kiedy do wszystkich zaczęli strzelać. Pełna nazwa

Zgromadzenia to Zgromadzenie Świętych, którym rządzi Ojciec Tom. Można założyć, że to tam należy szukać Carra. U Ojca Toma.

To nie Kościół, a sekta. Nie poznałem nigdy nazwy grupy żyjącej na posiadłości Carra, nie wiem nawet, czy jakkolwiek nazwa obowiązywała. Ale... Gwen też szuka teraz sekty. Pochyliam się do przodu, nagle dużo bardziej zainteresowany. – Zaczekaj. Carr nie założył tego kultu na swoim terenie?

– Nie, on tylko go prowadził. Założył go Ojciec Tom, ale potem wyjechał. Znalazł większe miejsce dla większej liczby wyznawców. Nie miał ochoty zostawać w Wolfhunter. Kto by miał?

Dobre pytanie.

– Wiesz zatem, dokąd Ojciec Tom przeniósł się z tą swoją sektą?

Wzrusza ramionami i po raz pierwszy odwraca wzrok. Skubie materiał spodni. Jest nerwowa, a Vee Crockett *nie bywa* nerwowa.

– Vee? Możesz mi powiedzieć.

Znów patrzy mi w oczy i zauważam, jak obudowuje się nowym pancerzem.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Powiedziałaś, że wiesz, gdzie szukać Carra.

– Tak, powiedziałam, że jest z Ojcem Tomem! Nie potrafię wskazać tego miejsca na mapie!

– Czy ty na pewno mówisz mi prawdę?

– Niezła ze mnie kłamczucha, co? – warczy i natychmiast wstaje. Ma niepokojące spojrzenie, które staje się jeszcze gorsze, kiedy się wkurza, a teraz wręcz kipi z gniewu. – Jasne, jestem kłamczuchą. Wal się, wychodzę.

Błyskawicznie opuszcza biuro i zatrząskuje za sobą drzwi. Przykładam dłoń do skroni i dociskam je z frustracji. Ból głowy staje się nieznośny. Muszę się dowiedzieć, w jaką gierkę pogrywa sobie ze mną Vera. Jest bystra, ale również niebezpieczna.

Kilka pigułek i zimny prysznic przywracają mi odrobinę energii. Robię się bardziej ożywiony, ale niewiele pomogło to na ból.

Zaparzam sobie więcej kawy, a kiedy piję, uświadamiam sobie, że nie wiem, dokąd poszła Vee. Ani Lanny. Pukam do zamkniętych drzwi jej pokoju.

– Tak? – woła. – Nie jestem ubrana!

– Czy Vee jest tam z tobą?

–Nie. Jest w salonie!

Vee nie ma w salonie. Nie ma jej również w żadnej innej części domu. Przeszukuję go metodycznie, pomieszczenie po pomieszczeniu, włącznie z szafami. Sprawdzam każdą skrytkę, która jest wystarczająco duża, by ją pomieścić.

Podchodzę do sterownika systemu alarmowego. Jest wyłączony. Resetuję go pośpiesznie. *Kurwa*. Z pewnością zakryłem panel, kiedy wprowadzałem kod, więc jakim cudem, do cholery...

Wtedy to do mnie dociera. Odruchowo zawiesiłem kluczyki do SUV-a na wieszaku przy drzwiach... jest tam też pilot do systemu w formie breloka. Wystarczyło nacisnąć przycisk. Nie słyszałem dźwięku wyłączenia alarmu, bo byłem pod prysznicem.

Kiedy Lanny otwiera drzwi, sprawdzam jej pokój, ale nie ma tam śladu po Vee. Zniknęła.

I zabrała ze sobą torbę. Nie zamierza wracać.

– Co ty jej nagadałeś, Sam? – pyta Lanny, wbijając we mnie spojrzenie. – Kazałeś jej odejść?

– Powiedziałem, że może zostać. Nie kazałem jej nigdzie odchodzić.

– Ale coś musiałeś powiedzieć!

Może to była moja wina. Naciskałem ją, a ona wybuchła jak fajerwerk. Teraz wiem, że to całkiem spójne zachowanie w przypadku osoby cechującej się taką podatnością na traumę i agresywnością. Dotarłem do punktu, w którym coś ją wystraszyło lub okazało się zbyt bolesne. Tak czy inaczej, instynkt podpowiedział jej ucieczkę.

– Musimy ją odnaleźć! – mówi Lanny. Zatrzymuję ją, kiedy rusza w stronę drzwi i uruchamiam ponownie alarm, który właśnie odblokowała. Przy okazji zmieniam kod. – Sam!

– Nie – odpowiadam. – Przynajmniej do powrotu twojej mamy. Nigdzie się nie wybierasz.

– Ale musimy...

– Lanny! Nigdzie nie idziemy. Wystarczy. – Nie mamy czasu na zajmowanie się Verą Crockett i jej prawdopodobnie zmyślonymi historiami.

Nie spodziewam się, żeby Lanny zechciała mi się postawić. Najwyraźniej jednak instynkt mnie zawodzi, bo dziewczyna rzuca mi wściekłe spojrzenie i otwiera drzwi wejściowe. Zaczyna wyc alarm. Wyłączam go szybko, ale Lanny zdążyła się już rozpedzić na wzniesieniu. Jest naprawdę szybka.

Niech to szlag, dzieciaku...

Zamykam drzwi na klucz i biegnę za nią, ale Lanny dociera do linii drzew i po chwili tracę ją z oczu. Jeśli nie chce zostać odnaleziona, to nie zamierzam tego robić w taki sposób. Zatrzymuję się, wyciągam telefon i włączam aplikację śledzącą.

Wyłączyła ją już na swoim nowym telefonie. *Cholera.*

Ten dzień staje się coraz gorszy i chyba zabrakłoby na świecie kawy, żeby przynieść mi ulgę.

– Lanny! – wołam. – Zaczekaj. Nie rób tego. Nie dzisiaj.

Wiem, że mnie słyszy, ale nie odpowiada. Odwracam się i kieruję w stronę domu. Wtedy zauważam coś pomiędzy drzewami po przeciwnej stronie. Światło odbite od czegoś szklanego. To może być obiektyw aparatu. Natychmiast przychodzą mi do głowy przyczajeni w krzakach reporterzy. *Nie teraz, do diabła!*

W tej samej chwili uzmysławiam sobie jednak, że w cieniu siedzi mężczyzna w niemal całkowitym bezruchu. Młody, z niechlujną brodą, ubrany w brudny strój kamuflujący. Zapewne jeden z członków klanu Belldene'ów.

W następnej sekundzie dociera do mnie, że jestem najprawdopodobniej obserwowany przez lunetę karabinu. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, padam płasko na ziemię za najgrubszym drzewem w moim zasięgu.

I wtedy zauważam Lanny, która wychodzi z zarośli i idzie w moim kierunku. Na policzku ma czerwone zadrapanie, a we włosach suchy liść. Wydaję z siebie bezgłośny krzyk i przewracam ją na stertę liści. Jeśli zostanie trafiona z mojego powodu...

Ale strzał nie pada.

Lanny woła coś i atakuje mnie pięściami. Wycofuję się i pełzną w miejsce, z którego mogę zobaczyć gniazdo celującego we mnie faceta.

Ale już go nie ma. Po prostu... znikł. Jakby nigdy nie istniał.

Lanny jest wściekła, ale prowadzę ją do domu, zabieram strzelbę i wychodzę, żeby sprawdzić tamto miejsce. To, co znajduję, udowadnia, że niczego sobie nie wyobraziłem.

Wydrukowane zdjęcie przedstawiające mnie, rozmawiającego z Gwen przed domem. Nie zrobiono go dawno, najwyżej kilka tygodni wstecz. Widzę zagrabione liście przy schodkach, a wiem, że sprzątałem je dziesięć dni temu.

Na zdjęciu widnieje napis: WKRÓTCE.

Obok napisu narysowano ostro zakończony nabój karabinowy skierowany prosto w moją twarz.

Rozdział 16

Gwen

Cela przywołuje wspomnienia związane z aresztowaniem w dniu, kiedy schwytano Melvina. Zanim postawiono mi zarzuty, trzymano mnie za kratami przez kilka dni. Nie jest to przyjemne i staram się pamiętać, że te czasy już minęły, a sytuacja jest zupełnie inna. Mimo to czas w areszcie poświęcam na ćwiczenia radzenia sobie ze stresem, jedno po drugim, chcąc uwolnić się od paniki, która już stuka do drzwi w mojej głowie. Prawie mi się udaje.

Kiedy w końcu zostaję wezwana na rozprawę, robię wszystko, co w mojej mocy, żeby trzymać głowę wysoko i nie poddać się rozpacz, która mnie ogarnia, oraz impulsowi nakłaniającemu mnie do walki i ucieczki. W tym przypadku chyba również zwyciężam.

Wstrząs nadchodzi jednak po wejściu na niewielką salę sądową, która jest dosłownie wypchana po brzegi dziennikarzami. Powinnam była wiedzieć, że tak to będzie wyglądało. Bez wątpienia wieści się rozeszły, a od procesu Melvina moje nazwisko działa na pismaków jak newsowa kocimiętka. Radzę sobie i z tym, a przynajmniej tak mi się wydaje, aż do chwili, kiedy na widok przyjaznej twarzy J.B. Hall uginają mi się lekko kolana. Fala ulgi uderza we mnie z ogromną

siłą. Kołyszę się, a policjantka kładzie mi dłoń na ramieniu, żeby mnie uspokoić. To sporych rozmiarów kobieta, która patrzy na mnie z niepokojem.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam, choć to prawda tylko w ogólnym tego słowa znaczeniu. Prowadzi mnie do drewnianej bramki przy stole dla oskarżonego, gdzie mój prawnik studiuje na stojąco teczkę z dokumentami. To mocno zaokrąglony Afroamerykanin z potrójnym podbródkiem, ubrany w stary garnitur. Kiedy wita mnie profesjonalnie, sprawia wrażenie cholernie kompetentnego. Już przez to przechodziłam, oskarżona o współudział w zbrodniach Melvina. Oskarżona i uniewinniona. Przetrwiałam to w sali sądowej pełnej krzyków i nienawidzących mnie ludzi. Z pewnością dam sobie radę i teraz.

Najgorsze jest jednak to, że mam ochotę zwinąć się w kulkę i krzyczeć w niekontrolowany sposób, że znów mnie to wszystko spotyka. Zakładam jednak odpowiednią maskę i kłaniam się mojemu prawnikowi jak zawodowiec, a on potrząsa moją dłońią. Siadam. On również, choć nieco gwałtownie.

– Powinno pójść gładko – mówi. – Oskarżają panią o napaść. Rozumiem, że w tej sprawie uważa się pani...

– Za niewinną.

– Okej, to wszystko upraszcza. Czy powinienem o czymś wiedzieć?

– To kompletna bzdura.

– W porządku.

Odwracam głowę do J.B. Hall, która zajęła miejsce tuż za mną. Wygląda tak, jak ją zawsze pamiętam: starsza kobieta o jasnej karnacji, ubrana w elegancki kostium. Żadnego makijażu, zwyczajna fryzura. Emanuje wyjątkową pewnością siebie i siłą.

Pochyla się do przodu. Miejsca po obu jej stronach zajmują dziennikarze, ale ignoruje ich całkowicie.

– Hej – mówi. – Miałam nadzieję, że sprawa się zakończy, zanim dojdziemy do tego etapu, ale prokurator to dupek, który chce posurfować na fali twojego rozgłosu. Wszystko gra?

Nie gra, ale kiwam głową.

– Dziękuję, że przyszłaś.

– Żaden problem. Zabiorę cię stąd, kiedy tylko to wszystko się skończy. – Rozmawiamy przyciszonymi głosami. Choć obaj dziennikarze nadstawiają uszu, żeby coś podsłuchać – dyskretnie, oczywiście – panujący wokół gwar działa na naszą korzyść.

– Co z Carol? Aresztowali ją?

– Obawiam się, że nie. Złożyła zeznania, ale kiedy tylko odwrócili się plecami, już jej nie było. Pod adresem, który im podała, mieści się sklep z alkoholem. Wiedzą, że zostali wykiwani, a śledczy uznali, że cała jej historia jest bardzo podejrzana.

– Nadal się tym zajmują?

Wzrusza ramionami.

– Nasz niezłomny prokurator liczy na przyciągnięcie uwagi mediów przed zbliżającymi się wyborami. Chce, żeby kojarzono go z walką z przestępczością, więc pomaga mu fakt twoich powiązań z seryjnym zabójcą. To czysta polityka. Z moich informacji wynika, że wycofają oskarżenia w ciągu doby. Po cichu. Sprawa zostanie zakopana na ostatnich stronach.

Mam ochotę odpowiedzieć, co na ten temat myślę, ale jest już za późno. Wchodzi sędzia, wszyscy wstają i rozpoczyna się cała procedura. Mój prawnik próbuje przynajmniej przedstawić argumenty przemawiające za oddaleniem wniosku, ale ponosi porażkę. Wie, że w grę wchodzi polityka i że za dziesięć minut będzie po wszystkim. Wyznaczają kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. J.B. idzie uiścić zapłatę, a ja zostaję ponownie wyprowadzona.

Wyjście z aresztu zabiera jeszcze jedną godzinę, a kiedy jesteśmy już na zewnątrz i znów oddycham świeżym powietrzem,

czuję, jak zaczynam się trząść. Muszę przysiąc na najbliższej ławce. J.B. czeka cierpliwie tuż obok.

– Hej – mówi w końcu. – Dobrze sobie poradziłaś, Gwen. Nie twoja wina, że zostałaś wykiwana przez ekspertkę. Wszystko wskazuje na to, że z tej Carol jest niezła cwaniara.

Staram się zdławić uczucie niepokoju.

– Myślisz, że mówiła prawdę o tej sekcie? Że przed nimi ucieka?

– A ty jak sądzisz?

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby celowo spreparowała tę Biblię czy zakładała takie ciuchy. To wszystko wyglądało na autentyczne. Carol-naciągaczka nie byłaby aż tak przerażona na widok tego krążącego po okolicy kampera.

– Tak, myślę, że to prawda. Wydaje mi się, że przynajmniej część jej opowieści była prawdziwa. Wspomniała o kulcie, który prowadził operację werbunku i nauczania wprost z kamperów. Słyszałaś kiedykolwiek o czymś podobnym? Może o czymś, czego przywódcą jest facet nazywany Ojcem Tomem?

– Nie kojarzę, ale popytam. Niestety sekty religijne zawsze mają swój styl. – Zerka na mnie z ukosa. – Masz dla mnie coś jeszcze?

– Tak. – Biorę głęboki oddech. – Masz coś do pisania?

Podaje mi długopis, a ja zapisuję kilka nazwisk, które podał mi ostatnio Sam.

– Okej, czego szukamy?

– To może być powiązane – odpowiadam. J.B. marszczy czoło. – Ci młodzi mężczyźni również zaginęli. Nie wydaje mi się, że Remy jest jedyny.

– Boże wszechmogący, chcesz mi powiedzieć, że wszyscy dołączyli do sekty?

– Jeśli tak, to raczej nie z własnej woli. Z tego, co mówiła Carol – jeśli w ogóle mamy jej wierzyć – mogli tego nie przetrwać.

J.B. jest wyraźnie wstrząśnięta. Ja również to czuję. To jakby rozbić skorupkę jajka i zobaczyć, że ze środka wylewają się pająki.

– Przyjrę się temu – mówi. – Jeśli to prawda, to sprawa może nas przerastać.

– Sprawdziłaś tę organizację non-profit, która nas wynajęła?

– Tak. To grupa religijna pod nazwą All Saints International, powiązana z parkiem biznesowym świadczącym usługi administracyjne dla małych organizacji, z których część sprawia wrażenie dość szemranych. Nie wiem jednak, dlaczego mieliby...

Jej głos zdaje się oddalać, bo nagle uświadamiam sobie coś ważnego i zalewa mnie fala niepokoju. *All Saints International*. Wszystkie te oznaczone fragmenty dotyczące świętych. Cytat na początku Biblii. Carol mówiąca mi, że Remy jest ze świętymi.

To nie może być zbieg okoliczności. Ale dlaczego, do cholery, mieliby nas wynajmować do zbadania sprawy Remy'ego, skoro sami go porwali...?

Bo wiedzą, że go nie znajdziemy. Chcą znaleźć Carol. Kurwa mać. Wykiwali nas. Carol wiedziała, że ktoś zacznie szukać. To żaden zbieg okoliczności, że znaleźli ją na dworcu autobusowym. Ja ją im podsunęłam pod nos. Uciekła, bo o tym wiedziała.

Carol wie o rzeczach, na ujawnienie których nie mogą sobie pozwolić.

– Gwen? – pyta J.B., a ja znów się na niej skupiam. Wyjaśniam swoją teorię i widzę, jak na jej twarzy pojawia się ponury grymas. – A to dranie. Wykorzystali nas.

– Nie mogę dłużej szukać Carol – mówię. – Ale może ktoś inny będzie mógł. Postaram się, żeby skoncentrowali się na mnie. Ty możesz zlokalizować Carol i przenieść ją w bezpieczne miejsce.

– W jaki sposób? Ani mi, ani komukolwiek innemu nie zaufa bardziej, niż zaufała tobie.

J.B. ma rację, a ja nie znam odpowiedzi na jej pytanie. To frustrujące, bo bardzo chcę się dowiedzieć, co się stało z Remyem, a jednocześnie muszę trzymać się z dala od Carol. Przynajmniej na razie.

Wzdycham.

– Po prostu spróbuj, dobrze? A tak przy okazji, przepraszam za tę kaucję. Doceniam to.

– To nic takiego. Ratowałam moich ludzi już z gorszych opałów. Ale trzymaj się z dala od kłopotów przez jakiś czas, dobrze? Ta sprawa ucichnie. Prokuratorowi zależy wyłącznie na rozgłosie w prasie, a potem szybko się wycofa. Ja pogrzebię nieco głębiej w tym All Saints International, w szczególności przyjrę się zarządcom przedsiębiorstwa. Może trafię na coś ciekawego. Zajmę się również tymi pozostałymi sprawami. Ty musisz w końcu wrócić do domu.

– Mój samochód z wypożyczalni nadal stoi przed hotelem.

– Zawiozę cię do Stillhouse Lake i poproszę jednego z moich miejscowych pracowników, żeby odstawił auto. Umowa stoi?

Perspektywa powrotu do rodzinnego domu wydaje się wręcz wspaniała.

– Stoi. Dziękuję.

Kiedy podchodzimy do przestronnego sedana, J.B. otwiera bagażnik. Wewnątrz znajduje się solidna skrzynka, którą wyjmuję i podaje mi wraz z kompletem małych kluczyków.

– Do zwrotu – wyjaśnia. – Nie oddadzą ci broni do momentu zakończenia sprawy, a ja nie chcę, żebyś chodziła nieuzbrojona. Jak go zgubisz, będziesz miała przegwizdane.

Nie żartuje, a ja kiwam głową. Siadam na siedzeniu pasażera i otwieram skrzynkę. Wewnątrz znajduję pięknego browninga kalibru 9 milimetrów i amunicję. Jest nawet kabura mocowana do paska. Wolę naramienną, ale jestem wdzięczna i za to. Odkładam go po prawej stronie. Waga broni sprawia, że opuszcza mnie napięcie.

Naprawdę muszę nad tym popracować, myślę. Chcę, żeby broń była narzędziem w mojej pracy, a nie tarczą obronną. Biorąc jednak pod uwagę moją historię, będzie to długa i ciężka przeprawa terapeutyczna.

Do Stillhouse Lake mamy półtorej godziny jazdy i przybywamy po zmroku. Czuję się już bardzo zmęczona i ziewam, kiedy J.B. podjeżdża pod dom. Światła są zapalone, kusząc ciepłem, którego bardzo mi brakuje. Wszystko jest w porządku. SUV stoi zaparkowany wzdłuż chodnika, czyli dotarli bezpiecznie do domu.

Wszystko się ułoży.

Ponownie dziękuję J.B., która zawraca i rusza do swojego domu w Knoxville. A może do biura – ta kobieta ma niespożyte zapasy energii. Ja w tej chwili wręcz przeciwnie. Emocje związane z pobytem w areszcie i rozprawą wyczerpały mnie do cna.

Kiedy w drzwiach staje Sam, wpadam mu w ramiona i biorę wielki, głęboki oddech.

– Hej – szepcze mi we włosy. – Już wszystko dobrze. Chodź do środka.

Muszę się pozbierać i robię to jak najszybciej, bo czekają na mnie również Lanny i Connor. Przytulam oboje. Muszę przełknąć łzy, które smakują jak krew. Mam obolałe i wysuszone gardło. Uśmiecham się jednak i całuję dzieci w czoła, powtarzając raz za razem, że je kocham.

Wtedy zaczyna się potok chaotycznych opowieści.

– Mamo, Vee uciekła, a w lesie był facet z bronią – mówi Lanny.
– Sam poszedł za nim i...

Jedno słowo – Vee – sprawia, że podnoszę rękę.

– Chwileczkę. Vee? Vera Crockett?

– Hm... tak. – Lanny jest nieco zmieszana i uświadamiam sobie, że Sam już o wszystkim wie. Lanny po prostu zapomniała, że ja nie. Patrzę na niego z oczekiwaniem.

– Wygląda na to, że Vera przychodziła tutaj i rozmawiała z Lanny – wyjaśnia. – Uciekła ze swojej rodziny zastępczej.

Nie wiem, czy powinnam bardziej niepokoić się pojawieniem się tutaj Vee, czy milczeniem Lanny w tym temacie. Jedno i drugie nie zwiastuje niczego dobrego.

– Vee powinna być z ciotką.

– Cóż, nie jest – odpowiada Lanny. Zakłada ręce i siada, wysuwając podbródek do przodu. Agresywna i defensywna jednocześnie. – Ciotka jej nie przyjęła, zamiast tego przekazała ją do rodziny zastępczej, co jest ohydne. Przyjechała tutaj, bo chciała blisko ludzi, których zna. – Nie jest to prawdziwa historia, wiem o tym. Nie mam jednak czasu, żeby drążyć dalej. Patrzę na Sama.

– Chciała, żeby ktoś, komu ufa, przekazał pewne informacje FBI – wyjaśnia. – Żeby wypłacili za to nagrodę. Odmówiłem.

Lanny otwiera usta i patrzy na niego zaskoczona. Wygląda jak ktoś, kto właśnie otrzymał mocny cios – zszokowana, obolała i zdradzona. Opuszcza skrzyżowane ramiona. O tym nie wiedziała. Vee nie powiedziała jej ani słowa.

Dowiedziała się zapewne od Vee, że ta przyjechała ją odwiedzić. To sprawia, że mam ochotę potrząsnąć tą dziewczyną za to, że tak skrzywdziła moją córkę.

– Jakie informacje? – pytam.

– Twierdzi, że wie, gdzie ukrywa się Vernon Carr. – Wzrusza ramionami. – Nie wiem. Może mówi prawdę.

Vernon Carr. Pamiętam go całkiem dobrze: zgorzkniały, starszy facet, który uciekał się do porwań, nadużyć i mordowania kobiet. Założył na miejscu swoją własną, małą sektę. Przeróżające.

Sam kontynuuje:

– Ona uważa, że Carr znalazł schronienie u grubszej ryby z tej samej sekty, którą prowadził w Wolfhunter. Twierdzi, że nazywają się Zgromadzeniem Świętych.

Mówi dalej, ale nie słyszę jego słów. Dzwoni mi w uszach, a serce przyspiesza, jakbym zerwała się do sprintu. *Święci.* Zostaliśmy wynajęci przez All Saints International po to, by odnaleźć Remy'ego Landry. I Carol, ze swoją oznakowaną Biblią, z tymi pozaznaczanymi fragmentami i gwiazdkami odnoszącymi się do świętych. Wciąż słyszę jej szept: *Remy jest ze świętymi.*

Oblizuję wargi i ponownie skupiam uwagę na Samie.

– Skąd ona o tym wie?

Ściąga brwi i przechyla głowę.

– Masz na myśli to, skąd Vee zna miejsce pobytu Carra?

– Tak.

– Nie wydaje mi się, żeby je znała. Krążyła wokół tematu, ale nie zdradziła mi, co to za miejsce. Powiedziała, że Ojciec Tom założył kult w Wolfhunter, a potem zabrał większość swoich wyznawców i przeniósł się na własne, większe terytorium. Może założyła po prostu, że Carr podążył za nim. Gdybym miał na to postawić, zdecydowałbym się raczej na wersję, że Vee nie zna dokładnego położenia tego ośrodka. Nie kłamie jednak w sprawie tego Ojca Toma.

Ojciec Tom. O.T.

– Myślę, że ktoś w Wolfhunter powiedział jej, gdzie szukać Carra – mówię i wstaję. – Sam. *Ktoś jej powiedział.* I musiał wiedzieć, że pojedzie z tym do nas. Może nawet to zasugerował.

– Hej, Gwen, uspokój się. O czym ty mówisz?

– Coś mi tu bardzo śmierdzi. Musimy jechać – zarządzam. – Natychmiast. *Teraz.* Lanny, Connor, zabierzcie swoje plecaki z pakietem przetrwania. – Wracam do starej terminologii z czasów, kiedy znów spotkałam się z dziećmi i wylądowaliśmy w Stillhouse Lake. Nalegałam wtedy, żeby zawsze mieli spakowane plecaki z niezbędnym wyposażeniem na wypadek, gdybyśmy musieli się nagle ewakuować. Pakiet przetrwania. Plecak Lanny przyozdobiliśmy nawet w malowane biedronki. Connor umieścił na swoim rohatyńce, charakterystyczne żuki z zadartym rogiem. Uznaliśmy to wtedy za świetny pomysł.

Dzieci siedzą bez ruchu i wymieniają spojrzenia.

– Ech... chyba ich nie mamy? – mówi w końcu Connor. – Wiesz, mieszkamy tu już od dłuższego czasu i nie... nie sądziliśmy, że będą nam dłużej potrzebne.

Niech to szlag trafi. Przyciskam grzbiety dłoni do piekących oczu i biorę głęboki wdech. Nie mogę teraz stracić nad sobą panowania. Muszę zachować spokój. Ale jesteśmy *odstłonięci*.

– Okej – mówię, słysząc we własnym głosie pozornie normalny ton. – Spakujemy się i jedziemy. Teraz.

– Mamo... – mówi Lanny. – Co się dzieje? Dlaczego? Dopiero wróciliśmy do domu!

– Słyszeliście, co powiedziałam?! – wołam. Nigdy nie krzyczę na moje dzieci i nigdy nie widziałam przez to, jak kurczą się w reakcji na takie zachowanie. Serce mi się kraje, ale przynajmniej reagują.

– Gwen, co jest, do cholery? – rzuca Sam, który też zdążył już wstać.

– Oni się tu po nas zjawią – odpowiadam. – Wykorzystali mnie, żeby dotrzeć do Carol. Może już ją mają. Ale skierowali też prosto na nas Vee. Chcieli, żebyśmy ruszyli tropem Zgromadzenia Świętych, ale my tego nie zrobimy. Musimy się stąd zabierać.

– Hej, próbuję dopatrzeć się w tym wszystkim sensu. Może powinniśmy po prostu usiąść i to przemyśleć...

– Nie jesteśmy bezpieczni! – Teraz krzyczę *na niego*. Z jego punktu widzenia działam irracjonalnie. Niewykluczone, że ma nawet rację. Może troszkę mi odbiło. Pamiętam jednak, że Remy znikł w nocy bez żadnego śladu. I tamci młodzi mężczyźni. Przypominam sobie straszne rzeczy, które widziałam w Wolfhunter, i *nie chcę się tam znaleźć*.

Sam w to wchodzi. W mój chaos, gniew i strach. Kładzie mi dłonie na policzkach, a jego dotyk nieco mnie uspokaja. Stabilizuje. Oddycham szybko, kiedy patrzy mi w oczy.

– Gwen, jeśli chcesz jechać, to pojedziemy. Żadnych więcej pytań.

Jestem mu za to tak wdzięczna, że niemal płaczę w poczuciu ulgi. Opieram się o niego przez ciepłą, cenną chwilę i znów czuję się bezpieczna. Wiem, że to tylko iluzja, ale pomaga.

– Dziękuję za zaufanie – mówię, kiedy w końcu się odsuwam.

– Zawsze – odpowiada gardłowym głosem. Wiem, że to prawda. On naprawdę mi ufa. Ja nie mogłam mu się odwdzińczyć tym samym, nie zawsze. Nie prosi mnie jednak o wyjaśnienia, wierzy moim instynktom. – Chodźmy się spakować.

Zatrzymuję się przy sofie, żeby wyjąć spod niej broń, którą tam trzymam. Zabieram też dodatkową amunicję z pudełka, które trzymam za książkami na regale. Wszystko trafia do plecaka. Z szafy wydaję tylko kilka sztuk odzieży i wciskam je do środka. To, czy będę prezentować się dobrze, nie ma teraz żadnego znaczenia. Podkoszulki, spodnie, bielizna. Wystarczy. Sam wkłada do małej torebki przybory toaletowe i rzuca mi ją do spakowania, kierując się do swojej części szafy.

Pięć minut.

Lanny i Connor nas wyprzedzili, co jest wprost zdumiewające. Zapinam plecak, kiedy Sam sztywnieje i mówi:

– Cholera, zapomniałem ci powiedzieć. Na drodze krąży policyjny wóz patrolowy, chcą, żebyśmy pojechali na posterunek. Lanny musi złożyć zeznanie dotyczące wydarzeń na Killing Rock.

– Nie jedziemy tam – odpowiadam. – Przecież jej nie aresztują, Sam. Przynajmniej nie dziś. Jutro możemy do tego wrócić. – Zaczynam odczuwać strach. Cholernie się boję, że wszystko, absolutnie *wszystko* potoczy się w niewłaściwym kierunku. Jeśli Zgromadzenie Świętych wie, gdzie szukać Carol, to przyjadą do nas. Albo po prostu zdecydują się na zemstę. A może zechcą się dowiedzieć, jak dużo wiemy. Albo... mogę znaleźć tysiąc powodów. Pamiętam, jak przerażona była Carol, i wiem, że nie mogę ryzykować życiem mojej rodziny. Chcę ich wytropić. Nie chcę, by to oni tropili mnie. Stillhouse Lake nie jest już dla mnie bezpiecznym miejscem. Czuję się tutaj jak w pułapce.

– Okej – mówi. Kolejny wyraz zaufania. Zabiera plecak.

Rozlega się dzwonek do drzwi i przesywa mnie iglica strachu. Przesuwam pożyczonego browninga w kaburze, aż znajduje się na moich plecach. Wyciągam pistolet i wyprzedzam Sama.

– Lanny – rzucam, widząc, jak córka patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. – Otwórz bezpieczne pomieszczenie.

Upuszcza trzymany plecak i biegnie, żeby przesunąć o kilkadziesiąt centymetrów krzesła i stół w jadalni. Nasze bezpieczne pomieszczenie – dostępne już w domu, kiedy go kupowałam – niczym się nie wyróżnia, ale jest solidne. Lanny otwiera ukryte drzwi w ścianie i zaczyna wprowadzać kod. Zostawiam ją z tym i zerkam przez wizjer.

Na podjeździe dostrzegam wóz patrolowy z Norton z migającymi na czerwono i niebiesko światłami, a przed drzwiami stoi dwoje umundurowanych funkcjonariuszy. Nie widzę ich twarzy – daszki czapek kryją je w cieniu. Mundury wyglądają jednak na autentyczne.

– Falszywy alarm – informuję Sama i chowam broń. Słyszę, jak Lanny naciska przyciski. Próbuje to robić zbyt energicznie i myli się raz za razem. – Spokojnie, Lanny. Nic się nie stało. Kezia wysłała wóz patrolowy. Odeślę ich i zaraz będziemy się zbierać.

– Kezia naciskała, żeby Lanny natychmiast złożyła to zeznanie – ostrzega Sam.

– W takim razie powiem im bardzo grzecznie, żeby się odpiardolili.

Rozbrajam alarm i otwieram drzwi.

Popętniam błąd, ale nie jestem tego świadoma przez kilka długich sekund. Widzę jedynie mundury... a potem twarze. Jeden z nich nosi brodę.

W Norton nie ma policjantów z brodą. To ich zasada. Poza tym mundury nie pasują.

Wyeliminowali gliniarzy.

Sięgam po pistolet, ale jest już za późno. Pierwszy z intruzów zaczyna działać w momencie, kiedy otwierają się drzwi. Blokuje je

natychmiast i zmusza mnie do wycofania się. Trzyma w dłoni pistolet, a mój wciąż tkwi w kaburze. Przykłada mi lufę do czoła i nakazuje tym gestem cofnąć się w głąb domu. Czuję ogromny szok, ale jednocześnie coś innego: gniew i strach, które szarpiają moje nerwy i wciskają lód do żołądka.

Cofam się, a tamten krok za krokiem posuwa się do przodu. Jedno lekkie naciśnięcie na ten spust i będzie po mnie. Chcę spojrzeć na moje dzieci, ale nie mam w sobie tyle odwagi. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że zdążyły wejść do bezpiecznego pomieszczenia.

O Boże, Sam...

– Sam! – mówię ostro. Podnoszę ręce w geście poddania.

W ten sposób pokazuję mu również pistolet w kaburze zaczepionej o mój pasek. Znajduję się między intruzem a nim. Jeśli jest szybki...

Jest szybki.

Czuję szarpnięcie z tyłu dżinsów i Sam wysuwa się zza mnie, celując z mojej broni.

– Rzuć to – nakazuje fałszywemu gliniarzowi. Czuję w jego głosie złowrogi ton, który kojarzy mi się z powietrzem falującym od upału.

Wtedy jednak do akcji wkracza partner tamtego, który trzyma strzelbę. Przeładowuje ją i unosi, a ja niemal czuję, jak Sam dokonuje błyskawicznej kalkulacji. Jeśli tamten wystrzeli, rozrzut ze strzelby powali nas oboje. Tamci mają przewagę, a ja jestem zakładniczką.

Słyszę odgłos elektronicznych piknięć. Lanny jest przy bezpiecznym pomieszczeniu i zaraz je otworzy. Moim dzieciom nic się nie stanie.

– Hej – rzuca drugi intruz. – Ty, dziewczyna. Stój. Chodź tutaj albo rozwalę im łby. Ty, dupek. Połóż broń na ziemi i kopnij w moją stronę.

– Lanny, wejdź do tego cholernego pomieszczenia! – woła Sam. Słyszę, jak moja córka płacze. Próbuje. Słyszę krótkie piknięcia mechanizmu blokady, który odrzuca wprowadzany kod. Przeszkoliłam ich w tym zakresie, poinstruowałam, jak błyskawicznie wprowadzić kod. Zrobiliśmy z tego grę.

Ale to jest *moja wina*. Przestałam ich szkolić. Przestałam nalegać, żebyśmy byli aż tak gotowi, ostrożni, pełni paranoi.

Pikanie się urywa.

Widzę, jak Lanny powoli znika z pola mojego widzenia, i ryzykuję szybkie spojrzenie w jej stronę. Płacze. Drży i podnosi ręce. Sam wydaje z siebie pełen frustracji pomruk, a kiedy drugi z przebierańców kieruje strzelbę w stronę Lanny, kuca i odkłada broń na podłogę. Kopie ją dość mocno i pistolet sunie aż pod ścianę za plecami faceta ze strzelbą. Jeśli Sam liczył na odwrócenie jego uwagi, to wyraźnie się przeliczył. Tamten nie łyka przynęty, zostawia pistolet tam, gdzie się zatrzymał.

Nie widzę nigdzie Connora. Mam nadzieję, że udało mu się uciec korytarzem, że może, *może*, wydostaje się właśnie z domu. *Uciekaj, skarbie. Biegnij.*

Zalewa mnie fala przyprawionej paniką adrenaliny, a każda komórka mojego ciała krzyczy z wściekłości.

– Czego chcecie?

O *Boże*. Wyłączyłam alarm. Wpuściłam ich do środka. To wszystko moja wina.

– Chcę dziewczyny – odpowiada stojący przede mną mężczyzna. W pierwszej chwili wydaje mi się, że chodzi mu o Lanny, a może nawet o Vee, ale wtedy uświadamiam sobie, kogo ma na myśli.

– Carol tutaj nie ma – odpowiadam. Opuszczam ręce, ale mu się to nie podoba. Przyciska mocniej wylot lufy do mojego czoła. Czuję się jak znakowane bydło. Ponownie unoszę ręce. – Nie wiem, gdzie ona jest!

– Masz dziesięć sekund, żeby powiedzieć mi prawdę, albo rozpieprzę ci łeb. Rozumiesz? – warczy. – Chcę jej i chcę dziecka. Powiedz mi, gdzie oni są, a przeżyjecie. Zadrzyj ze mną, a wszyscy będziecie martwi.

Drzwi frontowe wciąż są otwarte i do domu wpada czerwono-niebieski blask. Poświata sprawia, że na przemian wygląda jak diabeł i anioł. Kolory jednak się rozmywają i dociera do mnie, że to przez reflektory innego samochodu. Jasne, mocne światła.

Nabieram powietrza, żeby zawołać o pomoc, zupełnie zeszywniała ze strachu. Wołanie nie ma jednak najmniejszego sensu.

To duży, stary kamper. Kanciasty i wyblakły.

Przybyło wsparcie.

Do środka wchodzi trzeci mężczyzna, kierowca kampera. Zamyka za sobą drzwi wejściowe.

– Hej – mówi ten, który we mnie celuje. Tak, jakbym mogła o nim zapomnieć. – Skup się. Wciąż odliczam. Gdzie jest Carol? Gdzie dzieciak?

– Nie wiem nic o żadnym dzieciaku! – odpowiadam. To prawda. Nie wiem, o co mu chodzi. – Carol zniknęła po tym, jak mnie aresztowali. Nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd mogła pójść.

– Cztery sekundy – mówi.

– Nie wiem! – krzyczę do niego, bezradna i wściekła. Po tym wszystkim, co przetrwałam, *coś takiego*. – Nie krzywdź mojej rodziny! – To wszystko, co mogę zrobić w tych ostatnich sekundach, błagać o ich życie. Czuję, że moja skóra jest napięta i zimna, że zaraz pęknie i wyleje się ze środka cała ciemność.

Koniec czasu. Jestem gotowa na śmierć.

Ale on nie strzela.

Patrzy na mnie pozbawionymi wyrazu, ciemnymi oczami i odwraca się do faceta ze strzelbą.

– Powinien tu być jeszcze chłopak – mówi. – Idź go poszukać. Ty, suka. Na kolana. – Wkłada za pasek moją broń i odbiera strzelbę od swojego kompana. Celuje prosto we mnie. – Klękaj.

Gdyby zamierzał mnie zabić, już by to zrobił. Ryzykuję pytanie.

– Jesteście ze Zgromadzenia?

Reagują tak, jakbym dotknęła każdego z nich elektrycznym pastuchem do bydła. Sztywnieją i wymieniają spojrzenia.

– Carol ci to powiedziała? – pyta ten ze strzelbą. Sprawia wrażenie wkurzonego. – Na kolana, kobieto. Módl się. Wszyscy! Na kolana! Już!

Klękam, nie opuszczając rąk. Sam przysuwa się bliżej mnie i również opada na kolana. Czuję, jak wibruje w nim skumulowane napięcie, potrzeba zrobienia *czegoś*. Ale przecież nie jest tak, że nie robimy niczego. Kupujemy czas dla Connora, żeby zdążył uciec i sprowadzić pomoc.

– Wypuście moją córkę – mówię. – Proszę. To tylko dziecko. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Jest już wystarczająco dojrzała – odpowiada. Nie podoba mi się sposób, w jaki na nią patrzy, jakby była kawałkiem mięsa w markecie. Jeśli będę musiała przystąpić do walki, zrobię to. Wystarczy *jeden ruch* w kierunku mojej córki... całe moje ciało drży od ciężkiego dudnienia serca. Jestem ściśnięta jak sprężyna zegarka i gotowa do wybuchu.

– Carol wsiadła do autobusu jadącego do Pensylwanii. – Kłamstwo opuszcza pospiesznie moje usta, a słowa są tak ostre, że wydają się ranić mój język.

– *Fałszywy świadek nie ujdzie karaniam, zginie, kto kłamstwem oddycha* – odpowiada mężczyzna ze strzelbą. – Księga Przysłów. – Unosi nieco wyżej lufę, a ja biorę głęboki wdech. Strach całkowicie mnie paraliżuje. – Kłamiesz.

Jest ich teraz tylko dwóch. Jeden ze strzelbą i ten, który przyjechał kamperem, blokujący drzwi wejściowe. Trzeci chodzi po

domu w poszukiwaniu Connora. Słyszę, jak otwiera drzwi w głębi korytarza.

Muszę zagrać na czas.

– Sprawdź mój telefon – mówię. – Mam tam wiadomość.

– Bóg cię obserwuje, kobieto – ostrzega mnie ten z bronią. Zastanawia się przez chwilę, a w jego oczach gości frustracja. – Telefon. Już.

– Jest w drugim pokoju – kłamię. – W gabinecie. Na moim biurku.

– Jeśli zdołam ich rozdzielić, może będziemy mieli jakąś szansę. Jeśli to nic nie da, to przynajmniej zyskam trochę czasu.

Wraca mężczyzna, który szukał Connora.

– Nie ma go – mówi. – Może uciekł przez okno.

– Szukaj go – nakazuje warknięciem uzbrojony intruz. To on tu dowodzi, nie mam żadnych wątpliwości. Obserwuję, jak otwiera drzwi i wybiega na zewnątrz. *Biegnij, skarbie. Nie zatrzymuj się.* – Ty. Widzę, że przeciągasz sprawę. – Znów odzywa się do mnie. Jest bardzo pewny siebie i to mnie niepokoi. – Przyjrzałem się tobie dokładnie, Gwen Proctor. Gino Royal. A twojego telefonu nie ma w gabinecie.

– Jest.

– Jesteś pewna? Bo kłamcy zostaną ukarani. – Wyjmuje telefon z kieszeni policyjnego munduru i wybiera numer.

Słyszę wyraźnie niskie brzęczenie dobiegające z torebki leżącej na stoliku. Nie odzywam się ani słowem. Nie mogę.

Rozłącza się, a mój telefon przestaje wibrować. Unosi strzelbę, celując we mnie. Mam wrażenie, że w twarz zaświecił mi reflektor.

Otwierają się drzwi wejściowe. Wraca jego kolega. Silny, smukły i bezlitosny.

Ma mojego syna.

Przykłada nóż do gardła Connora. Wiem, że moje kruche plany właśnie legły w gruzach i że nie czuję niczego poza strachem.

– Wsadź go do kampera – nakazuje szef, nie spuszczać ze mnie wzroku. Wydaję z siebie cichy jęk, pochylam się do przodu i wyciągam rękę. – Szukamy Carol. Jeśli zależy ci na odzyskaniu syna, poszukaj jej. I dzieciaka. Macie dwa dni. – Na dywanie obok mnie ląduje mały telefon na kartę, nie odrywam jednak spojrzenia od szarpanego Connora. Ten wyraz jego twarzy... to błagalne spojrzenie... Wydaję z siebie okrzyk, ale zanim udaje mi się podnieść na nogi i *walczyć*, tamten zamyka drzwi i Connor po prostu... znika. – W telefonie jest wpisany numer. Zadzwoń, kiedy ją znajdziesz. I lepiej się pospiesz.

– Ona zniknęła! – krzyczę do niego, bezradna i wściekła. – Carol zniknęła, a ja nie mam pojęcia, gdzie jej szukać!

– Jeśli jej nie znajdziesz, twój syn dołączy do świętych – informuje mnie. – Powinnaś czuć się zaszczycona. *I oddasz wszelkie pierwociny łona matki dla Pana i wszelki pierwszy płód bydła, jaki będzie u ciebie; co jest rodzaju męskiego, należy do Pana.*

– Amen – dodaje z powagą ten drugi.

Zajebię ich wszystkich.

Słyszę na zewnątrz ostry, przenikliwy dźwięk, który rozdziera powietrze. Wiem, co to jest. Mój syn nacisnął przycisk alarmowy na swoim breloku.

– Mel! – woła mężczyzna ze strzelbą. – Wycisz to cholerstwo!

Intruz stojący przy drzwiach otwiera je i wychodzi. Na krótką chwilę po otwarciu drzwi sygnał staje się jeszcze głośniejszy, a uzbrojony facet zerka w tamtym kierunku.

Lanny wysuwa z kieszeni swój brelok. Sam też to dostrzega. Mamy jedną szansę. Tylko jedną. I musimy zrobić to razem.

Lanny naciska przycisk alarmowy na breloku, który wydaje z siebie piekielnie głośny dźwięk, jakby ktoś rzucił granat hukowy. Mam wrażenie, że dostałam w głowę młotem, ale byłam na to przygotowana.

Mel, fałszywy gliniarz, nie był.

Podrywamy się z Samem w tym samym momencie, a Lanny przetacza się, żeby schować się za sofą. Krzyczę, ale tego nie słyszę – dźwięk staje się czerwoną mgłą, która pulsuje mi w mózgu. Poruszam się szybko, ale nie wiem, czy wystarczająco szybko. Sam i ja uderzamy w niego całą naszą masą i rozpędem. Strzelba wypala z hukiem, ale śrut wyrywa tylko postrzępioną dziurę w suficie.

Tamten uderza kolbą strzelby prosto w głowę Sama, który zatacza się do tyłu. Jest w tej chwili zupełnie odsłonięty i wytrącony z równowagi. Wierzgam wściekle nogami i trafiam w cel. Dzięki temu wystrzał nie trafia w Sama, wyrywając kolejną dziurę, tym razem w ścianie.

Sam zderza się ze stolikiem i przewraca się na podłogę. Jest zamroczony i stara się ze wszystkich sił pozostać w walce.

Zauważam mój pistolet, który wciąż leży przy ścianie, i rzucam się na niego. Chwytam broń, przewracam się na plecy i celuję w Mela w tym samym momencie, kiedy on kieruje w moją stronę strzelbę. Oboje zastygamy. Pisk alarmu Lanny jest tak głośny, że zdławi każde wypowiedziane słowo.

Wiemy oboje, że nawet jeśli go trafię, on też nie chybi, a ta strzelba rozerwie mnie na strzępy.

Siadam na dywanie, plecami do drzwi. Nie czuję za sobą ruchu aż do ostatniej sekundy, a wtedy jest już za późno.

Coś uderza mnie w tył głowy z taką siłą, że robi mi się białe przed oczami i lecę plackiem na podłogę, upuszczając broń. Świat jest jedną wielką smugą.

Kiedy znów mrugam, czuję, że leżę. Głowa pulsuje mi wściekłym bólem, a ja próbuję się zorientować w przestrzeni. Mój pistolet leży tuż obok, więc sięgam po niego, ale kopie go czyjś but.

Facet ze strzelbą wychodzi. Czołgam się w stronę pistoletu, ale wszystko kołysze mi się przed oczami. Opadam na dywan. Mojej broni nie ma tam, gdzie leżała.

Widzę gramolącego się z podłogi Sama, zakrwawionego i wściekłego. To on ma mój pistolet. Rusza w pościg za Connorem.

Obok mnie materializuje się Lanny. Widzę jej przerażoną twarz, ale nie słyszę jej w tym przeraźliwym sygnale. Nie mogę odwrócić głowy, moje ciało wydaje się ciężkie i zimne. Dźwięk syreny cichnie, zwalnia i wtedy...

...choć moje serce wciąż galopuje, a całe ciało pragnie się zerwać do pościgu za moim synem, wszystko ogarnia mrok.

Rozdział 17

Gwen

Budzę się w czerwonej mgie bólu, a pierwszą rzeczą, jaką robię, jest dotknięcie pulsującego miejsca na mojej głowie.

Ktoś odsuwa moją dłoń. Otwieram oczy, ale widzę tylko rozmazane kształty i cienie. Po chwili udaje mi się skupić uwagę na jednym z nich. To nie jest Lanny.

To Vee Crockett. Przykłada mi do ciemienia zimny okład, a kiedy próbuję wstać, kręci głową i popycha mnie z powrotem.

– Nie – mówi. – Musi pani odpocząć, pani Proctor.

– Connor – szepczę i tym razem nie pozwalam się powstrzymać przed przejściem do pozycji siedzącej. Świat wciąż jest jeszcze rozmazany i robi mi się niedobrze z bólu głowy. Siadam, drżąc i czekając, aż poczuję się nieco lepiej. – Gdzie jest Connor?

– Sprowadziłam pomoc – odpowiada Vee. – Słyszałam syreny, ale pomyślałam najpierw, że to gliny. Stał tutaj ich wóz. Potem zobaczyłam, jak te dupki wloką Connora do kampera, i wiedziałam już, że to oznacza kłopoty.

– *Gdzie jest mój syn?*

Vee prostuje się i podnosi wzrok. Zauważam, że Lanny położyła jej dłoń na ramieniu. Moja córka jest blada, ale spokojna. Kuca i chwyta mnie za rękę. – Mamo, musisz się uspokoić, dobrze?

– Nic ci się nie stało? – wyrzucam z siebie w odruchu paniki, bo jeśli została ranna... ale chyba nic jej nie jest.

– Ze mną w porządku, mamo. Przepraszam... – Wyraźnie nie pali się do przekazania mi tego, co ma do powiedzenia, co znów budzi mój strach i sprawia, że nie mogę powstrzymać łez. – Zabrali Connora. – Reaguję natychmiast, odruchowo, próbując się poruszyć, wstać, zacząć go szukać. – Mamo. Mamo! Nic mu nie będzie. Nie zrobią mu krzywdy. Wypuszczą go, jak tylko znajdziesz tę... Carol, tak? Tak właśnie postąpimy. Znajdziemy ją.

Bardzo próbuje być w tej chwili dorosła. Jest przerażona na śmierć i trzyma Vee, szukając w niej oparcia.

– Powiedziałaś coś o sprowadzeniu pomocy – zwracam się do Vee i uświadamiam sobie, że wciąż nie jestem sobą. Nie chciałam powiedzieć tego na głos. – Kto...

Wyciąga rękę, a ja odwracam głowę. Spodziewam się ujrzeć Kezię, grupę policjantów z Norton, ale zamiast tego dostrzegam starszego człowieka z gęstą, siwą brodą i chłodnymi, niebieskimi oczami.

To *Jasper Belldene*. Handlujący prochami święty mikołaj z Norton. Na pewno mam halucynacje. Ale ten potworny ból głowy i metaliczny smak krwi w ustach... to wszystko jest aż nazbyt realne.

– Spokojnie – mówi Jasper i podnosi ręce, kiedy próbuję wstać. – Zaczekaj, kobieto, uspokój się!

Wysiłek sprawia, że znów kręci mi się w głowie, a pulsowanie się nasila. Muszę skorzystać z ich pomocy, żeby wstać.

– Sam. Gdzie on jest?

Wciąż jestem w swoim salonie. Cisza wydaje się równie ogłuszająca jak dźwięk alarmu, który słyszałam jako ostatni, zanim straciłam przytomność. Uszkodzenia na suficie i ścianie wyglądają

paskudnie. Na dywanie widzę ślady krwi, pewnie mojej, a może Sama. Gdzie on jest?

Jasper Belldene patrzy na mnie z uwagą.

– Z tego, co mi wiadomo, pani mężczyzna próbował zaatakować tych dwóch – mówi. – Wygląda na to, że doszło tam do poważnej walki. Dotarł do kampera, ale ten odjechał. Zakładam więc, że mają i jego, i pani syna.

Prosto w moją pierś wbija się lodowy sopel. Z trudem łapię oddech. *Skup się!*, krzyczę na siebie w środku. *Myśl!* Nie mogę jednak myśleć jasno. Uwalniam się od uchwytu dłoni Lanny i podchodzę chwiejnym krokiem do okna. Na zewnątrz wciąż panuje mrok. Policyjny wóz nadal tam stoi, ale ktoś wyłączył migające światła. Widzę też mojego SUV-a i pickupa należącego do Sama.

– Gdzie jest policja? – pytam. – Wezwaliście ich?

– Nie – odpowiada Jasper. – I pani też jej nie wezwie, jeśli chce odzyskać chłopaków.

Nie jest tak, że zapomniałam o bólu głowy i stanie, w jakim się znajduję. To po prostu przestaje mieć znaczenie. Odsuwam to wszystko na bok wraz ze strachem. Strach tylko mnie teraz spowolni. Odwracam się do Jaspera i mówię:

– Pan jest częścią tego wszystkiego. Powiedział pan wyraźnie, że nie da nam spokoju.

Belldene jest starszy, a ja ledwie stoję, ale i tak jestem gotowa się na niego rzucić.

Chyba to dostrzega, bo unosi obie ręce.

– Nie twierdzę, że nie mamy zatargu – przyznaje – ale zgodziła się pani wyprowadzić i myślę, że zamierza dotrzymać tej obietnicy. Ja nie mam nic wspólnego z porwaniem pani syna. Kimkolwiek są ci ludzie, nie są ode mnie.

– To co pan tutaj robi?

Wskazuje Vee.

– Dziewczyna zadzwoniła. Zna mojego syna Olly'ego. Powiedziała, że macie tu jakieś kłopoty. Pani Proctor, nie mamy na to czasu. Pani sąsiedzi mogli siedzieć cicho, ale gwarantuję, że właśnie dzwonią po gliny...

– Dlaczego zechciał mi pan pomóc?

– Prawda jest taka, że jest pani naszą sąsiadką, pani Proctor. A to byli obcy, którzy przyjechali was skrzywdzić. – Uśmiecha się chłodno, ukrywając gdzieś pod spodem drapieżnika. – Poza tym jest to okazja, żeby się trochę potargować. Pomogę pani znaleźć tych drani, a pani córka zezna, że mój syn nie miał nic wspólnego z wypadkiem tamtej dziewczyny na Killing Rock.

– W to wszystko wmiesza się policja – informuję go. – Porywacze zabrali ich samochód i mundury. Znalazł pan tych funkcjonariuszy?

– Są w bagażniku swojego wozu – wyjaśnia. – Ściśnięci jak indyki na Święto Dziękczynienia. Mój syn Jesse zrobił parę zdjęć dla potomności. Nic im nie jest. Ale zegar bije, pani Proctor. Radzę się szybko zdecydować, jeśli mamy pomóc. – Patrzy na mnie, ale nie potrafię niczego wyczytać z jego twarzy.

Macam w poszukiwaniu kluczyków SUV-a, ale nigdzie ich nie ma. Jasper kręci głową.

– Nie ma co za nimi pędzić, nawet jeśli zdołałaby pani nie zemdleć po drodze. Poza tym nie wie pani, którądy pojechali. – Nie podoba mi się jego uśmiech ani wyraz jego oczu. – Ja wiem.

Czuję, jak napręża się każdy mięsień w moim ciele. Boleśnie.

– Którędy?

– Przysługa za przysługę, tak tutaj załatwiamy sprawy. Moja córka Florida jest naprawdę bystra. Zna się pani w ogóle na dronach?

– Na dronach?

– Kazałem mojemu Jessemu jechać za tym kamperem. Wjechali na starą leśną drogę, która nie ma nawet nazwy. Florida wystartowała dronem i posadziła go na dachu tego kampera, zanim

zjechał z tej drogi. Możemy więc go śledzić... albo mogę kazać Floridzie odesłać drona z powrotem do domu. – Przerywa. Oboje słyszymy odgłos syren zbliżających się wozów policyjnych. – Czas się kończy. Dla mnie wszystko jedno.

Przełykam ślinę. Czuję się teraz krucha, jakby moje kości zmieniły się w mleczne szkło. Wszystko mnie boli, a głowa pulsuje tak wściekle, że robi mi się czerwono przed oczami. To, o co prosię, jest straszne, a ja nie mogę decydować za moją córkę. To ona będzie musiała skłamać.

Patrzę na Lanny, która odpowiada bez wahania:

– Zrobię to. Zrobię wszystko, mamo. Jeśli tylko odzyskamy Connora i Sama, powiem to, co on chce.

– A potem wszyscy wyjedziecie – dodaje Jasper. – Spakujecie się i opuścicie Stillhouse Lake, kiedy wszystko się skończy. Umowa stoi?

Nie waham się, podobnie jak moja córka.

– Stoi – odpowiadam i wyciągam rękę. Ściska ją.

– Jeśli to pomoże waszemu sumieniu, to Olly nie jest zabójcą. Jest głupi i dobrze walczy. Co jakiś czas sprzedaje jakieś lekkie prochy. Ale nigdy nie zechciałby skrzywdzić Candy. To sprawka tego Bona.

Lanny zagryza wargę i kiwa głową.

– To prawda – przyznaje. – Jestem całkiem pewna. Bon się do tego przyznał.

Podchodzę do niej i biorę ją w ramiona. Przyciskam do niej czoło i szepczę:

– Tak mi przykro, kochanie.

– W porządku – mówi. – Znajdziemy ich.

Jasper wydaje z siebie pomruk, ale nie składa obietnic. Jego telefon wydaje ćwierkający odgłos, więc zerka na wyświetlacz.

– Obserwatorzy donoszą, że psiarnia okrąża właśnie jezioro. Powiedzcie im, co się tutaj stało, ale nie wspominajcie o nas

i o dronie. Niech dziewczyna zmieni zeznanie. Potem wpadnijcie do zagrody i rozpoczniemy poszukiwania pani chłopaków.

– Do zagrody?

– Wy pewnie nazywacie to naszym *kompleksem* – odpowiada i prycha, jakby brał to do siebie. – Każę Jessemu was poprowadzić, kiedy skończycie. Proszę zabrać Vee i Lanny, moja żona się nimi zaopiekuje. Radziłbym się spakować na kilka dni.

– Lepiej, żeby nasz układ zadziałał, Jasper. W przeciwnym razie was pozabijam.

– Droga pani, rozumiem, że została pani uderzona w głowę, i nie trzymam urazy. Gościnność to święta rzecz i kiedy ją oferuję, to na poważnie. Nic złego nie przydarzy się żadnemu z was pod moim dachem, przysięgam. – To dziwne, ale mu wierzę. Tak naprawdę poczuł się urażony, że pomyślałam inaczej. Ot, południowe zwyczaje. Mam wrażenie, że wciąż ich nie rozumiem. W tej chwili jednak jestem naprawdę wdzięczna.

– Mamo? Chcę pojechać z tobą – mówi Lanny. – Chcę odnaleźć Connora!

Odmawiam jej ruchem głowy. Nie ma mowy, żeby zabrała córkę na tę walkę, i ona dobrze o tym wie.

Nie oznacza to jednak, że się z tym godzi. Absolutnie nie. I nie oznacza to, że ja się z tym godzę.

Daję Jasperowi kilka minut na oddalenie się od mojego domu, po czym dzwonię na policję i zgłaszam wtargnięcie do domu i porwanie. Byłoby naprawdę dziwne, gdybym tego nie zrobiła. Wyjaśniam opóźnienie faktem, że byłam nieprzytomna. Kezia i Prester przyjeżdżają błyskawicznie tuż za wozami patrolowymi, a ich profesjonalizm i dobroć robią na mnie kolosalne wrażenie. Czuję się, jakbym stała na tej cienkiej tafli szkła zawieszanej nad Wielkim Kanionem, a każdy mój ruch powodował pojawianie się nowych pęknięć. *Proszę, Sam, modlę się w chwili ciszy między pytaniami. Proszę, pozostań żywy. Zaopiekuj się naszym synem. Wiem, że to*

zrobi, o ile będzie to tylko możliwe. Jednak myśl o utracie jednego z nich lub obu... jest druzgocąca.

Lanny niewiele się odzywa do funkcjonariuszy i odnoszę wrażenie, że teraz, kiedy zagrożenie minęło, zaczyna wchodzić głębiej w stan szoku. Vee zostaje z nami, a dokładniej rzecz biorąc – z Lanny. Cieszy mnie to, moja córka potrzebuje teraz wsparcia.

Każda mijająca sekunda wydaje się papierem ściernym, który trze o moje serce.

Zabrałam telefon, który zostawił dla mnie facet z sekty. Czuję, jak pali mnie w kieszeni džinsów. Nie wspominam o nim policji, nawet Kezii, która nalega, żeby moją głowę obejrzał sanitariusz. Nie sprzeciwiam się, ale odmawiam zabrania mnie do szpitala. Nie ma na to czasu.

W ciągu godziny zjawia się również policja stanowa. Zamierzają ogłosić pomarańczowy alert w sprawie porwania mojego syna. Wcale tego nie chcę, bo obawiam się, że ci z sekty nie mają niczego do stracenia w walce, ale ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, byłoby poleganie wyłącznie na słowie Jaspera Belldene'a. Boję się po prostu, że jak w przypadku większości fanatyków, porywacze ze Zgromadzenia uwierzą, że i tak pójdą do nieba i zginą w chwale, nie mając innego wyjścia.

Czuję ulgę, kiedy ktoś dzwoni na mój telefon. Chwytam go z nadzieją, że to Connor lub Sam, ale wyświetla się inne imię.

To Mike Lustig, przyjaciel Sama z FBI. Odbieram połączenie.

– Sam zaginął?

– Skąd wiesz? – pytam.

– Dostałem cynk od znajomego z Biura Śledczego w Tennessee. Otrzymali informację o alercie dotyczącym porwania od stanowych. Agent jest już w drodze do ciebie. Co wiemy?

Opowiadam mu wszystko, a funkcjonariusze policji stanowej rzucają mi zniecierpliwione spojrzenia. Lustig jest starym przyjacielem Sama, bezwzględnie lojalnym, a dzięki swojemu

stanowisku w FBI może okazać się teraz bardzo pomocny. Albo i nie. Zależy od tego, gdzie jest i co obecnie robi. Słucha mnie jednak uważnie i w końcu mówi:

– I myślisz, że zniknięcie Remy'ego Landry ma związek z podobnymi przypadkami? I z sektą?

– Tak właśnie uważam.

– No cóż, przyjrzelśmy się tym sprawom, ale nie udało się nam znaleźć jakichkolwiek powiązań. Nigdy też nie słyszeliśmy o żadnym związku z sektą.

– Sądzę, że to cholernie solidny trop, zważywszy na to, że *porwali mi syna* – rzucam ostro i natychmiast tego żałuję. To nie jest jego wina. Sama sobie to ściągnęłam na głowę. – Możesz jakoś pomóc?

– Możesz jakoś namierzać swoje dzieci?

– Przez telefony. – Stary telefon Lanny leży na dnie jeziora, ale ma już nowy na kartę. Zawsze pamiętam o tym, żeby moje dzieci nie pozostawały bez kontaktu. – Dasz radę wyśledzić komórkę Connora?

– Stanowi spróbują, mają do tego sprzęt, ale postaram się pomóc, jak tylko się da. Powinniśmy mieć możliwość namierzania, nawet jeśli telefon jest wyłączony. – Urywa, a jego niski głos nabiera mocy. – Gwen. Wiesz, że szanse na to, że nadal mają przy sobie telefony, są praktycznie zerowe?

– Wiem. – Jeśli ci z sekty już zajmowali się porwaniami, a tak zapewne jest, to wiedzą, że należy metodycznie zacierać ślady.

Z tej właśnie przyczyny moja umowa z Jasperem Belldene'em jest teraz tak ważna.

Doceniam to wszystko, co próbują robić władze, ale z rosnącym zniecierpliwieniem czekam, aż sobie pojedą. Rozmawiam z Kezią.

Nadal nie mogę powiedzieć jej całej prawdy, zgadza się jednak przyjąć zmienione zeznanie Lanny w sprawie incydentu na Killing Rock. Nie jest z tego faktu zbytnio zadowolona i mocno naciska Lanny, ale moja córka jest twarda. Dzięki jej zeznaniom Olly Belldene zyska wolność albo przynajmniej czekają go znacznie łagodniejsze konsekwencje. Nie obchodzi mnie, co się stanie z Bonem, równie dobrze może zgnić w więzieniu. On nie jest częścią mojej umowy.

Kiedy tylko policja – lokalna, stanowa i przedstawiciele Biura Śledczego w Tennessee – kończą swoje obowiązki, informuję ich, że chciałabym zabrać stąd Vee i Lanny w bezpieczne miejsce. Przyznaję, że dość przekonująco odgrywam rolę osoby po silnym wstrząsie, choć z drugiej strony nie jest to tylko teatr. Zgadzą się, pod warunkiem że poinformuję ich, dokąd się udaję. Błyskawicznie wspominam o motelu w Knoxville i podaję im adres, który sprawdzam w internecie. Przekazuję klucze do domu. Jesteśmy już spakowani do wyjazdu, ale upewniam się, że zabrałam każdą sztukę broni, którą posiadamy, a w szczególności browninga. Kiedy go identyfikuję i dzwonię do J.B., żeby potwierdziła, że jest to broń służbowa, pozwalają mi go zatrzymać.

J.B. pyta, jak może mi pomóc, więc informuję ją, żeby przerzuciła wszystkie wolne zasoby do poszukiwania Carol. Nie zamierzam oddać jej sekciarzom, ale chcę wiedzieć, gdzie jest. Muszę mieć plan B na wypadek, gdyby dron Belldene'ów przestał działać.

Co ciekawe, policja nie wydaje się ufać mi tak bardzo, jak powinni, zważywszy na to, że jestem ofiarą. Agent biura śledczego jedzie za mną do motelu w Knoxville. Wynajmuję pokój i wchodzimy do środka. Patrzę przez okno do chwili jego odjazdu, po czym zabieram dziewczyny do samochodu.

Jesse Belldene również za nami jechał. Jest w tym dużo lepszy od agenta Biura Śledczego w Tennessee. Zauważyłam jego zabłoconego, nierzucającego się w oczy jeepa na drodze

wyjazdowej z Norton, ale zręcznie trzymał się w dość dużej odległości. A agent był tak skupiony na nas, że pewnie go nawet nie spostrzegł. Kiedy wsiadamy do SUV-a, jeep Jessego stoi tuż obok na jałowym biegu. Jesse kiwa do nas głową i wymienia uważne spojrzenia z Lanny. Nie podoba mi się ten facet, ale wydaje się wystarczająco grzeczny, kiedy mówi:

– Dziękuję za pomoc mojemu bratu z glinami. On nigdy nie chciał, żeby stała się wam jakaś krzywda, przysięgam. Aresztowali Bona. Olly to dureń, ale nie jest zły. – Lanny uśmiecha się przelotnie. Zawieszenie broni. Jesse mruga do Vee. – Chcesz przejechać się ze mną, śliczniutka? – pyta ją.

Jestem wręcz przekonana, że Vee powie „tak”. Przemawia za tym wszystko, co wiem na jej temat – włącznie z faktem, że jest na tyle zaznajomiona z Belldene’ami, żeby poprosić ich o pomoc. Ale odmawia. Kręci tylko głową i siada z moją córką na tylnej kanapie SUV-a. Lanny chwyta ją za rękę i mocno ściska. Wciąż boli mnie głowa, ale środki przeciwbólowe, które wzięłam, eliminują przynajmniej tępe dudnienie.

– Wszystko gra? – pytam córkę, kiedy ruszamy i ustawiam się za zabłoconym zderzakiem Jessego. – Lanny?

Pociąga nosem i przeciera oczy.

– Jasne. Wszystko jest okej, mamo.

– Nie, nie jest okej – zaprzecza Vee. – Wyluzuj, Lanta. Wcale nie musi być wszystko okej. Wiesz o tym, tak? Jesteś otoczona ludźmi.

Lanny bierze głęboki, nierówny oddech i opiera głowę na ramieniu Vee. Zaczynam postrzegać tę relację w nowym świetle. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

– Myślisz, że Connorowi i Samowi nic się nie stało? – pyta Lanny. Drżenie w jej głosie sprawia, że porzucam wszelkie obiekcje. Na razie.

– Jestem przekonana, że Sam zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby tak było. – To nie jest odpowiedź, ale nie chcę jej okłamywać.

Nie w tym temacie. – Kochanie, powinnam zabrać was do Javiera i zapytać, czy możecie z nim zostać, dopóki...

– Myśli pani, że Belldene'owie mogą zrobić jej krzywdę? – mówi Vee. – Nie robią. – Jest bardzo pewna swoich słów i rzucam jej uważne spojrzenie. – Robią to, co muszą, ale stosują się do swojego kodeksu. Nie złamią danego słowa i nie skrzywdzą Lanty. Poza tym ja będę miała ją na oku.

To dziwne, ale... wierzę jej.

– Dlaczego przyjechałaś, Vee? – pytam łagodnie, bez żadnego oskarżycielskiego tonu. – Tak naprawdę. Co się stało?

Vee odwraca głowę. W przypadku kogoś takiego jak Vee, która zawsze ma się na baczności, można to odebrać jako skrzywienie się. Na jej twarzy panuje pełny spokój, a kiedy odpowiada, jej ton jest zupełnie neutralny:

– W tej rodzinie zastępczej była dziewczyna. Młodsza ode mnie. Naprawdę młoda. Ona... uciekła i zrobiła sobie krzywdę. – Przetyka ślinę. – To była moja wina. Wszędzie za mną łąziła i traktowała mnie jak starszą siostrę. Ja do tego tak nie podchodziłam, miałyśmy po prostu pokoje pod tym samym dachem, to wszystko. Powiedziałam jej, że nigdy nie będziemy siostrami. – Jej wiejski akcent z Tennessee jest tak słyszalny, że aż trudno mi zrozumieć te ostatnie słowa. Przerywa i zauważam, że płacze. Po jej policzkach spływają duże, ciche łzy. – Ja po prostu... nie mogłam tam zostać po tym wszystkim. Chciałam być... – Znów urywa. Lanny obejmuje ją i przytula. Vee bierze głęboki oddech i przeciera twarz niecierpliwym ruchem. – Musiałam po prostu zostać sama. – Powraca pancierz i niemal słyszę brzęk metalowych płytek.

– Vee – mówię. – Nie jesteś sama. Nie musisz być. – Vee, dzika, niezależna i niestabilna, potrzebuje kogoś, kto się nią opiekuje. Czuję się za nią odpowiedzialna, choć mnie niepokoi, a nawet martwi, jeśli chodzi o wpływ na moją córkę. – Przyjechałaś do nas

nie bez powodu i to wcale nie była nagroda pieniężna, o której powiedział mi Sam. Zgadza się?

Kręci głową i widzę, jak wiele kosztuje ją uśmiechnięcie się do mnie.

– Ale to całkiem dobry pomysł, co nie?

– Muszę cię o to zapytać, kochanie, i oczekuję, że będziesz ze mną absolutnie szczerą. Czy wiesz, gdzie przebywa Vernon Carr? Tak dokładnie? – Jeśli wie, to może być to miejsce, do którego zabrali Connora i Sama. Moglibyśmy pojechać tam w pierwszej kolejności.

Zanim jednak odpowiada, widzę to już na jej twarzy.

– Nie, proszę pani. Wiem, że musi przebywać w tym ośrodku Zgromadzenia. Ale co do jego położenia... – Kręci głową. – Nigdy nie byliśmy częścią tej społeczności. Mama zawsze trzymała się od nich z daleka. Cieszyła się, kiedy Ojciec Tom opuścił Wolfhunter.

– W porządku. – Jestem rozczarowana, ale nic na to nie poradzę.

– Ja mówiłam poważnie, Vee. Jesteś bezpieczna i nie jesteś sama.

Tym razem rzuca mi ostrzejsze spojrzenie i przypominam sobie, że nie znosi ściemy.

– Na razie. Ale co potem? Odeślecie mnie z powrotem do tej rodziny zastępczej? Ja ich gównem obchodzę. Pewnie nawet nie zauważyli, że zniknęłam, choć mają o jedną gębę mniej do wykarmienia.

Nie wiem, czy ma rację. Być może nie są tacy bezduszni. Może wrywają sobie włosy głowy z troski o nią.

– Dopóki nie zmienię zdania, zostajesz z nami.

Ostre spojrzenie łagodnieje i dostrzegam pod spodem wrażliwe dziecko, które pokonało setki kilometrów, żeby do nas przyjechać. W bezpieczne miejsce. W nadziei na akceptację.

– Jesteś z nami – powtarzam. – Obiecuję.

Jeep Jessego skręca w skrót – nieoznakowany i zapewne niezaznaczony na żadnej z dostępnych map – który prowadzi nas przez dzikie, pełne pagórków tereny do lasu. Mogę jedynie pobieżnie odgadnąć nasze położenie, nie możemy być jednak daleko od Stillhouse Lake czy Norton. Trakt wygląda na rzadko używany i wszędzie walają się kamienie, które stanowią spore wyzwanie dla zawieszenia mojego SUV-a. Przejeżdżamy przez trzy zamykane bramy – na ostatniej dostrzegam ostrzeżenie, że intruzi zostaną zastrzeleni – aż w końcu docieramy na dużą polanę.

Jasper Belldene może nazywać to miejsce zagrodą, choć według moich standardów doskonale pasuje ono do definicji kompleksu. Zauważam szereg domów zgromadzonych wokół niewielkiego stawu, do którego wpływa potok biegnący od strony wzgórz. Największy z budynków jest całkiem przyzwoity. Zbudowano go z grubych pni. Pozostałe nie robią już takiego wrażenia. Udaje mi się naliczyć trzy domy i dwie bardzo duże przybudówki, ale na tyłach tego dużego może znajdować się jeszcze coś dodatkowego. Teren otoczony jest solidnie wyglądającym ogrodzeniem z grubej siatki, zwieńczonym drutem kolczastym na górze. W odległości paru metrów za nim biegnie drugie ogrodzenie z blachy falistej, które chroni przed niechcianymi obserwatorami. Brama została podniesiona na nasz przyjazd. Domyślałam się, że na drzewach po drodze mają zainstalowane kamery, dzięki którym widzą nadjeżdżające pojazdy z dużym wyprzedzeniem.

Jesse parkuje, a ja zatrzymuję się tuż obok. Brama zostaje zamknięta za nami. Wsiadam i zwracam się do Jessego:

– Na wypadek, gdyby twój ojciec chciał wykręcić nam jakiś numer, wysłałam wiadomości Kezii Claremont, mojej szefowej w Knoxville i FBI, informując ich, gdzie jestem. – Nie blefuję, zrobiłam to naprawdę, zanim opuściliśmy pokój w motelu. Jeśli chodzi o plan awaryjny, jest to najlepsze, co mogę teraz zrobić.

Jesse tylko się uśmiecha. Ma specyficzny urok przystojnego, młodego mężczyzny, który potrafi znaleźć się w każdej sytuacji.

– Żaden problem, proszę pani – odpowiada. – Jasper Belldene dotrzymuje danego słowa. Chyba że to pani nie dotrzyma swojego. Planuje pani coś takiego?

– Nie.

– Zatem nie ma się czym martwić. – Odwraca się i wchodzi po drewnianych stopniach do dużego domu. Drzwi stają otworem i w progu materializuje się Lilah Belldene. Uderza dłońmi o siebie i posyła nam ciepły uśmiech.

– Wejdźcie do środka – mówi. – Przygotowałam dla was pokoje, dziewczyny. Gwen, pani chyba nie zostanie tak długo? Jasper zaraz się zjawi, proszę chwilę poczekać.

Dom jest zaskakująco... normalny. Wygodne sofy, stary, wytarty fotel, który bez wątpienia należy do Jaspera. Obok stoi krzesło na biegunach z koszem pełnym kolorowej przędzy i wetkniętymi w nią szydłami. Pachnie tu czystością i jest całkiem przyjemnie. Zapraszająco. Na ścianie wisi duży telewizor nastawiony na kanał z wiadomościami, ze ściszoną dźwiękiem.

Nie tego oczekiwałam po domu należącym do wiejskiej mafii.

– Proszę za mną, dziewczyny – mówi Lilah. – Pokażę wam pokoje, a potem napijemy się gorącego kakao. W porządku?

Lanny wciąż ściska dłoń Vee, ale w końcu ją puszcza, podchodzi do mnie i przytula się tak mocno, że aż wyciska mi powietrze z płuc. Trzymam ją, jakbym nigdy nie zamierzała jej puścić, aż w końcu opuszczam ręce i patrzę, jak odchodzi.

– Lilah, mogę na moment? – pytam, a pani Belldene się zatrzymuje. Zerka na mnie, po czym mówi do dziewczyn:

– Prosto korytarzem i na prawo. Wasze pokoje są naprzeciw siebie. Będziecie musiały dzielić się łazienką i chcę, żeby była czysta. Śmiało. Zaraz do was dołączę.

Odwraca się w moją stronę i czeka. Podchodzę bliżej. Wystarczająco blisko, żebyśmy mogły się przytulić, gdybyśmy miały na to ochotę. Nie mamy.

– Ludzie wiedzą, gdzie one są – informuję ją. – Rozumiemy się?

Unosi rzadkie, siwiejące brwi. W swojej czerwonej, kraciastej bluzce wygląda zdumiewająco babcinie. Na szyi ma nawet naszyjnik, który rozpoznałem: wisi na nim szereg kamieni urodzinowych należących do jej dzieci i wnuków. To naprawdę imponująca kolekcja. Celowe przypomnienie, że ma rodzinę, którą kocha. Wszystko, co robi ta kobieta, jest moim zdaniem obliczone na rozbrojenie.

– Ufaj, ale kontroluj – mówi i mruga do mnie. – Postąpiłabym tak samo. Nie walczymy teraz ze sobą, ale z pewnością nie jesteśmy przyjaciółmi. Zapewniam jednak, że jeśli pani córka będzie trzymała się swojej wersji historii i Olly wróci do domu, będziemy na razie kwita. Potem opuścicie to hrabstwo i wtedy będziemy kwita na dobre. – Gubi uśmiech, jakby był papierową maską, którą przed chwilą założyła. – Nie skrzywdziłabym pani dziecka, może być pani tego pewna.

Kiwam sztywno głową. To nie tak, że jej nie wierzę. To raczej tak, że nie chcę *być zmuszona* jej wierzyć.

Czekam kilka minut, aż Jasper Belldene wyjdzie z kuchni. Trzyma dwa kubki z kawą i muszę przyznać, że zapach dobrych ziaren odrobinę mnie relaksuje. Przyjmuję kawę z wdzięcznością i popijam ją, nie dodając mleka ani cukru. Potrzebuję jej rozpaczliwie.

– Jak tam głowa? – pyta.

– Boli. Ale to mnie nie powstrzyma.

– Oni wciąż jadą – informuje mnie. – Są na międzystanowej. Florida obserwuje namiar z GPS. – Chrząka przez chwilę. – Nie może pani wziąć się za to sama, to chyba jasne?

Ma oczywiście rację. Instynkt podpowiada mi, żeby ruszać bez zwłoki w drogę, ale nie wiem, w co się wpakuję, nawet znając lokalizację. Nie wygrałabym z tymi facetami z kampera. A jeśli dzięki temu znajdę Ojca Toma i sektę, której tak bała się Carol... to z pewnością zrobi się jeszcze trudniej. Jedną sztuką broni nic nie działałam.

Czuję się bardzo samotna.

– Rozumiem, że to nie jest oferta? – pytam.

– Nie. Nie mam żadnego interesu w tej walce.

– Nawet jeśli zapłacę?

– Proszę pani, nie jest pani stanie zapłacić tyle, żebym zgodził się zaryzykować życiem moich dzieci tylko po to, by odzyskać pani rodzinę. Takie są fakty. Radziłbym gdzieś się rozejrzeć i skołować jakichś ludzi. My nie działamy w tym biznesie. Skieruję panią we właściwym kierunku i na tym nasz wkład się skończy.

Przez chwilę moja kawa smakuje bardzo gorzko. Mimo wszystko dopijam ją do końca. Nie wiem, kiedy będę miała następną ku temu okazję.

Jasper opróżnia swój kubek i mówi:

– Może i nie ma pani mojej pomocy, ale ma moje współczucie. Mam nadzieję, że odzyska pani chłopca. Żadne dziecko nie zasługuje na coś takiego.

Kiwam głową i podaję mu pusty kubek. Odstawia oba, a kiedy jego telefon wydaje sygnał, zerka na wyświetlacz. Wpatruje się w niego przez chwilę, po czym mówi:

– Naprawdę mi przykro.

Kieruje ekran w moją stronę i czytam treść wiadomości:

„Straciłam sygnał. W dronie musiał rozładować się akumulator. Ostatni sygnał odebrałam w hrabstwie Cumberland, w pobliżu Catoosa”.

Mam ochotę zacząć krzyczeć, ale opanowuję emocje resztkami sił. Jestem zdruzgotana, bo Remy Landy, Connor i Sam właśnie

rozpłynęli się w mroku.

Zniknęli.

Siadam na chwilę z głową ukrytą w dłoniach i staram się to wszystko przetworzyć. Nie ma absolutnie żadnej gwarancji, że ten kamper zatrzyma się gdziekolwiek w Tennessee. Może kierować się dalej na północ, do innego stanu. Niewykluczone, że znikł już gdzieś zupełnie.

Dzwonię do Mike'a Lustiga. Brzmie całkiem spokojnie, kiedy opowiadam mu o tym, czego się dowiedziałam. Obiecuje mi, że przekaże informacje dalej odpowiednimi kanałami w Tennessee, po czym milczy przez chwilę.

– Jak sobie radzisz, Gwen?

– Nie za dobrze – przyznaję. – Wcale. Nie wiem, co robić. Nie mogę tak po prostu...

– Owszem, możesz. Dopóki ich nie znajdziemy, niewiele może się wydarzyć, wiesz o tym.

– Tak – odpowiadam, choć w to nie wierzę. – Udało ci się znaleźć cokolwiek na temat tego Zgromadzenia Świętych? Albo All Saints International?

Lustig zadaje logiczne pytanie, dlaczego o to pytam, a ja opowiadam mu o swoich podejrzeniach. Zastanawia się nad tym przez moment.

– Muszę zadać ci pytanie: jaki jest sens w tym, żeby wynająć cię po to, żebyś odnalazła faceta, którego sami porwali?

– Bo wiedzieli, że jeśli zacznę szperać, wypłoszę Carol z ukrycia, o ile jest gdzieś w pobliżu. Umożliwiłam im namierzenie jej. – Przełykam ślinę. – Ale to już nie zadziała. Jeśli jest mądra, to urwała kontakt z pastorem i całkowicie zniknęła z radaru. Pewnie wyniosła się w cholerę z tego stanu...

– Dlaczego wcześniej tego nie zrobiła? – pyta Lustig, zaskakując mnie. – Znalazłaś ją w Knoxville. Czy to nie dziwne, skoro naprawdę chciała uciec? Równie dobrze mogłaby być już na Hawajach. Albo w Estonii.

To prawda. Założyłam po prostu, że Carol nie miała odpowiednich zasobów, ale teraz, kiedy już ją znam, to wydaje się jeszcze mniej prawdopodobne. Carol – czy jak tam ma w końcu na imię – potrafiłaby sobie poradzić, z pieniędzmi czy bez. Musiała być jakaś przyczyna, dla której została.

Ogarnia mnie złość, kiedy uświadamiam sobie, jaka byłam głupia. Nie mam żadnego usprawiedliwienia poza tym, że jestem zmęczona, nieskoncentrowana i drżę o osoby, które kocham. Powinnam była pokoiżyć fakty w chwili, kiedy porywacz mojego syna powiedział, że szuka Carol *i dziecka*.

Przychodzą mi do głowy dwie możliwości: albo Carol uciekła z małym dzieckiem z sekty, albo uciekała przed sektą, bo była w ciąży. Tak czy inaczej, została w Knoxville, bo chciała widzieć to dziecko, nawet jeśli nie mogła zabrać go ze sobą. Teraz rozumiem, dlaczego pastor tak bardzo ją chronił – przy okazji bronił również kogoś dużo bardziej bezbronnego.

Kiedyś będę musiała przeprosić tego człowieka.

– Muszę jechać – mówię Lustigowi. – Czy masz jakąś możliwość namierzenia kampera? Satelity? Czegokolwiek?

– Zobaczę, co da się zrobić – odpowiada. – Gwen? Trzymaj się. Nie rób niczego głupiego. Obiecuj mi.

– Obiecuję – odpowiadam. Oczywiście kłamię, ale z agentem Lustigiem traktujemy się z pewną rezerwą. Kolegujemy się ze względu na Sama, ale na tym to się kończy. Gdyby Lustig znalazł jakiegokolwiek dowody przeciwko mnie, nawet najdrobniejsze, które mogłyby powiązać mnie ze zbrodniami Melvina, błyskawicznie zjawiłby się z nakazem. On nie uważa tak naprawdę, że jestem odpowiednią kobietą dla Sama.

Niech sobie tak myśli.

Rozłączam się i rozważam opuszczenie tego miejsca. Lilah, która usiadła na swoim bujanym fotelu po przeciwnej stronie pomieszczenia, podnosi wzrok. Przez cały czas szydełkowała i w tej chwili też nie przerywa. Rytmiczne klikanie szydełek kojarzy mi się ze stukaniem pazurów o szybę. Pewnie powinno to działać kojąco.

– Proszę zaczekać do rana – mówi. – Jest pani wykończona, podobnie jak dziewczyny. Jedna noc nie zaszkodzi. Tutaj jest pani bezpieczna, co się wydarzy za ogrodzeniem, tego już zagwarantować nie mogę.

Natychmiast zaczynam się zastanawiać, co jeszcze może nią kierować, ale to chyba nie fair. Jak dotąd, Belldene'owie byli całkiem szczerzy, jeśli chodzi o motywy. Być może w tej chwili Lilah zachowuje się jak matka i babcia.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby tak samo było po wschodzie słońca.

– Dziękuję. – Czuję się przygnębiona i straszliwie zagubiona. Nie mogę spać, nie mogę odpoczywać, nie mogę *myśleć*. Mój syn zaginął. Doświadczyłam już wcześniej tej goryczy, nigdy jednak aż tak dogłębnie. To poczucie niesprawiedliwości zabija nadzieję. – Muszę skorzystać z mojego komputera. Mogę?

– Jasne – odpowiada. – O ile nie potrzebuje pani naszego wi-fi i hasła, bo tego nie podam.

Nie potrzebuję. Korzystam z telefonu w celu uzyskania dostępu do sieci i siadam do komputera. W ciągu minuty jestem w internecie.

Rozpoczynam od parku przyrodniczego Catoosa. Okolica jest dziewicza i bardziej niż opustoszała. Powiększam widok. Jest tam zdecydowanie za wiele możliwości, kierunków, społeczności, miasteczek i farm. Z widoku z satelity ośrodek sekty może wyglądać jak każde inne miejsce. Do tego wielu miejscowych ma przyczepy i kampery.

Przeszukuję internet przez dwie godziny, które pozostały do wschodu słońca, ale niewiele udaje mi się znaleźć. Nie widzę praktycznie żadnego nawiązania do Zgromadzenia Świętych, nie licząc odniesienia do dawno nie działającego już kościoła na północnym zachodzie, należącego do zupełnie innej społeczności. Jedyne mobilne grupy, które znajduję, to romscy wędrowcy lub stowarzyszenia emerytów, które postanowiły zwiedzić kraj na kołach.

– Pani Proctor?

Podnoszę głowę. Stoi przede mną Vee Crockett. Ubrana jest w plisowaną, białą koszulę nocną z bawełny, która jest dla niej za mała, a której długie rękawy ledwie sięgają jej za łokcie. Opada na sofę tuż obok.

– Nie mogłaś spać? – pytam. Kręci głową. Nie zastanawiając się zbyt wiele, obejmuję ją ramieniem, tak samo, jak postąpiłabym z Lanny. Sztywnieje nieco w reakcji na dotyk, po czym się rozluźnia i opiera o mnie.

– Udało się coś znaleźć? – pyta.

Chciałabym móc powiedzieć, że tak. Muszę być jednak z nią szczerą.

– Nie.

– Mogę pani coś pokazać?

Kiwam przyzwalająco głową. Vee przysuwa sobie mojego laptopa, przechodzi do strony z materiałami wideo – nie jednej z tych najbardziej znanych – i coś otwiera.

– Proszę spojrzeć.

Obraz jest mglisty i ciemny i nie wiem, na co właściwie patrzę, ale w końcu kolory się stabilizują.

– Co to jest?

– Ci ludzie eksplorują dziwne, opuszczone miejsca – wyjaśnia.

– Dlaczego?

– Dla rozrywki. Proszę patrzeć.

Podpis pod filmem informuje, że trwa eksploracja starego, opuszczonego obiektu należącego do służb ochrony ludności. Nie wiem, dlaczego tak jej zależy na pokazaniu mi tego nagrania, dopóki nagrywający film nie popychają metalowych, rdzewiejących drzwi w betonowym budynku, a światła latarek nie oświetlają rzędów ustawionych pod ścianami łóżek. Wygląda mi to na wojskowe prycze. Na niektórych wciąż leżą materace. Miejsce wydaje się puste i niczym się niewyróżniające... przynajmniej do momentu, kiedy światła wydobywają z mroku coś wypisanego na ścianie, a kamera łapie ostrość.

Jest to starannie namalowany cytat:

Czuwajcie, trwajcie w wierze, mężnie sobie poczynajcie i wzmacniajcie się – 1. List Pawła do Koryntian 16,13.

Na drugiej ścianie widać bardziej złowrogi werset:

Zgromadźcie Mi moich świętych, którzy zawarli ze Mną przymierze przez ofiarę – Księga Psalmów 50,5.

Vee zatrzymuje wideo i patrzymy razem na napis. Słowo „święci” wydaje się lśnić. To tylko gra świateł, ale odbieram to jako przekaz.

– Gdzie to jest?

– Pięćdziesiąt kilometrów od Wolfhunter, w lesie – odpowiada. – Te budynki zamknięto na całe lata, z tego, co mi wiadomo. – Klika przycisk odtwarzania. – Proszę oglądać dalej.

Boję się tego, co możemy zobaczyć.

Pozostała część budynku wydaje się całkiem zwyczajna – łazienki, prysznice, toalety. W ciągu kilku minut wychodzą z betonowego obiektu. Ludzie kręcący film zaczynają żartować, ale to się szybko kończy. Robi się niepokojąco cicho, kiedy zaczynają filmować otoczenie. Widzę długi, wąski biały budynek

przypominający kościół, ozdobiony z jednej strony wielkim krzyżem. Obierają go za następny obiekt do eksploracji. Drzwi są zamknięte, ale łatwo je otwierają, a na filmie widać dużą, pustą przestrzeń, nie licząc podwyższenia, na którym stoi samotne, wygodne krzesło. Jest w tej scenerii coś dziwnego. Niemal wyobrażam sobie pomieszczenie pełne stojących lub klęczących ludzi, podczas gdy postać przed nimi siedzi na tym krześle i przemawia.

Jest jeszcze jeden budynek, identyczny jak ten z pryzami. Tablica na zewnątrz nie jest aż tak wyblakła i widać wyraźnie napis OGRÓD. Oczekuję podświadomie jakiegoś rodzaju szkółki roślinnej, ale widzę jedynie kolejne pryzce. Jest ich tylko nieco mniej. W dalszej części znajduje się nieduży obszar z kojcami i starymi, porzuconymi kołyskami.

Są jeszcze jedne oddzielne, zamknięte drzwi. Kiedy otwiera je grupa eksploratorów, znajdują pokój z istic królewskim łóżem. W przeciwieństwie do krzesła z kościoła, ten mebel opływa luksusem. W pomieszczeniu nie ma niczego innego i aż robi mi się niedobrze. Może to z powodu odbarwionych plam na pustym materacu.

Albo cytatu na ścianie przy łóżku.

Adam potem poznał żonę swoją Ewę, która poczęła i porodziła Kaina mówiąc: Otrzymałam człowieka przez Boga – Księga Genesis 4,1.

Kiedy eksploratorzy wychodzą, oświetlają kolejne cytaty starannie wymalowane na ścianach.

Nie mąż bowiem jest z niewiasty, ale niewiasta z męża. Albowiem mąż nie został stworzony dla niewiasty, ale niewiasta dla męża – 1. List Pawła do Koryntian 11,8–9.

Tekst sprawia, że się krzywię. To musi być dowód dla tych biednych dusz, że narodziły się jako gorsze i zawsze takie pozostaną. Dowód na to, że nie mają własnego życia. Na drugiej ścianie jest jeszcze gorzej:

*Niewiasta niech się uczy w cichości, z wszelką uległością – 1.
List Pawła do Tymoteusza 2,11.*

Czuję chłód od samego patrzenia. Unieruchomiona i ściśnięta, uwięziona jak kobiety, które były tutaj przetrzymywane. One z pewnością wierzyły w tę pokręconą wersję chrześcijaństwa. Musiały, żeby zachować zdrowy rozum. Nie umyka mojej uwadze również fakt, że w tym pierwszym budynku prycz było dwukrotnie więcej – te zapewne zajmowali mężczyźni – niż w Ogrodzie dla kobiet.

Te, które były tutaj przetrzymywane, stanowiły zatem mniejszość i podlegały indoktrynacji. Były bezlitośnie podporządkowywane. Do głowy przychodzi mi Carol i jej zręczne manipulacje. Czy ona się tutaj wychowała? Czy to z tego miejsca uciekła? Nie, to niemożliwe. Wszystko tam wygląda na opuszczone przed wieloma laty.

– To miejsce należało do Zgromadzenia – wyjaśnia Vee. – Domyśliłam się, kiedy tylko zobaczyłam to nagranie. Zawsze krążyły opowieści o tym, że oni mają swoje miejsce pod Wolfhunter, ale nie wiedziałam, gdzie. Kiedy Ojciec Tom przeniósł się gdzie indziej, byłam jeszcze dzieckiem. – Przelyka ślinę i patrzy na zatrzymany obraz, na którym wciąż widoczny jest ostatni cytat. – Spotkałam się z nim raz. Z Ojcem Tomem. Zjawił się w naszym domu, żeby zwerbować mamę. Kazała mu się wynosić, więc odjechał. Ale on był... – Zastanawia się przez chwilę. – Wtedy zrobił na mnie dobre wrażenie. Był naprawdę miły.

Być może wcale nie próbował zwerbować matki Vee, lecz samą dziewczynkę. Drzę na myśl o takiej możliwości – przypominam sobie

te kojce i kołyski.

Królewskie łoża z plamami na materacu i cytaty na ścianach.

Nie wątpię, że Vee ma rację. To był kiedyś kompleks należący do Zgromadzenia Świętych, zanim jego wyznawcy opuścili Wolfhunter i przenieśli się w większe i lepsze miejsce.

Przytulam Vee i mówię:

– Dzięki. To naprawdę pomocne. – Próbuję się uśmiechnąć. Ona również. Obie jesteśmy nieco wstrząśnięte. – Jak ty to znalazłaś? Nie ma przecież żadnych oznaczeń, że to Zgromadzenie Świętych, prawda?

– Nie. Szukałam po prostu strasznych filmów dotyczących sekt – odpowiada. – W Tennessee, bo tam się to wszystko zaczęło. Niczego więcej jednak nie znalazłam. Szkoda, że nie udało mi się znaleźć tego nowego miejsca.

– Świetnie sobie poradziłaś – zapewniam ją. Potrzebuje tego tak samo, a może nawet więcej niż moje dzieci. W efekcie niemal promienieje w reakcji na tę pochwałę. Dostrzegam to, ale nieszczęśliwie czuję. Moje serce jest niemal martwe i takie pozostanie, dopóki nie znajdziemy Connora.

Świt przynosi nadzieję na horyzoncie. Lanny wciąż śpi, postanawiam dać jej jeszcze chwilę. Vee proszę, żeby przebrała się z powrotem w swoje ciuchy.

– Dokąd jedziemy? – pyta. – Wiemy, gdzie oni są?

– Jeszcze nie – odpowiadam. – Pojedziemy poszukać kogoś, kto może nam powiedzieć, jak ich znaleźć.

Zamierzam odszukać Carol.

Tym razem sprawię, że powie mi wszystko.

Rozdział 18

Sam

Niewiele potrafię sobie przypomnieć po tym, jak Gwen została uderzona od tyłu, upadła, a ja ruszyłem za facetem, który zabrał Connora.

Zaledwie przebłyski.

Ogłuszający pisk alarmów włączonych przez dzieci.

Connor ciągnięty do brudnego kampera zaparkowanego przed domem.

Gromadzenie resztek sił i rzucenie się na mężczyznę, który trzymał mojego syna.

Później obrazy się już rozmazują. Nagły, spazmatyczny i przytłaczający ból. Upadek, upuszczenie broni, która została wykopnięta z mojej ręki. I ciągłe kopanie, aż do utraty świadomości.

Próbuję przypomnieć sobie więcej, ale widzę tylko twarz ponurą i przerażoną twarz Connora.

Budzę się powoli, a wspomnienia ustępują miejsca niepokojącej rzeczywistości. Jestem przykuty za stopy do metalowego oczka w podłodze kampera, a moje ręce są spętane długim łańcuchem zapiętym do tego samego mocowania. Pozostaje mi zaledwie tyle

luzu, że mogę siedzieć na brudnym, postrzępionym krzeselku kubełkowym, które również przykręcono do podłogi.

Wiem, że nie dopadli mnie od tyłu. Wszystkich trzech miałem w tamtej chwili przed sobą. Jeden stał nieco po lewej. Kiedy się koncentruję, przypominam sobie błysk światła, ból i upadek.

Jeden z nich musiał mieć paralizator, którym mnie obezwładnił, po czym skopał do nieprzytomności. Jestem posiniaczony i obolały i chyba mam pęknięte żebro, ale i tak jest lepiej, niż oczekiwałem. Tuż za moimi gałkami ocznymi pulsuje piekielny ból głowy. To wszystko nie ma jednak znaczenia, bo Connor siedzi naprzeciw mnie.

On też został przykuty do podłogi w podobny sposób. Ma liczne siniaki i zadrapania, ale uważne spojrzenie. Dostrzegam w jego oczach ulgę, kiedy zauważa, że odzyskuję świadomość.

– Tato? – rzuca, a ja czuję skomplikowaną mieszankę emocji. Strach. Miłość. Gniew, że nie mogę się do niego dostać. Nieczęsto zwraca się do mnie „tato”, a kiedy to robi, to znak, że jego środki obronne są na wyczerpaniu. Jestem szczęśliwy, że aż tak mi ufa. Nie mogę go zawieść. – Wszystko w porządku?

– Wszystko gra – odpowiadam. *Wcale tak nie jest. Jest naprawdę źle.* Znajdujemy się w obskurnym kamperze, kołyszącym się i podskakującym na wyboistej drodze. Nadal nie poruszamy się po autostradzie, przynajmniej na razie. Kierowca obrał boczne drogi zapewne w obawie przed policją. Na zewnątrz wciąż panuje mrok, więc chyba wcale nie byłem nieprzytomny aż tak długo. Mam nadzieję, że to kwestia minut. Większym problemem jest to wredne pulsowanie za moimi oczami, które oznacza, że dostałem porządną dawkę. Teraz, kiedy znajdujemy się w tak parszywej sytuacji, najgorsze byłoby uszkodzenie mózgu.

– Zamknij się – mówi jeden z tamtych. Jeden oczywiście prowadzi, a drugi siedzi ze strzelbą na kolanach. Trzeci przysiadł na

innym siedzeniu kubelkowym i nas obserwuje. Na małym stoliczku obok spoczywa paralizator. Nie widzę innej broni.

Oni nie chcą nas zabić. To dobrze. To przewaga, z której możemy skorzystać.

– Nie uda się to wam – odpowiadam mu. – Gliny już was szukają. I FBI. Tym razem porwaliście dziecko, nie dorosłego. Wiecie, co to oznacza? Pomarańczowy alert. Federalni i policja stanowa dobiorą się wam do tyłków. W ciągu paru godzin zidentyfikują ten pojazd dzięki kamerom na naszym domu. Jak długo waszym zdaniem taki gówniany kamper może pozostać niezauważony? Po prostu nas wypuśćcie. Znikniemy i będzie po sprawie.

– Jak znowu otworzysz gębę, to dostaniesz tym – odpowiada tamten i dotyka paralizatora. Wcale mnie nie słucha, pewnie po prostu myśli, że Bóg go ochroni, choć muszą mieć przecież świadomość powagi swoich czynów. Wcześniej byli ostrożni. Coś sprawiło, że stali się na tyle nieostrożni, że wyszli poza dotychczasowe ramy.

Nie ma niczego gorszego od fanatyków, którzy uważają, że nie mają niczego do stracenia.

Przestaję gadać, bo muszę być gotów i chronić Connora, jeśli do tego dojdzie. Zapamiętuję rozkład wnętrza kampera. Światła są przyciemnione i zażółcone ze starości, ale widzę starą wykładzinę i niewielką kuchenkę z popękany blatem i pozamykanymi szafkami. Do tego cztery siedzenia kubelkowe, kilka małych stolczków i dwie prycze na tyłach, widoczne zza obwisających harmonijkowych drzwi. Domyślam się, że za drugimi drzwiami znajduje się toaleta. W kamperze cuchnie jak w szatni podgrzanej pod wielką lampą. Zakładam, że jeździ z nimi zazwyczaj kobieta – przynęta stosowana podczas kazań – ale jeśli tak jest, to nie ma tu po niej żadnego śladu.

Zasłony w kratę w kolorze rdzy i awokado szczelnie zasłaniają wszystkie okna. Nikt nie zdoła zajrzeć do środka. Szukam dróg

ucieczki. Oprócz drzwi wejściowych naprzeciw mnie – zaryglowanych od środka i dodatkowo zabezpieczonych kłódką – zauważam w podłodze właz, który służy zapewne do celów konserwacyjnych, oraz świetlik w dachu. Nie widzę żadnego wyjścia z tyłu.

Jeśli zdołam się uwolnić, zamierzam zabić tyłu, ilu się da, porwać ten cuchnący wrak i skierować go w najbliższe miejsce, gdzie będziemy mogli znaleźć pomoc. Jeśli mi się nie uda, przecisnę Connora przez jeden z tych włazów i wtedy podejmę walkę. To naprawdę niewiele, ale przynajmniej będzie miał szansę uciec. Ukryć się. Znaleźć pomoc.

To nie jest najlepszy plan. Głowa boli mnie tak bardzo, że aż odczuwam mdłości, ale nie sądzę, żeby pozwolili mi na skorzystanie z łazienki.

– Czego od nas chcecie? – pyta Connor, zwracając się do faceta z paralizatorem. – Co my wam takiego zrobiliśmy?

– Nie przejmuj się. Wkrótce wrócisz do domu – odpowiada tamten. – Tak przy okazji, jestem Caleb. Kobieta, której szukamy, wykradła małe dziecko. Chcemy tylko znaleźć chłopca i zaprowadzić do domu. – Traktuje Connora jak równego sobie, nie jak jeńca. Do mnie zwrócił się z pogardą. W przypadku Connora emanuje wręcz ciepłem.

A Connor słucha.

– Próbujesz znaleźć swoje dziecko?

– Nie. To syn Ojca Toma. To czyni go moim bratem, chcę go więc odzyskać.

Jezu. Uświadamiam sobie, że ten Caleb uznał, że Connora da się zmanipulować. Chciałbym stwierdzić, że ten dzieciak jest na to odporny, ale w tym wieku? Nie. Ojciec Connora grał na jego strachu i potrzebie przynależenia. Tak samo postępują sekciarze.

On jest bezbronny.

Nie mogę pozwolić, żeby ten dupek dobrał się do duszy Connora. Choć wiem, że zostanę za to ukarany, mówię:

– A kiedy dzieci są dziewczętami, ile muszą mieć lat, żeby poślubić waszego proroka? W jakim muszą być wieku, żeby zaczął je molestować?

Zgodnie z moją intencją, Caleb się wścieka i chwyta za paralizator. Tym razem widzę, jak z niego strzela, jak trafiają mnie elektrody i jak zaczynają pulsować.

To wszystko, co udaje mi się odnotować, zanim do akcji ruszają ampery. Wtedy nie czuję już niczego poza falami bólu, kiedy moje mięśnie ulegają konwulsjom. Po chwili następuje przerwa, w której chwytam oddech, ale tamten znów naciska spust. Więcej bólu. Słyszę, jak Connor woła, by przestał. Moje płuca pulsują, krzycząc o powietrze, ale mięśnie nie pozwalają im się napełnić. Nie wiem, czy da się kogoś zabić paralizatorem, ale czuję, jakby mnie to czekało.

Kiedy w urządzeniu kończy się prąd, mam wrażenie, że upłynął cały rok. Pulsowanie i paraliż ustępują. Biorę wielki, rozpaczliwy wdech. Moje łańcuchy grzechoczą od siły konwulsji, a metal wokół nadgarstków i kostek wydaje się gorący. Sam fakt, że przeżyłem, zdaje mi się zwycięstwem.

Słyszę, że znów naciska spust. Nic. Rozładował baterię. *Ty sukinsynu.* W Calebie tkwi prawdziwy pieprzony sadysta. Lepiej jednak, że to ja jestem jego celem, a nie Connor.

– Zostaw go w spokoju! – woła Connor, na co facet siedzący za kierownicą ostrzega, żebyśmy się wszyscy zamknęli albo zostaniemy zakneblowani. Udaje mi się skinać głową Connorowi. Pokazuję mu nawet kciuk, choć jestem bezwładny jak ryba wyrzucona na brzeg. Starając się pokonać ból, koncentruję uwagę na facecie, który tak chętnie naciskał na spust. Wstaje, otwiera jedną z szafek kluczykiem wyjętym z kieszeni i wyjmuje drugi paralizator,

który podstawia mi przed nos, zanim siada z powrotem. Ten rozładowany wrzuca do kosza.

Wszyscy cichniemy. Zamykam oczy, bo jednym ze skutków takiego porażenia jest wyczerpanie. Chyba nawet przysypiam na chwilę. Nie ma sensu zachowywać najwyższej czujności, skoro jestem przykuty łańcuchem i niewiele mogę zrobić. Piloci sił powietrznych nie ćwiczą tylko latania i walki. Przechodzimy również całkiem poważne szkolenie SERE, które oznacza Poszukiwanie, Unikanie, Opór i Ucieczkę. Pierwsze dwie części nie mają już zastosowania, skoro siedzę związany, ale Opór i Ucieczka wciąż wchodzi w grę. Ci z sekty z pewnością nie wymyślą niczego, czego kiedyś już nie widziałem i nie doświadczyłem, a przeszkolono mnie, jak sobie z tym radzić. Nie było to nic przyjemnego, ale teraz sprawdza się w nieoczekiwany sposób.

Pozostaje mi już tylko skupić się na ostatnim etapie szkolenia, czyli na ucieczce. Ważna jest w tym wszystkim wizualizacja przyszłych okoliczności, muszę więc zacząć myśleć poważnie nie tylko o sobie, ale i o Connorze. Muszę go z tego wyciągnąć i zabrać do domu.

Albo, jeśli to niemożliwe, przynajmniej wysłać go bezpiecznego do domu. Na tym polega moja praca.

Nazwał mnie tatą i muszę stanąć na wysokości zadania.

Wyrywam się z drzemki. Podskakiwanie kampera ustało i teraz jedziemy po gładziej nawierzchni, przyspieszając tempa. W końcu jesteśmy na normalnej szosie. Na zewnątrz już prawie świta, sądząc po świetle przedostającym się przez szpary w zasłonach. Caleb leży wyciągnięty na jednej z prycz z tyłu. Cóż za pewny siebie dupek.

Zaczynam metodycznie badać moje pęta. Dokądkolwiek jedziemy, kierujemy się tam dość szybko. Stalowa pętla w podłodze, do której jestem przykuty, jest całkiem solidna, podobnie jak łańcuchy. Mam na tyle luzu, że mogę skrócić nadgarstki i nawinąć na nie łańcuch. Mam nadzieję znaleźć słabe punkty w ogniach lub

kajdanach. Nie znajduję. Connor mnie obserwuje i po chwili zaczyna robić to samo. Porywacze znajdują się nieopodal, a facet ze strzelbą co jakiś czas zerka kontrolnie w moją stronę. Nie wydaje się zmartwiony tym, że badam pęta, i nie każe mi przestać.

Nie przestaję więc. Siedzenie jest mocno przyśrubowane. Sznur, którym mnie związali wokół pasa i piersi, trzyma mocno. Tak, ci ludzie dobrze się znają na tej robocie.

Dobrze, zrobiłem, co mogłem. Teraz pozostaje nam czekać.

Znów drzemię podczas jazdy, ale budzę się na każdy odgłos, w obawie, że tamci mogą robić coś z Connorem. Ale zostawiają nas w spokoju. Kiedy znów się budzę, słońce stoi już wysoko. Stary zegar na ścianie kampera informuje, że jest dziewiąta trzydzieści rano. W końcu zwalniamy i zatrzymujemy się z piskiem starych hamulców. Słyszę z przodu głosy – ktoś rozmawia z kierowcą. Po chwili rozlega się charakterystyczny grzechot przesuwanej metalowej bramy.

Kamper toczy się naprzód, ale niezbyt daleko – najwyżej kilkadziesiąt metrów. Znów stajemy i silnik gaśnie.

– Podnoś to swoje leniwe dupsko – krzyczy kierowca do Caleba, który zaczyna ziewać i pocierać oczy. – Jesteśmy w domu.

– Chwała Panu – rzuca Caleb. – Zgłodniałem już.

Mój żołądek również ostro protestuje. Mam ochotę na jajecznicę na bekonie. Nie ma sensu walczyć z uczuciem głodu, więc zaspokajam go, wyobrażając sobie smak. W końcu odpuszczam i obserwuję Caleba, który uwalnia Connora. Otwiera kłódkę przy stalowej pętli i odsuwa łańcuchy. Connor zaczyna się szarpać, ale nigdzie się nie wybiera. Wciąż jest przywiązany do siedzenia. Caleb wie, co robi. W końcu patrzy chłopakowi prosto w oczy i mówi:

– Słuchaj, nie chcę tego robić, ale nie dajesz mi wyboru. Siedź nieruchomo albo potraktuję cię tym paralizatorem. Rozumiemy się?

– Wie, że Connor widział skutki użycia tej broni. Czuję wściekłość w reakcji na widok jego wystraszonej twarzy, na której w końcu gości

wyraz zobojętnienia. Widziałem już tę minę. Robi ją, kiedy wszystko ukrywa i próbuje sobie jakoś radzić, ale jest to osłona niewiele lepsza od cienkiej halloweenowej maski. Nie zapewni mu ochrony zbyt długo.

Connor patrzy mi w oczy.

Rób, co mówi, przekazuję mu samymi ustami. Connor kiwa głową. Martwiłbym się nieco bardziej, gdyby naprzeciw mnie siedziała Lanny, bardziej skora do buntu, ale Connor jest ostrożny. Nic mu nie będzie.

Dopilnuję tego.

Serce mi bije stanowczo za szybko. Korzystam z technik oddechowych, by je spowolnić, obserwując przy tym, jak Connor zostaje uwolniony do końca i wstaje. Caleb zostawia mu kajdanki na nadgarstkach i kostkach, po czym prowadzi go na zewnątrz. Całe moje wyszkolenie na nic się zdaje, kiedy tracę go z oczu. *To było nieuniknione*, powtarzam sobie. *Oni was rozdzielą. Zaczekaj na swoją szansę.*

To nie pomaga w zwalczeniu strachu, który czuję. Ale to nie jest strach o siebie, a o niego.

Liczę upływające sekundy. Dzięki temu mogę zachować spokój, nawet kiedy nie widzę, co się dzieje. Brak takiej wiedzy doprowadza człowieka do szału, szczególnie gdy tak buzują emocje. Kiedy odliczanie nic już nie daje, zaczynam liczyć pierwiastki. Cokolwiek, byle tylko zająć mózg.

Caleb zjawia się po mnie dziesięć minut później. Tymczasem pozostali dwaj już wysiedli z kampera i zostałem sam. Caleb stosuje tę samą procedurę uwalniania mnie z pęt, jak w przypadku Connora. Najpierw otwiera kłódkę i usuwa łańcuchy. To jest pierwsza okazja, ale niezbyt dobra – jeśli byłbym dość szybki, kopnąłbym go w pierś, ale nadal pozostałbym przywiązany do siedzenia wewnątrz kompleksu z zamkniętą, metalową bramą. Nie wspominając o tym, że nie mam najmniejszego pojęcia, z iloma osobami miałbym do

czynienia na zewnątrz. Zaryzykowałbym pewnie, gdybym wiedział, czy kluczyki znajdują się w stacyjce i czy zdołam się w ogóle stąd wydostać.

Ale Connora tu nie ma. A to oznacza, że ja również muszę tu zostać. Problem w tym, że jeśli ta sekta jest tak doświadczona i sprytna, na jaką wygląda, nigdy nie pozwolą mi się do niego zbliżyć. Izolacja stanie się taktyką dezorientacji. Izolacja i strach, w połączeniu z akceptacją i wsparciem ze strony członków sekty. Ale to dotyczy Connora, nie mnie. Ja nie jestem ich głównym celem, tylko zabezpieczeniem.

Ma to swoje dobre strony. Nie jestem aż tak niezbędny, ale jednocześnie zabicie mnie, a nawet poważne zranienie, nie pozwoli im nawiązać kontaktu z Connorem, a to oznacza, że nakreślili sobie zapewne grubą, czerwoną linię, której nie zechcą przekroczyć. Dopóki żyję, będzie starał się ich zadowolić i zapewnić mi bezpieczeństwo. Zabiją mnie, a zamknie się na dobre. Sądząc po zachowaniu Caleba, planują go zwerbować. Jest w doskonałym wieku. Poza tym gdyby syn Melvina Royała stał się ich wyznawcą, byłoby to drobnym, perwersyjnym akcentem na obrazie całości.

Caleb zostawia mnie związanego na siedzeniu i się cofa. Wtedy zauważam, że do kampera wszedł ktoś jeszcze. Podłoga lekko się ugina pod jego ciężarem, a kiedy Caleb się odsuwa, widzę starszego mężczyznę o siwych, niemal białych włosach. Do tego blada skóra. Nie ma w nim niczego imponującego. Średniego wzrostu, szczupły, ubrany w zakładaną przez głowę, białą koszulę i luźne białe spodnie. Nie jest tak opalony i spieczony słońcem jak jego wyznawcy, co oznacza, że większość czasu spędza pod dachem, a nie pracując w polu. Długie włosy opadają mu na ramiona. Wyraźne zmierza ku wizerunkowi znanego z kościołów i popularnych malowideł, co na pewno działa na jego korzyść.

– Hej, to Jezus – mówię. – Jestem w niebie?

Calebowi wcale nie jest do śmiechu. Unosi paralizator, ale fałszywy Jezus kładzie mu dłoń na ramieniu i kręci głową. Uśmiecha się.

– Niech sobie żartuje – mówi. – Bracie Samie, owszem, Jezus jest tutaj. Nie we mnie, nie jestem aż tak arogancki, by tak uważać. Jest w każdym z nas. Nawet w tobie. – Nie przestaje się uśmiechać, co sprawia, że czuję się nieswojo. – Jestem Ojciec Tom. Wiem, że w tej chwili źle o nas myślisz, ale niebawem ujrzysz prawdę. Każdy w końcu ją dostrzega.

Sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie, w tych spokojnych oczach szaleńca nie ma ani grama zwątpienia. Nie odpowiadam, bo nie zyskam nic, jeśli będę zadzierał nosa. Najlepszą strategią w tym momencie jest udawanie spokojnego, okazywanie słabości i bólu oraz niedawanie im niczego. Nie wiem, czy jestem dla nich cenny, czy jestem czymś więcej niż zabezpieczeniem dla Connora. Ale nawet to wystarczy. Mogę to wykorzystać, by pozostać przy życiu we względnie dobrym stanie.

Nigdy się nie zgadzaj. Nigdy nie przyznawaj racji. Nigdy nie pytaj. Nigdy nie wykonuj jakichkolwiek gestów. Nawet zwykłe „tak” jest hakiem, który mogą w ciebie wbić, pęknięciem w pancerzu, i może zostać wykorzystane na wiele niebezpiecznych sposobów. Kiedy wbiją dosyć takich haków, zaciągną cię wszędzie tam, gdzie zechcą.

Bądź uważny i neutralny, zawsze przyjmuj posiłki i napoje, ale nigdy nie proś o nie. Dość szybko przypominam sobie elementy szkolenia.

Opuszczam wzrok i milczę.

Rozwiązują mnie, szukając jakichkolwiek oznak oporu, ale nie znajdują żadnych. Idę w ciszy, dzwoniąc obręczami na kostkach jak więzień prowadzony do celi. Jednocześnie staram się jak najwięcej obserwować – liczne budynki, pola w oddali, pojazdy, stodoły. Otwarty centralny plac. Dużo ludzi chodzących w różnych kierunkach.

Kościół ulokowany dumnie w pobliżu samego centrum kompleksu.

Wypatruję Connora i udaje mi się go znaleźć. Zdejmują mu obręcze z kostek, co jest dobrym znakiem. To oznacza, że będzie mógł biec, jeśli okaże się to konieczne. Niestety, oznacza to również, że chcą wywołać w nim poczucie wdzięczności. Odczekają cierpliwie na właściwy moment, po czym zrobią mu kolejną przysługę, zdejmując kajdanki. Drobnie wyrazy dobroci. Być może połączone z bólem, a może nie. W jego wieku miłość działa lepiej niż tortury.

I to jest właśnie słabością Connora. Jak sucha gąbka wody potrzebuje on miłości, szczególnie męskiej. Jeśli dostrzegą jego słabe punkty – a zrobią to z pewnością, są w tym specjalistami – znajdą sposób, by do niego dotrzeć. Dobrzy manipulatorzy z sekty robią coś takiego w co najwyżej kilka tygodni. I to w przypadku osób dorosłych.

Muszę być w stałej gotowości, by walczyć o nas dwóch.

Zaczyna się zgodnie z oczekiwaniami. Podczas gdy Connor jest dobrze traktowany, ja dostaję z pięści w brzuch. To oczywiście sprawka Caleba, który dopiął swego, kiedy tylko Jezus/Ojciec Tom odwrócił się do nas tyłem i odszedł, pozornie sprawiając wrażenie nieświadomego, co dzieje się za jego plecami. Widzi to natomiast Connor, ale taki był ich cel. To dla niego podwójna zachęta: współpracuj z nami, a potraktujemy cię dobrze. Stawiają go w takiej sytuacji, by prosił o lepsze traktowanie mnie, co z psychologicznego punktu widzenia czyni go ich dłużnikiem. Ale on tego nie rozumie. Ogarnia mnie wściekłość na myśl, że jestem dźwignią, którą będą pociągać, żeby wyrzucić na niego wpływ.

Nasze spojrzenia krzyżują się na krótką chwilę i zaraz się uśmiecham. Pokazuję mu wystawiony kciuk, żeby wiedział, że nic mi nie jest, że nie musi się martwić. To wszystko, co mogę dla niego zrobić, zanim zostaję odciągnięty w innym kierunku. Wloką mnie tak szybko, że moje skute nogi nie nadążają. Mimo to odwracam głowę

i widzę, jak patrzy z niepokojem w moim kierunku. Staram się włożyć w to spojrzenie wszystko, co możliwe, a przede wszystkim miłość. I odrobinę hardości. Mam nadzieję, że to dostrzegł, choć nie jestem tego pewien.

Po chwili jesteśmy za narożnikiem niskiego, betonowego budynku, na końcu którego znajduje się metalowa szopa.

Wrzucają mnie do zimnego, ciasnego i mrocznego wnętrza i tak pozostawiają.

Krok pierwszy: pozbawienie wolności i stres.

Nie mogę się wyciągnąć, a muszę jakoś się ułożyć między zimnymi, metalowymi ścianami i klepiskiem. O kocu mogę oczywiście tylko pomarzyć. Wody też mi nie dali. Nie ma nawet żadnego wiadra, do którego mógłbym się wysikać. Nie zapewnili mi żadnej toalety, więc muszę ją sobie sam zrobić. Kopię w ziemi, aż udaje mi się wydrapać dziurę w narożniku. Na razie powinna wystarczyć. Ta ciężka i nieprzyjemna praca pozwala mi się również zorientować, że ściany mają fundament wchodzący na niecałe dziesięć centymetrów pod ziemię, ale ten rozciąga się pewnie na przynajmniej metr. Kopanie wchodzi w grę, ale wymaga czasu, a wykopanej ziemi nie ma jak ukryć przed wzrokiem każdego, kto tutaj zajrzy. Jest to więc raczej kiepskie rozwiązanie.

Korzystam z dziury zgodnie z przeznaczeniem i próbuję się rozciągnąć i odpocząć. Jest mi zimno, chce mi się pić, ale wiem, że odmówią mi wody, dopóki czegoś nie dostaną, niezależnie od tego, co miałyby to być.

Zabrali moją komórkę, nie są aż tak bezmyślni. Zapewne zostawili ją na poboczu drogi gdzieś daleko stąd albo – jeśli są naprawdę sprytni – wysłali w drogę w zupełnie przeciwnym kierunku. Nie mam żadnej broni. Pozbawili mnie również butów i koszuli. Spodnie będą następne. Każdy jeniec w podobnych okolicznościach kończy nago.

Zwijam się w kulkę, starając się zachować resztki ciepła, i drzę, aż w końcu udaje mi się zasnąć.

Budzi mnie śpiew i przez chwilę, zupełnie zdezorientowany, odnoszę wrażenie, że słyszę chóry anielskie. To jest *piękne*. Siadam i nasłuchuję, zamykając oczy. Lepiej jest kontrolować ciemność niż być nią zaskakiwanym. Słyszę, jak śpiewają pieśń, której damskie głosy dodają radosnego tonu. Przez chwilę się czuję, jakbym siedział na słońcu.

Kiedy pieśń się kończy i wracają cisza, mrok i chłód, odnoszę wrażenie, że minęła cała wieczność. Muszę się dostać do Connora. Wiem także, że jest to słabość, którą wykorzystają przeciwko mnie.

Staram się nie myśleć o Gwen, o tym, co mogło się przydarzyć jej i Lanny, kiedy tamci pozbawili mnie przytomności. *Nic jej nie jest. Te dupki nie zdołają jej powstrzymać. Już ona o to zadba. Jeśli zajdzie taka konieczność, skieruje ku nam całą armię.*

Te myśli przynoszą mi chwilową ulgę i pozwalają zasnąć. Śni mi się, że wpadam do czarnej dziury, tak głębokiej, że pochłania mnie w całości, ale wtedy chwytają mnie ramiona Gwen, czuję jej siłę i słyszę, jak do mnie mówi.

To dobry początek, by przetrwać.

Rozdział 19

Lanny

Nie wiem, dlaczego to wszystko mnie nie przytłacza, do momentu, kiedy jestem sama w pokoju w domu Belldene'ów. Mam na sobie czyjaś koszulę nocną, bo zapomniałam zabrać piżamę z domu. Leżę na łóżku, które wydaje się ukształtowane pod ciało innej osoby. Czyste pościele, poduszki, a jednak w pokoju nie pachnie dobrze, na ścianach nie wiszą *moje* plakaty, a na półkach nie stoją *moje* książki.

Dopiero z czasem uświadamiam sobie, że mój brat naprawdę znikł. Zabrali go, podczas gdy ja tkwiłam przerażona za sofą i nie zrobiłam nic, żeby ich powstrzymać. Tak bardzo mi wstyd. Zawsze uważałam, że będę walczyć, niezależnie od okoliczności. Niejednokrotnie zapewniałam Connora, że będę go chronić, jeśli coś się wydarzy.

Ale nie obroniłam go. Pozwoliłam, by tak się to potoczyło. Do tego mama została ranna, a Sam...

Przyciskam twarz do poduszki. Moja skóra jest gorąca i naprężona, a łzy wypływają z moich oczu, które zmieniły się w gejzery żalu. Zwijam się w kulkę w miękkiej pościeli, która pachnie

obcym płynem do zmiękczenia tkanin, i przywołuję twarz brata, jej wygląd, kiedy bardzo się boi. Wcześniej byłam jego strażniczką, chroniłam go.

Teraz jest jednak sam i ta myśl doprowadza mnie do rozpacz. Nie znoszę poczucia porażki, a najgorsze jest to, że winię za nią mamę. To wszystko z jej powodu, z powodu jej pracy. Uważałam ją za fajną i interesującą, ale przez nią ci ludzie przyszli do naszego domu i nie wyniknęło z tego nic dobrego.

Słyszę odgłos otwieranych drzwi i siadam gwałtownie na łóżku. Wiedziałybym, po co sięgnąć w moim pokoju, ale tutaj rozglądam się tylko bezradnie. Mogę bronić się tylko poduszką.

Wtedy jednak rozpoznaję Vee w idiotycznej koszuli nocnej, którą uszyto chyba dla dwunastolatki. Przykłada palec do ust, zamyka za sobą drzwi, podchodzi do łóżka i siada na jego skraju. Przyciskam do siebie poduszkę, a ona obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Poduszka zostaje ściśnięta między nami, więc w końcu ją odrzucam.

Palce Vee ścierają łzy z moich policzków. Delikatne pociągnięcia opuszkami po mojej twarzy.

– Hej – mówi. – Nie smuć się. Wszystko się ułoży.

– Nie, nie ułoży się – odpowiadam, brzmiąc jak zapłakany uparciuch. – Sama zobacz, jesteśmy w domu jakiegoś dealera narkotyków, mój brat zaginął, a nas próbuje dopaść jakaś sekta. Nie, nic się nie ułoży, Vee!

Vee nie odpowiada. Trzyma mnie tylko, a kiedy w końcu się uwalniam, opadam z powrotem na łóżko i zwijam się w ciasną kulkę nieszczęścia. Patrę na zegar – stary, ze wskazówkami, zapewne w ogóle pozbawiony budzika – i zastanawiam się, gdzie jest teraz Connor. Jak bardzo się boi. I co możemy w tej sprawie zrobić.

Vee uklada się przy mnie i szepcze coś, czego tak naprawdę nie słyszę, jednak kojące ciepło jej skóry sprawia, że przestaję płakać i powoli odpływam.

Budzę się niespiesznie w reakcji na zapach jedzenia, ale kiedy się odwracam, jestem sama. Vee wyszła. Przez kilka słodkich chwil myślę, że jestem w domu, ale wtedy skupiam wzrok na tym głupim zegarze. Dochodzi siódma. Siadam i wszystko sobie przypominam.

Boli mnie tak bardzo, że ledwie mogę złapać oddech.

Wysuwam się z łóżka i zamykam drzwi na klucz, żeby zdjąć koszulę i założyć świeże ciuchy wyjęte z plecaka. W ciągu dwóch minut znów jestem spakowana i przemykam do łazienki na korytarzu. Tam również załatwiam wszystko pośpiesznie.

Kiedy otwieram drzwi, zauważam dziewczynę, która stoi oparta o ścianę. Jest szczupła, wysoka, ma opaloną, lekko piegowatą twarz i długie, kręcone, czarne włosy. Nie uśmiecha się.

– Śniadanie – rzuca i odwraca się, by odejść. Ma na sobie dzinsy i tak spraną koszulkę, że nie potrafię odczytać, co jest na niej napisane. Oddala się szybkim krokiem. Przyspieszam za nią, zarzucając plecak do tyłu.

– Kim jesteś? – pytam.

– Florida – odpowiada. – Ty jesteś Lanny. – Jej akcent jest zupełnie sprzeczny z moimi oczekiwaniami. Z pewnością nie jest z Tennessee. Wtedy to do mnie dociera.

– Jesteś Brytyjką?

Docieramy już do wylotu korytarza, gdzie napotykamy wysokiego, młodego mężczyznę, za którym jechaliśmy samochodem.

– Ona nie jest Brytyjką – informuje mnie. – Po prostu ogląda za dużo PBS.

– Zamknij się, Jesse! – woła za nim Florida, której akcent znów wrócił na właściwe tory. – Nie pozwalasz mi się nawet zabawić!

W kuchni spotykam Lilah Belldene. Wyciąga na blat wielki talerz bekonu, któremu towarzyszy oszałamiająca ilość jaj, tostów, wędlin, a do tego kilka dzbanków z kawą.

Vee i mama już tam siedzą. Są ubrane i czekają.

– Mam wyjąć talerze, mamó? – pyta Florida.

Lilah klepie ją w dłoń, kiedy po nie sięga.

– One nie zostają na śniadanie.

Szkoda. Burczy mi w brzuchu, ale mama odwraca się i rusza w stronę drzwi wejściowych. Idziemy za nią z Vee i po chwili wychodzimy na chłodne, poranne powietrze. Jest mgliście i szaro, a słońce świeci blado na wschodzie, nieśmiało wysuwając się zza wzgórza. Z różnych budynków okalających kompleks wychodzi cała drużyna piłkarska Belldene'ów, którzy zmierzają w stronę głównego domu.

Wsiadamy do SUV-a i jedziemy w kierunku bramy, gdzie jeden z nich otwiera ją dla nas. Rozpoznaję go. To ten z Killing Rock. Na jego widok zapadam się głębiej w siedzenie. Przypominam sobie, jak znalazłam Candy, a te wspomnienia wcale nie są przyjemne.

Vee opuszcza szybę i mówi:

– Hej, Olly. Wyszedłeś.

– Tak – odpowiada i zerka na mnie. – Dzięki za to, dziewczyno. – Rzuca mi uśmiech, który jego zdaniem jest czarujący. Powstrzymuję chęć pokazania mu palca.

– Jasne – odpowiadam. – Spoko.

– Do następnego! – woła Vee, kiedy mama wciska gaz i przyspiesza. Vee opada na siedzenie i odwraca się do mamy. – Dokąd jedziemy?

– Do Knoxville.

Podrywam głowę.

– A co z Connorem? I Samem? Nie jedziemy po nich?

– Oczywiście, że tak. Ale potrzebuję wsparcia, dlatego muszę znaleźć Carol. Tylko ona wie, gdzie dokładnie znajduje się ich siedziba i jaki opór możemy napotkać, kiedy tam dotrzemy.

– Ale jak zamierzasz znaleźć...

– Lanny. – Wyciąga rękę i dotyka mojej. Jej uchwyt jest silny, ale palce są chłodne. – Zaufaj mi. Znajdę ją.

Przytrzymuję jej dłoń.
Staram się jej uwierzyć.

Rozdział 20

Connor

Kiedy widzę, jak biją Sama, uświadamiam sobie, że Caleb robi to specjalnie, na pokaz. Prawie by mu się udało, jednak pomaga mi spojrzenie Sama, którym przekazuje mi, że muszę być silny. Nie jestem silny. Czuję, że rozpadam się w szwach. Kiedy obserwuję, jak prowadzą go do niskiego, betonowego budynku przypominającego więzienie, w moim kierunku rusza facet ubrany na biało.

To dziwne. *Czuję* go, kiedy się zbliża, jakby był czymś ciepłym. Słońcem albo czymś podobnym. W jego obecności czuję się... bezpiecznie. Wiem, że nie powinienem, absolutnie nie powinienem. Pamiętam to uczucie, bo tak właśnie się czułem, kiedy mój ojciec – Melvin Royal – mówił do mnie przez telefon.

Przez cały ten czas tata mnie okłamywał, planował porwanie mnie i wykorzystanie przeciwko mamie. Wtedy też się tak czułem.

Bezpieczny.

Niektórzy ludzie mają pewnie taki talent, ale teraz już wiem, jak groźne jest obdarzenie ich zaufaniem, nawet przez chwilę.

– Connor – mówi mężczyzna takim tonem, jakby znał mnie przez całe życie. – Jestem Ojciec Tom. Wiem, że martwisz się i boisz, ale

nie masz ku temu powodów. Jesteśmy szczęśliwi, że do nas przybyłeś. Przedstawię cię członkom naszego Kościoła i pomogę się rozgościć. Nie jesteś tutaj więźniem. Jesteś gościem i – mam nadzieję – przyjacielem.

To brzmi głupio, jakby całe to porwanie w ogóle nie miało miejsca. Jakby mnie tutaj zaprosił. Klepie mnie w ramię. Zachowuje się tak, jakbym tu był na wagarach, zamiast przyłożyć mi nóż do gardła w oczekiwaniu na przybycie mojej mamy. Jakby Sam w ogóle nie został wtrącony do tej celi.

Muszę pamiętać, co jest prawdą, a co nie. Przebywanie w pobliżu tego człowieka zagina rzeczywistość. *Szkoda, że ja tak nie potrafię.* Gdybym potrafił, stałbym się większy, silniejszy i nikt by ze mną nie zadarł. Sam byłby wolny i wrócilibyśmy do domu.

Ojciec Tom wciąż mówi, kierując mnie podczas powolnego spaceru w stronę dużego głównego budynku. Wygląda jak kościół, ale nie ma ani krzyża, ani dzwonu, a okna są zrobione ze zwykłego szkła. Nie jestem pewny, czy powinienem tam iść.

Może spróbować uciec? Walczyć? Ale nie ma dokąd uciec. Brama jest zamknięta, a obok niej stoją wielcy faceci z bronią. Mur jest całkiem wysoki, a na górze biegnie drut. Mama nauczyła mnie zwracać uwagę na takie detale, myśleć, zanim cokolwiek zrobię. *Uciekaj, jeśli możesz. Zaczekaj, jeśli musisz. Rób, co należy, aby przetrwać.* To wszystko dotyczyło ludzi, którzy mogli do nas przyjść w związku z tym, co robił tata, ale w tym wypadku również znajduje zastosowanie.

Teraz staram się przekonać Ojca Toma, że go uważnie słucham. To nic trudnego, i tak uważa się za mądrzejszego od wszystkich innych. Jeśli będę się po prostu zgadzał, zaczną mi ufać.

Zadziwia mnie mój własny spokój. Pamiętam, jaki bezradny i uwięziony się czułem w klasie, kiedy z głośników huczały strzały, wszyscy krzyczeli, a ja mogłem tylko próbować się ukryć. Tutaj też

jestem uwięziony i bezradny, a jednak potrafię trzeźwo myśleć. Jest po prostu inaczej.

Niewiele wypowiedziałem słów do Ojca Toma, ale chyba go to nie obchodzi. Może uważa to za coś normalnego. Prowadzi mnie na schody przed budynkiem – zapewne kościołem – a w środku widzę ludzi, którzy stoją po dwóch stronach wąskiego dywanu biegnącego przez środek. Ustawieni są w równych rzędach i dopiero po krótkiej chwili zauważam, że mężczyźni znajdują się po lewej stronie, a po prawej kobiety ze złożonymi rękami i pochylonymi głowami. Widzę też kilkoro dzieci, ale wydają się równie ciche i poważne jak dorośli. Nawet te najmłodsze, które nie mają jeszcze trzech lat. Wszyscy odwracają głowy w naszą stronę, a mężczyźni mówią jednym głosem:

– Witaj, bracie.

Z początku wydaje mi się, że zwracają się w ten sposób do Ojca Toma, ale nie – patrzą na mnie. Uśmiechają się. Kiwiają z uznaniem głowami. Kobiety i dzieci milczą, wbijając wzrok w podłogę. Przypominam sobie kobiety patrzące na swoje stopy w tamtej piwnicy w Wolfhunter. Tak właśnie stały – wyprostowane, nieruchome, z opuszczonymi głowami i złożonymi dłońmi. Jak laleczki oczekujące na rozkazy.

Robi mi się niedobrze.

Ojciec Tom wiezie mnie przez całą długość kościoła – uznaję w końcu, że to z pewnością kościół – w stronę drewnianego podwyższenia na końcu, na którym stoi duży skórzany fotel. Wygląda to dziwnie. Spodziewałem się raczej jakiegoś podium albo ołtarza, jak w prawdziwym kościele. A to przypomina bardziej... scenę.

Ojciec Tom prowadzi mnie na wolne miejsce w przednim rzędzie, tuż obok dywanu.

– Bracia pozostawili dla ciebie miejsce – mówi. Wyraźnie oczekuje, że się tam ustawię. Nie wiem, co się wydarzy, jeśli tego

nie zrobię, więc próbuję się przekonać. Stoję po prostu na dywanie, jakbym był zbyt głupi, by pojąć, co się do mnie mówi. Wciąż wygląda przyjaźnie, kiedy dodaje: – Connorze, czy mógłbyś zająć swoje miejsce? Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Nie mówię ani słowa, ale przesuwam się we wskazane miejsce. Dostrzegam lekki grymas w jego uśmiechu. Uważa zapewne, że mnie zdobył, bo wykonałem jego polecenie, a ja zrobiłem to tylko po to, żeby się przekonać, jak się zachowa. I dlatego, że nie mogę pomóc w tej chwili Samowi, zamknętemu gdzieś na zewnątrz.

Ojciec Tom wchodzi na podwyższenie i siada na wielkim fotelu. Kiedy to robi, zgromadzeni znów się odzywają:

– Niech Bóg cię pobłogosławi, Ojczy.

– I was, bracia moi – odpowiada Tom. – Dziękuję za powitanie młodego brata Connora w naszych szeregach. Jest tutaj tylko gościem, ale jestem przekonany, że doceni wasze miłosierdzie wobec obcych. Z pewnością wszyscy się zastanawiacie, co się wydarzyło ostatniej nocy. Wiecie, że wyruszyliśmy na poszukiwania naszej siostry Carol, ale niestety demony na tym świecie są sprytne. Minęły trzy długie lata, a ona wciąż się przed nami ukrywa wraz z naszym cennym dzieckiem. Jednak z bożą pomocą i dzięki ciągłym modlitwom naszych świętych w końcu ich odnajdziemy. Już niedługo. – Uśmiecha się wprost do mnie, jakby skierował na mnie krąg światła z reflektora. – Z pomocą Boga i brata Connora.

Mam ochotę krzyknąć, że nie jestem tu po to, by im pomagać, zostałem porwany. Ale coś każe mi milczeć. Lanny by tak nie postąpiła, ona kopałaby i wrzeszczała, być może słusznie. Ja jednak chcę się przekonać, co ten człowiek planuje.

To musi mieć jakiś związek ze sprawą, nad którą pracowała mama, z tym zniknięciem młodego mężczyzny. Wspominała coś o kobiecie imieniem Carol.

Nie mów im niczego, mamo. Wiem, że wykorzystują mnie, żeby do niej dotrzeć. I to działa, bo jeśli moja mama ma jakikolwiek słaby

punkt, to jesteśmy nim ja i Lanny. Sam również, choć on stwierdziłby pewnie, że chodzi przede wszystkim o nas. Jestem tu po to, żeby mama wydała tę uciekinierkę.

– Bracia i siostry, pomodlimy się dziś o to po zakończeniu pracy. Teraz chciałbym, abyście zaopiekowali się bratem Connorem, sprawili, że poczuje się jak u siebie, okazali mu dużo dobroci. Wieczorem zorganizujemy kolację, siostrzo Harmony. Prawdziwą ucztę, którą powitamy go w Bitter Falls.

Wysoka blondynka stojąca po przeciwnej stronie unosi głowę i potakuje, choć nie mówi ani słowa. Jest chyba w wieku mamy, może nieco młodsza. Zakładam, że zajmuje się posiłkami albo czymś z nimi związanym. Mój żołądek reaguje natychmiast, jak na zawołanie. Nie wiem, jak to możliwe, że jestem głodny w takich okolicznościach, ale nic na to nie poradzę. Może nie powinienem jeść tutaj niczego? Przypomina mi się jakaś grecka opowieść o tym, że kiedy zje się i wypije w zaświatach, to się już stamtąd nie wraca.

Ojciec Tom kontynuuje przemowę, ale to same biblijne wersety i ich objaśnienia, więc nie skupiam się na tym zbyt. Tego, co o nich mówi, nie uczyłem się w szkółce niedzielnej. Ma spokojny, niski głos, który unosi się i opada, jakby śpiewał. To dość relaksujące i słuchając tego tembru, wpadam w swego rodzaju trans.

Wtedy następuje koniec.

Jestem nieco zaskoczony, kiedy ludzie zaczynają się przemieszczać. Kobiety i dzieci kierują się wprost do wyjścia w jednej linii, a mężczyźni stoją i czekają. Ojciec Tom siedzi w swoim fotelu i rozmawia z facetem, który prowadził kampera. To nie ten, który poraził Sama prądem. Skupiam na nich całą swoją uwagę, więc podskakuję lekko, kiedy ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Podnoszę głowę. To jeden z tych, którzy stali obok mnie.

– Dobrze, że tu z nami jesteś, bracie Connorze – mówi i potrząsa moją dłoń. Klepie mnie w ramię, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Zanim udaje mi się otworzyć usta, żeby powiedzieć mu, że nimi nie

jesteśmy, jego miejsce zajmuje inny, niższy mężczyzna, który dodaje:

– Witaj, jesteś tutaj bezpieczny.

Po chwili podchodzą do mnie kolejni, uśmiechając się i ściskając mi dłoń.

– Chwalić Boga najwyższego za twoje odwiedziny – mówi następny, jakbym miał jakikolwiek wybór. Wiem, że to wszystko zostało ukartowane, że wykonują tylko rozkazy, żebym poczuł się tutaj jak gość. Przyjmują fałszywą rzeczywistość Ojca Toma bez żadnego pytania. Zazwyczaj wiem, kiedy ktoś mówi do mnie coś dla samego mówienia, jednak każdy z tych mężczyzn wygląda na naprawdę zadowolonego z mojej obecności w tym miejscu.

– Chciałbym odejść – mówię niepewnie do jednego z nich, ale ten tylko się uśmiecha, poklepuje mnie i robi miejsce następnemu.

Powitany przez mniej więcej dziesięciu, zaczynam tracić rachubę. Każdy mówi coś innego, ale łączy ich jedno: wszyscy się uśmiechają i wyglądają na szczęśliwych. No i każdy kładzie mi dłoń na ramieniu.

Po pewnym czasie naprawdę trudno jest nie odpowiadać im uśmiechem. Nie chcę się uśmiechać, ale kiedy ludzie to robią, kiedy patrzą na ciebie z taką błogością... to naprawdę dziwne. Jakaś część ciebie zaczyna wierzyć, że także powinna być szczęśliwa.

Nie podoba mi się, że mam ochotę się uśmiechać.

Zauważam spojrzenie jednej z młodych dziewczyn – mniej więcej w moim wieku – która opuszcza kościół. Jest ładna, ciemnowłosa, trochę niższa ode mnie. Obserwuję ją, podczas gdy kolejny mężczyzna zapewnia mnie o swoim szczęściu z mojego powodu. Dziewczyna zamyka kolejkę kobiet wychodzących na zewnątrz.

Odwraca głowę i znów na mnie patrzy. Zastanawiam się, czy chce mi coś powiedzieć. Może chce mi pomóc? Może zdołam tu znaleźć prawdziwą przyjaciółkę, która pomoże mi uwolnić Sama?

Niemal słyszę kpiący śmiech mojej siostry. *Chcesz myśleć w taki sposób, bo ci się podoba.*

Kiedy dziewczyna wychodzi, kościół zaczynają opuszczać również mężczyźni. Kiedy ostatni ze zgromadzonych potrząsa moją dłoń, jestem już naprawdę wyczerpany tymi powitaniem. Nie zauważyłem wychodzącego Ojca Toma, ale fotel stoi już pusty. Nie wiem, dokąd pójść, więc podążam za innymi.

Dziewczyna stoi przy schodach kościoła i rozmawia ze starszą kobietą. Rzuci mi kolejne spojrzenie i się uśmiecha. Przelotnie, ale mam wrażenie, jakby ze świata wyssano całe powietrze. Chyba czerwieni mi się uszy. Skóra robi się na przemian zimna i gorąca i niemal potykam się na stopniach.

To wszystko przez ten uśmiech.

– Cześć? – rzucam pytająco.

– Witaj, bracie Connorze – odpowiada. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zwrócił się do mnie w taki sposób. – Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że tu do nas dołączyłeś. – Wykonuje lekkie dygnięcie w starym stylu. Nie wyciąga do mnie dłoni i nie wiem za bardzo, co zrobić z moimi, więc wciskam je w kieszenie i kiwam głową.

Starsza kobieta się oddala.

– Dzięki – odpowiadam. – Jak masz na imię?

– Aria. – Chyba nigdy nie słyszałem takiego imienia i uznaję je za piękne.

– Aria i co dalej?

Uśmiecha się tylko.

– Chętnie cię oprowadzę. Mogę zwracać się do ciebie Connor?

– Ech, jasne. Chciałbym porozmawiać z tatą. Z Samem.

Nie przestaje się uśmiechać.

– Oczywiście, zapytam, czy to możliwe. Ale on nie jest twoim prawdziwym ojcem, prawda? – Nie podoba mi się to i chyba to

zauważyła, bo natychmiast się wycofuje. – Wybacz. To było niegrzeczne. Nie powinnam była tak powiedzieć.

Teraz to ja czuję się nieswojo.

– Nie, w porządku. Masz rację. Po prostu... nie lubię rozmawiać o moim prawdziwym ojcu.

– Och, rozumiem. Tak mi przykro, Connorze. Cóż, najlepiej będzie, jeśli w pierwszej kolejności zaprowadzę cię nad wodospad, to najpiękniejsze z miejsc, a potem...

– Aria! – rozlega się czyjś ostry głos. Podnoszę głowę. To siostra Harmony, do której wcześniej zwrócił się Ojciec Tom. Sprawia wrażenie wkurzonej. – Wracaj do pracy. Natychmiast!

– Ale ja tylko robiłam to, co nakazał Ojciec Tom...

– Już! – warczy siostra Harmony. Aria zasysa powietrze i oddala się szybkim krokiem z pochyloną głową i falującymi długimi włosami. Ma na sobie długą niebieską spódnicę, która ledwie odslania buty, i nieco jaśniejszą koszulę. Przypomina malowidło w muzeum – jest piękna i wygląda jak ktoś, kto żył sto lat temu. Zaciska dłonie w pięści, zmierzając w kierunku pól.

Siostra Harmony przenosi na mnie spojrzenie, ale w przeciwieństwie do wszystkich innych, nie uśmiecha się wcale. Usta ma zaciśnięte w cienką linię.

– Pokażę ci twój pokój, bracie Connorze – mówi i po raz pierwszy słyszę ton, który nie jest miły. Ona mnie tutaj nie chce. Nie emanuje tym powitalnym ciepłem, jak inni. Kładzie mi dłoń na ramieniu. – Wybacz siostrze Arii, jest młoda i nie rozumie, jak niestosowne jest jej zachowanie. Tędy.

Po całym tym udawanym braterstwie to wszystko wydaje się nagle realne. Jakby w twarz powiało mi świeże powietrze. Chyba tego było mi trzeba. Nie zapomniałem oczywiście, że zostałem porwany i sprowadzony tu siłą, że mama walczy o mnie i o Sama. Po prostu sporo się wydarzyło. Teraz, kiedy poczułem tę świeżość

i przejrzystość myśli, uświadamiam sobie, że wszystko, co się stało w tym kościele, miało sprawić, że poczuję się ważny. Nawet Aria.

Nakazano jej, żeby była dla mnie miła.

Jeśli to samo polecono siostrze Harmony, to wyraźnie postanowiła to zignorować, za co jestem wdzięczny. Przez to monotonne gadanie Ojca Toma na kazaniu, świergot witających mnie mężczyzn i flirt Arii, dałem się nieco wytrącić z równowagi.

Siostra Harmony prowadzi mnie do budynku pełniącego funkcję kuchni. W środku są same kobiety. Kroją warzywa, pracują przy wielkich, przemysłowych piecach, mieszają w garnkach i dodają składniki. Dwie formują chleb. Pachnie wspaniale i ślina napływa mi do ust tak mocno, że muszę ją przełknąć.

W rogu stoi nieduży stolik, przy którym każe mi usiąść.

– Przyniosę ci coś do jedzenia – mówi i oddala się o krok, ale znów się odwraca. – Wiem, że się zastanawiasz, jak stąd uciec. Ale ostrzegam cię, Connorze: nie próbuj. Oni cię obserwują. Złamiesz zasady, a zapłaci za to człowiek, którego tu z tobą przywieźli. Rozumiesz?

Kiwam głową. Powiedziała to bardzo cicho, aby nikt nie usłyszał jej słów w panującym wokół zamieszaniu. Wciąż zaciska usta i patrzy na mnie pociemniałymi oczami. Zastanawiam się, skąd się tutaj wzięła. Jednak ta krótka chwila połączenia się kończy, siostra Harmony sztywnieje i odchodzi. Pozostałe kobiety pozdrawiają ją skinieniem głów, ale nikt się nie uśmiecha. Ona tutaj rządzi i nie ma zbyt wielu przyjaciółek.

Zastanawiam się, czy to dalszy ciąg gry, którą prowadzi Ojciec Tom. Czy jej zadaniem jest mnie zmartwić, jeśli chodzi o Sama? Czy dzięki temu mam grać według ich zasad? Nie jestem pewny, ale może o to jej chodzi. A może tak jak Aria, została wysłana po to, żeby wykonywać polecenia Ojca Toma.

Muszę się dostać do Sama. Kiedy się dowiem, gdzie go trzymają, może uda mi się ukraść klucze i go wypuścić. Zamykam oczy i myślę

o tym przez chwilę, o pokonaniu ogrodzenia, o tym, jak cudownie byłoby znów wrócić do mamy i Lanny. Dzięki temu nie zapominam, że to miejsce nie jest prawdziwe. To wszystko jest sztuczne, udawane.

Mniej więcej dwudziestoletnia nieśmiała kobieta o pyzatej twarzy przynosi mi talerz zupy i trochę chleba. Znów się zastanawiam, czy powinienem jeść. Jestem bardzo głodny, ale nie ufam im za grosz.

Kobieta natychmiast zauważa moje wahanie. Odchodzi na moment i wraca z łyżką, którą nabiera sobie mojej zupy. Zagryza ją kawałkiem chleba. Przełyka i uśmiecha się szeroko.

– Widzisz? Nic ci nie grozi. Nie zrobilibyśmy ci żadnej krzywdy, bracie.

Mimo to odsuwam talerz.

– Nie jestem aż tak głodny – odpowiadam, ale odgryzam kawałek chleba. Jest pyszny.

– No cóż, rozumiem, nie jesteś głodny. Możesz przyjść później, kiedy zgłodniejesz. Po prostu zapytaj o mnie. Siostra Lyrica.

Kiedy zabiera talerz, od razu żałuję swojego wyboru, ale zjadam chleb do końca. Nie ma w nim zapewne żadnych narkotyków, skoro połknęła kęs, tak przynajmniej sobie to tłumaczę, nie potrafiąc się powstrzymać. Siostra Lyrica przynosi mi butelkę oryginalnie zamkniętej wody, którą otwieram i wypijam.

– Ten chleb jest naprawdę dobry – mówię, przełykając ostatni kęs. – Czy siostra Harmony to wasza szefowa?

– To starsza żona – wyjaśnia Lyrica i mruga do mnie. – Jest odpowiedzialna za wszystkie siostry. – Najwyraźniej uznała, że to dziwne, że tego nie wiem. Ciekawe, czy kiedykolwiek opuściła te mury i widziała odrobinę prawdziwego świata.

– Starsza żona? – pytam. – To ile on ma żon?

Wydaje się nieco skonfundowana, jakby odpowiedź była bardzo oczywista.

– Wszystkie jesteśmy oblubienicami Ojca Toma, jak Bóg przykazał.

Harmony zauważa, że rozmawiamy. Podchodzi szybkim krokiem, szeleszcząc długą spódnicą.

– Siostró Lyrico, proszę wracać do pracy. Nasz młody brat nie potrzebuje twojego towarzystwa.

Lyrica oddała się pospiesznie, zabierając pusty talerz po chlebie i butelkę. Wypiłem tylko trochę. Harmony patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, po czym się oddała. Dziwne. Nie przypomina mojej mamy, ale jednak czuję, jakby była tu obecna. Może przez to pochmurne spojrzenie. Nie odnoszę wrażenia, że jest zła *na mnie*. Po prostu jest wkurzona.

– Uważa pani, że to wszystko jest w porządku?

Odwraca się do mnie. Mówię przyciszonym głosem, tak samo jak ona, kiedy mnie ostrzegła.

– Że co jest w porządku?

– Jak on was wszystkie traktuje. – Rozglądam się po kuchni.

– Pan powiedział: *i żony niech będą poddane mężom swoim* – odpowiada. – A ja wykonuję polecenia Pana.

Owszem, ale wcale się to jej nie podoba. Widzę to doskonale. Ciekawe, czy Ojciec Tom też do dostrzegł... a jeśli tak, to dlaczego powierzył jej takie stanowisko?

Wtedy przypominam sobie słowa Lyriki: *jest odpowiedzialna za wszystkie siostry*.

Tak jak Sam jest odpowiedzialny za wszystko, co robię tutaj nie tak. Nadanie jej władzy oznacza, że ma współpracować albo innym kobietom stanie się krzywda.

Chleb był znakomity, ale nagle zaczyna mi ciążyć w żołądku, jakbym zjadł go w zaświatach i nie mógł stamtąd wyjść.

Pochyliła się, żeby usunąć okruchy ze stołu, a kiedy to robi, szepcze:

– Nie idź nad wodospad, bez względu na wszystko. – Prostuje się. – A teraz chodź za mną. Pokażę ci, gdzie możesz się wyspać.

– Chcę zobaczyć się z Samem.

– Tam nie wolno nam wchodzić.

Nie zamierza ze mną dyskutować. Wrzuca po prostu okruchy do kubła i patrzy na mnie z oczekiwaniem. Muszę zdecydować, czy powinienem za nią pójść. Znów sobie przypominam, co powiedziała Lyrica. Jeśli Harmony odpowiada za te kobiety, to zapewne również za mnie, ich *gościa*, kiedy jej towarzyszę. Jeśli nie wykonam polecenia, zostanie ukarana wraz z Samem.

Nie mogę ryzykować.

Idę za nią.

Rozdział 21

Gwen

Ścisk, który czuję w żołądku, sprawia, że mam ochotę krzyczeć. Po chwili przenosi się na płuca i serce, i choć oddycham głęboko, nie ustępuje. Kiedy opuszczam moich dziwnych, tymczasowych sojuszników, mam wrażenie, że zostałam rozebrana do naga. Potrzebujemy prawdziwej pomocy, prawdziwych możliwości.

J.B. może nam to zapewnić.

Oddaliśmy się od terenu należącego do Belldene'ów, podskakując na wyboistej, wąskiej drodze prowadzącej do lasu. Chłopaki Belldene'a otworzyli nam bramę i zaraz zamknęli ją za nami. W końcu docieramy do dwupasmowej asfaltowej szosy, która w porównaniu z tymi traktami jest prawdziwym śladem cywilizacji. Ich domostwa są tak oddalone, że ustawili sporo znaków ostrzegawczych dla wszystkich, którzy znajdą się w okolicy. Jeśli pojawi się policja, będą mieli mnóstwo czasu, żeby ukryć dowody.

Czuję się fatalnie ze świadomością, że jestem im cokolwiek winna.

Lanny do tej pory milczała, ale teraz się odzywa:

– Mamo, co będzie, jeśli Sam i Connor uciekną? Jeśli wrócą do domu, a nas tam nie będzie? – Czuję, jak całe moje ciało drży od emocji, bo sama myśl o ich powrocie jest wyjątkowa. I tak bardzo nierealna w tych okolicznościach.

– Jeśli wrócą, to się z nami skontaktują – odpowiadam. – Jeden z nich zadzwoni do nas albo na policję i od razu się o tym dowiemy. – Wyciągam telefon. – Zawsze mam go włączonego. – Wiem, że to ryzykowne. Porywacze mogli zachować telefon Sama, o ile nie wyrzucili go gdzieś zgodnie z sugestią Mike’a Lustiga. Jeśli tego nie zrobili, to dysponują potężnym narzędziem, by mnie namierzać. Sam ma aplikację, która umożliwia mu śledzenie mojej komórki. Przepływa przeze mnie kolejna mocna fala niepokoju. W normalnych okolicznościach pozbyłabym się tych telefonów i kupiła nowe.

Uświadamiam sobie, że jeśli mają jego telefon i jest on włączony, ja również będę mogła go namierzyć.

Sprawdzam.

Wyłączony.

Przypomina mi się matka Remy’ego Landry, która piekła ciasteczka dla nieobecnego syna, i robi mi się sucho w ustach, a na skórze pojawia się gęsia skórka. *Nie. Coś takiego się nie przydarzy. Nie nam.*

– Powinnyśmy pojechać do domu – mówi Lanny, choć nie wydaje się przekonana do tego pomysłu. Nasz dom został skażony przez ludzi, którzy się do niego włamali. Przez wyrwy po wystrzałach. Przez wspomnienia. Moja córka wyobraża sobie miejsce pozbawione tych skaz, a rzeczywistość okazałaby się zupełnie inna. Żadna z nas nie czułaby się tam teraz bezpiecznie.

– J.B. nam pomoże – odpowiadam. Modlę się, żebym miała rację, bo jeśli tej pomocy nie zdobędziemy, w następnej kolejności skontaktuję się z FBI. To spust, który bardzo boję się nacisnąć. Jeśli FBI oficjalnie zaangażuje się w sprawę, wszystko może potoczyć się

po mojej myśli... albo zupełnie na odwrót. Wystarczy przypomnieć sobie Ruby Ridge czy Waco[6].

Connor i Sam mogliby znaleźć się w zabójczym ogniu krzyżowym.

– A co, jeśli...

– Jeśli mogą się uwolnić, to się uwolnią. I niech Bóg ma w swojej opiece tych, którzy staną Samowi na drodze prowadzącej do Connora. – Staram się w to wierzyć. Staram się, by i ona w to uwierzyła. I chyba to działa, bo ten nieznośny ucisk powoli ustępuje, pozwalając mi normalnie zaczerpnąć powietrza. Zerkam na wskaźnik stanu paliwa. To częsty odruch, kiedy mieszka się na takim zadupiu. Mamy go sporo.

W tym samym momencie dociera do mnie, że choć mój SUV sporo pali, ten kamper musi palić znacznie więcej.

To oznacza, że wiem już, jak zawęzić nasz obszar poszukiwania. W pobliżu miejsca, w którym osiedliła się sekta, nie może być aż tak wiele stacji benzynowych.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję – mówię i po raz pierwszy naprawdę tak uważam. Lanny milczy, ale kiwa głową i zamyka oczy. Wygląda na wyczerpaną, biedne dziecko. Ja w ogóle nie odczuwam zmęczenia. Nie sędzę, bym była w stanie zasnąć, przynajmniej do chwili, kiedy odzyskam mojego syna i Sama.

Dzwonię do Kezii i opowiadam jej o mojej koncepcji ze stacjami benzynowymi. Chwali mnie i obiecuje zaraz się tym zająć, przekazując informacje do policji stanowej i Biura Śledczego w Tennessee. Modlę się, żeby to wszystko nie zakończyło się spektakularną katastrofą. Nie mogę już tego powstrzymać, ale mogę spróbować przygotować plany awaryjne.

Podróż do Knoxville ciągnie się przeraźliwie, a w mojej głowie bez przerwy przewijają się obrazy cierpień, którym mogą być poddawani moi chłopcy. Zaciskam mocno dłonie na kierownicy, żeby powstrzymać ich drżenie. Czuję ogromną ulgę, kiedy w końcu

zauważam w oddali biurowiec, parkuję i zabieram dziewczyny na górę. Korzystając z karty, otwieram solidne, gładkie drzwi i po chwili wchodzimy do otwartej przestrzeni biurowej. Stoi tam mnóstwo biurek, z których część zajęta jest przez ludzi pracujących na komputerach. W przypadku niektórych pracowników J.B. cała praca sprowadza się tylko do tego. Dla innych biurko jest jedynie miejscem służącym do pisania raportów i odbierania połączeń telefonicznych.

Ja nie mam nawet oficjalnie żadnego biurka. Kiedy tu przyjeżdżam, co nie zdarza się często, zajmuję jedno z tych, które są akurat wolne. Taką mam umowę z J.B.

Jej biuro znajduje się za szklaną taflą na tyłach. Żaluzje nie są opuszczone, więc szybko zauważa moje nadejście. Wychodzi nam na spotkanie i przytula mnie.

– Hej – mówi. – Jak się czujesz? – Odsuwa mnie delikatnie, żeby na mnie popatrzeć, i kręci głową, zanim udaje mi się skłamać. – Nieważne. Wiem, jak się czujesz. Cześć, Lanny. Rozpoznaję też oczywiście Vee Crockett. – Pamięta ją z Wolfhunter. Jej spojrzenie wyraźnie mówi, że powód przybycia Vee jest dla niej absolutnie niejasny, ale nie próbuję tego tłumaczyć. – Hej, dziewczyny. Proponuję, żebyście przekąsiły sobie coś słodkiego w pokoju socjalnym, a ja porozmawiam chwilę z Gwen.

Lanny waha się przez chwilę, ale kiedy kiwam głową, zabiera Vee i oddalają się we wskazanym przez J.B. kierunku. Wchodzę z szefową do jej biura i czekam, aż ta zasłoni żaluzje i usiądzie. Pochyla się nad biurkiem i splata dłonie.

– Chętnie bym zapytała, co w całym tym zamieszaniu robi Vee Crockett, ale teraz nie jest to zapewne takie istotne – mówi. – Potrzebujesz pomocy i zakładam, że nie chodzi ci o wsparcie moralne?

Przytakuję. Znowu wraca znajomy ucisk gdzieś w środku. Chcę być Gwen-twardzielką, kobietą, którą zatrudniła, która walczy

z każdym niezależnie od okoliczności... ale ja nie mam z kim walczyć. Zasysam powietrze i odpowiadam:

– Potrzebuję Carol.

J.B. tkwi w bezruchu.

– Po twoim wyjściu za kaucją przydzieliłam do tej sprawy Fareeda i Cicely.

– A jak sprawa?

– Zamknięto ją przed dwudziestoma minutami. Sprawdziłam. Nie jesteś już na wolności za kaucją. Jesteś wolną kobietą.

– Co za ulga – odpowiadam. – Fareed i Cicely? – Ci dwoje to najlepsi śledczy, którzy pracują dla J.B. Fareed jest absolutnym mistrzem, jeśli chodzi o każdy poziom dostępu do internetu. Potrafi znaleźć każdego, wszędzie i zawsze, o ile choć raz usiadł przed klawiaturą. A Cicely to prawdziwa smoczyca, którą J.B. przejęła od pewnego sądowego poręczyciela. Cicely jest *niebezpieczna* i bardzo kosztowna. – Dziękuję.

Macha tylko na to ręką.

– Fareed nie znalazł niczego, co by mnie specjalnie zaskoczyło, zważywszy na to, jak ostrożna jest ta kobieta. Ale Cicely ruszyła jak ogar spuszczonej ze smyczy. Uznała, że Carol nie skorzysta ponownie z transportu publicznego, nawet z autobusu, więc skierowała się najpierw do schronisk dla ofiar przemocy domowej. Carol ma widoczne siniaki, a oni nie zadają pytań.

– I?

J.B. uśmiecha się w taki sposób, że znów przypominam sobie, jak wygląda nadzieja.

– Znalazła ją. Cicely obserwuje to miejsce. Jak dotąd Carol nie próbowała opuścić schroniska. Zapewne czuje się tam bezpiecznie, a to schronisko należy do sieci, która umożliwia ciche i szybkie usunięcie jej z Knoxville, kiedy tylko tego zechce.

– Jesteś o tym przekonana?

– Mówimy o Cicely. Ona nigdy się nie myli. – J.B. unosi brwi. – Co chcesz zrobić? Proszę, nie mów tylko, że chcesz porwać Carol. Nie zamierzam aż tak ryzykować. A nie wydaje mi się, żeby tym razem zgodziła się oddać z tobą.

– Nie chcę tego próbować – odpowiadam. – Muszę tylko z nią porozmawiać. Ona może wskazać nam to miejsce i powiedzieć, czego możemy tam oczekiwać. Carol jest kluczem do odzyskania Connora i Sama. – Przez chwilę próbuję sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby Carol nie zechciała ze mną rozmawiać. Co by mi pozostało?

Mogłabym oczywiście założyć jej nadajnik, na przykład w zamku plecaka. Dzięki temu, jeśli wszystko inne zawiedzie, jeśli będę musiała wymienić ją na mojego syna...

Krzywię się. Nie mogę tego zrobić. Nie oddam Carol ludziom, których tak bardzo się boi, nawet po tym wszystkim, co mi wywinęła. Ona próbowała wtedy po prostu przetrwać. Chroniła własne dziecko.

Myśl, której do tej pory unikałam, teraz powraca i pytam J.B.:

– Czy ona jest tam w schronisku z dzieckiem?

Szefowa przechyla lekko głowę.

– Dlaczego pytasz?

– Bo mam powody sądzić, że kiedy uciekła z sekty, była w ciąży. Ci faceci, którzy przyjechali do mojego domu, szukali jej *oraz dziecka*. Jestem pewna, że chcą zamknąć jej usta, jeśli dysponuje informacjami, które mogłyby ich powiązać z porwaniem Remy'ego. Ale równie mocno chcą tego dziecka.

J.B. wzdycha i opuszcza wzrok.

– Cicely twierdzi, że jest z nią tam trzy- lub czteroletni chłopiec.

Carol musiała więc zabrać dziecko od kogoś, kto się nim tymczasem zajmował. Planuje wydostać się z miasta, kiedy tylko opadnie kurz. Schronisko nadaje się do tego celu wręcz idealnie.

– Skoro do tego doszło... – J.B. kręci głową. – Może powinnaś im powiedzieć, gdzie ona przebywa.

– Nie mogę – odpowiadam łagodnie, ale stanowczo. – Nie oddam im jej ani tego dziecka. Nie mogłabym z tym później żyć. Wszystko, co wiem na temat tej sekty, pozwala mi wierzyć, że oni postrzegają Carol jak chodzący inkubator, a jej syna... wychowaliby go tak, żeby wierzył w to, co mu każą. Jeśli Vee się nie myli, widziałam nagranie z jednej z ich poprzednich osad. J.B., to jest... – Brakuje mi słów, żeby opisać ten horror. Przypominam sobie tamten koszmarny dom z Wolfhunter i to, co powiedział mi Sam na temat kobiet przebywających w posiadłości Carra. Nie mogę skazać Carol ani jej syna na życie w piekle.

– Wiem – mówi. – Nigdy byś nie poszła na taki układ, Gwen, dlatego tak cię lubię. – Prostuje się. – Chodź, ja poprowadzę.

Pomimo protestów zostawiamy Vee i Lanny w biurze. Nie chcę, żeby dziewczyny brały w tym udział. Carol jest zdesperowana. Może być uzbrojona... Ja jestem i posunęłabym się do wszystkiego, żeby chronić moje dzieci. Nie pozwolę, żeby Lanny i Vee znalazły się na linii ognia. Są bezpieczne w biurze J.B., mają pizzę i kilka filmów do wyboru. J.B. wyznacza też kogoś, by miał je na oku. *Ufaj, ale sprawdzaj.* Przypominam sobie słowa Lilah Belldene.

Cholera, miała rację.

Schronisko dla ofiar przemocy domowej mieści się w dzielnicy pełniącej niegdyś funkcję mieszkalną, która obecnie zyskała charakter handlowej. Większość domów zburzono lub znacząco przerobiono, jednak ten, do którego wiezie nas J.B., stanowi raczej wyjątek. Budynek jest duży, mieści się tam co najmniej cztery czy pięć sypialni. Kiedyś mógł robić spore wrażenie, obecnie jednak aż prosi się o nową warstwę farby i naprawę dachu. Nie ma na nim żadnej tablicy, nie licząc niewielkiego napisu AKWIZYTOROM DZIĘKUJEMY. Drzwi wejściowe wyglądają całkiem normalnie, choć zrobione są z lakierowanego metalu. Z pewnością są całkiem solidne. Mojej uwadze nie umykają również kraty we wszystkich oknach.

– Główne wejście jest z tyłu – wyjaśnia J.B. – Cicely obserwuje dom z sąsiedniego podwórza. Jak chcesz to przeprowadzić?

Nie chcę okłamywać ludzi prowadzących to miejsce. Owszem, byłby to najprostszy sposób, po prostu wejść do środka i opowiedzieć im jakąś straszną historię. Byłaby nawet prawdziwa, choć nieaktualna. Tak przecież wyglądało moje życie z Melvinem. Czuję się jednak podle. Kiedy J.B. skręca za narożnikiem, odpowiadam:

– Odzyskałaś już te pieniądze z kaucji, które za mnie wpłaciłaś?

– Tak.

– Pożyczysz mi je? Z odsetkami?

Unosi brwi, ale nie sposób powiedzieć, czy jest naprawdę zaskoczona.

– Automatycznie odliczę je od twojego wynagrodzenia – mówi. – Jesteś pewna? Całkowicie pewna?

– Jestem. Ale będę potrzebowała tych pieniędzy w gotówce. Obietnica jej nie wystarczy.

J.B. zawraca i jedzie do najbliższego banku. W ciągu dwudziestu minut otrzymujemy bankową kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w środku. J.B. nie ponawia pytania, czy jestem pewna. Po prostu wiezie mnie do domu, który sąsiaduje pod pewnym kątem ze schroniskiem. Jest opuszczony, a w oknie umieszczono znak DO WYNAJĘCIA. Parkujemy i przechodzimy na tyły, które są równie zaniedbane jak front – uschnięta trawa i krzewy, śmieci zrzucone na stertę obok niewielkiej, rozklekotanej szopy. Nie widzę Cicely West do chwili, kiedy J.B. rusza prosto na nią. Kobieta wybrała sobie punkt w pobliżu śmieci i ma na sobie ciuchy, które niemal zlewają się z szarością łuszczącej się farby na szopie. Siedzi na składanym krzeselku, a na ramionach ma koc maskujący. Dzięki temu zauważam ją dopiero z odległości pięciu metrów, kiedy podnosi rękę. Wstaje, składa krzeselko i opiera je o szopę. Układa koc w ciasną kostkę i wciska do torby na biodrze.

Ledwie sięga mi do podbródka – ma pewnie metr pięćdziesiąt wzrostu, nie więcej. Jej ciało zachowało przy tym idealne proporcje. Skórę ma ciemną jak kora orzecha, a oczy koloru jesiennych liści. Cicely ma krótko ścięte włosy zawijające się w ciasne spirale i choć nie dysponuje masą, to opanowała wiele innych umiejętności. Widziałam kiedyś, jak trzema szybkimi ruchami powala dwukrotnie większego od siebie motocyklistę.

– Dziewczyna wciąż jest w środku – informuje J.B., po czym rzuca mi poważne spojrzenie. – Hej, Gwen. Bardzo mi przykro. Dajesz sobie jakoś radę?

– Ból głowy nie ustąpi – odpowiadam, starając się uśmiechnąć. – Muszę porozmawiać z Carol. Jak najlepiej to ugryźć?

– Najprościej? Przed sąsiednim domem, który wynajmują pewnemu dentyście, parkują furgonetkę. Używają jej do ewakuowania ludzi w sytuacji, kiedy zjawi się ktoś niepożądany. J.B. wejdzie od tyłu i zapyta o Carol. Odpowiedzą jej, że taka osoba tutaj nie przebywa, a kiedy się upewnią, że J.B. odjeżdża, zabiorą Carol do furgonetki, żeby przewieźć ją do innego schroniska. Furgonetka to nasza największa szansa.

Plan wygląda na solidny i nie wymaga okłamywania nikogo, więc kiwam głową. J.B. idzie do samochodu, a Cicely i ja kierujemy się naokoło do gabinetu stomatologa. Jest to odnowiony, nieduży dom z podjazdem, obłożony drewnem. Na jednym z kilku miejsc do parkowania stoi zupełnie anonimowa furgonetka z przyciemnianymi szybami. Zostawiam Cicely na werandzie, wchodzę do poczekalni i siadam na krześle. Przy biurku nie ma nikogo, ale zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiega wysoki wizg stomatologicznego wiertła.

Muszę trzymać się z dala, dopóki nie przywoła mnie Cicely, bo jeśli zobaczy mnie Carol, natychmiast się zorientuje, że wpadła w pułapkę.

Recepcjonistka wraca za biurko, zaskoczona moim widokiem. Informuję ją, że czekam na przyjaciółkę. Kupuje to bez żadnego

komentarza i przystępuje do przeglądania kolorowego magazynu. Mijają kolejne minuty. Walczę z pokusą zerknięcia przez okno i sprawdzenia, co się dzieje na małym parkingu.

W końcu Cicely otwiera drzwi, kiwa do mnie, a ja wychodzę.

Schodzimy na parking. Kierowca zamyka właśnie boczne drzwi furgonetki. To całkiem spory facet po czterdziestce, o skórze o kilka odcieni jaśniejszej niż w przypadku Cicely i sporym piwnym brzuszku. Otwiera drzwi kierowcy, a Cicely ze zdumiewającą szybkością wsiada po stronie pasażera i zatrzaskuje swoje.

Podchodzę bliżej, żeby odciąć mu drogę ucieczki. Cicely wyciąga pistolet. To, co robi, jest nielegalne, ale udaje się jej osiągnąć pożądaną efekt, bo kierowca kurczy się na swoim siedzeniu.

– Spokojnie – mówi Cicely. – Chcemy tylko porozmawiać z twoją pasażerką. Potem sobie pójdziemy, a ona będzie mogła zrobić, co tylko się jej podoba. Okej? Kiwnij głową.

Waha się i widzę, że w środku burzy się ze złości. Kiwa jednak głową. Zatrzasnę drzwi i otwieram te boczne.

Carol siedzi na tyłach furgonetki, trzymając w ramionach wystraszonego chłopczyka. Dostrzegam w jej oczach ulgę, kiedy mnie rozpoznaje, ale nie przestaje być ostrożna. Wchodzę do środka, zamykam za sobą drzwi i wyciągam kopertę.

– To jest dla ciebie – mówię i rzucam ją w jej stronę. Carol chwytą kopertę i zagląda do środka. Patrzy na pieniądze i rzuca mi pytające spojrzenie.

– Dlaczego? – pyta. – Po tym, jak... – Nie kończy, ale wcale nie musi. Rozumiem to. Przenosi spojrzenie na kierowcę z przodu, który siedzi z uniesionymi rękami. – W porządku. Porozmawiam z nią.

Czuję ogromną ulgę. Widzę, jak Cicely kładzie sobie broń na udzie, ale nie chowa jej. Kierowca powoli opuszcza ręce i opiera je na kierownicy.

– Nawet nie myśl o tym, żeby nacisnąć ten klakson – ostrzega go Cicely. – Wszyscy jesteśmy tu przyjaciółmi. W porządku?

Kiwa głową. Cicely obserwuje go jak jastrząb gotów wbić swoje pazury.

– Mam tylko kilka pytań, a potem możesz jechać, dokąd zechcesz – mówię do Carol. Zerkam na chłopczyka. Jest naprawdę słodki. Pamiętam Connora w jego wieku, jego uśmiechy i złości. Czuję jednocześnie miłość i ból. – To syn Ojca Toma, prawda? – Carol zaciska dłonie na kopercie i w końcu kiwa głową. – I Ojciec Tom chce go odzyskać.

– Oczywiście, że tak – odpowiada Carol. – On nigdy nie rozstaje się ze swoją własnością. Ale ja nie pozwolę, żeby zabrał mi Nicka. Prędzej umrę. – Po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że jest ze mną szczerą. Jej próba ucieczki autobusem była zapewne chwilowym rozwiązaniem. Nie zostawiłaby chłopca samego. Nie na stałe. – Ojciec Tom niszczy wszystko, czego dotknie. Uciekłam, kiedy skończyłam trzynaście lat. On kazał mi uwierzyć, że jestem *nikim* w tak krótkim czasie, że aż w głowie się nie mieści. Ale ja nie jestem bezwartościowa. Nie jestem. – Unosi podbródek. Widzę, że stara się to okazać, nie tylko o tym powiedzieć.

– Czy mogę zadać ci pytanie? Kiedy żyłaś w sekcie, jak nazywali miejsce, w którym spały kobiety?

Nie zastanawia się ani przez chwilę.

– Nazywali je Ogrodem. Ogród, jak Eden. Wszystkie jesteście jego Ewami. – Aż się krzywię, słysząc gorzkość w jej głosie i natychmiast przypominam sobie wielkie łóżko w opuszczonym budynku. Ona nie kłamie. Zna tę sektę.

Wciąż widzę siniaki i niebiesko-czarne plamy po obrażeniach, które sama sobie zadała. Wiem jednak, że jej rany sięgają znacznie głębiej.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wiele musiała ją kosztować ta ucieczka – nie tylko ją, ale też dziecko, które nosiła. Dobry Boże.

Biorę głęboki oddech.

– Oni porwali mojego syna, Connora. Chcieli się ode mnie dowiedzieć, gdzie jesteś. Przyjechali kamperem, tak jak mówiłaś. Mają też Sama, mojego partnera. Mój syn jest mniej więcej w tym samym wieku jak ty, kiedy twoje piekło się zaczęło.

Robi się blada jak prześcieradło. Wsuwa kopertę z pieniędzmi do plecaka, tego samego co wcześniej, należącego niegdyś do Remy'ego.

– Tak mi przykro. Co im pani powiedziała na mój temat?

– Nic. Ale musisz stąd wyjechać, Carol, i to natychmiast. Udało się nam ciebie odnaleźć, a to oznacza, że im też się uda. Zabierz te pieniądze i rozpocznij nowe życie gdzieś daleko stąd. – Moje oczy wypełniają się łzami i trudno mi mówić dalej. – Ale zanim odjedziesz, proszę, powiedz mi, gdzie znaleźć mojego syna. Błagam cię. Tylko ty możesz pomóc mi go ocalić.

– Ale... już pani wie o Ogradzie. Musi pani wiedzieć... – Jej głos cichnie. – Och. Znalazła pani stare miejsce, to w pobliżu Wolfhunter. Wynieśli się stamtąd, jeszcze zanim do nich dołączyłam.

– Wiem, że ich nowa siedziba mieści się gdzieś w okolicy parku przyrodniczego Catoosa. Powiedz... po prostu powiedz, gdzie ich szukać. – Trzęsę się tak bardzo, że muszę wesprzeć się oburącz o oparcie jednego z siedzeń. Płyną mi zimne łzy, jakby na moich policzkach topił się lód. Nie wiem, co zrobię, jeśli mi nie powie. Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać. – Carol, proszę.

Kręci głową. *Boże, nie*, na widok tego gestu żołądek skręca mi się w ciasny supeł. W końcu mówi:

– On kupił stary obóz pracy w pobliżu Bitter Falls. Ale to pani nic nie da. Nie ma stamtąd drogi wyjścia. Nie ma też drogi wejścia. To jego forteca. – W jej oczach również pojawiają się łzy, ale szybko je wyciera. – Znam ludzi, którzy próbowali uciec. Wszyscy tam zginęli. Zrobił z nich swoich świętych. Przykro mi z powodu pani syna, ale nie potrafię bardziej pomóc. Nie pozwolę mu utopić mojego dziecka, tak jak zrobił to z wszystkimi innymi...

Czuję przenikliwy chłód i dalsze jej słowa zmieniają się w szum. *Utopić mojego dziecka*. Próbuję przełknąć ślinę, ale ta zmieniła się chyba w moich ustach w grudkę czegoś twardego.

– Co miałaś na myśli, mówiąc „utopić”? – pytam skrzekliwym głosem.

Carol bierze przeraźliwie długi oddech.

– Powiedział, że Nick zostanie jego nowym mesjaszem. Ale tak twierdził wcześniej, a potem uznał, że niemowlę nie ma odpowiednich znaków. Obawiałam się, że zabierze je nad wodospad i wróci sam. – Carol drży tak samo mocno jak ja. Nic dziwnego, że uciekła. – Każdego z mężczyzn, który wyjdzie przed szereg, nazywa świętym, wybrańcem Boga. Zabiera takiego człowieka, by go ochrzcić, i wtedy go topi. Twierdzi, że tworzy w niebie armię, która będzie nas bronić.

Kiedy tego słucham, jest mi jeszcze zimniej.

– Czy to właśnie spotkało Remy’ego?

– Remy wierzył, że odkupi moją wolność w zamian za trzymiesięczną pracę. To mu właśnie powiedziałam. Ale on nie wrócił. Oni nigdy nikogo nie wypuszczają. Wciąż go mają i albo jest jednym z nich, albo jest teraz ich świętym. Tego nie wiem. – Wyciera łzy. – Tamtej nocy udało mi się wymknąć. W nocy, kiedy Remy z nimi poszedł. Wykorzystałam okazję i uciekłam. Wymieniłam go na życie mojego dziecka i myślę o tym każdego dnia.

Nadała swojemu dziecku imię Nick. Nicholas. Drugie imię Remy’ego. Myślę, że jest teraz ze mną absolutnie szczerą, jednak moja desperacja jest znacznie silniejsza.

– Muszę się tam dostać, Carol. Znaleźć mojego syna. Gdzie w tym kompleksie mogą go przetrzymywać?

– Gdyby został konwertytą, spałby z mężczyznami w ich domu. Ale to zależy od tego, co z nim robią w ciągu dnia. Konwertyci pracują zwykle w polu. Ale on nim nie jest, jest zakładnikiem, więc trudno stwierdzić. Może trzymają go w szopie. To tam Ojciec Tom

zamyka wszystkich tych, których nazywa świętymi, zanim ich zabierze. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Nie dostanie się pani do środka!

– Rozwalę bramę, jeśli będę musiała.

– Jest za mocna, poza tym rozstrzelają panią na kawałki. On ma tam swoją armię. Wokół ogrodzenia krążą patrole. Przez cały czas powtarza w swoich kazaniach, że rząd przybędzie ich wszystkich pozabijać. I że będą walczyć. Wszyscy. – Przetyka głośno ślinę. – Oni już dla niego zabijali i wykrwawiają się, broniąc go przed obcymi.

– A co z tym wodospadem, o którym wspominałaś?

– Bez znaczenia. Wokół całego obozu mają czterometrowe ogrodzenie. Na górze jest drut kolczasty, a wokół jeżdżą patrole, które panią zastrzelą, zanim uda się pani pokonać ogrodzenie. A nawet jeśli się uda, i tak panią złapią. A wtedy już tylko Bóg pani pomoże.

Muszę wierzyć, że jest jakaś możliwość. Muszę.

– Miewałam koszmary o tych świętych wychodzących z wody – ciągnie Carol. – Ale dla mnie nigdy nie było to rzeczywiste, dopóki nie zaszłam w ciążę. – Znów przetyka ślinę, jakby walczyła z nudnościami. – Potem nie mogłam spać, wyobrażając sobie stale, jak topią tam moje dziecko. Nie wiedziałam, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, ale postanowiłam, że nie urodzę go dla *niego*. Zgłosiłam się do pracy misjonarskiej. Wysyłali nas kamperem, trzech mężczyzn i kobieta. My, konwertyci, sprawdzaliśmy się w tym dużo lepiej niż ci, którzy urodzili się wewnątrz. Te biedne dziewczyny nigdy nie zaznały innego życia. My potrafiłyśmy oczarować chłopaków, opowiadać im nasze smutne historie, sprawiać, że wierzyli w możliwość niesienia nam pomocy. – Zerka na swój plecak. – Jak Remy. To było takie proste. Opowiedzieć łzawą historyjkę, przekonać, że tylko on może być moim bohaterem. A on uważał, że postępuje słusznie.

Chcę stąd odjechać. Muszę stąd odjechać. Potwierdziła już nazwę miejsca – Bitter Falls – w którym możemy odnaleźć Connora i Sama. Nie potrafię jednak zignorować jej poczucia żalu.

– To nie jest twoja wina – mówię. – Byłaś tylko ofiarą. Dzieckiem. Wyprano ci mózg. Wykorzystano. Fakt, że znalazłaś siłę, by uciec, mówi o tobie wszystko. Po prostu żyj dla swojego syna. Poszukaj bezpiecznego miejsca. Obiecuję ci, że jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała mojej pomocy, wystarczy, że zadzwonisz.

– Dlaczego? – Jej pytanie przypomina okrzyk bólu. – Oszukałam panią przy pierwszej nadarzającej się okazji!

– Zrobiłaś to, co musiałaś, Carol. Rozumiem to.

Milczy przez chwilę, po czym mówi:

– Nadaje nam wszystkim takie imiona, jakie mu się podobają. Związane z muzyką, z kwiatami. Mnie nazwał *Carol*^[7]. – Wyciąga niespodziewanie rękę, przytrzymując dziecko drugą. – Tak naprawdę jestem Daria. Daria Iverson. A to jest Nick Iverson.

Chwytam jej dłoń i ściskam.

– Gwen Proctor. Ale... kiedyś byłam Giną Royal, jednak dla mnie to imię znaczy tyle samo, co dla ciebie Carol. Należy do zmarłych.

Nie pytam, dokąd się teraz wybiera. Mam nadzieję, że zniknie, że wraz z synem znajdą jakiś anonimowy zakątek na świecie, z dala od sekt, świętych i martwych.

A ja?

Ja szykuję się na wojnę.

[6] Miejsca, w których interwencje zbrojne FBI zakończyły się w niekorzystny sposób (przyp. tłum.).

[7] *Carol* (ang.) – skrót od *Caroline*, ale również „kolęda” (przyp. tłum.).

Rozdział 22

Sam

Spodziewałem się regularnego bicia, więc nie jestem specjalnie zaskoczony, kiedy drzwi stają otworem, a do środka wpada trzech facetów, żeby położyć na mnie buciory. Zwijam się w kulkę i przyjmuję kopniaki w takim stopniu, w jakim jest to możliwe. Ból jest przenikliwy, ale chyba niczego mi nie łamią, a kiedy wychodzą, leżę zakrwawiony i pozbawiony tchu na klepisku. Zostawiają za sobą na wpół opróżnioną butelkę z wodą i kawałek chleba.

Dosłownie woda i chleb. Dobrze, że znają klasykę.

Piję odrobinę, opierając się chęci wiania w siebie całości, po czym odstawiam butelkę. Zostawiam połowę chleba na później i odgryzam małe kęsy. Czuję smak krwi z rozciętej wargi. Straciłem już poczucie czasu, choć starałem się liczyć godziny, robiąc ślady w miejscu, na które padało słońce.

Nie wiem, gdzie jest Connor, i muszę przestać o nim myśleć, bo na razie nie ma stąd drogi ucieczki. Pozwalam im się bawić moim kosztem bez walki, bo chcę, żeby poczuli się pewni siebie. Następnym razem przyjdą mniej agresywni i bardziej zadufani w sobie. Wtedy też im na to pozwolę. Za trzecim razem, jeśli

okoliczności na to pozwolą, a oni zapomną o obronie, wyjdę w cholerę z tej dziury, znajdę Connora i wyprowadzą nas obu z tego miejsca.

Muszę się powstrzymać przed zjedzeniem całego wypiekanego na miejscu chleba, bo jest naprawdę pyszny. Lepiej zachować rezerwy na później.

Rozlega się szybkie, nerwowe pukanie do drzwi. Przez krótką chwilę mam ochotę zażartować i zapytać „kto tam?”, jakby to był mój dom, jakbym to ja decydował o tym, kto kiedy tutaj wchodzi. Milczę jednak.

– Jesteś tam? – słyszę czyjś głos. Miałem nadzieję, że to Connor, ale z drugiej strony lepiej, że to nie on. Wolę, żeby był bezpieczny, słuchał poleceń i nie ryzykował.

To nie jest Connor. Głos należy do kobiety, może dziewczyny. Bardzo niepewny. Próbuję wstać, ale ból mi na to nie pozwala. Kiedyś lepiej sobie z nim radziłem. Chyba się starzeję.

– A gdzie miałbym być? – pytam. Podpełzam bliżej i przysuwam głowę do metalowych drzwi. Dobrze, że zima nadeszła w tym roku wcześniej. Latem byłyby one prawdziwym koszmarem. Zimno wywołuje dreszcze, ale nie jest jeszcze tak intensywne, żebym musiał się obawiać o hipotermię. Najgorzej będzie ze spaniem, ale przetrwałem już gorsze warunki.

– Jak masz na imię? – pyta. – Nie mogę zostać długo, przepraszam. Powiedz mi tylko, kim jesteś.

– Sam Cade – odpowiadam. Nie zamierzam zdradzać zbyt wiele, bo jest to zapewne jakaś ich taktyka. – A kim ty jesteś?

Nie odpowiada na to pytanie. Zamiast tego mówi:

– Jesteś jego ojcem? Tego chłopaka?

Na to pytanie można odpowiedzieć dwojako, ale szybko wybieram jedną z odpowiedzi.

– Tak.

– On ma kłopoty – mówi. – Musisz go jak najszybciej stąd zabrać.

Zapominam nagle o bólu, zimnie i innych niedogodnościach. Prostuję się i patrzę na drzwi tak, jakbym mógł zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

– Co się dzieje? – pytam.

– To przytrafia się im wszystkim – odpowiada moja tajemnicza rozmówczyni. – Wszystko kończy się tylko na dwa sposoby. Albo zostaje bratem, albo świętym. Ani jedno, ani drugie nie jest dobre.

Uświadamiam sobie, że to również może być elementem taktyki opartej na dezinformacji, której celem jest osłabienie mojej koncentracji, złamanie ducha oporu. To oczywiste, że będą starali się odsunąć nas z Connorem od siebie. Wszystko zgodnie z podręcznikiem. Domyślam się, że głos po drugiej stronie należy do jednej z prawdziwych wyznawczyń.

– Nic na to nie poradzę. Jest teraz zdany na siebie – odpowiadam i choć czuję się z tym okropnie, wracam pod przeciwległą ścianę. Dziewczyna wzywa mnie jeszcze dwukrotnie po imieniu. Nie reaguję.

Odchodzi, a noc wydaje się nagle bardzo ciemna, zimna i długa, ponieważ nie mam stuprocentowej pewności, że nie mówiła prawdy. Nie mogę założyć, że Connor nie jest w tej chwili poddawany praniu mózgu. Już kiedyś był na to podatny i dał się omamić bzdurom, które wciskał mu biologiczny ojciec. W rezultacie mógł albo się na coś podobnego uodpornić – taką właśnie mam nadzieję – albo stać jeszcze bardziej podatnym. Modlę się, żeby dzięki swoim ciężkim doświadczeniom potrafił łatwiej dostrzegać manipulację, choć ci ludzie opracowali solidny system, który działa niezawodnie. Są ostrożni i dokładni... a jednak przybycie po Gwen w takiej formie oraz porwanie mnie i Connora było bardzo nieroztropne.

Nieroztropność jest niezwykle niebezpieczna w przypadku takiej sekty, bo sprawia, że jej członkowie są beczelni i gotowi na śmierć.

Ojciec Tom, jak wszystkie inne podobne mu skurwysyny, które ogłosiły się przywódcami, będzie trzymać się władzy do samego końca, a osiągnie to przez zapewnienie, że jego wyznawcy pójdą do grobu przed nim. Tak było już w wielu przypadkach, od Davida Koresha po Jima Jonesa.

Niezależnie od tego, czy wierzę tej dziewczynie, czy nie, Connor jest w prawdziwym niebezpieczeństwie. Fakt, że tkwię w tej dziurze, jest upokarzający i budzi moją wściekłość, ale nie mogę sobie pozwolić na załamania. Muszę to w jakiś sposób wykorzystać.

Kontynuuję zatem swoje szkolenie wyniesione z sił powietrznych. Wyrzucam wszystko z umysłu, zwijam się ponownie w kulkę i śpię najlepiej jak potrafię i najdłużej jak mogę.

Następnego ranka budzi mnie hałas otwieranych drzwi. Ledwie udaje mi się usiąść, zanim podchodzą bliżej. Tym razem nie ma kopniaków – zamiast tego wywlekają mnie na zewnątrz, gdzie łagodnie świeci już słońce. Wciąż jest zimno i zdrętwiały mi stopy, więc ledwie czuję rany, kiedy potykam się na ostrych kamieniach formujących niską palisadę wokół budynku więziennego. Jest to taka symboliczna bariera, która ostrzega zbliżające się osoby. Tym razem przyszło ich trzech, a jednym z nich jest Caleb, który niesie na piersi przewieszony pistolet maszynowy MP5. Ciekawe, jak dobrze sobie z nim radzi. Zapewne wystarczająco dobrze, żebym zaczął przypominać siekaną wieprzowinę. Pozostali dwaj są również uzbrojeni, choć nie tak imponująco, co przekreśla moje nadzieje na odebranie Calebowi MP5 i skorzystanie z niego. Decyduję się zaczekać i przekonać, dokąd mnie zabierają.

W ogóle się do mnie nie odzywają. Na wpół prowadzą, a na wpół wloką mnie ścieżką po jeszcze ostrzejszych kamieniach, a następnie po zimnej, ubitej ziemi wśród milczących drzew. Kiedy się potykam –

w moich stopach powraca czucie i jest to bardzo nieprzyjemne – dostaję cios od tyłu, przez który niemal się przewracam. Obręcze na nadgarstkach i kostkach otarły mi już skórę do żywego mięsa, a do tego jestem piekielnie głodny. Odnotowuję tę dziwną ciszę. Nie słyhać tu nawet żadnych ptaków.

Do moich uszu najpierw dociera syk, a potem niski ryk, i moim oczom ukazuje się wodospad. Nie jest duży, ale wygląda oszałamiająco, a poranny blask słońca formuje tęczę nad spienioną wodą. Staw – jezioro? – do którego wpada, jest ciemny i wygląda na głęboki.

Ojciec Tom stoi przy skalistym brzegu i wpatruje się w wodospad. Caleb i jego milczący towarzysze prowadzą mnie do niego, po czym wycofują się o kilka kroków. Ustawiają się w szeregu jak dupki z jakiejś bojówki, choć po posturze Caleba wnioskuję, że miał kiedyś na sobie prawdziwy mundur.

– Sam – mówi prorok i odwraca się do mnie z uśmiechem. Wygląda jak nieco starszy przyjaciel, tatuś, dziadek... i muszę przyznać, że ma w sobie jakiś dziwny urok. – Chciałem z tobą porozmawiać na osobności. Tylko we dwóch, jak mężczyzna z mężczyzną. – Raczej jak dozorca więzienny z osadzonym.

Uświadamiam sobie, że to może być moja wymarzona okazja. Nie jestem w samym środku obozu, gdzie otaczają mnie strażnicy z bronią, lecz w odosobnionym miejscu z zaledwie trzema uzbrojonymi facetami i najcenniejszym członkiem sekty. Błyskawicznie układam sobie w głowie plan. *Krok pierwszy, zarzucić mu moje skute ręce za głowę, pociągnąć do siebie i użyć jako osłony. Kazać im odłożyć broń. Chwycić najbliższą i zastrzelić wszystkich, jeśli to będzie konieczne. Odprowadzić Ojca Toma w miejsce, w którym trzymają Connora, zdobyć dzięki jego pomocy pojazd i wynieść się stąd w cholerę.*

Mój plan jest cieńszy niż kartka papieru, ale to dobra okazja i chyba lepsza się już nie nadarzy.

Jestem już praktycznie gotów wprowadzić go w życie, kiedy Ojciec Tom odwraca się do mnie i przyciska mi do boku duży nóż myśliwski. Nie przestaje się przy tym uśmiechać.

– Wiem, co sobie kombinujesz – mówi cicho, jakbyśmy wymieniali tajemnice. – Planujesz, jak się stąd wydostać i zabrać chłopca. Szanuję to. Ale on należy *do mnie*. Prędeż obaj umrzecie, niż pozwolę wam stąd odejść.

Milczę, czując w ustach smak porażki. Przełykam ślinę i nie wykonuję żadnego ruchu.

– Nawet jeśli poradzisz sobie w jakiś sposób z tym nożem i ze mną, z moimi ludźmi... pozostali mają jasne rozkazy i rozerwą cię na strzępy, zanim zdołasz uciec. Pogódź się z tym. Nie jesteś aż tak odważny. Nikt nie jest. – Przerywa na chwilę. Nóż pozostaje na swoim miejscu, gorący punkt na mojej skórze. Centymetry dzielą czubek od moich nerek i dużych arterii. Nie musiałby się specjalnie napracować, żeby wykrwawić mnie tutaj na śmierć. Czuję narastającą wściekłość i chcę go zabić, ale zmuszam się, by postępować zgodnie ze szkoleniem.

Czekam więc i sprawiam wrażenie pokonanego. Kołyszę się lekko i staram się wyglądać na bardzo zmęczonego i pozbawionego ducha.

– Ten twój chłopak jest bystry. Sporo milczy, jak ty. Wiem jednak, kto jest jego prawdziwym ojcem. Może ma w sobie więcej z Melvina Royała? Co myślisz? Czy wyrośnie na bezwzględnego zabójcę?

Nie odzywam się ani słowem. Pozwalam mu mówić. W końcu dojdzie do sedna. Przede wszystkim staram się kontrolować rozsadzający mnie od środka gniew. Pocę się, choć stoję na zimnie, ale to chyba reakcja na to, jak bardzo chcę go skrzywdzić.

Muszę poczekać.

– Sprawdziłem cię, Sam. Szkoda, że twoja siostra musiała znaleźć się w tym samym miejscu z takim potworem jak Royal. Niepojęte są decyzje Pana, prawda? Połączyć razem ciebie i żonę

Royala. Ale ma to swoją dobrą stronę. Nie musisz go niszczyć, kiedy zabierasz to, co niegdyś należało do niego. Jego żonę i jego dzieci. – Próbuje wywołać moją reakcję, ale nie daje się w to wciągnąć. Trafia w zupełnie niewłaściwe miejsca, jeśli chce zrobić na mnie wrażenie.

Jego uśmiech wciąż nie znika, podobnie jak cała postawa – przyjazna, spokojna. Jestem pewny, że ten człowiek zachowuje się w taki sposób do końca, obserwując czyjąś śmierć, a potem, może w ostatniej sekundzie, odsłania swoją maskę i pokazuje prawdziwą twarz potwora. Ale tylko swoim ofiarom, nigdy swojemu stadku owieczek i wilków.

– Wydajesz się naprawdę troszczyć o swojego chłopaka, pomimo całej tej krwi i bólu. Powiedz mi, Sam, do czego jesteś się w stanie posunąć, by go ochronić?

No, teraz dochodzimy do sedna. Czuję niemal ulgę, choć nadal się nie odzywam. Pierwszy krok w opieraniu się przesłuchaniom: nigdy nie mów „tak”. Nigdy nie dawaj odpowiedzi, która może cię pogrożyć emocjonalnie lub zostać wykorzystana przeciwko innym.

– Nie powiesz ani słowa? – Wydaje się rozczarowany. – Muszę to wiedzieć, Sam. Umarłbyś za niego? On nie jest twoim prawdziwym synem z krwi i kości. Kochasz go wystarczająco mocno, żeby go ochronić?

Nigdy nie mów „tak”. Szkolenie dla jeńców mam wryte naprawdę głęboko w mózgu, nigdy jednak nie czułem się tak uwięziony jak teraz, osaczony pogrozkami i charyzmą tego człowieka. Widzę w jego oczach jakiś blask, zapewne to, co widzą na końcu jego ofiary. Muszę go rozdrażnić.

– Przejdę do rzeczy, bo te twoje gierki umysłowe zaczynają mnie nudzić. Powiem więc jasno i zwięźle: pierdol się, Tom. Ty i cała ta twoja pojebana sekta, wasze pogrozki i gówniane amatorskie pranie mózgów. Wsadź sobie to wszystko w dupę. Umrę za Connora, jak najbardziej. Możesz spróbować mnie zabić, zanim ja zabiję ciebie.

Ale muszę cię ostrzec, osoba, która przybędzie po ciebie po mojej śmierci, będzie jeszcze gorsza.

Jeśli w jakikolwiek sposób go zaskoczyłem, to tego nie okazuje. Kiedy się odzywa, w jego głosie pojawia się jednak pewna nowa nuta:

– A kto taki ma przybyć tutaj po twojej śmierci?

– Gwen Proctor.

Wybuchą śmiechem, szczerym i otwartym, choć nie uważam, by ktoś tak jadowity i patologiczny był w stanie zrozumieć humor tak jak inni. W końcu się uspokaja.

– Biblia mówi: *nie mąż bowiem jest z niewiasty, ale niewiasta z męża*. Kobiety są po to, by służyć, zadowalać i rodzić. Nic innego nie ma znaczenia. Trzeba ją tego nauczyć. Dopilnuję, żeby tak się stało.

– Ona również chętnie cię pouczy, jeśli ja nie zrobię tego pierwszy.

– Pozwól mi zerknąć nieco w przyszłość. Kiedy skończę pracę z Connorem, stanie się prawdziwym wyznawcą. Może nawet tym dawno obiecany mesjaszem. Będzie kontynuował moją pracę i poczuje się w tej roli lepiej i pewniej, niż czuł się kiedykolwiek z tobą czy z tą swoją nienaturalną matką. – Przyciska nóż nieco mocniej i czuję ukłucie bólu. Nie reaguję. Tnie głębiej. Iskry przeradzają się w ogień. Nawet nie mrugam. – Tak oczywiście będzie w najlepszym przypadku. Jeden z was dołączy do mojej armii świętych. Albo ty, albo twój syn. Pozwolę tobie zdecydować.

Klasyka.

– Zrobisz dokładnie to, co chcesz, nieważne, jak ja zdecyduję. Uważasz się za kogoś innego i wyjątkowego, ale nie jesteś nawet oryginalny. Jesteś jak ISIS z Biblią w ręce. Jesteś Jimem Jonesem minus zatrute napoje. Jesteś kopią kopii, dupku. Ale to bez znaczenia. Tacy jak ty zawsze kończą marnie. Najważniejszy jest jednak... twój koniec.

Chyba udało mi się zrobić niewielką wyrwę w jego skorupie, bo na moment ujawnia się prawdziwy Tom. Zły, dziki, bystry, głodny Tom.

Nóż wędruje jeszcze głębiej i mam wrażenie, że wsadził we mnie spawarkę. Wstrząs splywa ciepłą kurtyną, i dobrze, bo dzięki wstrząsowi krew ściągana jest do wnętrza ciała, gdzie jej zadaniem jest chronić serce, płuca i mózg, chrzaniąc wszystko inne. Krwawienie z boku nie jest aż tak straszne, choć krew płynie ciąglą strużką. Nie trafił w żadną tętnicę, co pomaga mi oddychać.

Stoi tam, patrząc na mnie z nożem w dłoni. Obserwując, jak krwawię. Wygląda na... szczęśliwego, jak dziecko w Boże Narodzenie. Z pewnością marzy o tym, by pociąć mnie na kawałki. Przez kilka długich sekund jestem praktycznie pewny, że to zrobi, i wtedy po prostu... znikam. Myślę o Gwen, o dzieciach, dobrych dniach, o ciepłe słońca na skórze. Jeśli tutaj umrę, nie chcę myśleć o Ojcu Tomie.

Ale on mnie nie zabija. Na jego twarzy pojawia się poprzedni wyraz. Wyjmuje z kieszeni chusteczkę, wyciera nóż i wsuwa go do skórzanej pochwy na plecach.

– Zabierzcie go – nakazuje. – Niech krwawi, pości i się modli. Jutro dołączy do świętych.

– Potrzebujesz mnie – mówię. – Jeśli mnie zabijesz, niczego nie ugrasz z Connorem. To mądry dzieciak. Znajdzie sposób, by stąd uciec.

– Connor należy już do mnie – oznajmia. – A z tobą postąpię tak, jak podpowie mi Pan.

Muszą mnie wlec z powrotem do mojej celi. W połowie drogi tracę świadomość, a kiedy ją odzyskuję, znów jestem zamknięty. Ktoś opatrzył moją ranę. Nie wiem, czy nie krwawię wewnętrznie, ale boli jak skurwysyn, a każde uderzenie serca przynosi ukłucie bólu. Tkwię nieruchomo i czekam, aż moje ciało się dostosuje. Albo mój umysł, w zależności od tego, co będzie pierwsze.

Kiedy ból staje się znośny, wypijam resztę wody i zjadam zapas chleba. To taka miniaturowa komunia. Powtarzam sobie, że cokolwiek się wydarzy, zrobiłem wszystko, co mogłem. Jeśli mam krwotok wewnętrzny, to nadchodzą właśnie bardzo trudne godziny. Muszę przyznać, że się boję. O siebie i o Connora. Boję się również bardzo o Gwen, która nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje.

Wierzę Ojcu Tomowi, że jego ludzie są śmiertelnie niebezpieczni. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym, że Gwen mogłaby zostać przez nich schwytana. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, co by to oznaczało.

Nie przyjeżdżaj sama, Gwen. Na miłość boską, nie przyjeżdżaj tutaj sama.

Rozdział 23

Gwen

Dzwonię do każdego, kogo znam, z prośbą o pomoc.

Narada wojenna odbywa się w Stillhouse Lake, w naszym starym domu z dziurami po śrucie ze strzelby i śladami walki. Zanim wszyscy przybywają na miejsce, idę do pokoju Connora i otwieram drzwi. W środku panuje porządek, jak zwykle, jakby właśnie wyszedł. Książki zajmują każde wolne miejsce na półkach. Mój syn zawsze ścieli swoje łóżko, nawet kiedy mu mówię, że wyjeżdżamy, może nawet na stałe. Wiem, że po części wynika to z potrzeby kontroli nad życiem, które często bywa bardzo chaotyczne. Ale uważam również, że jest po prostu ostrożny, nawet jako trzynastolatek.

Siadam, podnoszę jego poduszkę i tulę ją przez chwilę do siebie, wdychając jego zapach. Chce mi się płakać, ale nie mogę tego zrobić. Ból jest straszliwy, jednak wyrzuca również wszelkie troski. Możemy go odzyskać. I odzyskamy.

Odkładam poduszkę, wygładzam ją i wracam do salonu, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Lanny i Vee siedzą niespokojnie na sofie i trzymają się za ręce. Nie podoba mi się to, ale nie mówię ani słowa. Lanny teraz tego potrzebuje, Vee prawdopodobnie również.

– Mamo? Mam zaparzyć herbatę albo coś? – pyta Lanny.

– Jasne, skarbie. Zobacz, co tam mamy. Zaparz również kawę. – Mam wrażenie, że to będzie długi wieczór.

Kezia i Javier Esparza przyjeżdżają pierwsi. Nie widziałam Javiego już od jakiegoś czasu. Zajęty był prowadzeniem swojej strzelnicy i odwiedzaniem rodziny, ale wiem, że są z Samem w stałym kontakcie. Javier to twardziel. Doskonale strzela i jest jednym z najlepszych i najcierpliwszych instruktorów strzeleckich, jakich znam, a do tego nigdy nie wściubia nosa w nie swoje sprawy, co może być postrzegane dość dziwnie na mało liberalnej prowincji w Tennessee. Nie mówi zbyt wiele na temat swojej historii w korpusie marines, wiem jednak, że jest doskonale wyszkolony i z całą pewnością wysoko odznaczony. Javier to ktoś, kogo bardzo teraz potrzebuję, i jestem mu niezmiernie wdzięczna, że zgodził się tu przyjechać.

Po wejściu do środka nie odzywa się ani słowem, przytula mnie tylko i siada. To sporo, jak na jego standardy. Kiedy wyraża emocje, zwykle robi to poprzez żarty, ale kiedy milczy tak jak teraz, to znaczy, że jest bardzo skoncentrowany. Nigdy nie chciałabym być jego wrogiem, szczególnie kiedy jest w takim nastroju.

Kezia wita się zaraz po nim, a jej uścisk nieco się przeciąga.

– Wszystko w porządku? – pyta. Próbuję się uśmiechnąć. – Tak, okej, rozumiem. – Zerka na Lanny i Vee, które stoją w kuchni i wyjmują z szafek kubki. Kiedy widziała moją córkę po raz ostatni, ta składała zeznania, dzięki którym Olly Belldene wyszedł na wolność. – A dziewczyny?

– Radzą sobie – odpowiadam. – Oczywiście się martwią. Próbuję znaleźć im jakieś zajęcie.

– Kogoś jeszcze oczekujemy?

– Parę osób – odpowiadam, co tak naprawdę jest pewnym niedopowiedzeniem.

Kiedy próbuję się cofnąć, przytrzymuje mnie.

– Poszłaś na układ z Belldene'ami, prawda? – Nie odpowiadam. Nie chcę skłamać, nie jej, ale prawdy również nie mogę jej powiedzieć. W końcu kręci głową, zaciskając usta w wyrazie dezaprobaty. – Stoisz po niewłaściwej stronie, Gwen.

– Stoję po stronie moich dzieci. I wiem, że ty również. Dziękuję, że przyjechałaś.

– Prester też by się zjawił, ale jedno z nas musiało zostać w Norton. Dziękował Bogu, że sprawa, w którą się wplątałaś, nie dotyczy tym razem naszego miasteczka.

Muszę się roześmiać, bo niemal słyszę, jak detektyw Prester wypowiada te słowa. Nie prosiłam go o przybycie, ale nie jestem też specjalnie zaskoczona, że wie o sprawie. Norton nie zasługuje na dwoje takich detektywów i jestem przekonana, że miejscowi nie wiedzą nawet, jakie mają szczęście.

Chwilę później przyjeżdża J.B., ale kiedy otwieram drzwi, nie wchodzi do środka. Przywołuje mnie gestem ręki i wskazuje na drugi koniec drogi, w miejsce, w którym znika ona w zagłębieniu za wzgórzem.

– Mam szczerą nadzieję, że to nie stanowi problemu.

Na zakręcie pojawia się kolumna samochodów. Sześć wielkich, czarnych SUV-ów. Dwa parkują na jezdni, pozostałe cztery podjeżdżają i zatrzymują się w zatłoczonej już przestrzeni przed domem. Sporo tego. Wyobrażam sobie, że nasi sąsiedzi znad jeziora przyglądają się uważnie zza firanek i zastanawiają, w jakie tarapaty wpakowałam się tym razem.

Stoimy w ciszy na werandzie i obserwujemy.

– FBI? – pyta J.B.

Kiwam głową.

– Wejź do środka. Zaraz przyjdę.

Odchodzi, a ja czekam, a moje oddechy zmieniają się w parę na zimnym powietrzu. To jedna z takich nocy, jakie bardzo lubimy z Samem – chłodna, z rozgwieżdżonym niebem i blaskiem księżyca

odbijającym się w tafli jeziora. Czasami siadaliśmy na werandzie z butelką wina, okryci jednym kocem, ze splecionymi dłońmi. Zupełnie spokojni.

Bardzo mi tego brakuje.

Z pierwszego SUV-a po stronie pasażera wysiada agent specjalny FBI, Mike Lustig. Potężny Afroamerykanin o przystojnej twarzy, na której w reakcji na mój widok pojawia się lekki uśmiech. Z samochodów wysiada więcej ludzi – podobnie jak Lustig, sami poważni faceci w garniturach. Mike ma przypiętą na biodrze odznakę FBI, której zazwyczaj nie nosi. W tej chwili załączył mu się pełny tryb biurowy.

– Cześć – mówię i podaję mu dłoń, którą ściska. Jesteśmy na nieco bardziej formalnej stopie niż w przypadku pozostałych moich przyjaciół, przynajmniej teraz, po wydarzeniach w Wolfhunter. Mike dokonał wyborów, których nie akceptowałam. Nigdy tak do końca mi nie ufał i wątpię, by miało się to zmienić w najbliższym czasie. – Dzięki, że przyjechałeś. – Zataczam ręką półokrąg. – I za to, że zabrałeś ze sobą kawalerię.

– Naprawdę przetrzebiłem biura w Knoxville i Memphis – przyznaje. – Oddziały specjalne jadą z siedziby prosto w miejsce, które wskazałaś.

Nie jestem aż tak głupia, by uznać, że uwierzył mi na słowo.

– Masz potwierdzenie lokalizacji tego kompleksu?

Kiwa głową i wyciąga telefon. Przeciąga kilka razy po ekranie i pokazuje mi zdjęcie. Zrobiono je z satelity i trudno jest dokładnie się w nim rozeznać, cały obszar porośnięty jest drzewami. Widzę jednak otwarty teren i przynajmniej dwa budynki. Jeden z nich przypomina kościół. Dostrzegam też szeroki strumień płynący wzdłuż ogrodzenia, który wpada do niewielkiego jeziora. *Bitter Falls*. To pasuje do opisu Carol. Darii.

– Wysyłamy drona, żeby lepiej przyjrzeć się okolicy, więc niebawem powinniśmy mieć nowe zdjęcia.

Mike coś ukrywa. Nie zaskakuje mnie to, ale nieco irytuje.

– Nie załatwiłbyś tego wszystkiego, opierając się wyłącznie na tym, co ci powiedziałam. Co znalazłeś?

Widzę, że nie chce mi powiedzieć, ale on z kolei uświadamia sobie, że inaczej nie ustąpię.

– Przyjrzeliliśmy się temu opuszczonemu obozowi, o którym mówiłaś. Przyznaję, że była to dla nas pewna niespodzianka. Nikt nigdy nie zgłosił niczego w tej sprawie, nie uciekł, nie rozpowiadał historii. Nic. Ludzie, którzy byli w tej sekcji, trzymali język za zębami albo nie wiedzieli wystarczająco wiele, by miało to jakąś wartość. Przeszukaliśmy różne bazy danych i natrafiliśmy na mężczyznę nazwiskiem Tom Sarnovich. W latach siedemdziesiątych zaczynał jak typowy kaznodzieja, po czym przejął kościół w Wolfhunter. Pewnego dnia kościół został po prostu zamknięty, a oni przenieśli się do posiadłości Carra, gdzie zbudowali swój pierwszy kompleks budynków.

– Ten sam, który znaleźliście z Samem.

Lustig przytakuje.

– Okazało się, że działali tam przez mniej więcej dziesięć lat, po czym kaznodzieja Tom zamarzył o czymś większym. Przeprowadzili się do obozu, który widziałaś na nagraniu. To była stara osada górnicza sprzedana na aukcji.

W tym momencie urywa i nabiera wody w usta. Widzę, że się waha.

– Agencie – mówię i dodaję nieco ciszej. – Mike.

– W porządku. Wysłaliśmy tam zespół, żeby rzucili okiem z bliska. Było tam tak jak na tym filmie – dziwnie i niepokojąco, ale żadnych śladów przestępstwa. W okolicy znajduje się jednak również nieduże jezioro w starym kamieniołomie. Cuchnęło tam zgnilizną. Opierając się na przeczuciach, agent dowodzący wysłał na dno nurka.

Robi mi się sucho w ustach. Nie odzywam się, po prostu czekam.

– Znaleźli kości – mówi. – Nie sposób stwierdzić, ile ciał tam spoczęło, ale rozrzuconych kości było mnóstwo. Same szkielety. Na jednym z nich nurkowie zauważyli przymocowany łańcuch z balastem.

Rozchyłam usta, ale wciąż milczę. Wszystko zaczyna do siebie pasować i zgadza się z tym, co mówiła Carol. Chrzest i armia świętych Ojca Toma.

– Jestem pewny, że przenieśli się z powodu smrodu, bo kiedy wrzuci się do zbiornika wodnego tyle ciał, nie sposób go zamaskować. Musiało tam nieludzko cuchnąć, poszukał więc nowego miejsca, żeby zacząć od początku.

– Bitter Falls – szepczę i przetykam ślinę. Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie. – Jak głębokie jest to jezioro?

– Głębsze niż to pierwsze. Założę się, że korzystają z niego w tych samych celach.

Mam w tej chwili tak miękkie kolana, że muszę się oprzeć o poręcz werandy. Wyobraźnia przez cały czas podsuwa mi obraz mojego syna zanurzanego w tej wodzie, zakutego w kajdany, opadającego w zimną, czarną toń. Po chwili widzę Sama. Robi mi się niedobrze. Za dużo już tego wszystkiego, a wspomnienia są zbyt bliskie.

Melvin też kotwiczył ciała swoich ofiar w wodzie. Lubił zabierać nas nad jezioro, w którym się znajdowały, a potem pływał z nami łódką nad swoim ogrodem martwych kobiet. Nie wiedziałam o tym aż do procesu i nadal mi się śni, że wypadam przez burtę i dołączam do nich tam w dole, gdzie czekają na mnie niewidzące oczy i uniesione w górę ręce.

Nie wymiotuję, ale chwytam łapczywie powietrze. Lustig przygląda mi się uważnie, więc szybko dochodzę do siebie.

– W normalnych okolicznościach nie pozwoliłbym ci się zbliżyć na kilometr do jakiegokolwiek z moich operacji – mówi. – Szczególnie takiej. Wiesz o tym, prawda?

Kiwam tylko głową, wciąż czując kwaśny posmak w gardle.

– W takim razie zawrzemy następującą umowę. Ty, twoi przyjaciele, niezależnie od tego, za jakich twardzieli ich uważasz, możecie zostać z nami, ale w odpowiedniej odległości. Nie mogę sobie pozwolić, żebyście znaleźli się na linii ognia czy próbowali coś kombinować. Nie będziemy mieli tam do czynienia z racjonalnymi ludźmi. Rozumiemy się?

– Tak. Kiedy wkraczacie?

Lustig wzdycha i patrzy w zupełnie już ciemne niebo. Zmarnowaliśmy już tyle czasu. Oczekuję, że powie: wkrótce, teraz, a może dziś w nocy.

Ale mówi:

– Nie wkraczamy.

Przez krótką chwilę patrzę na niego zupełnie otępiała, niepewna, czy dobrze usłyszałam.

– Oni mają Connora. I Sama. Wiesz dobrze, co oni robią innym! Do tego mają tam co najmniej pięćdziesięciu ludzi i nie wiemy nawet, którzy z nich są fanatykami, a którzy ofiarami. Informacje, które zdobyłaś od swojej informatorki, i dowody, które widzieliśmy w starym obozie, pozwalają sądzić, że są tam małe dzieci. To mnóstwo potencjalnych ludzkich tarcz i osób, które nie sięgają po broń. Nie możemy sobie pozwolić na frontalny atak. Oni tylko na to czekają.

– Ale... powiedziałaś, że ich wydostaniesz, ty draniu...

– Hej – przerywa mi. W moim głosie pojawiła się głośna i ostra nuta. Przegrałam bitwę o zachowanie spokoju. I dobrze. Muszę się wykrzyzczeć. Muszę zacząć rozdawać ciosy i sprawić, że ludzie zaczną mnie słuchać. – Spokojnie. Jeśli zrobimy to we właściwy sposób, skrzywdzenie kogokolwiek w środku będzie dla nich zbyt kosztowne. Sprawimy, że jego wyznawcy złożą broń i sami wyjdą na zewnątrz. Gwarantuję, że są tam ludzie, którzy nie poddali się zupełnie praniu mózgu i chcą się wydostać. Jest ich pewnie więcej,

niż ci się wydaje. Zaufaj mi, to nie jest typowa sytuacja, w której wprowadza się do gry komandosów. Najlepiej będzie, jeśli po prostu ich przekonamy, żeby sami stamtąd wyszli.

To wszystko, co mówi, ma sens, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. Sam pomysł oczekiwania, podczas gdy mój syn jest... kiedy Bóg jeden wie, co się z nim dzieje... wiem, że nie tędy droga. Po rozmowach z Carol i po tym, do czego była gotowa się posunąć, żeby uniknąć powrotu do sekty, mogę zakładać z dużą pewnością, że to, co czeka za tym ogrodzeniem, jest dużo gorsze od tego, co przypuszcza Lustig. Jestem cholernie wkurzona i wiem, że nie mnie nie posłucha. On ufa Samowi, nie mnie.

Doprowadzi do śmierci moich chłopaków, a ja nie wiem, czy powinnam winić za to jego, czy siebie samą. Powinnam była przewidzieć, że zaangażowanie w to Lustiga jest ryzykowne. To nie jest żaden swobodnie działający agent i musi przestrzegać swoich protokołów.

Nie pozwolę jednak, by którykolwiek z tych protokołów zabił mi syna.

Lustig mnie woła, kiedy odchodzę, ale nie zatrzymuję się. Nie próbuje po raz drugi.

Wchodzę do środka i zamykam drzwi. J.B., Kezia, Javier i dziewczyny patrzą na mnie z niepokojem, kiedy opieram się o nie od środka. W końcu znajduję odpowiednie słowa:

– Jesteśmy zdani tylko na siebie. FBI chce to załatwić na swój sposób, ale na takich warunkach nie odzyskamy Connora i Sama żywych. Nie według tego, co powiedziała mi Carol.

– Nie zamierzają szturmować, prawda? – pyta Javier.

– Cytując Mike'a, to nie jest sytuacja, w której wprowadza się do gry komandosów. – Wkładam w te słowa całą swoją gorycz.

Javi traktuje to bardzo osobiście.

– A skąd on to może wiedzieć? Czy on sobie wyobraża, że chcieliśmy tam wparować i wszystkich rozstrzelać? Nie tak to działa.

– Przerywa na chwilę i kręci głową. – Zamierzają negocjować?

– Chcą spróbować. Z tego, co powiedziała mi Carol, Ojciec Tom przygotowywał się do tego od długiego czasu. Potraktuje to jak ich ostateczną bitwę. Chwalebne zwieńczenie. Ragnarök, Armageddon, czy jakakolwiek religia zagnieździła się w jego głowie. Jeśli FBI zamierza czekać cierpliwie na zewnątrz, to wszystko potoczy się bardzo źle.

– Dlatego potrzebny nam plan B – mówi Kezia. – Taki, dzięki któremu dostaniemy się do środka. Znajdziemy Sama i Connora i wydostaniemy ich stamtąd. Ale co z innymi? Z pewnością nie każdy tam zechce umierać za Ojca Toma. Z tego, co mówiłaś, kobiety są tam traktowane tylko niewiele lepiej niż niewolnice. I dzieci...

J.B. kręci głową.

– Na kobiety nie możemy liczyć. W takich sektach to one są zwykle najbardziej zagorzałymi wyznawczyniami, niezależnie od tego, jak źle są traktowane. Może dlatego, że jeśli przestaną wierzyć w sprawę, nie będą niczym więcej niż ofiarami, a tej świadomości nie zniosą. Jeśli zamierzamy zwrócić się do nich o pomoc, to możemy od razu założyć, że pierwsze podniosą alarm.

To dość ponura perspektywa, bo zależy mi na tych kobietach. I na dzieciach. Na mężczyznach, którzy zostali wykorzystani, porwani lub którym wyprano mózgi w tej śmierdzącej sekcji. Chcę ich ocalić.

Wiem jednak, że czasami trzeba ratować siebie w pierwszej kolejności. W samolotach zawsze nakazują ci nałożyć maskę sobie, a dopiero potem pomagać innym. Moim tlenem są Connor i Sam, a kiedy będą już bezpieczni, wtedy mogę spróbować uwolnić innych.

– Sugerowałabym infiltrację, ale na to nie mamy wielkich szans – kontynuuje J.B. – Panie Esparza, detektyw Claremont... przykro mi to mówić, ale wszystko, czego się do tej pory dowiedzieliśmy o tych ludziach, to że interesują ich wyłącznie biali rekruci. To niestety eliminuje was dwoje. Gwen, ciebie niektórzy z nich znają już

z widzenia. Jestem pewna, że Ojciec Tom ma twoje akta. Wyczuje twoją obecność na kilometr.

– Czyli ty? – pytam ją. – Nie, J.B. Nie mogę cię prosić...

– To i tak by nie zadziało – wtrąca szybko. – W takich sektach starsze osoby nie są do niczego potrzebne. Ojcu Tomowi nie przydadzą się kobiety, które nie są w wieku rozrodczym.

– W takim razie kto...

Nagle uświadamiam sobie, co ma na myśli, i czuję, jakby chwyciła mnie za gardło. Kręcę zdecydowanie głową.

– Nie. *Nie*. Nie ma mowy. Nie pozwolę Lanny zbliżyć się do...

– Nie musi pani. Ja to zrobię – odzywa się Vera Crockett.

Brzmi spokojnie jak herbata z rumianku. Nawet lekko się uśmiecha. Wszyscy kierujemy na nią spojrzenia. Vee, ze swoim nastawieniem, niewielką siłą i nieco szalonym wzrokiem.

– Vera, nie możesz tego zrobić. Wiem, że nie jestem twoją mamą, ale...

– Owszem, nie jest nią pani. Sama potrafię się o siebie zatroszczyć. Często opiekowałam się moją własną matką. No i jestem w odpowiednim wieku, prawda? Oni lubią młode dziewczyny.

– Nie – odpowiadam. – To nie wchodzi w rachubę. Ci ludzie to mordercy.

Vee patrzy na mnie bez emocji.

– Myśli pani, że o tym nie wiem? Ludzie ze Zgromadzenia w Wolfhunter zabili mi mamę. Znam ich lepiej niż wy wszyscy. I potrafię zagrać swoją rolę, oj, potrafię!

– Jesteśmy wdzięczni za ofertę – mówi J.B. – ale to nie zadziała. Gdyby czasy były inne, przyznałabym rację, że Vera byłaby doskonałą kandydatką do werbunku. Ale to musiałoby dziać się stopniowo, a nie tej samej nocy, kiedy zjawi się FBI. Oni cię zabiją, Vee.

– Dam sobie radę – nalega dziewczyna. – Dam! Nie możecie mi tego zabronić!

Nie ma absolutnie mowy, żebym pozwoliła jej zrobić coś takiego. Owszem, nie jest moją córką, ale jestem za nią odpowiedzialna.

– Nie! – krzyczę tym razem, co zaskakuje Lanny do tego stopnia, że błyskawicznie chwyta Vee za rękę. Na tej ostatniej nie zrobiłam większego wrażenia. – Nie zrobisz tego, Vera! Nie pozwolę na to! – Opanowuję się nieco, cichnę i odwracam do pozostałych. – Potrzebne nam inne opcje. Czy ktoś ma jakieś?

Vee odwraca się i odchodzi korytarzem, po czym zatrząskuje za sobą głośno drzwi. I dobrze. I tak nie chciałam, żeby w tym uczestniczyła. Ona i Lanny. Moja córka jest rozdarta. Rzuca mi błagalne spojrzenie, a ja kiwam głową w stronę korytarza. Natychmiast podąża śladem Vee.

Nasza czwórka milczy przez kilka bolesnych sekund, aż w końcu odzywa się Javier:

– Przypomnij mi jeszcze raz, co mówiła ta dziewczyna. O tym, jak powołują swoich świętych.

Powtarzam opowieść Carol najlepiej jak potrafię. Mówię o tym, jak Ojciec Tom topi swoich jeńców w stawie. Wynika to jasno z dowodów pozyskanych przez FBI w jeziorze w opuszczonym obozie, więc niemal z pewnością dzieje się to samo w Bitter Falls.

Javier słucha z neutralnym wyrazem twarzy i kiwa głową.

– Otworzę strzelnicę. Skorzystamy z mojego uzbrojenia. Jeśli FBI nie zamierza tam wkroczyć, my to zrobimy. To ryzykowne. Ty i ja, Gwen.

– Ja również – mówi Kez. Javier rzuca jej pozbawione emocji spojrzenie, a ona wbija w niego wzrok. Nikt się nie ugina. – Nie decydujesz za mnie, Javi.

– W porządku – mówi i uśmiecha się przelotnie. – Wiem, że nie zdołam cię powstrzymać. – Przenosi spojrzenie na J.B. – Nie znam pani i nie mogę założyć, że da sobie pani radę. Przykro mi.

– W porządku – odpowiada J.B. – Minęły już czasy, kiedy wspinałam się na ogrodzenia. Mam jednak dwóch ludzi, którzy wciąż to potrafią i tylko czekają na moje wezwanie. Można im zaufać i na nich liczyć.

– W walce również? – pytam. – Bo tym się to zakończy, J.B.

Unosi jedno ramię, jakby wzruszała nimi tylko w połowie.

– Cicely West i Joe Froud. Znasz ich. Ty mi powiedz. Zgłosili się na ochotników, kiedy usłyszeli o Connorze i Samie.

Joe Froud jest wysokim, szczupłym i wesołkowanym facetem. Spotkałam go kilka razy, raz pracowaliśmy wspólnie. Nigdy jednak w niebezpiecznych okolicznościach. Cicely, cóż... już widziałam ją w akcji. Jeśli J.B. uważa Joego za dobrego kandydata, to nie mam z tym problemu.

– Przekaż im, proszę, że to cholernie niebezpieczne i że zrozumieć, jeśli ostatecznie zdecydują, że to nie dla nich. Żadnych osądów.

– Zadzwoń do nich – mówi J.B. Idzie do kuchni, zostawiając mnie z Kez i Javierem.

– Was też to dotyczy. Nie mogę prosić, żebyście się na to pisali. Nie chcę, abyście ryzykowali dla mnie życiem...

– Hej – rzuca Kez. – Nie robimy tego dla ciebie, Gwen. Robimy to dla Connora. Oboje kochamy tego chłopaka. Jeśli ktokolwiek w tej sytuacji pozostaje niewinny, to właśnie on.

Javier potwierdza skinieniem głowy, a ja muszę przerwać na chwilę. Te słowa są zarówno cudowne, jak i bardzo trudne. Potrzebuję ich, ale chcę również, żeby byli bezpieczni. Ale potrzebuję też mojego syna. Nie ma tu dobrych odpowiedzi, poruszam się zupełnie po omacku.

J.B. kończy rozmowę i wraca.

– Spotkamy się z nimi na miejscu – informuje. – Pytanie brzmi, jak się stąd wydostaniemy, kiedy FBI blokuje nam wyjście?

– Nie będziemy prosić – odpowiadam. Wstaję, podchodzę do drzwi w pokoju Lanny i pukam. Nikt nie odpowiada, więc wchodzę do środka.

Moja córka stoi przy otwartym oknie i patrzy na zewnątrz. Na moich oczach zsuwa je w dół i blokuje, a następnie odwraca się do mnie z założonymi rękami.

– Vee ma rację – oznajmia. – Nie możesz za nią decydować, mamo.

– Odeszła?

Lanny tylko kiwa głową. Kurwa. Nie mogę martwić się o to, co planuje Vee. Nie ma mowy, żeby zdołała tam dotrzeć przed nami. Muszę powiadomić FBI, że dziewczyna może próbować zbliżyć się do kompleksu. Nie chcę, by ktokolwiek z tamtych pomyślał, że jest uzbrojona.

Mam ochotę nakrzyczeć na Lanny, ale to nic nie da. Powinnam była wiedzieć, że Vee Crockett postąpi według swojego uznania, słusznie czy nie. I że Lanny się z nią zgodzi. Biorę więc córkę w ramiona i przytulam. Czuję, jak opuszcza ją całe napięcie.

– Już dobrze – mówię. – Wszystko się ułoży.

Okłamuję własne dziecko. Czuję się zupełnie pozbawiona kontroli, czasu i nadziei. Po raz pierwszy w życiu muszę polegać nie tylko na sobie, ale na dobrej woli moich przyjaciół. Ludzi, których szanuję i kocham. A przekazanie kontroli jest najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłam od dawien dawna.

Prowadzę Lanny z powrotem do salonu. J.B., Javier i Kez podnoszą wzrok.

– Bierzmy się do roboty – mówię i patrzę na córkę. – Lanny, zostaniesz z J.B. Cokolwiek się wydarzy, nie chcę, żebyś była sama.

Przytakuje. Bardzo się bała, że zostawię ją samą, a to rani i leczy jednocześnie. Wiem, że wybieram się w niebezpieczne miejsce, ale Lanny doskonale wie, jak sobie poradzić.

– Gwen? – odzywa się Javier. – Kiedy zaczniemy działać, będziesz wykonywać moje polecenia. Nie ma innej możliwości.

Kiwam głową, choć to wbrew mojej naturze.

Czasami muszę pozwolić kierować tym, których kocham.

Rozdział 24

Connor

Zaczęło się od dziewczyny, która próbowała namówić mnie na wspólny spacer. Od Arii.

Na zewnątrz już zapada zmrok, kiedy armia milczących kobiet podaje kolację. Aria jest jedną z nich. Przez większość czasu przemieszcza się z wzrokiem wbitym w podłogę, jednak rzuca mi sporo spojrzeń. Nie mam nic przeciwko. Co pewien czas wraca, żeby napełnić nasze szklanki. Mężczyźni siedzący przy stole całkowicie ją ignorują, jakby w ogóle nie istniała. Ale ja ją widzę, a ona mnie.

Ona musi opuścić to miejsce razem z nami, myślę. W ogóle tutaj nie pasuje. Są tu również dziewczyny młodsze niż Aria. Jedna z nich to blondynka o potarganych włosach, w której oczach czai się przerażający strach i która kuli się za każdym razem, kiedy ktoś przechodzi tuż obok. Druga ma ciemne włosy, najwyżej dziewięć lat, i sprawia wrażenie smutnej i zagubionej. Żadna z nich nie przypomina Arii, która wydaje się wiedzieć, co robi.

Kiedy Aria pochyla się nad moim ramieniem, żeby napełnić moją szklankę wodą, szepcze:

– Spotkajmy się o północy przy wodospadzie.

Znika, zanim dociera do mnie znaczenie tych słów. Nie jestem pewny, czy w ogóle dobrze usłyszałem. Oddała się z dzbankiem, nie odwracając się. Posiłek dobiega końca, a ja muszę słuchać, jak Ojciec Tom modli się przez niemal godzinę, zanim możemy się rozejść. Kiedy wszyscy pochylają głowy, ja też to robię, ale nie zamykam oczu. Jestem pewny, że wszyscy są bardzo skoncentrowani na jego mruczeniu, więc powoli przesuwam rękę i kładę dłoń na widelcu, który zostawiłem przy pustym talerzu. Wolałbym nóż, ale nie dostałem żadnego. Powolnym ruchem wsuwam widelec do rękawa i pracuję palcami tak długo, aż zęby blokują się o bawełniany szew. To akurat podoba mi się w ubraniu, które kazał założyć mi Ojciec Tom: pod koszulą i czarną kurtką mogę chować różne rzeczy.

Kiedy modlitwa dobiega końca, wszyscy wstają. Ja również, jednak mężczyźni stojący po obu stronach kładą mi dłonie na ramionach i nakazują tym gestem usiąść. Moje serce gwałtownie przyspiesza. Zerkam na jednego z nich i pytam, o co chodzi, ale nie odpowiada, jedynie się uśmiecha.

Wtedy podchodzi do mnie Ojciec Tom.

– Odłóż to, Connorze – nakazuje spokojnie i cierpliwie, ale stanowczo. Rozważam blef, ale znam ten głos. Tak samo brzmi moja mama, kiedy doskonale wie, co kombinuję.

Wiedzieli, że spróbuję. Byli na to przygotowani.

Sięgam w milczeniu do rękawa i wydaję widelec, po czym odkładam go na miejsce. Mężczyźni zdejmują dłonie z moich ramion.

– Podoba mi się twój duch – mówi Ojciec Tom. – Musisz jednak zrozumieć, że kiedy robi się coś takiego, należy ponieść karę. Jednak nie ty ją poniesiesz, ale człowiek, który nazywa się twoim ojcem.

Zrywam się na równe nogi, niewiele się zastanawiając. Zaciskam mocno pięści.

– Nie róbcie mu krzywdy! – wyrzucam z siebie.

Mężczyźni po obu stronach śmieją się, jakby uważali mnie za zabawnego. Głupiego i słabego. Odsuwam krzesło tam zamaszystym ruchem, że aż przewraca się na podłogę i śmiech natychmiast się urywa.

– Podnieś je i postaw na swoim miejscu – nakazuje Ojciec Tom.

– Nie jesteś dzieckiem, nie pozwalaj sobie na napady hysterii.

Najgorsze jest, że mówi to wszystko w taki sposób, że chcę wykonać polecenie. Że chcę go zadowolić.

Zamiast tego kopię krzesło, które sunie po drewnianej podłodze. Mężczyzna stojący nieopodal zatrzymuje je stopą i zerka na Ojca Toma, po czym stawia krzesło.

– To już zupełny brak szacunku – mówi Ojciec Tom. – Idź po to krzesło, Connor. Odstaw je tam, gdzie stało. Natychmiast. W przeciwnym razie zmusisz mnie do zrobienia czegoś bardzo nieprzyjemnego.

Wykorzystuje Sama i nienawidzę go za to. Nie powiedział, co dokładnie zrobi, ale to bez znaczenia, z pewnością nie będzie to nic dobrego. Nie mogę pozwolić na skrzywdzenie Sama tylko dlatego, że jestem wkurzony i wystraszony.

Idę po krzesło, podnoszę je, stawiam przy stole i przenoszę spojrzenie na Ojca Toma. Ten uśmiecha się i poklepuje mnie po ramieniu.

– Dobry chłopiec – mówi, jakbym był domowym zwierzątkiem. – Dobrze wyglądasz w tym stroju. Dużo lepiej niż w tych nowoczesnych szmatach. – Ma na myśli moje niebieskie dżinsy z dziurami. Spodnie, które kazali mi założyć, są ciasne, nowe i tanie i nie cierpię ich. Czarna kurtka swędzi. Koszula wydaje się cienka i ręcznie szyta. Pozwolili mi jedynie zachować moje buty Nike.

Mam ochotę mu powiedzieć, że te ciuchy są do dupy, ale gryzę się w język.

Ojciec Tom idzie ze mną i innymi do kwater, długiego budynku, w którym śpią mężczyźni. Stoją tam rzędy identycznych prycz, u stóp których postawiono stare wojskowe skrzynie z demobilu, w których trzymamy ubrania i dozwolone tutaj rzeczy osobiste. Przydzielili mi pryczę i to głupie ubranie. Moje ciuchy zabrali, kiedy kazali mi się przebrać. Powiedzieli, że je wypiorą.

Nie sądzę, żeby mówili prawdę.

– Wszystko u nas odbywa się rutynowo – mówi Ojciec Tom, odprowadzając mnie do pryczy. – Masz trzydzieści minut na prywatną modlitwę i kontemplację. Jeśli chcesz, możesz poczytać Biblię. A potem do łóżka.

– Chcę zobaczyć się z Samem.

– Samowi nic nie jest – odpowiada. – Z powodu twojego nieposłuszeństwa nie dostanie jutro niczego do jedzenia. Jeśli znów złamiesz zasady, odmówimy mu również wody. Zrobisz to trzeci raz, a będę zmuszony zastosować dużo gorszą karę. Rozumiemy się? Cieszę się, że jesteś silny, Connorze. Musisz jednak wiedzieć, jak używać tej siły.

Powiedziawszy to, oddala się. Pozdrawia pozostałych mężczyzn, ściska dłonie, klepie po ramionach w ten sam sposób, w jaki poklepywano mnie w kościele. To jakiś rytuał.

Kiedy wychodzi, wszyscy przerywają rozmowy i kładą się na pryczach, nie licząc niewielkiej grupy stojącej przy drzwiach. Ci nie noszą tej samej odzieży co reszta – mają normalne ubrania, kraciaste koszule, T-shirty i dżinsy. Nie wyglądają na tak sztywnych, jak moi towarzysze. W porównaniu z nami prezentują się zupełnie normalnie.

To ludzie z kampera plus kilku innych. Choć to dziwne, cieszą mnie znajome twarze. Kiedy do nich podchodzę, przerywają

rozmowę i patrzą na mnie z wyrazem znudzenia lub rozbawienia. Skupiam uwagę na Calebie.

– Kiedy dostanę z powrotem moje ubranie?

Caleb kładzie mi dłoń na ramieniu.

– To jest twoje ubranie, bracie. Noś je z dumą.

Jasne, jestem dumny, jak cholera. Chcę odzyskać moje ciuchy. Pamiętam, jak kupowałem te dżinsy w centrum handlowym w Knoxville, a do tego koszulkę z Avengersami, którą uwielbiam. Muszę je odzyskać. One nie należą do przeszłości, są moją przyszłością w prawdziwym świecie.

Dlatego właśnie mi je zabrali.

Zerkam na swoje ubranie. Teraz wyglądam tak, jak pozostali. Tego właśnie chcą. Próbują mnie zmieniać krok po kroku, uczynić kimś zupełnie innym. Tak samo, jak Ojciec Tom zmusił mnie do wykonania swoich poleceń.

Muszę się stąd wyrwać.

– Idź się pomodlić – mówi Caleb i odpycha mnie lekko. – Trzydzieści minut do zgaszenia świateł.

Nie modlę się. Siedzę, udaję i obserwuję innych, którzy rzeczywiście wydają się to robić. Załoga kampera ma za zadanie tego dopilnować. Spacerują wzdłuż przejść i kontrolują. Kiedy Caleb zaczyna mi się przyglądać, przestaję udawać i się modlę. *Dobry Boże, pomóż, proszę, Samowi. Dopilnuj, żeby nic mu się nie stało. Pomóż nam się stąd wydostać i zapewnij bezpieczeństwo mamie i Lanny. Zabierz stąd tych wszystkich ludzi.*

Czas mija dość szybko. Ostatnie pięć minut mężczyźni poświęcają na rozebranie się do bielizny. Wszyscy noszą takie same białe bokserki. Zdejmuję kurtkę, składam ją na skrzyni i udaję, że rozwiązuję buty. Robię to na tyle długo, że w końcu gasną światła, a ja wciąż mam na sobie spodnie i koszulkę. Kładę się do łóżka i podciągam kołdrę pod szyję. Muszę leżeć w bezruchu i czekać, aż

wszyscy zasną. Kiedy rozpoczyna się festiwal chrapania, uznaję, że czas ruszać w drogę.

Ale nie idę.

Leżę, obawiając się o to, że zostanę złapany. To wydaje się o wiele za proste. Ludzie Ojca Toma obserwowali mnie przy kolacji i zapewne któryś z nich robi to samo w tej chwili. Obawiam się, że jeśli spróbuję się wymknąć, narażę Sama na większą karę. Ale muszę coś zrobić, leżenie tutaj w niczym nie pomoże.

Aria chciała się spotkać przy wodospadzie. Siostra Harmony ostrzegła, żebym tam nie chodził. Nie wiem, której z nich powinienem zaufać. Jedna z nich z pewnością kłamie. Wolałbym uwierzyć Arii, która jest ładna i w moim wieku, a poza tym wydaje się mnie lubić. Siostra Harmony wygląda po prostu na wiecznie wkurzoną.

W końcu podejmuję decyzję. Wysuwam się z łóżka i podchodzę cicho do drzwi. Nie ma żadnych strażników, wszyscy leżą w swoich pryczach, nawet Caleb. Słyszę, jak chrapie, kiedy przechodzę obok. Jego prycza znajduje się najbliżej wyjścia. Boję się, że zawiasy zaczną skrzypieć, ale tak się na szczęście nie dzieje. Drzwi otwierają się bezgłośnie i wymykam się na zewnątrz.

Serce wali mi z emocji, kiedy zamykam drzwi i opieram się o nie, żeby złapać oddech. Trzymam się cienia i uważnie rozglądam dookoła. W obozie słychać skrzeczenie żab i chrapanie dobiegające z budynku. Księżyc daje dziś niewiele światła. Na niebie wiszą chmury, gęste ciemne masy o srebrnych krawędziach. Czuję paskudny zapach, jakby śmieci. Może to ze zbiorników na odchody.

Nagle rozlegają się kroki, więc zastygam z plecami przyciśniętymi do ściany kwatery. To ludzie ze Zgromadzenia, patrolujący obóz w nocy. Jeden z nich przechodzi całkiem blisko. Wstrzymuję oddech i staram się zniknąć w cieniu. *Zaraz mnie zobaczy.* Nie spogląda jednak nawet w stronę budynku. Wygląda na

zmęczonego. Ziewa, drapie się po głowie, rozciąga szyję i idzie w kierunku innych zabudowań, w których śpią kobiety. Do Ogrodu.

Na samym środku otwartej przestrzeni dostrzegam betonowy budynek, w którym trzymają Sama. Przeszedłem obok już kilka razy wcześniej, starając się go zlokalizować, aż w końcu zobaczyłem metalową szopę, praktycznie klatkę, na końcu budynku. Zamknięta była na kłódkę – taką z szyfrem, a nie na kluczyk. Nie mam pojęcia, jak otwierać zamki, a przynajmniej wtedy widziałem również pilnującego go strażnika. Może nie robią tego w nocy? Nie wiem. Jestem jednak pewny, że Ojciec Tom oczekuje, że się tam pojawię.

Siostra Harmony mówiła chyba prawdę. Aria zapewne kłamie. Coś mi tu nie gra, zdecydowanie zbyt łatwo opuściłem kwaterę. Strażnik powinien był mnie zauważyć.

Oni *chcą*, żebym spotkał się z Arią. Czy powinienem w takiej sytuacji tam pójść? Może jeśli to zrobię, zdołam ją przekonać, żeby mi pomogła. Kiedy będzie mnie do czegoś namawiać, może uda mi się jednocześnie wyciągnąć od niej jakieś informacje. Może nawet to ja przekonam ją, żeby zrobiła, co jej każe.

Nie podoba mi się to wszystko, ale muszę dostać się do Sama i uciec. Tylko to się teraz liczy.

Po drugiej stronie budynku wije się ścieżka, która biegnie wzdłuż wysokiego, zwieńczonego kolczastym drutem ogrodzenia. Panuje tam mrok. Słyszę w oddali szum wodospadu. To jedyny dźwięk w tym miejscu, nie licząc żab i chrapania. Ta cisza jest bardzo dziwna.

Nie potrafię określić godziny, może ci ludzie umieją odmierzać czas na podstawie położenia księżyca na niebie. Skoro jednak strażnik się oddalił, mam szansę opuścić cień i ruszyć w drogę. Może to ma jakieś znaczenie, a może nie. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, równie dobrze mógłbym przejść przez sam środek obozu i nikt by mnie nie zatrzymał. Przez chwilę czuję pokusę, by to sprawdzić.

Jeśli jednak się mylę, jeśli naprawdę zostanę schwytyany podczas przekradania się, Sam ucierpi. Wolę jednak zostać w cieniu.

Chwilę to trwa. W końcu docieram do niewielkiego zagajnika w pobliżu dużego domu, który musi należeć do Ojca Toma. Jest dużo ładniejszy niż inne zabudowania i w środku wciąż świeci się światło. Godzina policyjna dotyczy wszystkich innych, ale nie jego.

Moja mama weszłaby tam zapewne i zmusiła go, żeby wypuścić ją i Sama. Wyobrażam sobie przez chwilę, jak musi wyglądać Ojciec Tom, kiedy się boi. Kiedy zostaje do czegoś zmuszony. Fajnie jest tak sobie pofantazjować, ale kiedy kończę o tym myśleć, czuję się podle. Wiem, że nie zdołam zrobić czegoś podobnego. Nie w sytuacji, kiedy ma po swojej stronie tych wszystkich ludzi z bronią.

Okrażam dom i niknę w cieniu drzew.

Docieram do ścieżki. Nie jest tak łatwo, jak sądziłem, żwir jest ostry i niebezpieczny, a miejscami ścieżka opada pod stromym kątem. Nie upadam, ale to nie byłaby żadna sztuka. Mam wrażenie, że drzewa się do mnie zbliżają. Wiatr szumi wśród gałęzi i jest tak zimno, że zaczynam żałować, że nie założyłem tej głupiej kurtki.

Szum wodospadu przypomina zakłócenia w radiu. Zaczyna się dość nisko, po czym zmienia w syk, a następnie w ryk, kiedy wychodzę zza drzew i po raz pierwszy oglądam to miejsce. Jest tu naprawdę pięknie. Wodospad nie jest duży, ma pewnie z siedem metrów, nigdy jednak nie widziałem żadnego na własne oczy. Podoba mi się.

Nie mogę powiedzieć tego samego o jeziorze. Jest zbyt ciemne, zbyt nieruchome i cuchnie zgniłymi rybami.

Aria czeka na mnie przy brzegu ze splecionymi przed sobą dłońmi, ale nie patrzy pod nogi, jak to zwykła czynić. Stoi z wysoko uniesioną głową i się uśmiecha, a kiedy podchodzę bliżej, jej uśmiech jeszcze się poszerza.

– Przyszedeś – mówi. – Dziękuję, bracie Connorze.

– Wystarczy Connor – odpowiadam. Blask księżyca jest tutaj silniejszy, co mnie cieszy. Chcę widzieć dobrze, co ona robi. – Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

Podchodzi bliżej i kładzie mi dłoń na piersi. Czuję, jakbym przyłożył czubek języka do baterii, jakby przepływała przeze mnie jakaś energia, która powoduje dzwonienie w uszach. Aria jest niższa ode mnie. Drobna, ładna i taka krucha. Nie miałem tej świadomości wcześniej, ale teraz wszystko wydaje się takie realne.

Unosi się na palcach, wdzięcznie jak balerina, po czym mnie całuje.

Jestem tak zaskoczony, że nie wiem, jak zareagować. Po prostu... zamieram, a wszystko w mojej głowie zaczyna się kotłować, takie to jest przyjemne. Całowanie jest naprawdę super, do tej pory o tym nie wiedziałem. Chyba powinienem, skoro wszyscy wokół rozpowiadają, jakie to fajne, jednak rzeczywistość okazuje się jeszcze wspanialsza. Nie wiem, jak oddać pocałunek, ale próbuję, przyciskając wargi do jej warg, przesuwając po nich...

...i wtedy zaczynam się zastanawiać, dlaczego ona mnie całuje. Owszem, jest to cudowne, ale wydaje się niewłaściwe.

Cofam się, a kiedy odwracam głowę, widzę obok Ojca Toma. Obserwuje nas. Czuję się jednocześnie zawstydzony i wściekły. Nagi. A on się do nas uśmiecha.

– Wybrałem ją dla ciebie – informuje mnie. – Kwiat z mojego ogrodu. Widzę, że ci się podoba.

Zerkam na Arię. Oczekuję, że również będzie zła, wstrząśnięta... ale ona wciąż się uśmiecha, jakby była szczęśliwa. Chwytam ją za ramiona i potrząsam.

– Nie jesteś kwiatem, a on nie ma prawa ci mówić, co masz robić!

Patrzy na mnie ze zdziwieniem, aż czuję wstyd, że tak nią szarpię. Wygląda na naprawdę zaskoczoną.

– Ojciec Tom ma zawsze rację – mówi. – Dlaczego nie miałabym robić tego, co mi każe? Poza tym lubię cię, Connorze. Jesteś miły.

– Nawet mnie nie znasz! – krzyczę, a kiedy kuli się, odsuwa, splata dłonie i opuszcza wzrok, czuję się naprawdę do dupy. – Przestań! On nie może tak po prostu cię oddać! Nie należysz do niego!

– Zgadza się – mówi i patrzy na mnie. – Teraz należę do ciebie.

– To jest chore. Ja mam trzynaście lat.

– A ja dwanaście, ale jestem już kobietą. Wszystko jest w porządku.

– Nie jest! – Nie mam pojęcia, co powiedzieć, żeby mnie zrozumiała. Odwracam głowę w stronę Ojca Toma. On wie, że to nie jest właściwe, dlatego trzyma tutaj ludzi pod kluczem. – To nie wchodzi w grę.

– Oczywiście, że nie – odpowiada spokojnie. – Jeszcze nie. Ale ona zachowa dla ciebie cnotę, Connorze. Stanie się twoja, kiedy ty będziesz gotów.

– Nie – odpowiadam głucho, z przekonaniem. Odstawię to krzesło. Założę te głupie ubrania, jeśli to pomoże. Ale do tego się nie posunę.

Mój dawny ojciec kazałby mi to zrobić, dlatego stawię opór.

Ojciec Tom kręci tylko głową ze smutkiem, jakby wiedział, jak to się skończy.

– W porządku – mówi. – Ty będziesz to miał na sumieniu.

Unosi rękę nad głowę, a zza linii drzew na ścieżkę wychodzą ludzie. Jest z nimi Caleb, uzbrojony w paskudnie wyglądający karabinek szturmowy przewieszony przez pierś. I pozostali faceci z kampera. Oni wcale nie spali, oczywiście, że nie.

Moje serce się zatrzymuje, kiedy widzę, kogo prowadzą. *Tata.*

Wciąż ma łańcuchy na kostkach i nadgarstkach, a jeszcze jeden obwiązali mu wokół szyi jak grubą, metalową smycz. Czuję, jakbym zapadał się w ruchomych piaskach. Widok jest straszny, kiedy Caleb

prowadzi go za ten łańcuch. *Muszę coś zrobić.* Sam wygląda paskudnie, ledwie stoi na nogach, jest brudny i zakrwawiony, nie ma na sobie koszuli. Jediną czystą rzeczą jest biały bandaż, który ma owinięty wokół pasa.

Na plaży pojawiają się kolejni ludzie ze Zgromadzenia. Nikt z nich nie spał. Wszyscy brali udział w tym przedstawieniu.

– Wracaj do Ogrodu, siostrze Ario – nakazuje Ojciec Tom. – Twoja praca tutaj została zakończona.

Kiwa głową, nie przestając się uśmiechać, po czym mija mnie i rusza w górę ścieżką. Kiedy przechodzi obok Sama, zauważam, że on na mnie patrzy. Robię krok w ich stronę, ale on kręci z empatią głową.

– Spokojnie, Connor – mówi, a spokój w jego głosie jest wręcz bolesny. Tak bardzo chcę, żeby był bezpieczny. – Nic mi nie jest. Wszystko gra.

Caleb szarpie za łańcuch, a Sam dławi się i zatacza. Przepelnia mnie dzika furia.

Tracę nad sobą panowanie, tak jak wtedy w klasie. Tym razem wiem jednak, kogo chcę zaatakować. Ruszam prosto na Caleba. Widzę, jak puszcza łańcuch, cofa się i sięga po broń. Nic mnie to nie obchodzi, bo jestem zbyt wściekły i wystraszony, poza tym chcę, żeby to wszystko się skończyło.

Sam staje mi na drodze, więc zatrzymuję się gwałtownie. Nie obchodzi mnie to, czy zostanę zastrzelony, naprawdę, ale nie chcę, by coś stało się jemu.

– Spokojnie – powtarza. – Oddychaj, Connor. Oddychaj...

Caleb przysuwa lufę karabinka do skroni Sama.

– Cofnij się, bracie Connorze. Natychmiast. Inaczej ty będziesz miał go na sumieniu.

– Nieprawda – mówi Sam. – Zapamiętaj to.

Jeden z mężczyzn uderza Sama w bok, a ten krzyczy i niemal upada. Udaje mu się ustać na nogach, ale wiem, że więcej tego nie

zniosę. To głupie, rozumiem, ale muszę coś zrobić!

– On ma rację, Connorze. To nie jest tak naprawdę twoja wina – przyznaje Ojciec Tom, jakby nic się nie wydarzyło. – Przez całe swoje życie byłeś zatruwany przez kobiety. Szczególnie przez matkę.

Sam wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale wtrącam za niego:

– Moja matka jest najsilniejszą osobą na świecie.

– To nie twoja wina, że tak myślisz. Wyprano ci mózg. Ale siła kobiety jest dużo mniejsza. Ona jest niekompletna, powstała z żebra mężczyzny. Bóg stworzył ją po to, by służyła.

Sam wciąga ostro powietrze i mówi:

– Oszczędź sobie. To nie działa. Connor jest mądrzejszy, niż ci się wydaje. W takie gówno wierzą jedynie słabi faceci, tacy jak te dupki tutaj. – Wskazuje głową Caleba. Wiem, że ten za chwilę znów go uderzy, i muszę to powstrzymać.

– Bracie Calebie – mówi Ojciec Tom, oszczędzając mi wysiłku. – Nie ma takiej konieczności. Nie jesteśmy tu po to, żeby torturować tego człowieka.

Sądząc po wyrazie twarzy Caleba, chciałby to zrobić tak czy inaczej. Boję się raczej tego, co nadchodzi. Sam jest taki zmęczony, walczy, by ustać na nogach. Robi to dla mnie. Odgłos wodospadu jest jak wiertło, które przebija mi czaszkę, przegryzając się przez kość.

– Chciałbym uwierzyć w twoją umiejętność dokonywania zmian, bracie Connorze – mówi. – Udowodniłeś jednak mój błędny osąd wiele razy w bardzo krótkim czasie. Myślę, że nadszedł czas na twój chrzest. Będiesz dla nas bardziej przydatny, jeśli dołączysz do naszej armii świętych. – Nie wiem, co oznacza to ostatnie, ale nie brzmi dobrze. Czuję, że w powietrzu wisi coś okropnego.

– Amen – mówią otaczający nas mężczyźni.

– Chodź ze mną, chłopcze. – Ojciec Tom kładzie mi dłoń na ramieniu, podobnie jak robili to ze mną wszyscy w kościele. – Namaszczę cię wodą święconą.

– Nie! – woła Sam. Rzuca się naprzód, ale Caleb chwyta za łańcuch i zatrzymuje go szarpnięciem. Sam walczy i obawiam się, że może się udusić. Nie zniosę tego dłużej, nie wytrzymam widoku tego, co mu robią.

– Okej! – krzyczę. – W porządku! Pójdę! Już dobrze, tato!

Sam nie przestaje walczyć. Po chwili powalają go na kolana. Nie mogę na to patrzeć. Muszę to zrobić, żeby w końcu przestali. To tylko woda, nic strasznego.

Ojciec Tom prowadzi mnie do jeziora. Po dwóch krokach dno opada i nagle stoję w wodzie po kolana. Jest tak lodowata, że zaczynam się trząść. Z bliska tafla ma dziwny, oleisty poblask i cuchnie.

Ojciec Tom wciąga mnie nieco głębiej. Nie chcę iść, ale muszę. Nie pozwolę, żeby zabili Sama, a wiem, że to zrobią. Czuję to.

– Jeszcze jeden krok – szepcze mi do ucha Ojciec Tom. – Namaszczę cię wodą święconą i zostaniesz jednym z nas, Connorze. Pełnoprawnym bratem Zgromadzenia w oczach Boga. Wtedy staniesz się wartościowy.

Robię kolejny krok. Dno opada coraz bardziej i zaczynam się szybko zapadać. Woda sięga mi już do piersi. Chwytam powietrze i zaczynam wymachiwać rękami. Ledwie czuję stopy.

Ojciec Tom nabiera wody w dłonie. Nie chcę tego. Naprawdę. Odwracam się, zerkam w stronę brzegu i widzę, że tata wciąż szamocze się w łańcuchach, robiąc sobie jeszcze większą krzywdę.

Muszę to po prostu przejść i zakończyć sprawę. Teraz.

Biorę głęboki, niepewny oddech i kiwam głową.

– Dobrze.

Ojciec Tom unosi złączone dłonie.

– Ojcze! Ktoś jest przy bramie! – Z brzegu dobiega czyjś krzyk. – Musisz przyjść, natychmiast!

Wszystko się zatrzymuje.

Ojciec Tom przerywa rytuał i odwraca się, wzbudzając niewielkie fale znikające gdzieś w ciemności. Jedynym dźwiękiem jest teraz dudniący odgłos wodospadu.

W końcu wypuszcza wodę z dłoni, chwytając mnie za ramię i pcha z powrotem w stronę brzegu.

– Dzień sądu – woła. – Alleluja! Bracia, nadchodzi dzień sądu!

– Chwalmy Pana! – odpowiadają mężczyźni. – Niech jego moc zwycięży!

– Amen, bracia. Wiecie, co robić. Niech Bóg będzie z wami.

Mężczyźni rozbiegają się i zaczynają znikać na ścieżce, nie marnując czasu. Zanim docieramy z Ojcem Tomem na skalisty brzeg, już ich nie ma. Caleb i dwaj inni wciąż tam stoją z moim tatą. Sam leży na ziemi i ciężko oddycha. Nie jestem nawet pewny, czy jest przytomny. Wychodzę z wody i próbuję do niego podejść, ale mam ciężkie i odrętwiałe nogi, a Ojciec Tom chwytając mnie od tyłu za włosy. Zatrzymuję się gwałtownie z powodu bólu. Mam wrażenie, że podpalił mi głowę.

– Caleb. Więzień wraca do celi. Chłopca zabierz do kobiet. Przekaż siostrze Harmonii, że od teraz też jest więźniem. Ona już będzie wiedziała, jak go ukarać za nieposłuszeństwo.

– Tak, ojcze – odpowiada Caleb. Na jego twarzy maluje się zwątpienie. – A więc nie jest naszym nowym mesjaszem?

– Nie. – Ojciec Tom popycha mnie w stronę jednego z mężczyzn. – Diabeł też ma swojego potomka. Zabierzcie mi go sprzed oczu.

Mężczyzna prowadzi mnie z powrotem do centrum obozu. Kiedy odwracam głowę, widzę, jak wloką tatę do szopy. Ojciec Tom gdzieś znikł. Nie wiem, dokąd poszedł.

Jestem przemarznięty, mokry i cały śmierdzą tą ohydną wodą. Chcę uwolnić siebie, a potem tatę. Boję się, że zrobią mu kolejną krzywdę albo że jest już w tak złym stanie, że nie zdoła się obronić. Nie wiem, co robić.

Nie wiem, czy mogę cokolwiek zrobić.

Caleb wpycha mnie do domu kobiet – do Ogrodu – gdzie zapalono wszystkie światła. Sypialnia damska aż tak bardzo nie różni się od męskiej. Mają takie same prycze, takie same wojskowe kufry, choć widać, że kobiety starały się odrobinę to miejsce upiększyć. W doniczkach na parapetach rosną kwiaty.

Ogród.

Na ścianach mają zapisane inne wersety z Biblii niż mężczyźni.

Liczę napotkane osoby, bo mama zawsze powtarzała, że taka informacja jest pierwszym krokiem do obrony. Jest tu dwanaście dorosłych kobiet i cztery nastolatki. Aria siedzi z tyłu, widzę ją teraz. Do tego sześcioro mniejszych dzieci, od dwojga niemowląt po siedmiolatków, zarówno dziewczynki, jak i chłopcy.

Kobiety ubrane są w swoje długie spódnice i gładkie koszule, niektóre jednak mają splecione włosy. Zapewne tak przygotowują się do łóżka. Warkocz siostry Harmony jest gruby jak moja ręka. Wygląda jak maczuga, którą mogłaby się posłużyć. Caleb popycha mnie w jej stronę, a ona chwyta mnie, zaskoczona. Rzuca Calebowi spojrzenie, zanim przypomina sobie, że należy opuścić wzrok.

– Teraz jest twoim więźniem – wyjaśnia. – Jeśli go zgubisz, przetrzebimy waszą trzodę o połowę.

Czuję jej dreszcz, kiedy odpowiada:

– Stanie się tak, jak życzy sobie Ojciec Tom.

– Wszyscy zostają w środku, dopóki nie powiem inaczej – rozkazuje. – Przygotujcie się. Nadchodzi dzień sądu.

Siostra Harmony otwiera usta, by coś powiedzieć, ale tylko opuszcza głowę i przytakuje. Caleb odwraca się i wychodzi,

a kobieta zamyka za nim drzwi. Słyszę przekręcany zamek i uświadamiam sobie, że Caleb ma klucz. Zamknął nas w środku.

Harmony odwraca się do mnie i przez chwilę patrzy takim wzrokiem, że natychmiast unoszę ręce i mówię:

– Przepraszam. Nie chciałem... – Szczękam zębami i jest mi bardzo zimno. Dostrzega to i jej gniew stopniowo gaśnie.

– To nie jest twoja wina – mówi. Ma napiętą i bladą twarz, kiedy chwyta koc i zarzuca mi na plecy. – Nie zrobiłeś niczego złego. Nie spotka cię tu żadna kara.

Kobiety podnoszą wzrok i zaczynają między sobą szeptać. Aria marszczy czoło. Robi krok do przodu i mówi:

– Jeśli Ojciec Tom uczynił z niego więźnia, nie powinniśmy być dla niego takie miłe.

– Cisza! – warczy Harmony, a Aria kurczy się gwałtownie. – Muszę pomyśleć.

– Nie ma nad czym myśleć, siostró – mówi inna kobieta, choć w jej głosie słyszalne jest wahanie. – Ojciec Tom przekazał, co mamy robić. Czy nie powinniśmy przygotowywać się do dnia sądu?

Harmony ją ignoruje. Podchodzi do okna i spogląda w stronę bramy. Dołączam do niej, próbując dostrzec, co dzieje się na zewnątrz. Nie zostaję złajany z tego powodu. To wywołuje kolejne szepty za naszymi plecami, ale guzik mnie do obchodzi. Mam nadzieję, że zobaczę tam tatę... ale go nie widzę. Pewnie znów siedzi w swojej celi. Na plac wychodzi kilku mężczyzn z bronią. Jedni trzymają pistolety, drudzy karabiny, ale są też inni, uzbrojeni jak Caleb, w wojskowe karabinki szturmowe. Rozpoznaję je, bo używałem ich, grając w *Call of Duty*. Straszne, szczególnie teraz. Wciąż dygoczę z zimna i strachu po tym, co się wydarzyło nad wodospadem. Ci ludzie szykują się na prawdziwą wojnę.

– Czym jest dzień sądu? – pytam Harmony. Nie odpowiada. Wygląda na bardzo zmęczoną i przygnębioną. – Mamy kłopoty.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – rzuca ostro, zaskakując mnie. Wcale nie brzmi jak ktoś, kto wierzy w te wszystkie bzdety Ojca Toma o słabych kobietach. Bardziej przypomina mi moją siostrę. – Connor, nie ma wątpliwości, że Ojciec Tom cię już nie chce. Musisz trzymać się blisko mnie i cokolwiek zrobisz, nie ufaj nikomu innemu, chyba że ja ci na to pozwolę. Rozumiesz? – Dodaje szorstkim, poważnym szeptem.

Czuję w niej siłę, która kojarzy mi się z mamą. Kiwam głową.

– Otwierają boczną bramę – zauważa. – Ktoś nadchodzi.

Wykręcam szyję, żeby zobaczyć to, co ona. Mężczyźni stłoczeni przy niedużej furtce w ogrodzeniu wciągają kogoś do środka, ale nie widzę, kogo. *Proszę, niech to nie będzie moja mama.* Owszem, czułbym ulgę, gdyby tutaj była, ale jednocześnie tego nie chcę. Nie teraz. I tak ledwie się trzymam, a gdyby mieli jeszcze skrzywdzić mamę... To już ponad moje siły.

– Kto to jest? – pytam Harmony. Może ona widzi lepiej. Jest wyższa. Kręci jednak głową.

– Jakaś dziewczyna – odpowiada. – Dziwne. Nie powinno jej tutaj być. – Odwraca się od okna i patrzy na mnie. – Powinnam zamknąć cię na klucz w szafie, jak sugeruje Aria? Czy obiecujesz, że zrobisz to, co każę?

– Skąd pani wie, że nie skłamię?

Uśmiecha się lekko, przez co sprawia wrażenie jeszcze bardziej nieszczęśliwej.

– Zorientowałabym się – odpowiada. – Connor, słyszałeś, co on powiedział? O przetrzebieniu trzody?

– Nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy, że będziemy musiały ciągnąć losy – odpowiada. – Kobiety i dzieci.

Gapię się na nią.

– Jak... jak w tej książce? *W Loterii?* – To była dość straszna opowieść o normalnym miasteczku i normalnych ludziach, z których

jedna osoba zostaje wybrana do zabicia przez innych.

– Coś w tym rodzaju – odpowiada, a ja aż się kurczę. – Na tym polega takie przetrzebienie. Tylko że w tym przypadku nie chodzi o śmierć przez ukamienowanie.

W jej głosie słycać strach, odrazę i złość. Ja czuję się tak samo. Mówi jednak cicho, żeby inni jej nie słyszeli.

– Obiecuję – mówię. – Zachowam się odpowiednio.

Kiwa głową.

– Oni przyprowadzą tutaj tę dziewczynę. Cokolwiek się wydarzy, zachowaj spokój. Obiecuj. – Sztywnieje, kiedy podchodzi do nas Aria. – A teraz, cisza, chłopcze. – I od razu dodaje głośniejsze: – Będziesz robił to, co każę, bez pytania! Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiadam. Widzę w szybie odbicie stojącej obok Aarii.

Odwracamy się od okna. Siostra Harmony prowadzi mnie do innych, po czym odwraca się do drzwi. Ja również. Czuję wbity w plecy wzrok Aarii i zastanawiam się, jak mogłem uznać ją za ładną. Żałuję, że ją pocałowałem. Myślę o tym, bo mój mózg nie chce się odciąć, przeskakuje nieustannie z jednego obrazu do drugiego – mama, Sam, Lanny, mój strach, moja złość, pragnienie przywalenia Calebowi – i nie potrafi zwolnić. Wciąż mi zimno i śmierdzą, a ten zapach przypomina mi, jak bezradny czułem się w tej wodzie, kiedy Ojciec Tom był gotów zmoczyć mi głowę. Nie wiem, dlaczego aż tak mnie ta wizja przeraża.

Na zewnątrz rozlega się grzechot kluczy. Harmony natychmiast przyjmuje odpowiednią postawę, opuszcza wzrok i splata dłonie, a pozostałe kobiety i dziewczęta robią to samo. Dzieci również, nawet te najmniejsze. To jednocześnie dziwne i straszne.

Drzwi się otwierają i do środka wchodzi Vee Crockett. Wrażenia związane z ujrzaniem znajomej twarzy są tak intensywne, że niemal wykrzykuję jej imię. Nawet mój mózg cichnie na kilka sekund, podczas których próbuję pozbierać myśli.

Ale to nie jest Vee, jaką znam. Ma na sobie jedną ze starych, zwyczajnych koszul Lanny z guzikami i proste spodnie, a z twarzy zmyła cały makijaż. Wygląda dużo młodziej i całkiem słodko.

I jest wystraszona.

– Więzień – rzuca Caleb. – Twierdzi, że pochodzi z Wolfhunter, że powiedziała jej o nas matka. Zatrzymajcie ją tutaj, dopóki Ojciec Tom nie potwierdzi, że została zwerbowana. Na razie szykujemy się na dzień sądu. Dopóki nie powiem inaczej, jesteś za nią odpowiedzialna.

– Zagubione owieczki zawsze są mile widziane – odpowiada siostra Harmony, nie podnosząc wzroku. – Chwalmy Pana.

– Chwalmy Pana – odpowiadają pozostali, jednak w ustach Caleba brzmi to jakoś inaczej. Patrzy na Vee w sposób, który bardzo mi się nie podoba. – Niech się umyje i przebierze w skromne ubranie. Ojciec Tom z pewnością zechce z nią porozmawiać. Zobaczymy, jak brzmi jej prawdziwa historia.

Harmony kiwa głową, a Caleb ponownie zamyka drzwi na klucz. Patrzę na Vee i otwieram usta, ale ona szybko odwraca wzrok. Nie chce, żebym z nią rozmawiał, więc tego nie robię. Nie mogę się jednak doczekać, kiedy mi powie, dlaczego tu jest, co z mamą i co w ogóle się wyprawia.

Zauważam jednego z facetów z kampera zaglądnącego do środka przez okno. Patrzy, co robimy. Siostra Harmony też musiała go dostrzec, bo odwraca się do pozostałych i mówi:

– Szykujemy się do łóżek. Zgaście światła. Zostawię tu jedno zapalone, dopóki nasz nowy brat i siostra nie znajdą sobie miejsca.

– On nie jest naszym bratem. – Słyszę czyjś głos. To Aria, która wciąż się uśmiecha. – Zostanie świętym. Tak powiedział Ojciec Tom.

– Cisza – warczy Harmony, a uśmiech Arii gaśnie. – Czy mam zgłosić cię jako pełną pychy i zbuntowaną?

– Nie, siostro.

– Więc rób, co masz robić, Ario.

Kobiety i dzieci stopniowo rozchodzą się do łóżek, wskakują pod pościel i gaszą małe lampki. To trochę tak, jakbym obserwował znikające gwiazdy, a kiedy pozostaje tylko jedno źródło światła, pochodzące od lampki zabranej przez siostrę Harmony ze stolika, czuję naciskającą zewsząd ciemność, jakbyśmy znajdowali się w środku czarnej, szklanej kuli. Mam wrażenie, że powietrze gęstnieje. Oddycham nieco szybciej, ale wydaje mi się, że brakuje mi tchu.

Nie lubię ciemności. Nigdy jej nie lubiłem.

Chcę porozmawiać z Vee, ale jeszcze nie mogę tego zrobić. Wyraźnie dała mi to do zrozumienia.

– Tędy – mówi Harmony i prowadzi nas do stojących w najdalszym kącie łóżek. Nie przy drzwiach, ale przy pryczach na przeciwległym końcu. Są pościelone, ale przez nikogo niezajęte. – Jak masz na imię, dziewczyno?

– Vera. Vee.

– Teraz nazywasz się siostra Melody. – Harmony otwiera kufer i wyciąga z niego standardowy strój w postaci długiej spódnicy i gładkiej koszuli. – Załóż to. Możesz to zrobić tutaj, w przebieralni.

Vee odwraca się do mnie i mówi:

– Wyglądasz bardzo znajomo, ale nie jesteś z Wolfhunter. – To oznacza, że nie powinienem jej rozpoznać. Zastanawiam się błyskawicznie *dlaczego*. Rozumiem jednak, że Vee nie ufa Harmony. Nie zaufa nikomu poza mną.

– Byłem w telewizji – odpowiadam. – Pewnie stąd.

– A, tak – mówi. – Jasne. Jesteś tutaj sam?

Pyta o Sama, nie wypowiadając jego imienia.

– Mniej więcej – odpowiadam. – Jestem z tatą, ale jest w innym budynku. – Kiwa głową i wiem, że zrozumiała. – Skąd przyjechałaś?

Wzrusza ramionami i wygląda na nieco zawstydzoną. Znam Vee, mimo to wygląda całkiem realistycznie, choć wiem, że nie wstydziła się w podobny sposób pewnie od lat.

– Ojciec Tom przyszedł się ze mną zobaczyć, kiedy byłam małą dziewczynką. Zawsze chciałam do niego dołączyć. Mama mi na to nie pozwalała, ale teraz już nie żyje. Zamierzałam przystąpić do Zgromadzenia na miejscu, ale... zniszczyli je wrogowie. – Odwraca się do Harmony, która obserwuje nas uważnie. – Pewnie słyszała pani o tym?

– Zgromadzenie w Wolfhunter zgrzeszyło – odpowiada. – Okazali się chciwi.

Vee opuszcza wzrok, przez co sprawia wrażenie naprawdę pokornej. Bardzo szybko nauczyła się grać, ale z drugiej strony mieszkała przecież w Wolfhunter.

– Tak, siostró – odpowiada. – Czy brat Carr dotarł tutaj? Słyszałam, że próbował.

– Czyżby? – Rzuca Harmony chłodnym tonem. – Brat Carr dołączył do świętych.

Vee się wzdryga, po czym patrzy na mnie przelotnie i odwraca wzrok.

– Och. Okej.

– Jak się tutaj dostałaś? – pyta Harmony.

– Przyszłam.

– Przyszłaś. Z Wolfhunter jest tutaj bardzo daleko.

– Częściowo dojechałam autostopem – odpowiada Vee. – Dziękuję za łóżko. Jestem taka zmęczona.

Harmony przygląda się jej uważnie. Choć Vee gra doskonale i nie oddala się od prawdy, ta jest bystra i ostrożna. Vee sięga po leżące na łóżku ubranie.

Harmony chwyta ją za nadgarstek i przytrzymuje.

– Kto cię przysłał? – pyta tak cicho, że niemal nie słyszę słów.

– Nikt – odpowiada Vee równie cicho. – Nikt mnie nie przysłał.

Choć to dziwne, odnoszę wrażenie, że mówi prawdę.

– Przyszłaś sama?

Vee kiwa głową. Harmony robi minę, jakby była zła. Zaciska dłoń na nadgarstku Vee tak mocno, że dziewczyna aż się krzywi. To nie jest dobry znak. Vee oddaje, kiedy ktoś robi jej krzywdę – wiem o tym i bardzo się teraz tego obawiam. Ona nie wie, jakie tutaj panują zasady. Za ich złamanie ludzie mogą tu zginąć.

– Hej, to ją boli – mówię do Harmony w tym samym momencie, kiedy w oczach Vee pojawia się coś mrocznego, a jej druga dłoń zaciska się w pięść. Harmony puszcza, a Vee opada na łóżko. W miejscu, gdzie została uchwycona, pozostał czerwony ślad, który zaraz rozciera.

W tym samym momencie uświadamiam sobie, że w oczach Harmony pojawiły się łzy. Ona nie jest zła. Jest zdesperowana. Pragnie rozpaczliwie, by ktokolwiek lub cokolwiek zakończyło to wszystko.

Teraz już wiem, że mogę jej zaufać. Nie mogę jednak ufać innym, więc mówię:

– Muszę pójść do toalety.

– Tak, idź – odpowiada Harmony, nawet na mnie nie patrząc. Nie ruszam się z miejsca, dopóki nie dodaje: – O co chodzi?

– Ech, jest ciemno, a ja nie wiem, gdzie to jest.

Wydaje z siebie odgłos zniecierpliwienia i chwyta lampkę.

– W takim razie chodź za mną.

Vee natychmiast chwyta, o co mi chodzi.

– Czy ja też mogę pójść? – pyta. – Muszę... muszę się wysiusiać.

– Zabierz ubranie, od razu się tam przebierzesz. Będę musiała cię przeszukać.

Głos Harmony drży. Nie wiem, co sobie myśli, ale z pewnością czuje się uwięziona. Ja również. Mam wrażenie, że pojawienie się tutaj Vee jest jednocześnie doskonałą i fatalną wieścią. Skoro tu jest, to znaczy, że mama nie może być daleko. I zapewne nie jest sama.

Dzień sądu. Może Ojciec Tom miał rację.

Długa łazienka na końcu nie ma drzwi, ale kabiny z zasłonami, które można zasunąć. Jest mi już cieplej, więc wrzucam wilgotny koc do plecionego kosza na pranie i idę umyć ręce. Zostawiam odkręconą wodę, odwracam się do Vee i szepczę:

– Możesz jej zaufać. Ona jest w porządku.

Harmony zerka na mnie, a potem na nią.

– Ty go znasz – mówi do Vee cichym głosem, niemal szeptem. Wszyscy musimy zachowywać ostrożność. – Tak myślałam. Powiedz mi, szybko. Czy policja jest w drodze? Wysłałaś ich tutaj?

Vee nie odpowiada bezpośrednio, zamiast tego patrzy na mnie.

– Jesteś przekonany? – pyta o siostrę Harmony.

– Tak.

– Twoja mama nie chciała, żebym to zrobiła. Sama musiałam tutaj przyjechać. Wiedziałałam jednak, że muszę się dostać do środka i upewnić, że nic ci nie jest. Wiedziałałam też, że dam radę, bo... – Przełyka ślinę. – Ojciec Tom będzie mnie pamiętał.

– Jak się tu dostałaś? Chyba faktycznie nie przyszłaś?

Przewraca oczami i od razu wygląda jak stara, znajoma Vee.

– Ukradłam pickupa jakiemuś dziadkowi kilka domów dalej od waszego. Parę kilometrów stąd skończyło się paliwo i resztę drogi musiałam przejść na piechotę. Ale twoja mama i pozostali nie są daleko. – Bierze głęboki wdech. – FBI chyba również.

Vee nagle się do mnie przytula i jest mi naprawdę dobrze ze świadomością, że ktoś mnie tutaj zna. Naprawdę mnie zna. Nie puszcza mnie jeszcze, kiedy dodaje:

– Mam coś dla ciebie. – Ruchem godnym magika demonstruje otwartą dłoń, na której spoczywa scyzoryk. Po chwili wsuwa mi go do ręki. Chowam go szybko w rękawie, cofam się i wkładam dłoń do kieszeni moich dziwnych, sztywnych spodni. Nóż zsuwa się do środka. Jestem teraz uzbrojony, choć sam nie wiem jeszcze, jak się z tym czuję.

Szybka wymiana podarunku nie umyka uwadze Harmony.

– Nie przeszukali cię przy bramie?

– Żaden miłośnik Biblii nie sprawdzi damskich pośladków – szepcze Vee i szczyrzy zęby.

Fuj. Wycieram dłonie o spodnie.

– Nie możemy tutaj zostać – szepcze Harmony. – Ktoś się tu niebawem pojawi. Nie mogę ufać części kobiet i żadnej z dziewcząt.

– Czy jest tutaj ktokolwiek gotów walczyć, żeby się uwolnić? – pyta Vee.

– Tak – odpowiada Harmony. – Mogę liczyć na pięć kobiet. Mamy ukrytą broń. Wiedziałyśmy, że w końcu może do tego dojść, i nie zamierzamy siedzieć cicho. Nie tym razem. – W jej oczach znów lśnią łzy, wyraźnie widoczne w blasku lampki. – Jak nas znalazłaś? Tak naprawdę?

– Dzięki dziewczynie imieniem Carol – odpowiada.

Harmony przysuwa dłoń do ust.

– Carol wciąż żyje?

Vee przytakuje.

Harmony szepcze coś, czego nie wyłapuję. Może słowa modlitwy.

– Pięć kobiet plus pani, plus my dwoje... to zaledwie ósemka przeciwko tym wszystkim uzbrojonym facetom. Wiem, że chce pani walczyć, ale czy mamy jakikolwiek plan?

Otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili dwie rzeczy dzieją się jednocześnie.

Do łazienki wchodzi Aria, która mówi:

– Co wy tutaj robicie?

W tej samej chwili na zewnątrz rozlegają się krzyki mężczyzn.

I padają strzały.

Coś właśnie potoczyło się bardzo nie po ich myśli.

Rozdział 25

Sam

Nadszedł czas na ostatni z elementów mojego szkolenia. Jestem świadom, że tym razem prawie zginąłem nad tym jeziorem. Miało to miejsce, kiedy próbowałem powstrzymać Connora przed wejściem do wody, a Caleb szarpnął za ten łańcuch. Connor nie wiedział, co się wydarzy, a ja byłem gotów zrobić absolutnie wszystko, żeby temu zapobiec. Zabicie się wydawało się niewysoką ceną, jeśli tamtym zależało na martwym świętym.

Wybawienia, które nadeszło w ostatniej sekundzie, wcale nie traktuję jak zwycięstwa. Nasz czas się skończył. Ojciec Tom zabije mojego syna. Wiem, że chce to zrobić.

Jeśli chodzi o ucieczkę, to z pewnością nie będę do niej lepiej przygotowany niż teraz. Muszę postawić wszystko na jedną kartę.

Bycie na wpół martwym ma swoje przywileje, a jednym z nich jest to, że facet, któremu nakazano zabrać mnie z powrotem do tej klatki, musi targać mnie osobiście na wzgórze. Nie jest łatwo prowadzić kogoś, kto się potyka i kto zupełnie jest pozbawiony koordynacji, a ja podkreślam to do tego stopnia, że ten się w końcu poddaje i pozwala mi się przewrócić. Upadając, pociągam go za sobą. U pasa ma

zawieszony klucze, a skoro i tak lecę w dół i odwracam jego uwagę, czepiając się go przy okazji, w ogóle nie czuje, że je traci.

To jeden z facetów z kampera, liczę więc na to, że wśród kluczy znajduje się również ten przeznaczony do pojazdu plus kluczyki do moich kajdanek. Nie będzie szukał kluczy, żeby otworzyć moją celę – do tego posłuży mu kłódka z szyfrem. Zyskam więc trochę czasu, zanim się zorientuje, że został okradziony.

Wrzuca mnie wprost do celi i zatrzaskuje drzwi. Słyszę, jak obraca kółeczka na kłódce.

Odchodzi.

Drżącymi palcami szukam kluczyków do kajdanek. Zaczynam wpadać w hipotermię i moje ręce trzęsą się jak drzewa podczas huraganu, a ciało usiłuje za wszelką cenę zachować resztki ciepła. O to się nie martwię – w opałach znajdę się w momencie, kiedy przestanę dygotać. Utrudnia mi to jednak manipulowanie kluczami, a do tego należy dołożyć zdrętwiałe palce i ciemność.

Jeden z kluczyków w końcu wsuwa się w kajdanki na mojej kostce i po chwili lewa noga jest oswobodzona. Bok pali mnie w miejscu, gdzie mnie obandażowano. Muszę odpocząć kilka sekund, zanim przechodzę do prawej nogi. Ręce nie będą ze mną chętnie współpracować, ale muszę zachować spokój i próbować dalej. Po zbyt długim czasie udaje mi się uwolnić jeden nadgarstek. Z drugim radzę już sobie bardzo szybko.

Łańcuch jest cholernie dobrą bronią przy założeniu, że odpowiednio go użyję. Jest ciężki. Składam go na pół i wypróbuję, używając zatrzaśniętych kajdanek jako uchwytów. Mam w dłoniach naprawdę solidny cep.

Teraz czas na otwarcie tych cholernych drzwi. Zbadałem już zawiasy, ale są na zewnątrz, więc nic nie wskóram. Poświęciłem jednak sporo czasu na metodyczne wygrzebywanie ziemi spod drzwi i usypywanie jej z powrotem, kiedy tylko na zewnątrz ustawiał się strażnik. Za każdym razem ryłem nieco głębiej. Udało mi się

wykopać dziurę o głębokości mniej więcej piętnastu centymetrów, a teraz mogę usunąć tyle ziemi, żeby spróbować się precyzyjnie pod spodem.

Nie wystarczy. Używam kajdanek jak narzędzi i pogłębiam rów o kolejne osiem centymetrów na całej szerokości. Jest to cholernie trudna i bolesna praca. Próbuję ignorować tykający z każdą upływającą sekundą zegar, mokre odgłosy moich oddechów i ból w ramieniu i na szyi. Prędzej czy później tamten facet zauważy brak kluczy, a wtedy będzie wiedział dokładnie, gdzie ich szukać. Muszę zniknąć, zanim to nastąpi.

Gęsty mrok jest moim sprzymierzeńcem, kiedy przesuwam się pod drzwiami. Przez kilka straszliwych sekund, kiedy jestem do połowy po drugiej stronie, zaczyna brakować mi sił na dalsze pełzanie. Leżę chwilę bez ruchu, chwytam powietrze i walczę z pulsującym, czerwonym bólem. Znowu krwawię. *To tylko powolne krwawienie. Zamknij się, dasz sobie radę.* Przesuwam się dalej i jęczę z bólu, kiedy moja rana dociska do krawędzi drzwi i o nią ociera. Do oczu leje mi się pot. *Jeszcze trochę.*

W końcu mocnym szarpnięciem uwalniam biodra i nogi, odwracam się na ręce i kolana i wstaję. Byłem tak skoncentrowany na ucieczce, że zapomniałem o strażniku, który zazwyczaj trzyma straż wokół budynku, ale nie ma go tutaj. Najwyraźniej wykonuje inne rozkazy wydane przez Ojca Toma. *Dzień sądu.* Zbliża się do nas wszystkich, myślę sobie. Szczególnie do mnie, jeśli to spieprzę.

Kuśtykając, przechodzę w cień przy budynku i korzystam z osłony, by uspokoić oddech i opracować plan. Muszę dotrzeć do kampera, wejść do środka, podjechać do bramy i zacząć trąbić jak obłąkany. Connor będzie wiedział, co to oznacza. Przybiegnie do mnie, a przynajmniej spróbuje. Kiedy znajdzie się w środku, staranuję bramę, a jeśli te dupki staną mi na drodze, to ich strata. To będzie ich wybór. Moim jest ratowanie syna.

A potem otworzą tę metalową puszkę ogniem z MP4, geniuszu, i co wtedy zrobisz? Na to nie znajduję odpowiedzi. Plan A działa lepiej, bo plan B nie istnieje. *Cholera*. Cóż, czasami trzeba działać, korzystając z tego, co się ma pod ręką.

Docieram do zagajnika na skraju jednego z pól i znów się zatrzymuję, by odpocząć i sprawdzić bandaż. W słabym blasku księżyca dostrzegam na białej bawełnie dużą, ciemną plamę. Właśnie uruchomił się kolejny zegar. *Rusz się, Cade. Natychmiast.*

Muszę jednak poczekać, aż odzyskam oddech i świat przestanie wirować, więc gapię się na pole. Zimą jest to w większości ugór, nie licząc małego, starannie wypielęgnowanego ogródka. Nie ma żadnej pszenicy ozimej, która zapewniłaby mi osłonę, ani...

Opieram się o drzewo i po raz pierwszy od długiego czasu pozwalam sobie na uśmiech. Właśnie powstał w mojej głowie plan B.

Zamiast do kampera, kieruję się do stodoły. Na niewielkim pastwisku trzymają krowy. Czuję zapach ich łajna, choć samych krów nie dostrzegam. Uwielbiam ten zapach. Krowy oznaczają, że w stodole jest siano.

A siano pozwala w doskonały sposób odwrócić uwagę.

Nie mam zapalek, przy ciągniku znajduję jednak plastikowy kanister z benzyną. Jest napełniony do połowy. Wystarczy. Polewam benzyną bele z sianem. Wciąż nie mam zapalek, ale zdejmuję przewody do akumulatorów z haczyka na ścianie stodoły i przymocowuję je do akumulatora zaparkowanego ciągnika. Stykam je i otrzymuję piękną, dużą iskrę.

Zanim podpalę siano, muszę się upewnić, że znam kolejny krok. Wiem, gdzie zaparkowany jest kamper. Widziałem go po drodze. To proste, a przynajmniej mam taką nadzieję.

Podpalam siano. Benzyna zajmuje się suchym, gwałtownym płomieniem. Unikam fali ognia dzięki szybkiej ucieczce, wychodzę na zewnątrz i idę w ciemności w kierunku kampera. Już po chwili dostrzegam za sobą delikatną, pomarańczową poświatę. Kurczaki

w kurniku zaczynają intensywnie gdać. Dzięki Bogu, że w stodole nie było żadnych zwierząt, że pełniła ona funkcję magazynu. Nawet nie chcę myśleć, do czego doprowadziłbym w przeciwnym wypadku, bo teraz kieruje mną silny instynkt przetrwania za wszelką cenę.

Pod osłoną mroku pokonuję połowę drogi dzielącej mnie od kampera, kiedy słyszę krzyki. Nie rozpoznaję słów, ale mój plan polegał na ściągnięciu jak największej liczby ludzi do gaszenia pożaru.

Tak się niestety nie dzieje.

W całym kompleksie zapalone zostają potężne reflektory. Rozlega się ryk syreny, taki opadający i narastający dźwięk, jakby zapowiadał nadejście tornada. Nagle sygnał się urywa i w głośnikach słychać coś innego. Głos Ojca Toma.

– Bracia, nadszedł dzień sądu! To dziś Szatan postanowił wyciągnąć po nas swoją rękę, ale nie lękajcie się, nasza armia świętych zstąpi z niebios, żeby walczyć! Chwalmy Boga!

Słyszę odległe krzyki. Wezwanie i odpowiedź. *Chwalmy Boga.*

Chryste. Nadjeżdża FBI, a oni o tym wiedzą. *Co ty sobie myślałeś, Mike?* Mam ochotę na niego krzyczeć, ale jestem wyczerpany, brudny i zakrwawiony. Kamper wciąż wydaje się tak daleko, a ja jestem kurewsko wolny, zbyt wolny, by do niego dobiec. Kluczyki mam w dłoni. To bez znaczenia.

Cały kompleks – przynajmniej tutaj, w pobliżu bramy i głównych budynków – jest rozświetlony jak Broadway. Widzę, jak ludzie Ojca Toma biegną na wyznaczone pozycje taktyczne. *Jak Mike mógł się nie domyślić, że wszystko poza cichym podejściem jest fatalnym pomysłem?* Może to nie Mike, a jakiś żądny chwały miejscowy agent, który nie zdaje sobie sprawy, że właśnie rozpętuje drugie Waco.

Dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że przegapiłem coś ważnego. Światła. Ich źródła są skupione głównie w tej części obozu, w której pracują i żyją członkowie sekty. Ogrodzenie jest

jednak dość daleko stąd. Mike nie jest głupi. Zorientuje się, że będą próbowali negocjować. Cholera, zapewne takie dostał rozkazy. Wie również z pewnością, że w sekcie nie ma aż tylu ludzi, żeby bronić każdego metra ogrodzenia. Federalni wkroczą niezależnie od tego, co będzie się działo przy bramie. Pozostaje mi tylko ukryć się i czekać. Taka perspektywa wydaje się wręcz wspaniała. No, może byłaby, gdyby nie ten pożar stodoły. Przez niego znalazłem się na drodze każdego, kto zostanie wysłany do jego gaszenia. Muszę się ruszyć.

Padam na ziemię i zaczynam pełzać w stylu snajperskim, wsparty na przedramionach i palcach u stóp. Dzięki temu docieram bliżej ogrodzenia. Wciąż nie jest idealnie, ale na pewno trudniej mnie zauważyć w takiej pozycji.

Tak mi się przynajmniej wydaje do momentu, kiedy rozlega się odgłos przeładowywanej strzelby, a na plecach czuję dotyk podwójnej lufy.

– Wstawaj – słyszę męski głos. – Natychmiast.

Facet, któremu zabrałem klucze.

Mam przechlapane.

Rozdział 26

Gwen

Nienawidzę czekać. Mike Lustig kazał mi przysiąc, że Kez, J.B., Javier, Lanny i ja pozostaniemy na swoich miejscach w południowej części kompleksu, z dala od bramy. Przydzielił nam dwóch agentów Biura Śledczego w Tennessee, którzy mieli dopilnować, że będziemy grzeczni.

Nie dotrzymuję oczywiście obietnicy. Czekamy do momentu, aż w obozie wybucha chaos i zapalają się światła. J.B. sprawdza telefon i wysyła wiadomość. Nikt nie odzywa się ani słowem. Agenci sprawiają wrażenie, jakby woleli być w centrum tego zamieszania, a nie sterczeć tutaj z nami, nie zauważają więc Cicely West i Joego Frouda, którzy materializują się w mroku niczym duchy. Agenci natychmiast wysiadają z SUV-a i wydobywają broń. Cicely i Joe unoszą ręce.

– Jesteśmy nieuzbrojeni! – krzyczy Joe. Agenci podchodzą bliżej.

Nie wiedzą, że ja, Javier i J.B. podchodzimy do nich uzbrojeni od tyłu. Będą tego przez pewien czas żałować.

Kez zostaje z Lanny. Unieruchamiamy nogi i ręce agentów opaskami zaciskowymi i umieszczamy ich na tylnej kanapie SUV-a.

Na wszelki wypadek używamy kolejnych opasek, żeby połączyć ich paski z uchwytami w drzwiach.

– Wszyscy traficie do więzienia – rzuca jeden z nich, młodszy. Starszy wydaje się zrezygnowany. – Mam nadzieję, że zdajecie sobie z tego sprawę.

– Zdajemy – odpowiada Kezia i uśmiecha się, jakby nie mogła się już tego doczekać.

J.B. podjeżdża SUV-em do metalowego ogrodzenia, a Javier i Kez wyjmują z bagażnika ciężką, gumową matę i zarzucają ją na drut kolczasty wieńczący szczyt. Javier przeskakuje pierwszy i ląduje lekko jak sportowiec po drugiej stronie. Wiem, że ja nie będę w stanie tego powtórzyć. Kez okazuje się niemal tak samo dobra.

– Mamo?

Trzymam stopę opartą na zderzaku, gotowa się wspiąć. Kiedy słyszę, że woła mnie córka, stawiam ją na ziemi i odwracam się do Lanny. Jest blada na twarzy i zdenerwowana, a w oczach ma łzy. Przytulam ją i raduję się tym uczuciem przez chwilę. – Sprowadź Connora z powrotem – szepcze drżącym głosem.

Całuję ją w policzek i odpowiadam:

– Oczywiście, że go sprowadzę, kochanie.

Odwracam się, wchodzę na zderzak, następnie na dach i wspinam się na ogrodzenie.

Lądowanie czuję w każdej kości w moim ciele, na szczęście niczego nie łamię. Wiem, jak ułożyć ciało przed upadkiem i jak zminimalizować siłę uderzenia. Cicely i Joe pokonują ogrodzenie ostatni. J.B. nie podejmuje nawet próby. Jej zadaniem jest pozostać po drugiej stronie z karabinem należącym do agenta Biura Śledczego w Tennessee i odstraszyć każdego, kto się tam zbliży.

Oraz chronić moją córkę, kiedy ja nie mogę tego zrobić.

Jeszcze przed przejściem na drugą stronę Cicely wręczyła nam wyposażenie. Pod lekkim ubraniem mamy założoną piankę. Wołałabym cienkie legginsy i T-shirt, te jednak nie pozwoliłyby mi

przetrwac w zimnej wodzie. Wszyscy zalozyliśmy szybko schnące buty do wody, ułatwiające ewentualne nurkowanie.

Javier przyniósł butle, maski i regulatory do nurkowania. Jego plan opiera się na szybkim i cichym podejściu w ciemności. Zrobiłby to sam, gdyby nie moje doświadczenia związane z nurkowaniem. Miałam kiedyś certyfikat, ale to było dawno temu, jeszcze zanim wyszłam za mąż. Modlę się, żebym szybko przypomniała sobie podstawy oddychania. Javi ma rację: najprostsza droga do obozu wiedzie przez jezioro. Gdybyśmy poszli wzdłuż ogrodzenia, znaleźlibyśmy się w odsłoniętej i oświetlonej części i napotkali na opór uzbrojonych ludzi.

W szczelnych torbach na plecach trzymamy broń i amunicję.

– Jesteście pewni tego wszystkiego? – pyta nas Cicely. – Mamy was tutaj zostawić?

– Tak. Uważajcie na siebie. Ci ludzie są niebezpieczni.

Kiwa głową, po czym wraz z Joem znika w gęstwinie zarośli, zmierzając w stronę ogrodzenia biegnącego wokół jeziora. Zajmie im to nieco więcej czasu, w końcu jednak znajdą się tam, dokąd zmierzamy my. A wtedy będzie potrzebne nam wsparcie.

– Chciałabym popłynąć z wami – oznajmia Kezia.

– Potrzebujemy osłony – odpowiada Javier i całuje ją przelotnie. Przesuwa kciukiem po jej wargach, jakby pieczętował ten pocałunek. – A ty znakomicie strzelasz, Kez.

– Och, wiem – mówi zadziornie i unosi jedną brew. – Kiedy usłyszysz, że strzelam, połóż się na ziemi.

Kiwa głową. Ja również. Kez jest niemal niewidoczna w swoim stroju maskującym. Podobnie jak J.B., będzie nas osłaniać, jeśli coś potoczy się nie po naszej myśli.

Tak wiele rzeczy może pójść źle.

Członkowie Zgromadzenia wzniesli ogrodzenie wokół całego jeziora, wodospadu i zasilającego go potoku, nie zwrócili jednak

szczególnej uwagi na tę stronę. Jest ona gęsto porośnięta i cieszę się, że nie musimy wycinać sobie drogi na dłuższym dystansie.

Negocjatorzy FBI zjawiają się przed frontową bramą. Mike nie zdradził mi swoich planów, wymuskięło mu się jednak, że wezwał oddziały specjalne, a to znaczyło, że kłamał, twierdząc, że nie zamierzają przeprowadzać szturmów. Szykuje się strzelanina – planował to od samego początku. Owszem, poprowadzi negocjatorów, ale to nie oznacza, że w tym samym czasie nie skorzysta z innych ludzi. Kompleks może być pełny fanatyków, ale jest za duży, żeby dało się go spenetrować. Ogrodzenie ma chronić przed wchodzeniem do środka, a nie na zewnątrz.

Mike nie zdradził mi swojego planu, bo chciał, żebyśmy trzymali się od niego z daleka. Nie mogę jednak tego zrobić, nie w sytuacji, kiedy moje ukochane osoby są w niebezpieczeństwie. To właśnie z tej przyczyny zaatakowaliśmy dwóch śledczych stanowych i kierujemy się w stronę drzew przy brzegu jeziora. Jeśli wszystko zbyt szybko się skomplikuje, Sam i Connor będą musieli znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Kiedy docieramy do krawędzi, Javier nagle kuca, a my z Kez robimy to samo. Unoszę się ostrożnie, żeby spojrzeć.

Coś dzieje się na brzegu po drugiej stronie jeziora. Dwaj mężczyźni wloką trzeciego, który ledwie trzyma się na nogach. Upuszczają go na błotnisty brzeg, a jeden z nich kopie go zaciekle.

Javier wyjmuję niewielką lornetkę i natychmiast dostrzegam zmianę w jego postawie, kiedy podaje mi sprzęt. Boję się spojrzeć, ale wiem, że muszę.

To Sam. Brudny, zakrwawiony i rozebrany do pasa.

– Nie – szepczę. Obraz staje się niewyraźny i uświadamiam sobie, że trzęsą mi się dłonie. – Sam...

Javier odbiera mi lornetkę, a ja próbuję się podnieść. Przytrzymuje mnie jednak Kez.

– Stój. Zaczekaj. Javi? Co oni robią?

– Trudno powiedzieć – odpowiada. – Oni... – Pochyla się lekko do przodu. – Kurwa. Owijają wokół niego łańcuch. Kez!

Kezia przykłęka i patrzy przez lunetę swojego karabinu. Odległość jest całkiem spora, a Sam jest dosłownie w centrum. Wstrzymuję oddech.

W powietrzu rozlega się trzask strzału i nie muszę używać lornetki, żeby dostrzec, że jeden z facetów kucających nad Samem przewraca się na ziemię. Kez przeładowuje i ponownie celuje, ale drugi z mężczyzn chwytą Sama, podnosi go i kryje się za jego sylwetką.

– Gwen! – rzuca Javier. – Do wody! Szybko. Szybko! – Zakłada swój akwalung. Kez odkłada karabin i pomaga mi założyć mój. Sprawdzam regulator i robię niepewny wdech. Działa.

Wstajemy i biegniemy do brzegu.

– Sam! – wołam i słyszę, jak po tafli jeziora niesie się echo mojego głosu. Chyba reaguje.

– Święci powstaną! – Rozlega się wołanie skierowane w naszą stronę. To członek sekty trzymający Sama. – Nadszedł dzień sądu! Chwała Bogu!

Sam znów zostaje pchnięty i walczy o zachowanie równowagi.

Javier i ja brodzimy w wodzie po uda, chwilę później po pas.

Po drugiej stronie Sam znika w wodzie. Łańcuch, którym jest owinięty, ściąga go w dół. Drugi z mężczyzn zaczyna brnąć w kierunku brzegu.

Chcę krzyknąć, ale muszę zachować oddech, kiedy zakładam maskę i wsuwam ustnik automatu oddechowego do ust. Po chwili jestem pod wodą.

Czuję przez piankę lodowate zimno, ale szybko się do niego przyzwyczajam. Panika szamocze się we mnie niczym tysiące ciem. Chcę dopłynąć do Sama – liczy się teraz każda sekunda, ponieważ w każdej chwili może umrzeć, samotny, w ciemnościach.

Jeden krok, dwa i po chwili brzeg zmienia się w przepaść. Wodospad wyrobił ogromną dziurę przez tysiące lat. Moja odsłonięta skóra płonie od nagłego zimna i zanurzam się szybciej, niż bym chciała, ale nic mnie to nie obchodzi. Sam jest tam w dole. *Jest głęboko w tej wodzie.*

Nie zostało mu dużo czasu.

Trudno jest mi zachować spokój, a korzystanie z akwalungu wymaga koncentracji i jasności umysłu. Muszę zwalczyć pierwotny instynkt, który każe mi spowolnić ruchy. Jezioro przypomina butelkę z atramentem, ale kiedy Javier włącza lampę do nurkowania, jej światło tnie toń niczym nóż, zmieniając czarną wodę w ciemnozieloną. Włączam również swoją lampę. Javier płynie do przodu, a ja podążam za nim w tak niewielkiej odległości, że mogłabym dotknąć jego buta do nurkowania. Nie mogę stracić go z oczu. Nie tutaj. Dwa metry w tym miejscu mogłyby równie dobrze być dwudziestoma.

Przez cały czas schodzimy w dół, ale nie widzę nigdzie Sama. *Nie widzę go!* Ile czasu upłynęło? Co najmniej trzydzieści sekund.

Płyniemy bez ustanku, a ja pragnę krzyczeć z rozpaczą z każdą upływającą sekundą. Ale to już nie sekundy, lecz minuta. Więcej. Sama nie wiem. Schodzimy głębiej. Uszy bolą mnie od rosnącego ciśnienia i staram się je wyregulować. Javier zaczyna zmieniać kąt schodzenia. Nasze światła oświetlają teraz prostą, granitową ścianę.

To spadek po drugiej stronie jeziora. Wciąż ani śladu po Samie. *Nie, błagam...*

Zerkam w dół, a w głębinach materializuje się blada twarz z włosami przypominającymi ciemną chmurę. Nie ma oczu. Skóra jest pomarszczona i nabrzmiąta, a cała postać przytrzymywana jest przez ciężki łańcuch i okrągłe ciężarki.

Chcę krzyknąć, ale nie mogę. Czuję, że ciśnienie niemal rozrywa mi głowę. Jesteśmy już całkiem głęboko, a wciąż nie widać dna.

Nie widać również Sama. Serce bije mi tak szybko, że każde jego uderzenie jest bolesne. Głowa zaraz mi eksploduje. Oddycham szybciej, starając się wciągać powietrze, ale tylko pogarszam sytuację. Próbuję zwolnić. Nie, nie mogę. Nie potrafię. Gdzieś tutaj jest Sam.

Blask naszych światła przesuwają się po kolejnych rozkładających się ciałach. Niektóre zmieniły się już w kości rozrzucone na ciemnym tle. Część z nich wciąż połączona jest ścięgnami i resztkami mięśni.

Widzę też nienaruszone zwłoki, na których widok czuję potrzebę natychmiastowego wynurzenia się. Ale nie zrobię tego bez Sama. Nie ma mowy.

W pierwszej chwili myślę go z jednym z trupów, ponieważ się nie porusza.

Ale krwawi. Unosi się wokół niego czerwona mgiełka, której źródłem jest zaczerwieniony bandaż wokół pasa. Unosi się w wodzie, przytrzymywany przez drugi łańcuch i coś, co przypomina małą kotwicę do łodzi.

Ma zamknięte oczy.

Całe moje ciało eksploduje ładunkiem adrenaliny, rozpacz i desperacji. Muszę go ratować. Muszę!

Podpływam błyskawicznie i dotykam go. Otwiera oczy i zaczyna się gwałtownie szarpać. Za chwilę wciągnie do płuc wodę, widzę to po panice w jego oczach. Chwytam go za nos i zaciskam. Biorę głęboki oddech, po czym wciskam mu ustnik. *Oddychaj*, błagam go. *Mój Boże, oddychaj, kochany, oddychaj!* Przez straszliwych kilka sekund wydaje się, że nie jest w stanie tego zrobić, próbuje pozbyć się mojego uścisku z nosa, po czym dostrzegam ulgę w jego ciele. Wciąga powietrze. Puszczam jego nos. Składa obie dłonie na regulatorze i oddycha łapczywie, wypuszczając bańki.

Żyje. *Nic mu nie jest.* No, nie do końca, krwawi, jest przemarznięty, blady i kompletnie nieprzygotowany do takich

warunków. Hipotermia wkrótce go zabije, jeśli nie zrobi tego pręcej utrata krwi. Musimy go stąd wydostać.

Grzebię przy łańcuchu, ale ten jest solidnie zatrzaśnięty. Nie mamy niczego, co pomogłoby nam go usunąć.

Moje płuca zaczynają domagać się powietrza. Javier daje mi sygnały, ale nie wiem, co oznaczają, dopóki nie odpina od paska drugiego regulatora, przeznaczonego do dzielenia się z innym nurkiem w razie potrzeby. Zakłada go Samowi, ale nie wiem, czy ten oddycha.

Musimy zdjąć te łańcuchy, choć nie ma jak tego zrobić, nie zadając mu bólu. Są ciasne. Jediną realną opcją wydaje się ściągnięcie ich w dół, ale przesunięcie po spodniach, które wciąż ma na sobie, jest niemożliwe. Zdejmuję mu spodnie i pozwalam im odpłynąć. Teraz ma na sobie tylko bieliznę. Trzęsą mi się ręce i mam zdrętwiałe palce. Chwytam łańcuch po mojej stronie i zsuwam go w dół o kilka centymetrów. Palce mi się ześlizgują i krzyczę w ustnik z frustracją. Javier pracuje po swojej stronie. Otwieramy przy tym ranę w boku Sama, ale to teraz bez znaczenia. Widzę, że porusza się lekko, ale stara się pomóc. Jego ciało zaczyna jednak powoli odmawiać współpracy.

Szarpię mocno, czując przenikliwy ból, kiedy łamię i zrywam sobie paznokcie. Nie obchodzi mnie to. Przez cały czas obniżam łańcuch. Sam szarpie się w agonii. Nie przestaję ciągnąć, świadoma, że sprawiam mu ból. Wiem, że nie mogę przerwać, nawet jeśli wszystko mi mówi, żebym dała spokój. Ignoruję to wezwanie. Dam radę...

W końcu łańcuch przechodzi przez jego biodra i robi się luźny. Zsuwa się po białych nogach i uderza złowrogo o dno. Wciągam słodki oddech ze zbiornika, odpinam balast i zaczynamy się unosić, ja, Javier, a między nami Sam, który ledwie się rusza. *Zostań ze mną, kochany, już niedługo. Już prawie koniec.*

Kiedy holujemy go w stronę brzegu, jest strasznie bezwładny. Jestem wyczerpana, roztrzęsiona i oddycham zdecydowanie za mocno i za szybko. Ciśnienie pozostawiło w mojej głowie wściekły, pulsujący ból, ale nie myślę teraz o tym. Sam się nie rusza...

Wychodzę z wody pierwsza, chwytam Sama za bezwładne kończyny i ciągnę na brzeg w stronę Kezii, która czeka już z metalicznym kocem termicznym.

– Sam? – wołam, kiedy tylko zrywam maskę. – Sam!

Javier wyjmuję mu ustnik. O Boże, on nie reaguje, ma otwarte oczy, ale nie patrzy na mnie... to się nie dzieje... nie może...

Nie po tym, przez co razem przeszliśmy. Proszę, nie.

W końcu dostrzegam w jego oczach isierkę życia. Mroczny ucisk w mojej piersi staje się lżejszy i krzyczę z ulgi. Z oczu płyną mi łzy.

Sam zaczyna drżeć i bierze dwa potężne wdechy.

– Connor. Idź po Connora!

Wszystko we mnie nieruchomieje. Patrzę w stronę jeziora i czuję, że wraca koszmar. Krzyżujemy spojrzenia z Javierem, który również wydaje się wstrząśnięty. Nie mogę zadać tego pytania. Nie potrafię. Tak bardzo boję się odpowiedzi.

– Sam, czy Connor jest w wodzie? – pyta Javier dziwnie spokojnym głosem. We mnie wszystko krzyczy i rozpada się na kawałki. Jeśli mój syn jest w tym jeziorze, umrę, szukając go.

– Nie – szepcze Sam, a ja zaciskam powieki i płaczę jeszcze mocniej. Czuję ogromną ulgę. Pochylam się i kładę dłoń na ramieniu Sama, żeby nie upaść. Kiedy ponownie otwieram oczy, Sam na mnie patrzy. Wygląda koszmarnie – blady, ze zsiniałymi ustami, dygoczący. Ale żywy. – Zabrali go do kwatery kobiet. Tam go znajdziesz. Idź po niego. Wybacz, nie mogłem...

Całuję go. Sama mam zimne, mokre i drżące wargi, odnoszę wrażenie, jakbym pocałowała lodowiec. Ale on tu jest, żyje, a ja tym dotykiem skóry próbuję przekazać mu całe swoje oddanie. Czuję

ohydny smak wody, która po nas spływa. To nieistotne. Wypiłabym to jezioro, żeby go uratować.

– Idę po niego – oznajmiam Samowi. – Javi, mamy sznur, dzięki któremu można wrócić przez ogrodzenie. J.B. ci go opuści. Ale Sam będzie potrzebował pomocy was dwojga, żeby pokonać ten płot.

– Sama tam nie pójdziesz – protestuje Javi. – Gwen...

Kręcę głową. Kez nie da sobie rady z Samem. Do ogrodzenia jest kawał drogi, a wywindowanie go w górę oraz zapewnienie bezpieczeństwa i ciepła wymaga współpracy dwóch osób. Ja nie mogę pójść.

Muszę znaleźć naszego syna.

Zakładam ponownie maskę i regulator, po czym wskakuję do jeziora, zanim komukolwiek udaje się mnie powstrzymać.

Najszybsza droga do mojego syna rozpoczyna się po drugiej stronie.

Rozdział 27

Connor

Aria stanowi spory problem. Kiedy otwiera usta do krzyku, chwytam ją i przyciskam jej dłoń do twarzy. Jest na tyle drobna, że udaje mi się ją unieść i przytrzymać, kiedy wije się i popiskuje. Woda wciąż płynie, a Vee odkręca kolejne krany, żeby nikt nie usłyszał odgłosów szamotaniny. Ktoś jednak wkrótce przyjdzie to sprawdzić.

Vee zrywa jedną z cienkich zasłon, po czym wyciąga swój nóż, żeby pociąć ją na długie pasy. Jeden z nich ma posłużyć za knebel, dwóch innych używa do związania nadgarstków i kostek Arii. Wrzucamy ją do jednej z kabin, gdzie wije się i próbuje krzyczeć.

Siostra Harmony zastyga, kiedy gdzieś na zewnątrz rozlega się syrena. Brzmi jak alarm ostrzegający o nadejściu tornada. Po chwili słyszę głos Ojca Toma dobiegający z głośników, ale szum wody uniemożliwia wychwycenie znaczenia słów. Siostra Harmony najwyraźniej je rozumie, bo chwyta lampkę i wybiega z łazienki. Vee i ja gonimy za światłem.

Siostra Harmony nie zatrzymuje się w reakcji na krzyki i nawoływania pozostałych kobiet i dziewcząt ani płacz dzieci. Biegnie wzdłuż przejścia, a z oddali wygląda jak kometa lecąca na

ciemnym niebie, otoczona pokrzykującymi duchami w białych koszulach nocnych.

Nie wiem, co Harmony zamierza zrobić, dopóki nie zaczyna dudnić w zamknięte drzwi i krzyczeć:

– Pomocy! Pomocy, oni są tutaj! Ratujcie nas! Oni nas pozabijają!

Przepycha mnie w stronę ściany, a Vee szybciej ode mnie uświadamia sobie, na czym polega plan siostry Harmony, bo w jej dłoni błyszczy ostrze noża. Ja nie chcę używać mojego. Zamiast tego podnoszę stolik i przytrzymuję go w górze.

W naszą stronę zmierzają inne kobiety. Udaje mi się naliczyć pięć, plus mniej więcej dziesięcioletnią blondynkę, a do tego mniejsze dzieci. Pozostałe kobiety krążą po pomieszczeniu i pokrzykują. Niektóre klękają i zaczynają się modlić. To pewnie te, którym nie ufa siostra Harmony. Te, które nie podejmą walki albo które wierzą za bardzo, żeby próbować.

Harmony podważa obcasem deskę w podłodze, wyjmując spod spodu biały worek i rozrzuca jego zawartość. Kuchenne noże. Musiała gromadzić je stopniowo. Dla wszystkich z pewnością nie starczy.

Vee niecierpliwie obraca swoje ostrze w dłoni. W jej oczach panuje coś, co każe mi się obawiać o jej zachowanie. Całkiem możliwe, że zrobi coś głupiego. Ja wciąż trzymam stolik, choć może również powinienem ścisnąć ostrze.

Zanim podejmuję decyzję w tej sprawie, drzwi otwierają się gwałtownie, nieomal uderzając siostrę Harmony. Kiedy do środka wpada mężczyzna z karabinem, ta zanurza ostrze kuchennego noża w jego przedramieniu. Broń wypala, ale kula trafia w podłogę. Wycofuję się nieco. Wiem, że powinienem coś zrobić, ale nie mam pojęcia co. Wszystko wydaje się toczyć w zwolnionym tempie, a ja czuję się rozgrzany i niezdarny.

W końcu udaje mi się skoncentrować. Biorę zamach stolikiem i uderzam go nim w boczną część głowy. Mężczyzna się chwieje. Upuszczam stolik i wpadam na niego z impetem, żeby stracił równowagę. Vee podcina go i facet ląduje na podłodze. Kiedy tu wchodził, wyglądał na wkurzonego, ale teraz na jego twarzy panuje niedowierzanie. Kiedy dociera do niego, co się tak naprawdę wydarzyło, zaczyna się bać. Leży na brzuchu i próbuje się podnieść.

Powinienem poszukać czegoś, żeby go związać. Rozglądam się, jednak zanim cokolwiek udaje mi się zlokalizować, siostra Harmony ląduje mu na plecach i jednym szybkim ruchem wbija ostrze kuchennego noża w kark. Widzę to wszystko, ale rozumiem powagę sytuacji dopiero w momencie, kiedy tamten nieruchomieje. Wszystko rozegrało się tak szybko, że potrzebuję kilku sekund, by zrozumieć, że ten człowiek nie żyje. Nie wiem nawet, co czuję. Widzę, że Harmony płacze i mówi do niego:

– Tym razem to ty zostałeś przetrzebiony.

W końcu wstaje i chwyta karabinek, zanim udaje się to zrobić Vee, po czym unosi go i kieruje w stronę otwartych drzwi.

– Vera, Connor, zabierzcie siostry i dzieci do kampera i znajdźcie drogę ucieczki.

– Pani nie jedzie? – pytam. Wiem, że powinienem się jej obawiać. Nawet bardzo bać, w końcu przed chwilą kogoś zabiła. Ale ona jest jak moja mama, wojowniczką, chroniącą tych, których kocha. Chwytam za rękę zapłakanego, małego chłopca i go podnoszę. Jest cięższy, niż mi się wydawało. I cieplejszy.

Siostra Harmony kręci głową. Ciężki, złoty warkocz syczy niczym wąż po materiale jej koszuli.

– Ja sprowadzę pozostałych. Tylu, ilu zdołam. Idźcie już, nie czekajcie. Kiedy się zorientują, że wyszliśmy na zewnątrz, przyjdą tutaj.

Stoję i patrzę na nią. Widać, że nigdy wcześniej nie trzymała broni palnej. Ręce trzęsą się jej jeszcze bardziej niż mnie.

– Pani zadaniem było ich wszystkich pozabijać, prawda?

Bierze głęboki wdech i kiwa głową.

– Dzień sądu. Miałam spalić Ogród i nie pozwolić, by ktokolwiek przeżył. Idź, chłopcze, i nie zatrzymuj się!

Vee woła do pozostałych kobiet i dzieci, żeby chwycili się za ręce, po czym przechodzi na tyły. Ja idę przodem z ciemnowłosą kobietą, mniej więcej w wieku Harmony. To siostra Rose.

– Musimy biec – mówi. – Wiem, którądy. Wskażę drogę.

Wyciąga nóż. Wygląda na przerażoną do granic, ale równie zdeterminowaną. Podaje mi drugą rękę i ściskam jej dłoń. Większość dzieci jest niesiona. Chłopiec, którego niosę, obejmuje mnie za szyję i nagle uświadamiam sobie, jakie to niebezpieczne. Jeśli ktoś nas zobaczy, może zostać zraniony lub upaść, a ja nie boję się już o siebie. Muszę zapewnić mu bezpieczeństwo.

Biegniemy.

W pobliżu bramy widać stłoczonych mężczyzn i słychać strzały, ale tamci skupiają uwagę na ludziach, którzy są po drugiej stronie. FBI. Mama. Całkiem możliwe, że też tam jest.

Muszę dostać się do Sama, ale najpierw zaprowadzę w bezpieczne miejsce tego obejmującego mnie chłopca. To teraz najważniejsze. Biegniemy więc, pociągając się wzajemnie za ręce, a kiedy siostra Rose się potyka, przytrzymuję ją i pomagam ustać na nogach. W naszym kierunku biegnie jakiś mężczyzna, który każe się nam zatrzymać, ale kiedy siostra Rose unosi nóż, staje w miejscu, zaskoczony. Ma przy sobie broń, jeden z tych karabinków szturmowych. Robi krok do tyłu i unosi lufę, a ja czuję lodowaty dreszcz. Nie mogę nic zrobić, nie z tym chłopczykiem na rękach.

Siostra Rose puszcza moją dłoń i rzuca się na niego z krzykiem. Tamten się potyka pod impetem uderzenia. Kiedy Rose wstaje, trzyma karabinek, ale ma zakrwawioną koszulę. Znow zaczyna biec, a ja ruszam za nią, kierując całą kolejką. Nie odwracam się za

siebie. Boję się, że Vee ma tam z tyłu kłopoty albo że ściga nas więcej ludzi. Mogę tylko gonić siostrę Rose.

Dostrzegam w oddali dom Ojca Toma, cały rozświetlony. Stojąca za nim stodoła płonie.

Kamper zaparkowany jest tuż przy jego domu.

Kiedy tam dobiegamy, odwracam się i wreszcie widzę wszystkich. Vee stoi na końcu i trzyma na jednej ręce niemowlę. Przepycha się do przodu i podchodzi do mnie. Siostra Rose ciągnie za klamkę kampera, ale drzwi się nie otwierają.

Są zamknięte na klucz.

Strzelanina staje się coraz bardziej intensywna i zaczyna brzmieć, jakby toczyła się tutaj prawdziwa wojna. Nie wiem, gdzie jest Caleb czy Ojciec Tom, ale dopóki nie ma ich tutaj, to zupełnie bez znaczenia.

Tata. Muszę go znaleźć. Najpierw jednak wszystkich trzeba ulokować w kamperze.

– Na górze jest świetlik! – wołam i przekazuję Rose chłopca. Wspinam się po drabince z tyłu pojazdu, kopię w świetlik, aż zamek pokrywy ustępuje, po czym wskakuję do środka, żeby otworzyć drzwi. – Nie mam kluczy! – krzyczę do Vee, która wsiada do środka jako ostatnia i zatrzaskuje za sobą drzwi. Dzieci płaczą i pokrzykują, a kobiety tłoczą się na kubełkowych krzeselkach.

– Nie potrzebuję ich! – odpowiada, po czym przeciska się przez tłum, żeby zasiąść na siedzeniu kierowcy. Pochyla się i zaczyna szarpać za przewody. Chyba wie, co robi, bo po mniej więcej trzydziestu sekundach słychać odgłos uruchamianego silnika, a Vee rzuca mi triumfalny uśmiech. – I co, jak bardzo mnie teraz lubisz?

– Bardzo cię lubię – odpowiadam. – Muszę pójść po tatę!

– Nigdzie się nie wybierasz! – woła, ale ja już przechodzę na tył, w stronę szafki, w której Caleb trzyma paralizatory. Otwieram ją, wkładając w to sporo siły, po czym wydaję jeden z nich,

spoczywający w ładowarce. Wkładam go do kieszeni kurtki. Nagle zauważam w kącie to, czego teraz potrzebuję: nożyce do metalu.

Kiedy się odwracam, przejście tarasuje mi siostra Rose.

– Z drogi! – wołam. – Muszę pójść po Sama!

Kręci głową i zastawia wyjście. Mam ochotę na nią krzyknąć, uderzyć ją.

– Nie możesz iść – mówi.

– Niech mnie pani wypuści! Vee! – Wyjmuję paralizator z kieszeni. – Muszę wydostać go z tej celi!

Vee wrzuca bieg w kamperze.

– Nie bądź głupi, Connor. Dasz się zabić i jak on wtedy będzie się czuł? Poza tym idzie po niego twoja mama. – Uśmiecha się. – A biada każdemu, kto stanie jej na drodze. Ty! Potrafisz prowadzić? – pyta siostrę Rose. – Muszę przypilnować, żeby nie wyskoczył i nie zrobił niczego głupiego.

Siostra Rose zamienia się miejscami z Vee, która chwyta mnie za rękę, kiedy próbuję dopaść do drzwi.

Rose wciska pedał gazu.

– Trzymajcie się!

Wciąż pragnę ruszyć na ratunek Samowi i z ogromną niechęcią przyznaję przed sobą, że Vee ma rację. Sam kazałby mi tutaj zostać. A teraz kamper już jedzie. Podnoszę paralizator z podłogi, chowam go i przytrzymuję stojącą obok dziewczynę, kiedy pojazd wchodzi w ostry zakręt.

Rose przyspiesza i prostuje kierownicę. Widzę teraz po prawej stronie kościół. Kwatery mężczyzn. Ogród jest po drugiej stronie, ale Rose nie zwalnia. Nikt nie czeka na ratunek na zewnątrz. Nie widać też nigdzie Harmony.

Rose wciska klakson i depcze z całej siły pedał gazu, kierując się ku bramie.

– Trzymajcie się! – powtarza, a ja staram się za coś złapać.

Nie taranujemy jednak bramy, żeby wyjechać na zewnątrz.

Mężczyźni strzelają w opony, a Rose traci kontrolę i zamiast uderzyć czołowo w bramę, wpadamy w poślizg i zderzamy się z nią pod kątem. Brama się kołysze, ale siła uderzenia nie jest wystarczająca, żeby ją otworzyć.

Impet rzuca mną o szybę i przez chwilę jestem oszołomiony. To wystarcza, by ktoś szarpnął za drzwi po stronie kierowcy i wyciągnął krzyczącą Rose na zewnątrz. Otwierają też drugie drzwi i zaczynają wchodzić do środka i szarpać kobiety, które stają do walki z użyciem noży i pięści. Panuje tu kompletny chaos.

Boli mnie głowa i trudno mi złapać równowagę, szybko jednak dochodzę do siebie, bo teraz czeka nas walka. Podświadomie oczekiwałem, że ogarnie mnie panika, że zechcę uciekać, ale czuję dziwny spokój, który przepływa przeze mnie niczym zimna woda. Nie ma dokąd uciec, ale nie boję się, nie wpadam w obłąd. Chwytam po prostu paralizator i kieruję go w stronę najbliższego z mężczyzn. Pamiętam, że należy przytrzymać spust. Patrzę, jak mężczyzna krzyczy i upada na podłogę, podrygując. Nie wiem, czy mogę ponownie użyć tej broni, ale to już nieistotne. Biorę zamach nożycami do metalu i trafiam następnego wchodzącego do środka w brzuch, aż leci do tyłu.

Kolejny trzyma broń. Rzuca się do przodu i celuje w kogoś, kto walczy tuż obok mnie. Jedna ze starszych kobiet. Chwytam go za nadgarstek i podbijam do góry, dzięki czemu kula trafia w sufit, a nie w jej twarz. Nie mogę użyć nożyc, nie ma na to miejsca. Zamiast tego wyprowadzam cios, po którym boli mnie całe ramię, jakbym połamał wszystkie kości. Muszę powstrzymać tego człowieka, nieważne w jaki sposób.

Tamten jest jednak większy i silniejszy ode mnie i kiedy oddaje cios, padam na podłogę. Nie boli aż tak bardzo, bo wszystko na moment robi się białe, a kiedy dochodzę do siebie, widzę, jak stoi nade mną i unosi broń. Wiem, że zaraz umrę. Teraz już naprawdę

się boję, całe moje ciało lodowacieje. Odsłaniam zęby i krzyczę, pragnąc, by był tu Sam i mama. Jest jednak za późno.

Siostra Harmony wbija mu nóż. Jest cała zakrwawiona, ranna i utyka, ale on nie zauważa jej nadejścia. Kobieta wydaje z siebie okrzyk, dociskając ostrze do jego karku. Po chwili obraca jeszcze nóż, a cały blask gaśnie w oczach napastnika. Upada prosto na mnie, a ja odpycham go gwałtownie, jakby płonął. Znów czuję się niezdarny i powolny i czuję ucisk w piersi, ale zapominam już o martwym mężczyźnie i patrzę w stronę drzwi, gdzie do wejścia szykuje się następny.

Harmony uwalnia ostrze szarpnięciem i rzuca:

– Chwytaj za karabin, chłopcze.

Przypominają mi się wersety, na które musiała patrzeć każdego dnia, przez wiele lat, wypisane na ścianach jej więzienia.

Niewiasta niech się uczy w cichości, z wszelką uległością.

Nauczyła się lepiej, niż Ojciec Tom mógł kiedykolwiek przypuszczać.

Do kampera wchodzi następny mężczyzna. Szczupły i młody, w wielu około dwudziestu lat. Chwytam za broń. Jest ciężka i za duża dla mnie, ale celuję w niego, a on zastyga. Siostra Harmony kręci głową i popycha mi ramię do dołu. Odbiera mi broń i podaje nowo przybyłemu.

– Nie, on jest z nami – informuje. – Remy! Pilnuj drzwi!

Remy.

– Moja mama cię szuka – mówię do niego. Zerka na mnie, jeszcze bardziej wystraszony niż ja, ale broń trzyma nieruchomo. – Ty jesteś Remy Landry.

– Kiedyś byłem – przyznaje. – Jeśli to przetrwamy, to może dalej nim będę. Harmony! Musimy ruszać!

– Nie bez moich sióstr! – Znów wyskakuje z kampera, trzymając zakrwawiony nóż. Remy podąża za nią, podobnie jak Vee.

Ruszam za nimi, chwytając po drodze nożyce do metalu. Są nieporęczne i ciężkie, ale powtarzam sobie, że zdołam dotrzeć do Sama, a on pomoże się nam stąd wydostać. Uciekniemy wszyscy.

Kiedy jednak wychodzę na zewnątrz, sytuacja okazuje się poważniejsza, niż sądziłem.

Rose, dwie inne kobiety i kilkoro dzieci tłoczy się przy ogrodzeniu. Wszystkie trzy siostry uzbrojone są w noże, ale są też ranne. Lewa ręka Rose zwisa bezwładnie i kapie z niej krew. Jest blada niczym ściana, ale wciąż trzyma się na nogach. Dzieci kulą się za nimi, a kobiety stoją przed dwoma mężczyznami uzbrojonymi w broń automatyczną.

– Oddajcie nam dzieci – mówi jeden z nich. – Nie zrobimy im krzywdy.

– Kłamca! – krzyczy Rose i rusza na niego. Wiem, że za sekundę ją zabije, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Mam przy sobie tylko scyzoryk i nożyce do metalu, a to nie wystarczy. Nie jestem wystarczająco szybki i nie stoję wystarczająco blisko.

Harmony działa błyskawicznie. Zabija go w ten sam sposób jak tamtego w kamperze, szybko i sprawnie, po czym kuca, kiedy drugi przesuwając lufę w jej stronę. Rose skacze na niego i posyła go na ziemię. Chwyta jego broń i celuje w niego, dysząc ciężko. Kiedy mężczyzna zaczyna się śmiać, naciska spust. Chybia, więc strzela ponownie i śmiech się urywa. Wiem, że powinienem w tym momencie zwinąć się w kulkę, jak wtedy w szkole. Strzały. Krzyki. Zapach krwi w powietrzu.

Ale tamto nie działo się naprawdę. Tu jest inaczej. Czuję strach, ale koncentruję się jednocześnie na dwóch rzeczach: przetrwaniu i dotarciu do taty.

Jesteśmy jednak przygwożdżeni między kamperem a ogrodzeniem. Wokół nas krąży co najmniej dwudziestu uzbrojonych ludzi, większość jednak nie zwraca na nas żadnej uwagi. Strzelają przez otwory w ogrodzeniu w stronę agentów FBI

ukrytych za bramą. Tym razem FBI odpowiada ogniem. Dostrzegam granaty przelatujące nad szczytem ogrodzenia i lądujące na ziemi po naszej stronie. Przez chwilę wyobrażam sobie, że zaraz nas rozerwie jak na filmach, ale w tym samym momencie z granatów zaczyna się wydobywać biała mgła, która utrudnia oddychanie. Palą mnie oczy, kaszlę i dławię się. Mam wrażenie, że ktoś nawcisnął mi do gardła płonący papier. Zauważam Vee, która chwyta powietrze, zgięta w pół, więc chwytam ją i przytrzymuję.

– Boczna brama! – wydaje z siebie skrzek. Ma zaczerwienione oczy i po policzkach cieką jej łzy. Moje oczy prawdopodobnie wyglądają tak samo. Szczypią mnie i łzawią, przez co tracę orientację. Wciąż słyszę strzały. – Tędy! – Popycha mnie i przesuwamy się wzdłuż płotu. Wsuwam scyzoryk z powrotem do kieszeni i chwytam po omacku kaszlącego chłopca. Vee prowadzi kogoś innego. Harmony trzyma się razem z Remym. Rose chwieje się i z trudem posuwa naprzód.

Nie zdołamy zebrać wszystkich, ale musimy otworzyć tę bramę.

Docieramy do niej po chwili. Jest tam jeden z mężczyzn, ale opiera się dziwnie o ogrodzenie, a kiedy Harmony go popycha, upada bezwładnie. Nie żyje.

W bramie są dwa przesuwne, stalowe rygle. Oba zabezpieczają kłódki kombinacyjne podobne do tej, którą miałem przy szkolnej szafce.

Podobne do tej, którą planowałem przeciąć przy drzwiach do celi taty.

Choć nie brzmi to zbyt sensownie, czuję, że muszę dokonać tutaj wyboru. Odnoszę wrażenie, że jeśli przetnę te kłódki, nie pokonam tej przy celi, że muszę wybrać, czy ratować tatę, czy tych bezradnych ludzi.

Wiem, co on by chciał, abym uczynił.

Wykorzystuję całą swoją siłę do przecięcia pierwszej kłódki, a następnie drugiej. Remy odsuwa rygle i zaczyna napierać na

bramę.

– Nie! – woła Harmony. Odbiera mu karabinek i rzuca go na ziemię. – Żadnej broni!

Ma rację. Na zewnątrz czeka FBI. Jeśli wyjdziemy z bronią palną i nożami, gotowi będą pomyśleć, że stanowimy zagrożenie.

Odkładam nożyce, a Harmony odrzuca nóż. Chwyta Rose, rozbraja ją i wciska w jej dłoń rękę płaczącego chłopczyka. Następnie wypycha ich za otwartą bramę. Przychodzi kolej na Remy'ego, oraz pozostałe kobiety i dzieci.

Odwraca się do mnie i Vee i woła:

– Idźcie!

– Ty pierwsza – odpowiada Vee.

Harmony znika za bramą. Nie mogę oddychać, po twarzy ciekną mi smarki i łzy i mam ochotę zwymiotować. Odwracam się i znów chwytam nożyce. Vee chwyta mnie za ramiona.

– A ty dokąd się wybierasz, chłopcze?

– Po tatę – odpowiadam skrzekliwie.

Odbiera mi nożyce i wyrzuca je w mgłę. Krzyczę i biorę zamach w jej stronę, ale się uchyla. Ona też kaszle i się dławi, ale udaje się jej powiedzieć:

– Twojemu ojcu nic nie będzie. Musimy iść.

Wyciąga mnie na zewnątrz, na świeższe powietrze, gdzie agenci FBI pokrzykują, żebyśmy się nie zatrzymywali i szli z podniesionymi rękami. Potykam się i upadam na kolano. Odwracam się w stronę wielkiego, stalowego ogrodzenia i słyszę coś dziwnego.

Oni tam śpiewają.

Ludzie Ojca Toma przestali strzelać i przystąpili do odśpiewywania jakiejś pieśni. Do moich uszu docierają głównie męskie głosy, choć wychwytyuję również pojedyncze, wysokie nuty. To te kobiety, które odmówiły wyjścia. Prawdziwe wyznawczynie.

Ludzie z FBI każą nam usiąść na skraju drogi, przemywają nam twarze i zakładają maski tlenowe. Po kilku minutach czuję się

znacznie lepiej. Jest ciemno i zimno, a śpiew utrzymuje się w powietrzu niczym opary gazu łzawiącego. Przez boczną bramę wychodzi kilka osób. Żadna z nich nie jest moim tatą, powtarzam więc po raz drugi mężczyźnie przecierającemu moją twarz, że muszę tam wrócić, że mój tata nazywa się Sam Cade i że należy go stamtąd wydostać.

– Connor? – Obok mnie klęka rosły mężczyzna w ciemnej wiatrówce. – Connor Proctor?

Kiwam głową. Nie znam go.

– Jestem agent Torres. Agent specjalny Lustig prosił, żebym cię odszukał i przy tobie został. W porządku?

Nie wiem, jakie znaczenie mają jeszcze słowa „w porządku”. Pieczenie w moich oczach ustało, ale nie przestaję płakać. Czy to jest w porządku? Czy to uczucie jest właściwe? Nie umiem go nawet określić. Czuję jedynie, że jestem piekielnie zmęczony i chce mi się spać, a jednocześnie pragnę tam wrócić.

– Mój tata wciąż tam jest – mówię. – Został w tym obozie. – Zaczynam się podnosić.

Agent Torres kładzie mi dłoń na ramieniu i przytrzymuje.

– Agent Lustig i kilka zespołów już przeszło na drugą stronę. Wydostaną go stamtąd. Ty zostań tutaj. – Podnosi się i zerka w kierunku ogrodzenia. Wydaje się spięty i zmartwiony, zapewne z powodu tych śpiewów. Oni nie powinni tego robić. Powinni się już poddawać.

Jego radio odzywa się z trzaskiem.

– Jak sytuacja? – pyta. Siedzę wystarczająco blisko, żeby usłyszeć odpowiedź z drugiego końca.

– Wycofali się do budynku kościoła. Przygotowali go do wysadzenia w powietrze. Pracujemy już nad tym.

– Ilu ich jest w tym kościele?

– Może dwudziestu pięciu, mężczyźni i kobiety, dzieci w tym momencie nie widać. Rozbroiliśmy dwa ładunki. Został jeden.

Przekaż agentowi Lustigowi, że przywódcy nie ma, powtarzam: nie ma w kościele.

– Chwileczkę. – Agent używa przycisków na radiu i mówi: – Agencji Lustig, informuję, że na kościele znajdują się ładunki wybuchowe, które w tej chwili rozbrajamy. Przywódca sekty wciąż jest na wolności. Odbiór.

– Przyjąłem – odzywa się głos w radiu. – Znaleźliście Connora Proctora i Sama Cade'a?

Agent Torres rzuca mi przelotne spojrzenie. Czuję ścisk w żołądku, kiedy uświadamiam sobie, co zamierza powiedzieć.

– Connor Proctor jest z nami, bezpieczny. Nie zlokalizowaliśmy jeszcze Sama Cade'a.

– Przyjąłem, Lustig bez odbioru.

Oblizuję suche, wciąż mrowiące mnie wargi i mówię:

– Sprawdźcie tę szopę obok betonowego budynku. Myślę, że wciąż tam jest. Albo przy jeziorze. Może tam być. – Mam nadzieję, że jednak go tam nie ma. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, dlaczego miałby tam być, ale pamiętam, że go tam widziałem. Przypominam sobie to jego ostatnie spojrzenie i znów czuję, jak płyną mi łzy. *Tato, proszę. Musisz żyć.*

Torres przekazuje moje słowa. Zanim otrzymujemy odpowiedź, z radio pada komunikat:

– Przy kościele czysto. Zlokalizowaliśmy następny ładunek w innym budynku, ale jest opuszczony i...

W następnej sekundzie rozlega się eksplozja, która rwie noc na strzępy. Jest wystarczająco silna, by wyrzucić w każdym kierunku kawałki drewna i betonu. Przez chwilę wszyscy się odruchowo osłaniamy, a kiedy podnoszę wzrok, zauważam, że część ogrodzenia jest uszkodzona i wygięta na zewnątrz przez ogromną siłę. Dzwoni mi w uszach i wpatruję się tępo w pożar rosnący po drugiej stronie bramy.

Nikt już nie śpiewa, a przynajmniej niczego nie słyszę.

– Jezu, powiedz mi, że to nie był kościół – mówi do radia agent Torres.

Znam już jednak odpowiedź. To wydarzyło się za blisko stąd. Wyszadzili Ogród. Gdyby nie siostra Harmony, pozabijaliby wszystkie kobiety i dzieci uwięzione w środku.

– Ładunki w kościele nie zadziały – odpowiada mężczyzna przez głośnik. Słysząc, że jest roztrzęsiony. – Wycofaliśmy się przed wybuchem, nie ma żadnych ofiar. Ci ludzie w kościele są już pod naszą kontrolą. Nie podejmują walki.

Nie zdołali popełnić zbiorowego samobójstwa. Dzięki Bogu.

Ale wciąż nie mają mojego taty.

Gapię się w ogień, dopóki nie obejmuje mnie Vee.

– Wszystko jest już w porządku, Connor – mówi. Vee Crockett. Ona *mnie* pociesza.

– Tak – odpowiadam bez przekonania.

Bo wcale tak nie uważam.

Rozdział 28

Gwen

Byłam przekonana, że nic nie powstrzyma mnie przed dotarciem do syna, a jednak tak się dzieje. Biegnę w górę ścieżką prowadzącą od strony jeziora, zupełnie wyczerpana. Nogi mam jak z waty, a płuca kłują mnie z wysiłku. Pozbyłam się już zbiornika z tlenem, maski i regulatora, ale wciąż mi zimno. Bardzo zimno. Zmuszam swoje obolałe ciało do większego wysiłku i jestem już w połowie drogi na wzgórze, kiedy rozlega się potężna eksplozja. Jej podmuch dociera do mnie i niemal mnie przewraca, a w moich uszach rozlega się świst. Czuję, jakby przed sekundą uderzył piorun. *Connor. Mój syn tam jest.* Nie chcę nawet myśleć, że mógł znaleźć się w tej kuli ognia. Nie. To niemożliwe. Muszę go znaleźć!

Zauważam kogoś schodzącego w moją stronę wzdłuż ścieżki, z dala od tego diabelskiego płomienia, który rozświetla noc czerwoną łuną. Ten człowiek śpiewa. Rozpoznaję tę pieśń. *Zbierzmy się nad rzeką, piękną, piękną rzeką.*

Mężczyzna ma piękny głos, co wydaje się naprawdę chorym żartem. Jak jeden z tych ludzi może tworzyć coś tak wspaniałego?

Dostrzega mnie na ścieżce, ociekającą wodą. Kieruję w jego stronę lufę i przestaje śpiewać.

– Kim jesteś? – pytam. Zatrzymuje się. Kipię z wściekłości, jednak na zewnątrz pozostaję całkiem opanowana.

Powoli unosi ręce.

– Nazywam się Ojciec Tom. Poddaję się. – *Ojciec Tom*. W blasku księżycy wygląda niemal anielsko. Wiem jednak, że to bardzo złudne wrażenie.

– Gdzie jest mój syn? – pytam głosem niemal całkowicie pozbawionym emocji.

– Gina Royal. Wiedziałem, że się pojawisz. Cóż, jeśli w niebiosach jest jakikolwiek Bóg, to twój syn jest w piekle – odpowiada. Słyszę wyraźnie, że jest z siebie zadowolony. Jego słowa działają na mnie jak ta eksplozja, która rozdarła noc, i przez krótką chwilę wyobrażam sobie, jak opróżniam cały magazynek w jego twarz, aż pozostają tylko krwawe strzępy, a następnie przeładowuję i strzelam dalej.

Otrząsam się z tego, czując, że mój palec jest bardzo naprężony na spuście. Nie mogę tego zrobić, bo on nie powiedział, że mój syn nie żyje. Użył słów: „jeśli w niebiosach jest jakikolwiek Bóg”. Ten człowiek nie zawahałby się przed poinformowaniem mnie, że Connor jest martwy. Muszę w to wierzyć. Muszę, albo całkowicie stracę nad sobą panowanie.

Powoli opada na kolana. Krzywi się lekko i uśmiecha.

– Stare kości. Nie jestem już tak sprawny jak kiedyś. – Jeśli usiłuje mnie przekonać, że jest istotą ludzką, to mu się nie udaje. Próbuje teraz mną manipulować. – Przyniosłaś zło do naszego ogrodu, jak każda kobieta. Jesteś Lilith, Ewą i wężem w jednym. Matką wszystkich grzechów.

Podchodzę bliżej, kucam i przysuwam mu wylot lufy do podbródka.

– Z morderstwem włącznie – dodaję. – Zabiłeś mojego syna?

– Był w Ogrodzie – odpowiada, a w jego uśmiechu pojawia się coś złośliwego. – Ogród i nasza sala spotkań obróciły się właśnie w popiół. Idź sobie w nim poprzebierać, może coś znajdziesz.

Nienawidzę tego człowieka bardziej, niż kogokolwiek innego w moim życiu. Nawet Melvina. Mam ochotę rozerwać go na strzępy, wystarczyłoby, żebym ruszyła palcem. Bez najmniejszego wysiłku.

– To nie jest odpowiedź. Czy. Zabiłeś. Mojego. Syna.

Ojciec Tom blednie. Choć wciąż uśmiecha się szyderczo, wyraźnie się czegoś boi. Nie broni. Nie tego, że go zastrzele.

Boi się, że tego *nie zrobię*.

– Tak – mówi. – Zabiłem go. Jest ze świętymi. – Rzuca spojrzenie w stronę jeziora.

Wiem, że kłamie.

– Masz stąd jakieś tajne wyjście – zgaduję i wiem, że mam rację, bo po raz pierwszy widzę w jego oczach zdumienie. – To tajemnica, którą znasz tylko ty. Gdzie to jest, w pobliżu jeziora? Za wodospadem? Nieważne. Nie pójdziesz tam. – Wstaję i cofam się nieco, nie przestając do niego mierzyć. – Gdzie jest mój syn, dupku?

Słyszę na ścieżce odgłosy kroków. Dostrzegam snopy światła z latarek.

– Gwen! – To Mike Lustig. FBI jest tutaj. Nie odprężam się, ale czuję lekką ulgę. Teraz mogę pójść po Connora i go stąd wydostać. Udało się nam.

– Zabiłem twojego syna, zanim wyszedłem – mówi Ojciec Tom. – Własnymi rękami. Umarł, płacząc.

Lustig ratuje mu życie, wołając jednocześnie:

– Mamy Connora, jest bezpieczny!

Zdejmuję palec ze spustu, bo wciąż mogłabym strzelić, a kiedy zjawiają się agenci FBI, klękam, odkładam broń na ziemię, zasłaniam twarz dłońmi i zaczynam krzyczeć. Z wściekłości, frustracji i poczucia ulgi.

Czuję na ramieniu ciężką dłoń Lustiga.

– Gdzie jest Sam? – pyta.

Biorę głęboki oddech i podnoszę wzrok.

– Bezpieczny. SUV po południowej stronie kompleksu, gdzie się zatrzymaliśmy. Udało się go nam wydostać z wody, zanim utonął. Jest bezpieczny.

Przy tych ostatnich słowach łamie mi się głos i czuję falę prawdziwej ulgi.

– Chodź – mówi i poklepuje mnie delikatnie. – Zabiorę cię do syna.

Mijamy leżącego na ziemi Ojca Toma. Krzyczy, kiedy agenci FBI zakuwają go w kajdanki. Cieszę się, że go nie zastrzeliłam.

Chcę, żeby cierpiał.

Rozdział 29

Gwen

Nie mam ochoty wypuszczać syna z objęć, w których go zamknęłam. Trzymam go tak mocno i tak długo, że w końcu zaczyna się wić. Puszczam go.

– Tata... – mówi. W oczach i na policzkach ma łzy. Wycieram je delikatnie, choć widzi, że sama płaczę.

– Jest w drodze do szpitala – odpowiadam. – Nic mu nie będzie. Przemarzył i ma ranę, którą muszą wyleczyć, ale wróci do zdrowia. – Tego nie wiem, ale muszę w to wierzyć.

J.B. przywozi Lanny, Kez i Javiera, więc ściskam ich po kolei. Tego ostatniego trzymam w objęciach nieco dłużej.

– Gdyby nie ty, stracilibyśmy go.

– Pamiętaj, żeby mu o tym wspomnieć – mówi. – Narzekał ostatnio, kiedy zaproponowałem mu lekcje nurkowania. Kiedy wydobrzeje, będzie musiał przejść ten kurs. Ty również. Poruszałaś się w tej wodzie jak szczeniak.

Śmieję się i znów go przytulam.

– Obiecuję, że mu powiem. Najpierw jednak wyprostuję kilka spraw.

Kiwa głową i prowadzi Kezię z powrotem do SUV-a. Connor również ma trafić do ambulansu. W środku jest ciasno z sanitariuszem, nami dwojgiem, dwiema kobietami z obozu i agentem FBI. Connor przedstawia mi siostrę Harmony oraz Rose, tę drugą z raną postrzałową. Obie wyglądają na wyczerpane i zdezorientowane, ale Harmony patrzy na mojego syna i mówi:

– Udało się nam.

Connor kiwa głową.

– Dokąd teraz pani się uda?

Harmony zastanawia się przez chwilę.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Uśmiecha się. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam takiego uśmiechu. Jest w nim radość, strach i nadzieja jednocześnie. – Po prostu gdzieś. Czy to nie wspaniałe?

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, Sam zostaje pośpiesznie zabrany na chirurgię. Jest przytomny i chwytając po drodze Connora za rękę, a nam obojgu rzuca słaby uśmiech. Musimy zostać przed drzwiami.

Mija kilka długich godzin w poczekalni. Jesteśmy tam z Kezi i Javierem, zauważam też ze zdumieniem, że dołącza do nas Vee Crockett.

– Szukałem cię – oznajmia Connor i przytula ją. – Gdzie byłaś?

– Spierdoliłam – odpowiada i rzuca mi spojrzenie. – Przepraszam. Musiałam się ulotnić, żeby nie zabrali mnie do opieki społecznej. Zapewne mocno się wkurzyli.

– Zapewne? – prychnął Connor i kręci głową. – Oni tu po ciebie przyjadą. Będą chcieli porozmawiać z każdym, kto tam był. Z tobą włącznie.

– Z tobą włącznie – powtarzam, patrząc na Vee. – Jak ty się tam, do diabła, dostałaś?

– Ukradła pickupa – mówi Connor. – Wie, jak odpalać samochody za pomocą kabli. Zrobiła to w kamperze i...

Podnoszę rękę, nie spuszczać wzroku Vee Crockett.

– Nie chcę wiedzieć. Nic ci nie jest?

Unosi jedno ramię.

– Zupełnie nic.

Z pewnością tak nie jest. Dotyczy to każdego z nas, choć mocno udajemy.

Nie kryje zaskoczenia, kiedy mocno ją przytulam, a kiedy się rozluźnia i też mnie obejmuje, czuję, jak drży z ulgą.

– Wszystko gra – szepcze. Tym razem jej wierzę.

Sam opuszcza salę operacyjną bez żadnych komplikacji.

Dwa dni później chcemy zabrać go do domu, ale Kez informuje nas, że nie jest to zapewne miejsce, do którego chcielibyśmy się udać. Pokazuje nam zdjęcia. Przy jeziorze stłoczyła się cała armia dziennikarzy. Na bramie garażowej i na bocznej ścianie domu widzę wymalowane graffiti. Ktoś wybił frontowe okno i wrzucił do środka farbę. Znów jesteśmy niesławni.

Odpuszczam to sobie. Do końca, całkowicie. Norton. Wszystkich tych ludzi, dla których jesteśmy niemile widziani. Swoją instynktowną potrzebę kontroli, buntu.

Nie potrzebuję już Stillhouse Lake. Wszystko, czego potrzebuję, mam przy sobie. Wokół siebie.

J.B. organizuje w szpitalu spotkanie Remy'ego Landry z rodzicami. Chyba nigdy dotąd nie widziałam tak szczęśliwej trójki ludzi. Remy jest cieniem samego siebie ze zdjęć, które widziałam. Przeszedł naprawdę sporo, ale przetrwał niemożliwe. Podobnie jak jego rodzice. Widzę w nich radość, dzięki której uznaję, że to wszystko było prawie, prawie warte tego całego wysiłku.

Ze stawu w pierwszej osadzie Zgromadzenia Świętych wydobyto siedem ciał. Kolejnych dziesięć wyłowiono z jeziora w Bitter Falls, łącznie ze zwłokami Vernona Carra, przywódcy sekty z Wolfhunter,

który zwrócił się do Ojca Toma z prośbą o ochronę. Nie znalazł tego, czego oczekiwał.

Dostaję anonimową kartkę, którą ktoś wysłał na adres biura J.B. Hall. Jest zapisana odręcznie, dziecięcym pismem i mówi: *Dziękuję za uratowanie mi życia*. Na końcu znajduje się zamaszyste *D*. *D* jak Daria. Nie patrzę na znaczek pocztowy. Nie chcę wiedzieć. Drę kartkę na strzępy.

Dwa razy w tygodniu chodzimy na terapię. Cała nasza piątka, włącznie z Vee. Pomaga.

Wypełniamy z Samem dokumenty adopcyjne. Sam adoptuje formalnie moje dzieci jako mój partner. Pomagamy Vee w złożeniu wniosku o uzyskanie statusu samodzielnej osoby małoletniej. Zostanie z nami, przynajmniej dopóki nie znajdzie swojej własnej drogi. Lanny i Vee wydają się przyciągać jak dwa magnesy i owszem, trochę mnie to martwi. Vee czeka jeszcze długa droga do pełnej stabilizacji.

Zdecydowanie musimy znaleźć wystarczająco duży dom, by pomieścić cały ten dramat.

Ostatnią rzeczą, jaką robię przed opuszczeniem Stillhouse Lake, jest napisanie odręcznej notatki i wysłanie jej do Lilah Belldene.

Jej treść brzmi: *Dotrzymuję słowa*.

Nie jestem zaskoczona, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi. Życie toczy się dalej. Musimy przygotować się do procesu Ojca Toma. I znaleźć nowy dom.

Podobnie jak siostra Harmony, nie wiem, co wydarzy się dalej.

I to jest wspaniałe.

Ścieżka dźwiękowa

Muzyka inspiruje mnie i prowadzi przez długi i czasami trudny proces pisania tego rodzaju książki, z taką intensywnością i emocjami.

Oto wybrane przeze mnie piosenki, które pomagają mi pozostać w świecie z moimi bohaterami.

Jeśli Ci się podobają, wesprzyj artystów i kup ich muzykę.

- *Monsters*, Shinedown
- *Forever & Ever More*, Nothing But Thieves
- *Split In Two*, Broken Hands
- *What Happened to You*, Black Honey
- *Get Up*, Shinedown
- *Some Kind of Rage*, MONA
- *Gods*, Nothing But Thieves
- *Rolling with the Punches*, The Blue Stones
- *Graveyard Whistling*, Nothing But Thieves
- *Ghost*, Badflower
- *Do Your Worst*, Rival Sons
- *Live Like Animals*, Nothing But Thieves
- *Holding Out for a Hero*, Nothing But Thieves

- *Pressure*, Muse
- *Propaganda*, Muse
- *Sorry*, Nothing But Thieves
- *Lowly Deserter*, Glen Hansard
- *Philander*, Glen Hansard
- *Take the Heartland*, Glen Hansard
- *Who by Fire*, Leonard Cohen
- *The Next Voice You Hear*, Jackson Browne
- *Morning Mr. Magpie*, Radiohead
- *Season of the Witch*, Donovan
- *It's Not Too Late*, T. Bone Burnett
- *Poison in the Water*, Von Grey
- *Even the Devil Gets It Right Someday*, Chris McDermott
- *Karma (Hardline)*, Jamie N. Commons
- *Rumble and Sway*, Jamie N. Commons
- *The Preacher*, Jamie N. Commons
- *Blood Like Lemonade*, Morcheeba
- *Run Boy Run*, Woodkid
- *I Love You*, Woodkid
- *Ghost Lights*, Woodkid
- *The Other Side*, Woodkid
- *In the Air Tonight*, Joseph William Morgan
- *Enjoy the Ride*, Morcheeba
- *Change*, The Revivalists

**Bestsellerowe thrillery psychologiczne księgarni
AMAZON**



**WZOROWY MAŻ, KOCHAJĄCY OJCIEC,
BRUTALNY MORDERCA.**

**CZY GINA MOGŁA NIE WIEDZIEĆ, ŻE DZIELI
ŻYCIE Z POTWOREM?**

FILIA

Spis treści

[Okładka](#)
[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)
[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Ścieżka dźwiękowa](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Bitter Falls*

Text copyright © 2020 Rachel Caine, LLC

All Rights Reserved

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with GRAAL, SP. Z.O.O.

Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcie na okładce: © Elisabeth Ansley / Trevillion Images

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-138-8

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl